

1922 R. – POLSKA KULTURA NA ŚLĄSKU

CENA 5 ZŁ (w tym 5% VAT)

ISSN: 1425-3917 NR INDEKSU 33328X

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO- KULTURALNY

ŚLĄSK

 Śląskie. Pozytywna energia

Nr 10 (204) • ROK XVIII • PAŹDZIERNIK 2012

**Abp WIKTOR SKWORC: Kościół jest ojczyzną wszystkich
Sejm Śląski a autonomia – rozmowa z prof. JÓZEFEM CIĄGWĄ
MARIA DĘBICZ – Listy Tadeusza Różewicza do Henryka Bereski**

KAZIMIERZ KASZPER – Trucizna przychodzi zza Olzy

LECH M. NIJAKOWSKI – Śląskość zarejestrowana

LEON MARKIEWICZ – W drodze do potęgi

LECH SZARANIEC: Muzeum rozebrane

WITOLD TURANT – Łachmyta jako bohater



ISSN 1425-3917



9 771425 391202

10



Prezydent Piotr Uszok 7 września br. wręczył doroczne nagrody w dziedzinie kultury. Laureatami zostali: Joanna Wnuk –Nazarowa – dyrektor Narodowej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia za wieloletnią, pełną zaangażowania i pasji pracę oraz znaczący wpływ na kształtowanie wizerunku miasta Katowice, Zbigniew Sawicz – za znaczący dorobek artystyczny w dziedzinie fotografii, dokumentowanie ciekawych zjawisk kulturalnych ważnych dla mieszkańców miasta i regionu oraz prof. Marian Oslislo – za wieloletnią, pełną zaangażowania i pasji pracę pedagogiczną i artystyczną, wyznaczenie nowatorskich kierunków oraz znaczący wkład w kształtowanie wizerunku Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach. Na zdjęciu: prezydent Piotr Uszok z laureatami Zbigniewem Sawiczem (z lewej) i prof. Marianem Oslislo. Joanna Wnuk Nazarowa nie mogła uczestniczyć w tej uroczystości.

27 września w sali Parnassos Biblioteki Śląskiej odbyła się uroczystość wręczenia Śląskiego Wawrzynu Literackiego. Laureatem plebiscytu czytelników Biblioteki Śląskiej na Książkę Roku 2011 został Zbigniew Białas (anglista, profesor nauk humanistycznych, prozaik i tłumacz) za książkę pt. „Korzeniec”. Na zdjęciu: laureat (z bukietem róż) w otoczeniu aktorów Teatru Zagłębia. To właśnie w tym teatrze 26 maja br. miała miejsce premiera scenicznej adaptacji „Korzeńca”. Spektakl, podobnie jak książka cieszą się ogromną popularnością.



7 września 2012 r. w gliwickiej Galerii „Secesja” otwarto wystawę prac Michała Wrońskiego (debiutował w katowickich „Poglądach” w r. 1964; poeta, prozaik, dramaturg i publicysta) FOTOGRAFIA – RZEŻBA – LITERATURA. Złożyły się na nią fotografie przedstawiające Gliwice, podgliwickie pola i przyrodnicze ciekawostki oraz rzeźby w drewnie. Podczas wernisażu teksty Michała Wrońskiego czytała Ilona Jagoda z przerwami muzycznymi Piotra Jagody, grającego na saksofonie. Gospodarzem wieczoru był Andrzej Jarczewski, który mówił o twórczości autora.



12 września w budynku Biblioteki Śląskiej przy ul. Francuskiej 12 odbył się koncert inauguracyjny nowego cyklu zatytułowany *Filharmonia w starej Bibliotece*. Ten wspólny pomysł filharmoników i bibliotekarzy śląskiej książki przywraca kulturze regionu piękny przykład katowickiej moderny – była książnicą z jej eleganckim audytorium, które stanie się salą koncertową. Gośćmi specjalnymi będą zaproszeni przez prof. Jana Malickiego, ludzie słowa i innych dziedzin twórczości, pierwszym z nich był redaktor naczelny miesięcznika „Śląsk”, autor „Sonetów brynowskich” – Tadeusz Kijonka. Gospodynią muzycznych spotkań jest Violetta Rotter-Kozera. (Więcej o koncercie inauguracyjnym na stronie 69).

Na zdjęciu: Tadeusz Kijonka i Violetta Rotter-Kozera na koncercie



W Siemianowicach Śląskich skwer przy ulicy Katowickiej nosi imię Antoniego Halora. Tablicę upamiętniającą tego wybitnego artystę odsłonił prezydent Jacek Guzy wraz z wdową po Antonim Halorze – Bogumiłą Hrapkowicz – Halor.

ŚLĄSK

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO - KULTURALNY

Nr 10 (204). Rok XVIII. PAŹDZIERNIK 2012 r.

WYDAWCA: GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO
LITERACKIE W KATOWICACH
40-012 Katowice, ul. Dworcowa 13

Tel. 32 253-62-21

e-mail: redakcja.slask@onet.pl, slask@neostrada.pl
www.gtl.org.pl

WSPÓŁWYDAWCA: BIBLIOTEKA ŚLĄSKA

plac Rady Europy 1

40-021 Katowice

Tel. centr. 32 20 83 700

informacja: info@bs.katowice.pl

sekretariat: bsl@bs.katowice.pl

Redaguje zespół:

TADEUSZ KIJONKA

redaktor naczelny

FELIKS NETZ

zastępca redaktora naczelnego

WIESŁAWA KONOPELSKA

sekretarz redakcji

MARIA SZTUKA

dział kulturalny

BOGDAN WIDERA

dział społeczno-histeryczny

WOJCIECH ŁUKA

dział graficzny

MIROSLAW KORBEL

nadzór techniczny i poligraficzny

e-mail: korgraf@korgraf.com.pl

IRENA FALKIN-SIBIGA

ANNA STRUMIŁOWSKA

korekta

ADRES REDAKCJI:

40-012 Katowice, ul. Dworcowa 13,
tel./fax 32 206-82-71

DTP: STP „KorGraf”, 40-081 Katowice,
ul. Dąbrowski 15/12, tel. 32 354-09-88,
32 781-06-48

Druk: PW „Tolek”

DRUKARNIA IM. KAROLA MIARKI
43-190 MIKOŁÓW, ul. Żwirki i Wigury 1.

Materiałów nie zamówionych nie zwracamy. Redakcja zastrzega
sobie prawo skrótów, poprawek i zmian tytułów w tekstach przy-
jętych do druku oraz skracanie korespondencji.

Warunki prenumeraty: poprzez Oddziały i Delegatury
„RUCHU” – na terenie całego kraju. Bezpośrednio – w sekretaria-
cie Redakcji oraz w urzędach pocztowych. Wpłaty należy dokony-
wać na konto: GTL – redakcja miesięcznika „Śląsk”, PKO
PB SA I O/Katowice 92 102023130000 3302 00202176. Prenume-
rata roczna – 60 zł, półroczna – 30 zł. Pismo w prenumeracie jest do-
starczane pod wskazany adres bez dodatkowych opłat.

Cena egzemplarza – 5 zł (w tym 5% VAT).

ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328X

Czasopismo „Śląsk. Miesięcznik społeczno-kulturalny” jest dostępne
w wersji elektronicznej w ŚLĄSKIEJ BIBLIOTECIE CYFROWEJ pod adresem:
<http://www.sbc.org.pl/dlibra/publication?id=19462>

W NUMERZE:

ŚLĄSKI MIESIĄC	2
<i>Lech Nijakowski</i> REJESTRACJA	3
<i>Jan Cofalka</i> WYKRAKAŁ	4
<i>Abp Wiktor Skworec</i> KOŚCIÓŁ JEST OJCZYZNĄ WSZYSTKICH	5
Rozmowa z prof. dr. hab. Józefem Ciągłą SEJM ŚLĄSKI I AUTONOMIA	6
<i>Tomasz Fałęcki</i> POLSKA KULTURA NA ŚLĄSKU – 1922	8
NOTATNIK SPÓŹNIONEGO PRZYBYSZY	
<i>Marek S. Szczepański</i> LEKTURA KSIĄŻEK PRZEDŁUŻA ŻYCIE CZYLI RZECZ O PIZYSTRACIE I KATOWICKIEJ KSIĄŻNICY	15
<i>Marcin Rudzki</i> JUGENDAMT W POLSKIM SĄDZIE	16
<i>Michał Wroński</i> TEATR SENNY	18
<i>Jerzy Lucjan Woźniak</i> WIERSZE	22
<i>Matthias Kneipp</i> WIERSZE	23
<i>Tadeusz Sierny</i> BEZ PŁASZCZA KONRADA?	24
<i>Leon Markiewicz</i> DROGA DO POTĘGI	28
POZA KADREM	
<i>Feliks Netz</i> ZAKOCHANI W RZYMIE	33
<i>Maria Sztuka</i> TEATR MARZEŃ I OCZEKIWAŃ	34
Rozmowa ze śląskim kuratorem oświaty Stanisławem Faberem DOSTOSOWAĆ EDUKACJĘ DO POTRZEB	38
<i>Kazimierz Kaszper</i> TRUCIZNA PRZYCHODZI ZZA OLZY	40
BIBLIOTEKA NOCĄ	
<i>Krystian Gałuszka</i> WYSPIY SZCZĘŚLIWE	43
<i>Irena Wyczółkowska</i> WIERSZE	44
<i>Hanna Dikta</i> WIERSZE	45
<i>Maria Dębicz</i> BERLIŃSKIE ADRESY. LISTY TADEUSZA RÓŻEWICZA DO HENRYKA BERESKI	46
Pismo wspierane finansowo przez ZARZĄD WOJEWÓDZTWA ŚLĄSKIEGO	
<i>Rozmowa z Lechem Szarańcem</i> MUZEUM – DZIEŁO ŚLĄSKICH PATRIOTÓW	50
<i>Witold Turant</i> ŁACHMYTA JAKO BOHATER	53
<i>Michalina Wawrzyczek-Klasik</i> POZATKI I ROZWÓJ AKADEMII SZTUK PIĘKNYCH W KATOWICACH	56
<i>Jan Miodek</i> OD CHUDOBY DO KUDOWY	60
EKOLOGIA	
<i>Jolanta Matiakowska</i> W PRZYRODNICZEJ PRZESTRZENI ŚLĄSKA	61
<i>Maria Sztuka</i> WITKIEWICZ I WITKACY	64
<i>Bogdan Widera</i> KRAKÓW, KATOWICE, WIEDEN, STAMBUŁ	65
<i>Marcin Wieczorek</i> NA 740-LECIE LOKACJI MIASTA ŻORY	66
KONFERENCJA	
<i>Bogdan Widera</i> MIASTO MUZYKI	68
MUZYKA	
<i>JAK SIĘ MAJĄ KU SOBIE LITERATURA I MUZYKA (MS)</i>	69
<i>Wiesława Konopelska</i> JEDYNY W TYM ROKU KONCERT EWY PODLEŚ W POLSCE	70
<i>Magdalena Dziadek</i> MIĘDZY NUTAMI	71
KSIĄŻKI	
<i>Katarzyna Krzan</i> POTRZEBA DAWANIA ŚWIADECTWA	72
<i>Ewa Bartos</i> PIERWSZA DEKADA	74
<i>Joanna Kisiel</i> CIEMNE ŹRÓDŁO W FILIZANCIE KAWY	75
<i>Grażyna Barbara Szewczyk</i> WSPÓŁCZESNA PERCEPCJA DZIEJÓW LITERATURY NIEMIECKIEJ W ZARYSIE	76
<i>Bogdan Widera</i> KRÓTKO O KSIĄŻKACH	78
PODKOPKI	79
Z ŻYCIA BIBLIOTEK	
<i>Krystian Gałuszka, Aleksandra Czyż</i> BIBLIOTEKA MIEJSCEM SPOTKANIA. MBP W RUDZIE ŚLĄSKIEJ	80
NOTATNIKI KULTURALNE	
<i>Janusz Szewczyk</i> OPOLE	81
<i>Wiesława Konopelska</i> KATOWICE	82
<i>Jan Picheta</i> BIELSKO	84
<i>Joanna Kotkowska</i> CZĘSTOCHOWA	85
<i>Jacek Sikora</i> ZAOLZIE	86
<i>Jan Cofalka</i> NASI W WARSZAWIE	87
<i>Michalina Wawrzyczek-Klasik</i> TWÓRCY KATOWICKIEJ ASP. LEON DOŁŻYCKI	88

W kolorze

• Stanisław Witkiewicz i Stanisław Ignacy Witkiewicz (str. A)* Wystawa w Muzeum w Sosnowcu (str. B) • Znaki i Twarze Miasta Katowice. Prof. Adolf Dygacz na postumencie (str. C) Opole (str. D) • Leon Dołżycki – malarstwo – III str. okładki.

Na okładce:

Gmach Akademii Muzycznej w Katowicach – pierwsza siedziba władz województwa śląskiego w latach 1922-1939, dziś znakomicie łącząca starą i najnowszą architekturę (proj. Tomasz Konior).

Fotografia:

Zbigniew Sawicz

Prenumerata zagraniczna poprzez Dział Prenumeraty i Współpracy z Zagranicą „RUCH” S.A.
Infolinia 0800 120 029. Tel. +48 022 532-87-31.

www.ruch.com.pl

■ **WIELODZIETNE** mamy z Katowic walczyć o stworzenie sieci wypożyczalni używanych podręczników szkolnych w bibliotekach. Chcą, aby w przyszłości mogli z nich korzystać także inne rodziny w mieście.

■ **ZESPÓŁ** chirurgów pod kierunkiem prof. Adama Maciejewskiego z Instytutu Onkologii w Gliwicach uzyskał ostateczną zgodę na przeszczepianie twarzy. Prof. Maciejewski od lat specjalizuje się w chirurgii rekonstrukcyjnej. Przeprowadził kilkadziesiąt skomplikowanych operacji odtworzenia fragmentów twarzy i głowy u chorych na nowotwory. Chirurgzy z Gliwic szkolili się m. in. u prof. Marii Siemionow, która w Cleveland przeprowadziła już tego rodzaju zabieg.

■ **PROFESOR** Jan Ślężyński miał 70 lat gdy pobił rekord Guinnessa w stanie na rękach, a 80 – gdy w półtorej godziny przepłynął 2550 metrów. Ma poparty badaniami naukowymi przepis na doskonałą formę. Profesor ma 81 lat i wciąż prowadzi zajęcia na katowickiej Akademii Wychowania Fizycznego.

■ **WYBUDOWANE** przed 100 laty domy na os. Zandka w Zabrze zostały wpisane na listę zabytków. Niestety, ta decyzja żadnego z nich nie uratuje przed zniszczeniem, chyba że urzędnikom uda się wciągnąć lokatorów dla wspólnych działań. To urzędnicy powinni przekonać ludzi z Zandki, że wpisanie ich domów na listę zabytków to szansa także dla nich.

■ **WYDATKI** na leczenie w śląskim NFZ wzrosną w przyszłym roku zaledwie o 4 proc. Zgodnie z projektem finansowym na 2013 rok budżet śląskiego NFZ wzrośnie o 272 mln zł, do poziomu 7 mld 626 mln zł.

■ **TRAMWAJE** Śląskie zorganizowały specjalne szkolenie dla motorniczych tramwajów. Psychologowie wyjaśniali im jak radzić sobie ze stresem i negatywnymi emocjami.

■ **WOJEWÓDZTWO** śląskie po raz ósmy z rzędu okazało się najoszczędniejszym w wydatkach na administrację. Wśród powiatów ziemskich jednym z oszczędniejszych jest rybnicki, a wśród grodzkich w pierwszej dziesiątce najbardziej oszczędnych znalazły się Sosnowiec, Rybnik i Tychy.

■ **ROZPOCZĘŁA** się jedna z największych inwestycji drogowych ostatnich lat w Bielsku-Białej. Za blisko 25 mln zł zostanie przebudowany układ dróg w centrum miasta oraz powstanie nowy most na Białej.

■ **LEKARZE** będą jeszcze ostrożniej niż dotąd wypisywać leki na receptę. Powód: Śląski NFZ pilniej niż kiedykolwiek wcześniej kontroluje recepty. W tym roku zażądał już z tytułu nienależnej refundacji z poradni i aptek zwrotu aż 716 tys. zł. To dane za okres od początku stycznia do końca czerwca. Dla porównania w tym samym okresie

ŚLĄSKI MIESIĄC

Zapis wydarzeń
z miesiąca poprzedzającego
zamknięcie numeru

w 2011 r. po kontrolach w aptekach i w poradniach NFZ zażądał zwrotu „zaledwie” 290 tys. zł.

■ **KAPIEL** w rzekach i jeziorach tylko na własne ryzyko. W minionych latach stacje san. -epidu ostrzegały przed bakteriami wykrywanych w beskidzkich rzekach. Teraz w większości miejsc kąpać można się tylko na własne ryzyko, bo wody nikt nie bada. Na terenie Żywiecczyny, Śląska Cieszyńskiego i Podbeskidzia nie ma ani jednego kąpieliska.

■ **INSTYTUT** Onkologii w Warszawie spłaca właśnie swój potężny dług dzięki pieniądзом, które zabrał z konta swojemu oddziałowi, czyli Centrum Onkologii w Gliwicach. Chodzi o 75 mln zł! To załóżno, że rządzący naszym regionem nawet szeptem nie wypowiedzieli w tej sprawie słowa sprzeciwu.

■ **URZĄD** Marszałkowski ma coraz większe kłopoty z kupnem używanych pociągów dla Kolei Śląskich. Zmienia więc strategię: zamiast kierować stare składki do generalnego remontu będzie oszczędzał na nowe pociągi porównywalne z „elfami” i „flirtami”. Pytanie jednak czy będzie czym wozic pasażerów...

■ **TO** już trzecie igrzyska z rzędu, z których reprezentacja Polski przywozi raptem 10 medali, a na dodatek wkład olimpijczyków z naszego regionu, w ten jakże mamy dorobek jest żaden. Gdzie się podziałisicie, ślascy mistrzowie?

■ **PROFESOR** Edward Wylęgała ordynator oddziału okulistyki w Okręgowym Szpitalu Kolejowym w Katowicach od 17 sierpnia pełni obowiązki konsultanta krajowego w dziedzinie okulistyki. Przejmie obowiązki konsultanta po prof. Jerzym Szafliku.

■ **NOWI** nauczyciele będą kształceni z większym naciskiem na praktyczny wymiar ich pracy. Wprowadzane właśnie nowe standardy ich kształcenia akcentują m. in. umiejętności opiekuńcze i wychowawcze – mówiła 17 VIII w Zabrzu minister edukacji Krystyna Szumilas. Przyjechała obejrzać zajęcia sportowe na „Orliku” przy Szkole Podstawowej nr 30 na Helence i sprawdzała stan przygotowania do nowego roku szkolnego w Zespole Szkół nr 10 w sąsiednich Mikulczycach.

■ **SZPITAL** Powiatowy w Zawierciu ma długi większe niż roczny kontrakt, a gminy leżące w powiecie nie zgodziły się poręczyć mu kredytu na ich spłatę. Jedyna pociecha w tym, że przestał przynosić kolejne straty.

■ **NA** tradycyjną pielgrzymkę kobiet i dziewcząt do Piekar Śląskich przybyło w niedzielę 19 VIII ponad 100 tysięcy pątniczek. Przed mszą ze swoim przesłaniem zwrócił się do kobiet metropolita katowicki abp Wiktor Skworec. M.in. zaapelował o wolne od pracy niedziele dla wszystkich kobiet oraz o przywrócenie pierwotnej wartości rodziny.

■ **KATOWICKI** Oddział Instytutu Pamięci Narodowej wyprowadza się z budynku po dawnej komendzie policji przy ul. Kilińskiego w Katowicach. Od 10 września swoją siedzibę będzie miał przy ul. Józefowskiej, gdzie już od 2001 roku ma swoje archiwalia.

■ **AŻ** 783 mln zł zarobiła w pierwszym półroczu Jastrzębska Spółka Węglowa. Wzrosła produkcja węgla (o 13 proc.) i koksu (o 36 proc.), ale Jastraw Zagórowski prezes JSW obawia się kryzysu i chce zabezpieczyć się na przyszłość.

■ **WŁODZIMIERZ** Lubański, czyli uwielbiany przez kibiców Włodek został 20 sierpnia Honorowym Obywatelom Zabrza. Uchwałę w tej sprawie jednogłośnie przegłosowali miejscy radni.

■ **PO** kilkunastu latach przerwy 1 września zostanie otwarta pierwsza na Śląsku szkoła górnicza. Zgłosiło się tak dużo chętnych, że chyba trzeba będzie uruchomić dodatkową klasę. Powód? Wszyscy uczniowie mają gwarancję zatrudnienia.

■ **DOBIEGA** końca remont siedziby Polskiego Radia Katowice. Zdaniem znawców to jeden z najwspanialszych śląskich budynków modernistycznych.

■ **TYCHY** likwidują autobusy do Katowic. Od października przestaną kursować dwie linie autobusowe: ekspresowa E-1 i 400. Pasażerowie będą zachęceni do korzystania z pociągów.

■ **KONIEC** odsiadki zomowców skazanych za zastrzelenie górników kop. „Wujek”. Ostatni z szeregowych członków plutonu specjalnego wyjdzie na wolność za kilka tygodni, zaś ich dowódca na początku przyszłego roku.

■ **WE** wrześniu Gliwice staną się stolicą światowych technopolii. Dziś trudno uwierzyć, że jeszcze dwie dekady temu miasto należało do jednych z najbardziej ubogich w regionie. Pokopalniany kompleks, który został nazwany „Nowe Gliwice” to nie tylko siedziba Gliwickiej Wyższej Szkoły Przedsiębiorczości, ale też strefa biznesu z inkubatorem przedsiębiorczości.

■ **MŁOŚNICY** rowerowych wycieczek już w połowie września będą mogli dojechać z katowickich przedmieść do Trójkąta Trzech Cesarzy na rogatkach Mysłowic. Sosnowiec buduje 12-kilometrowy szlak rowerowy wzdłuż Brynicy i Przemszy. Na wykończenie nowej trasy rowerowej władze Sosnowca przeznaczyły prawie 9 tysięcy zł.

KRONIKARZ

ZMARŁ PROFESOR WŁODZIMIERZ WÓJCIK

Urodzony w r. 1932 w Będzinie-Łagiszy, absolwent polonistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego, nauczyciel szkół średnich Krakowa i Nowej Huty, nade wszystko nauczyciel akademicki, doktoryzował się w ówczesnej Wyższej Szkole Pedagogicznej w Krakowie, habilitował na Uniwersytecie Jagiellońskim, w r. 1992 został profesorem zwyczajnym w Uniwersytecie Śląskim, z którym był związany od r. 1973 do swych dni ostatnich.

Obszarem badań naukowych profesora Włodzimierz Wójcika była literatura XX wieku, o której pisał z imponującym znawstwem i szczerą pasją. Do Jego najcenniejszych prac naukowych należały studia, rozprawy, eseje o piarstwie Tadeusza Borowskiego, Zofii Nałkowskiej, o twórczości Skamandrytów. Bezcenna jest książka o legendzie Józefa Piłsudskiego; to profesor Wójcik zebrał i skomentował setki utworów, wszystko, co napisano wierszem po polsku o Komen-dancie. A uczynił to w epoce, która pamięć o pogromcy bolszewików spychała na margines, a najchętniej w niebyt. Wybór tematu i rzetelność użyczonego w pełni doceniono. Walory filologicznego piarstwa Włodzimierza Wójcika sprawiły, że został przyjęty do Związku Literatów Polskich.

Profesor Włodzimierz Wójcik miał kilka miłości, którym był wierny do końca: kochał Polskę i swoje rodzinne Zagłębie, kochał literaturę polską, kochał młodzież, tę zwłaszcza, która jako przedmiot swych studiów wybrała polonistykę. Był nauczycielem z powołania, co młodzież studencka rozumiała i za co Go podziwiała i kochała.

Profesor Włodzimierz Wójcik był człowiekiem wielkiej zacności i wielkiego serca!

(Szkic wspomnieniowy o prof. W. Wójcieku opublikujemy w listopadowym wydaniu „Śląska”.)



Fot. Z. Sawicz

Sprostowanie

Najserdeczniej przepraszamy panią KORNELIĘ BANAS – autorkę obszernej rozmowy z prof. dr. hab. Ryszardem Kaczmarkiem pt. „Będzie jeszcze wiele niespodzianek”, którą opublikowaliśmy w „Śląsku” nr 9/2012, za pominięcie Jej nazwiska.

Przepraszamy również naszych Czytelników za to przykre niedopatrzenie.

Redakcja

Rejestracja Stowarzyszenia Osób Narodowości Śląskiej

Zarejestrowanie 7 września 2012 roku Stowarzyszenia Osób Narodowości Śląskiej wzbudziło – jak się można było spodziewać – spore emocje. I nie jest to nic dziwnego. Od dawna bowiem batalia o założenie stowarzyszenia „narodowych Ślązaków” spłótła się z interesami i dyskusjami odległymi od prawa do stowarzyszania się.

W zgodzie z prawem

LECH M. NIJAKOWSKI

SONS, tak jak wcześniej ZLNS, ale i RAS stały się w dyskursie publicznym zwornikami łączącymi takie zagadnienia, jak uznanie Ślązaków za mniejszość etniczną, autonomia dla Śląska, status dialektu śląskiego, a nawet separatyzm narodowościowy czy rewizjonizm niemiecki. Politycy z ochotą poruszali się w tej mgławicy problemów, traktując poszczególne sprawy jako okazję do zaprezentowania swego stanowiska wobec Śląska. Utrudniało to i utrudnia merytoryczną dyskusję także o orzeczeniu sądu okręgowego w Opolu.

Przypomnijmy kilka faktów. 21 grudnia 2011 roku Sąd Rejonowy w Opolu rozpatrzył pozytywnie skargę Komitetu Założycielskiego SONS na odmowę jego rejestracji i zdecydował o wpisze stowarzyszenia do Krajowego Rejestru Sądowego. Decyzja ta została zaskarżona przez prokuraturę okręgową w Opolu. Argumenty nie były nowe – dla prokuratury była to powtórka z próby rejestracji Związku Ludności Narodowości Śląskiej. Uznawano, że skoro ustawa o mniejszościach narodowych i etnicznych oraz o języku regionalnym nie wymienia Ślązaków jako mniejszość etniczną lub narodową, to powołanie takiego stowarzyszenia jest nielegalne i (w domyśle) ma na celu skorzystanie z nieprzysługujących Ślązakom praw. Prokuratura mogła czuć się pewnie – przecież Sąd Najwyższy dwukrotnie (w 1998 i 2007 roku) odmówił rejestracji stowarzyszeń odwołujących się w nazwie i statucie do narodowości śląskiej, zaś skarga założycieli ZLNS do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka w Strasburgu zakończyła się zwycięstwem państwa polskiego, i to w dwóch instancjach (w 2001 i 2004 roku). Wielu komentatorów oczekiwało, że SONS podzieli los ZLNS. Stało się jednak inaczej.

Dlaczego tak się stało? Musimy pamiętać, że wolność tworzenia i działania stowarzyszeń jest zagwarantowana przez Konstytucję RP z 2 kwietnia 1997 roku (art. 12). Prawo do stowarzyszania się uznawane jest za jeden z fundamentów demokracji liberalnej. Wolność do zrzeszania się gwarantowana jest także przez Europejską Konwencję Praw Człowieka. W art. 11 czytamy: „Każdy ma prawo do swobodnego, pokojowego zgromadzenia się oraz do swobodnego stowarzyszania się, włącznie z prawem tworzenia związków zawodowych i przystępowania do nich dla ochrony swoich interesów” (ust. 1). Wykonywanie tych praw nie może podlegać innym ograniczeniom niż te, które wynikają z obowiązującego prawa, a co więcej ograniczenia te muszą być „konieczne w społeczeństwie demokratycznym z uwagi na interesy bezpieczeństwa państwowego lub publicznego, odmowę porządku i zapobieganie przestępstwom, ochronę zdrowia i moralności lub

ochronę praw i wolności innych osób” (ust. 2). Dla rejestracji stowarzyszenia kluczowe znaczenie ma zatem ocena, czy jego statut jest zgodny z obowiązującym prawem. Obywatel może realizować swoje wolności, gdy nie ma ustawowego zakazu – inaczej niż organ państwowy, który musi działać w granicach prerogatyw i za każdym razem podawać podstawę prawną swojej działalności.

Według prokuratury statut SONS był sprzeczny z artykułem 2 ustawy o mniejszościach... (zawiera on definicję „mniejszości narodowej” oraz wymienia społeczności uznawane przez państwo polskie za mniejszości narodowe) oraz z ustawą z dnia 7 kwietnia 1989 r. *Prawo o stowarzyszeniach*. Sędzia Anna Korwin-Piotrowska nie podzieliła tego punktu widzenia. Już pierwsze zdanie ustnego uzasadnienia wyroku oddają istotę werdyktu: „Zdaniem sądu okręgowego, na co trafnie wskazał wnioskodawca w odpowiedzi na apelację, nieuprawnione jest przede wszystkim założenie prokuratora, jakie legło u podstaw apelacji, że zarejestrowanie stowarzyszenia zrzeszającego osoby deklarujące przynależność do narodowości śląskiej prowadzi do powstania innej mniejszości narodowej nieznannej w ustawie o mniejszościach narodowych i etnicznych, a tym samym do uzyskania przez członków tego stowarzyszenia przywilejów przysługujących uznanym przez prawo mniejszościom narodowym”. W wolnym kraju obywatele mogą zrzeszać się pod dowolnym – nie naruszającym konstytucyjnego porządku – hasłem programowym. Zarejestrowanie takiego stowarzyszenia nie oznacza jednak, że tworzy się nowe prawo. Wpis do rejestru hipotetycznego Stowarzyszenia Osób Narodowości Warszawskiej nie daje warszawiakom praw mniejszości etnicznych. Podobnie nie tworzy „mniejszości warszawskiej” (aczkolwiek wielu rdzennych warszawiaków przekonanych jest, że są mniejszością w mieście zdominowanych przez przybyszów).

A co ze zwolnieniem z progu wyborczego? Czy po zarejestrowaniu SONS nie zyskała szansy na dostanie się do Sejmu? I tu znowu nieporozumienie. Oczywiście, ustawa z dnia 12 kwietnia 2001 r. *Ordynacja wyborcza do Sejmu RP i do Senatu RP* przewiduje zwolnienie komitetów wyborczych utworzonych przez organizacje mniejszości narodowych z wymogu przekroczenia 5% progu wyborczego. Tyle tylko, że skoro ordynacja nie zawiera definicji mniejszości – co podkreślała sędzia – to nawet gdyby taki wniosek SONS wpłynął, to podstawą decyzji komisji wyborczej jest ustawa o mniejszościach..., która stanowi dla niej wiążący akt prawny.

No dobrze, może powiedzieć wątpiacy, ale przecież Sąd Najwyższy podzielił stanowisko

sądów niższej instancji, które odmówiły zarejestrowania ZLNS. Na jakiej podstawie Sąd Okręgowy w Opolu zlekceważył ten werdykt? I do tego odniosła się sędzia: „Przypomnienia wymaga przy tym, iż Konstytucja z 1997 roku przynajmniej każdemu wolność zrzeszania się, odmiennie od zawartego w Konstytucji z 1952 roku – na podstawie której orzekał na przykład sąd w 1998 roku – obowiązującej do jej wejścia w życie nowej konstytucji **prawa zrzeszania się**”. Wolność zakłada możliwość podejmowania działań przez obywatela, gdy nie jest to zakazane przez prawo. Tymczasem wielu nadal błędnie uważa, że obywatel ma prawo podejmować działania tylko wtedy, gdy mają one oparcie w prawie stanowionym przez państwo. Utożsamienie prawa i wolności jednostki jest błędne.

Co więcej, sąd podkreślił, że nie można pominać milczeniem wyników spisu powszechnego z 2002 roku, na które powołali się wnioskodawcy. Tym bardziej że liczba osób deklarujących narodowość śląską była niższa, niż w spisie z 2011 roku. Skoro więcej obywateli deklaruje narodowość śląską niż inne uznane przez państwo polskie narodowości, to dla prawa do zrzeszania się ma to znaczenie niebagatelne. Postępowanie, jak podkreśliła sędzia, nie toczyło się o to, czy istnieje naród czy też narodowość śląska. Naukowcy spierają się o definicję tych pojęć. W dzisiejszym stanie prawnym pojęcie narodowości nie jest pochodną pojęcia narodu. Przypomnijmy bowiem definicję zawartą w preambule Konstytucji z 1997 roku: „Naród Polski – wszyscy obywatele Rzeczypospolitej”. To, że ustawa o mniejszościach... nie wymienia narodowości śląskiej, nie znaczy, że jej nie ma w rzeczywistości. „Zdaniem sądu odwoławie Ślązakom prawa zarejestrowania się w stowarzyszeniu osób deklarujących przynależność do narodowości śląskiej stanowiłoby dyskryminację” – powiedziała sędzia.

Zarejestrowanie SONS nie stworzyło zatem narodowości śląskiej, nie zapewniło uznania dialektu śląskiego za język regionalny, nie jest podstawą prawną uzyskania autonomii przez województwo śląskie, a tym bardziej separacji Górnego Śląska od Polski i (korespondencyjnego?) przyłączenia do Niemiec. Znajac fakty, z mieszaniną zdumienia i rozbawienia, ale i grozy ze skali politycznych manipulacji w dyskursie publicznym, czyta się tytuły medialnych doniesień i komentarze. „Prokuratura przegrała. W Polsce istnieje narodowość Śląska” – krzyczały, za „Rzeczpospolitą” liczne media. „Robi mi się niedobrze, gdy słyszę takie rzeczy. Takie tematy rozniesia Ruch Autonomii Śląska czy mniejszość niemiecka. Naprawdę, przestaję już to tolerować” – powiedział Sławomir Kłossowski. Już krótki przegląd internetowych zasobów pokazuje, że uaktywniły się te same strategie dyskursywne, które cyklicznie podgrzewają debatę o śląskich sprawach.

Naturalnie, fakt, że w Polsce legalnie działa stowarzyszenie osób, które deklarują narodowość śląską ma istotne konsekwencje polityczne i społeczne. Przede wszystkim nikt już nie będzie mógł racjonalnie oskarżać państwa polskiego, że dyskryminuje Ślązaków, uniemożliwiając im korzystanie z wolności zrzeszania się. Na ten aspekt sprawy zwracało uwagę coraz więcej organizacji międzynarodowych. Również Ślązacy będą zmuszeni skupić się na działalności programowej, a nie na wykazywaniu, jak bardzo są krzywdzeni przez sądy. Swobodna działalność stowarzyszenia pokaże, co może zaoferować Ślązakom i z jakim odzewem spotyka się w sytuacji, gdy wygaśnie mobilizacja ludzi solidaryzujących się z organizacją, której odmawia się rejestracji. Liczę na to, że SONS wzbogaci śląski pejzaż organizacji samorządowych, przyczyniając się do zachowania i rozwoju bliskiego nam wszystkim dziedzictwa Górnego Śląska.

A społeczeństwo obywatelskie na Śląsku nadal wymaga wzmocnienia, jak zresztą w całej Polsce. Wiele organizacji, które tradycyjnie animowały działalność kulturalną, traci na znaczeniu. Niegdyś silnych stowarzyszeń śląskich nie jest atrakcyjna dla młodych ludzi i podlega stopniowej marginalizacji. Z tego punktu widzenia nie można lekceważyć mobilizacji śląskiej młodzieży do aktywności w ramach RAS czy SONS, nawet jeśli nie podoba nam się preferowana przez nie interpretacja historii Śląska czy pogląd na sytuację stosunków społecznych. Wieleletnie spory o rejestrację stowarzyszenia osób uznających się za członków narodu śląskiego sprawiły, że wiele kluczowych dla życia społecznego-kulturalnego Śląska tematów zostało wypchniętych na marginesy. Ten, jak to mówią socjologowie, „konflikt nierealistyczny” nie dotyczył istoty problemów: wizji rozwoju Śląska, szans na zachowanie i rozwój

śląskiej tożsamości w dobie globalnej kultury popularnej, form ochrony tradycji, sposobów nauczania regionalnej historii.

Zarejestrowanie stowarzyszenia może się także stać elementem sejmowej debaty nad kolejnymi projektami ustaw. I to dla obu stron sporu. Obecnie w Sejmie rozpatrywany jest projekt nowelizacji ustawy o *mniejszościach...*, mający na celu dopisanie języka regionalnego śląskiego. Solidarna Polska z kolei opracowała projekt nowelizacji, który zapewniłby, że jeśli w gminach, w których stosuje się podwójne nazwy i język pomocniczy, w świetle nowych danych spisu powszechnego (a jest to źródło danych urzędowych) odsetek danej mniejszości, korzystającej z praw językowych, spadłby poniżej ustawowego progu (20%) – to gminy te byłyby wykreślane z odpowiednich rejestrów. Zarejestrowanie SONS może być wykorzystywane zarówno jako argument za tym, że lud-

ność Śląska jest za zmianą prawa, jak i jako dowód zagrożenia dla unitarności państwa polskiego. Kariera stowarzyszenia w dyskursie publicznym z pewnością się zatem nie zakończy.

Zarejestrowanie SONS należy uznać za zakończenie pewnego rozdziału debaty na temat Śląska i otwarcie nowego. Skoro istnieje postulowana od lat organizacja, która ma dbać o zachowanie i rozwój tożsamości Ślązaków uważających się za naród, to dyskusja powinna przenieść się na ocenę konkretnych projektów i dorobku na rzecz śląskiej społeczności i kultury Górnego Śląska. Problemów do rozwiązania jest bowiem aż nadto i źle się działo, że merytoryczna dyskusja marginalizowana była przez dyskurs ideologiczny, wykorzystujący Śląsk do potwierdzania rozmaitych stanowisk ideowych.

Wykrakał!

W styczniowym numerze „Śląska” nr 1 (195) z 2012, przeczytałem znakomity artykuł *Ruiny patriotyczne* Mariana Buchowskiego, który wybrał się w rodzinne strony Franciszka Myśliwca, urodzonego 4 października 1868 w Sprzeczicach, poszukując śladów pamięci po tym najlepszym w okresie międzywojennym rolniku na Górnym Śląsku, wielkim patriotcie i działaczu narodowym, współzałożycielu Banku Ludowego i Spółdzielni „Rolnik” w Strzelcach Opolskich; przesiedle Górnos Śląskiego Zjednoczenia Rolników oraz I Dzielnicy Związku Polaków w Niemczech w latach 1936-1939, aresztowanym we wrześniu 1939 roku. Miał wówczas 71 lat, mimo to hitlerowcy osadzili go obozie koncentracyjnym w Buchenwaldzie, by go uśmiercić 6 listopada 1941 roku po przewiezieniu do Dachau.

Redaktor Buchowski wędrując po jego rodzinnej wsi sygnalizował, że lada moment mogą runąć mury budynku, w którym ongiś mieszkał i gospodarzył Franciszek Myśliwiec, „polski król” – jak go nazywano – wzór dla rolników całego Górnego Śląska.

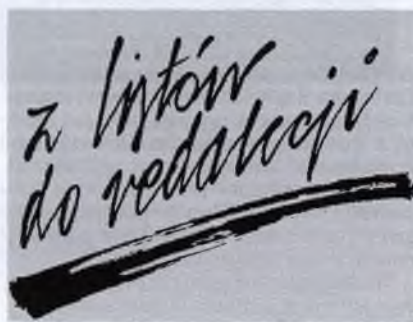
Dziś moge zameldować, że redaktor Buchowski wykrakał. Oto redakcja „Strzelca Opolskiego” w numerze 34 (683) z dnia 21 sierpnia 2012 roku, pod dość wieloznacznym tytułem, z wykrzyknikiem na końcu, poinformowała swych czytelników, że: *Domu Myśliwca już nie ma!* Po czym dowiadujemy się, że zadzwonił do niej jeden z mieszkańców Sprzeczic z wiadomością: *Zawalił się dom Myśliwca!* Szkoda – żałował informator – że nikt nie zainteresował się tym, co się przez lata z nim działo. Ale redakcja informuje, iż kilka lat temu alarmowała już, że zabudowania po rodzinie Myśliwca popadają w ruinę. O pieniądze na ich remont starał się obecny właściciel Walenty Polak. Niestety nie udało mu się pozyskać wsparcia. Dodajmy, nie uzyskał wsparcia w powiecie, w którym rządzi obecnie mniejszość niemiecka, a za czasów Myśliwca w plebiscywie 1921 roku, 86,5 proc. ludności na wsi, i 68 proc. w miastach opowiedziało się za Polską. Przy wjeździe do, i wyjeździe ze wsi, stoi dziś tablica z podwójną nazwą: Sprzeczice-Sprentschütz, ale główna ulica jednak nosi imię Franciszka Myśliwca, jedyny tu już ślad po nim.

JAN COFAŁKA
(Warszawa)

O całą prawdę historii Górnego Śląska

Pan ADAM MATUSIEWICZ
Marszałek Województwa Śląskiego
List otwarty
Muzeum Śląskie
zakamufLOWaną opcją niemiecką?

Sprawa dotyczy scenariusza określającego wytyczne do stałej wystawy o historii Górnego Śląska w Muzeum Śląskim. Jeszcze niedawno przestrzegaliśmy przed RAS i innymi organizacjami ślązakowców jako zakamufLOWaną opcją niemiecką. Już wtedy należało podjąć poważną debatę. Zamiast tego posy-



pały się oskarżenia i gromy, i dzisiaj mamy do czynienia już z nie z zakamufLOWaną, ale jawną opcją niemiecką. W scenariuszu do wystawy wybuchła ona w całej pełni. Panie Marszałku, wciąż ten scenariusz znajduje się na stronie internetowej Muzeum Śląskiego (załącznik B2) i wbrew pogłoskom ani przez moment nie był zdjęty, ani też nie dokonano w nim żadnych zmian. Ponadto w dniu 29 sierpnia ku zaskoczeniu wielu, myślę i samego marszałka, Rada Muzeum Śląskiego w Katowicach podjęła uchwałę akceptującą dotychczasowe prace nad wystawą stałą Historii Górnego Śląska i oczekuje na wynik konkursu w oparciu o ten sam scenariusz, który Pan w wywiadzie dla Dziennika Zachodniego z dnia 3 sierpnia br. nazwał skandalicznym i skrajnie proniemieckim i bardzo słusznym, gdyż taki jest. Pytam więc członków Rady czy aby wnikliwie przeanalizowali ów scenariusz i dlaczego nie wsłuchali się w słowa krytyki płynące z troski o jakość i obiektywizm wystawy, w tym samego Marszałka. Zamiast tego dyrektor Muzeum i jego doradcy podjęli się obrony tego haniebnego, antypolskiego scenariusza.

Panie Marszałku, po opublikowaniu tego scenariusza był Pan wówczas bliski decyzji kadrowych, teraz przyszedł czas na takie decyzje, wszak ów scenariusz przygotował dyrektor Muzeum Śląskiego Pan Leszek Jodłowski przy pomocy ekspertów usługowych RAS, a zatwierdził go członek zarządu Jerzy GorzeLIK, którego poglądy antypolskie oraz działanie na rzecz opcji proniemieckiej są znane od dawna. Odzwierciedleniem jego poglądów jest ten zafalszowany, proniemiecki scenariusz wystawy, który jest wręcz prowokacją antypolską i urastą do szczególnie bolesnego symbolu, wszak dzieje się to w roku, w którym obchodzimy 90. rocznicę powrotu części Górnego Śląska do polskiej Macierzy. Chciałoby się rzec, czyż wreszcie Waść swą powinność! Czas na zmiany!

Panie Marszałku, należy natychmiast przerwać proces konkursowy i zdjąć ze strony internetowej Muzeum Śląskiego ten haniebny i kompromitujący nas scenariusz, wg którego historia Górnego Śląska rozpoczyna się w roku 1790 tj. w czasie pruskiego panowania. Okres ten przedstawiony jest jako szczególnie dobre dziedzictwo. Industriada ma być tem całej wystawy, a wielcy przemysłowcy niemieccy mają być szczególnie wyeksponowani. Niesłychanie bulwersujące są wytyczne mające na celu rehabilitację Kulturkampfu Bismarcka, a który był brutalną walką z polskością ludu śląskiego. Zalecono ukazanie Kulturkampfu jako elementu niemieckiej

racji stanu i o ironio jako katalizatora rozwoju życia kulturalno-narodowego Ślązaków. Skandalicznym jest zalecanie odnośnie Powstań Śląskich, należy ukazać je wg nowej oceny, tj. wojny domowej. Wszak tę skrajnie szkodliwą tezę głosi RAS i inne grupy ślązakowców, oraz ich usłudzy historycy i publicyści. To szczególnie zasługujące na potępienie, gdyż hańbi się pamięć i ofiarę naszych bohaterów, Powstańców Śląskich, dzięki którym 90 lat temu część Górnego Śląska powróciła do Polski. Natomiast marginalnie jakby mimochodem traktowana jest polskość Śląska. Widać ile niechęci budzi ona u autorów scenariusza. Nie ma nawet wzmianki o piastowskiej, czyli polskiej historii Śląska, a polscy bohaterowie Śląska są absolutnie zdominowani przez niemieckie postaci, które są wręcz gloryfikowane.

Panie Marszałku, zwracam się o pilne powołanie fachowego i reprezentatywnego zespołu ekspertów, w celu wypracowania takiego scenariusza do stałej wystawy o historii Górnego Śląska, który oddawałby całą prawdę o bogatym i trudnym dziedzictwie i historii naszego regionu. To Pan powinien nadzorować prace takiego zespołu, wszak jest to sprawa najwyższej wagi.

Panie Marszałku, to wszystko co dzieje się obecnie w Muzeum Śląskim i w innych jednostkach kultury, gdzie trwa proces luzowania więzów Śląska z Polską i zawłaszczanie przez RAS śląskiego dziedzictwa historycznego i kulturowego, gdzie trwa swoista wymiana twardego dysku w naszej pamięci historycznej, nie wzięło się znikąd. To Platforma Obywatelska tworząc koalicję z RAS w sejmiku oddała kulturę i edukację pod nadzór Jerzego GorzeLIKA, którego antypolskie i proniemieckie poglądy są znane, a który objąwszy funkcję w Zarządzie Województwa Śląskiego bez pardonu wykorzystuje swoje stanowisko do walki z polskością, czego jaskrawym przykładem jest ów scenariusz wystawy. Wówczas jako radni klubu Prawo i Sprawiedliwość staraliśmy się uświadomić Panu i radnym z PO te zagrożenia, których dzisiaj jesteśmy świadkami i niestety uczestnikami. Wtedy byłicie głusi na nasze argumenty. Obecnie wszyscy ponosimy konsekwencje tych szkodliwych decyzji, które zaowocowały dramatycznymi podziałami i zrodziły antagonizmy w społeczności naszego województwa, a które zaczynają wśród ślązakowców przeradzać się w antypolską histerię. Nawet sam ks. arcybiskup Wiktor Skworc za swoją polską śląskością stał się celem ich nieustannych i niewybrednych ataków. Bryluje w tym „Slunski Cajtung”, sztandarowe pismo ślązakowców, cytat z sierpniowego numeru z artykułu „Piekarsko propaganda, Arcybiskup durś dowo nieprawdziwe świadectwo”.

Czas najwyższy zatrzymać tę nakręcającą się spiralę nienawiści. Śląsk zaczyna być postrzegany w innych częściach Polski jako region szczególnego zagrożenia.

Apeluję więc do Pana Marszałka i władz Platformy Obywatelskiej o zmianę polityki, która szkodzi wizerunkowi Śląska, na który pracowało wiele pokoleń naszych przajców i zagraża jego rozwojowi.

Przewodniczący klubu radnych
Prawo i Sprawiedliwość
w Sejmiku Województwa Śląskiego
CZESŁAW SOBIERAJSKI

Metropolita Katowicki Arcybiskup Wiktor Skworc do Kapłanów
podczas Dnia Modlitw o Uświęcenie Duchowieństwa z okazji pielgrzymki
duchowieństwa archidiecezji katowickiej do katedry pw. Chrystusa Króla
1 września 2012 roku

Homilia ta, której fragmenty publikujemy (tytuł od redakcji), godna jest szczególnej uwagi w obecnym stanie życia na Śląsku – narastających napięć i antagonizmów prowokowanych i podsycanych przez radykalnych reprezentantów życia politycznego oraz ich skonfliktowane środowiska. Głos hierarchy katowickiego Kościoła zabrzmiał w tej sytuacji z należytą troską i mocą toteż powinien wpłynąć na stan nastrojów skłaniając do rozważań i opanowania.

„W czerwcu br. obchodziliśmy 90. rocznicę przyłączenia Śląska do Polski. Przed nami 90. rocznica powołania przez Stolicę Apostolską administracji apostolskiej polskiego Śląska z siedzibą w Katowicach i mianowanie administratora administratury apostolskiej w osobie ks. Augusta Hlonda. Stało się to 9 listopada 1922 r. I w tym miesiącu będziemy kościelnie obchodzili tę rocznicę. M.in. wydział teologiczny przygotowuje sesję naukową o katowickim okresie życia ks. Augusta Hlonda, od 1925 roku pierwszego biskupa katowickiego a potem prymasa Polski.

Czcigodni księża! Jako duchowieństwo dystansujemy się od politycznych sporów związanych z minioną rocznicą. Pozostajemy na gruncie faktów historycznych i z szacunkiem odnosimy się do biskupów katowickich z okresu przedwojennego, dla których głównym motywem działania i duszpasterskiego otwarcia na wszystkie grupy narodowe była zasada: *salus animarum suprema lex*. I tą zasadą kierujemy się również dziś. Kościół na Śląsku nie opuścił migrantów, którzy na Śląsku budowali tu od lat 60. swoją nową małą ojczyznę. Kościół jest ojczyzną wszystkich i nie jest na usługach nacjonalistów, autonomistów czy też bieżącej polityki; nie identyfikuje się z żadną partią polityczną a wobec państwa i jego instytucji oraz społeczeństwa pełni funkcję krytyczno-prophetyczną.

Wszyscy cierpimy z powodu atomizacji – rozbicia naszego społeczeństwa; także na Śląsku działają siły podgrzewające podziały i prowokujące nowe. Niech nas nie dzieli przeszłość, ale jednoczy teraźniejszość i troska

Kościół jest ojczyzną wszystkich



Kardynał Stanisław Nagy i arcybiskup Wiktor Skworc

o przyszłość. Nie chcemy pielęgnacji „kompleksów” i reanimacji społecznych i etnicznych konfliktów; nie możemy się godzić na marginalizację polskiego dziedzictwa kulturowego, na językowe manipulacje, a co za tym idzie na strukturalne legitymizowanie „prawdziwych” Ślązaków – *naszych* w odróżnieniu od *obcych*.

Naszą polityką jest integralne głoszenie Ewangelii i budowanie Kościoła – domu wszystkich i każdego, bo autentyczny duszpasterz nie może być skażony myśleniem plemiennym, co jest plagą w krajach pierwszej ewangelizacji.

Nie wolno przy tym zapominać, że świat, w którym żyjemy – to świat zbawiony. Kościół naucza prawdy, która nie zawsze jest zgodna z opinią większości. Wiara w Chrystusa pozwala Kościołowi odczytać także sens wszystkiego, co się działo w historii i czego doświadczamy obecnie. Wierzmy bowiem, że Chrystus jest Panem ludzkich dziejów, że jest On kluczem, ośrodkiem i celem całej historii. To właśnie na tej drodze Kościół staje się *znakiem nadziei* dla współczesnego świata, mimo tego, że istnieje odczucie przegranej i *silna pokusa gaszenia nadziei*.

Nadzieja, którą głosi Kościół odnosi się nie tylko – choć pierwszorzęd-

nie – do dobra wiecznego, ale jest także nadzieją na przekształcenie „poranionej” rzeczywistości doczesnej w duchu sprawiedliwości i miłości, w duchu prawdy i wolności (...)

Z wystąpieniem metropolity katowickiego mocno współbrzmie orędzie Kardynała Stanisława Nagy’ego, jednego z najznakomitszych duchownych polskich, wygłoszone 17 września podczas uroczystości w sali Sejmu Śląskiego, z okazji przyznania mu Złotej Odznaki Honorowej za Zasługi dla Województwa Śląskiego (ksiądz Kardynał S. Nagy, który 30 września skończy 91 lat pochodzi z Bierunia Starego). Jego słowa o bolesnych sprawach śląskich nabrały wagi żarliwego manifestu polskości. Ma też znaczenie, że padły w dniu 17 września – gdy ożywa pamięć tragicznych wydarzeń napaści sowieckiej na Polskę, a patriotyzm jest świadectwem narodowej jedności.

Sędziwy Kardynał stwierdził stanowczo wspierając wypowiedź abp. Skworca: „Śląsk ma prawo być samorządną jednostką, sam dawać sobie radę, bo tyle razy dawał sobie radę dzięki: pracowitości, solidności, i przywiązaniu do Polski – stwierdził Kardynał i dodał: – Ślązacy zawsze z tęsknotą spoglądali ku wieżom częstochowskim i wzgórz wawelskiemu. Ślązacy byli głodni Polski i żyli nadzieją zjednoczenia z Polską, a gdy wybili się własnym trudem, zostali przez Polskę przegrani.”

Orędzie Kardynała wpisuje się w ciąg wypowiedzi polskich i śląskich hierarchów, którzy stanęli wobec nowego wyzwania, jakim są kwestie związane z tożsamością Ślązaków i politycznymi ruchami promującymi autonomię. Kardynał Nagy podkreślił, że całkowicie popiera spojrzenie na ten problem promowany przez metropolitę katowickiego, abp. Wiktora Skworca. Jego esencją są zdania wypowiedziane przez abp. Wiktora Skworca podczas Dnia Modlitw o Uświęcenie Duchowieństwa, gdy zaapelował, by nie dzielić mieszkańców województwa na prawdziwych Ślązaków i resztę.

Cyt. za „Dziennikiem Zachodnim”

Z prof. zw. dr. hab. **JÓZEFEM CIĄGWĄ** z Uniwersytetu Śląskiego, historykiem idei, ustroju i prawa, wybitnym znawcą ustroju autonomicznego województwa śląskiego rozmawia **MAREK MIERZWIAK**



Fot. Agnieszka Sikora

90. rocznica pierwszego posiedzenia Sejmu Śląskiego

– 90 lat temu, 10. października 1922 roku, Sejm Śląski odbył w Katowicach swoje pierwsze posiedzenie. Proszę przybliżyć ten czas panie profesorze.

– Po plebiscycie, czyli po 20 marca 1921 roku, trzeba było poczekać jeszcze kilkanaście miesięcy, żeby utworzone ustawą konstytucyjną Sejmu Ustawodawczego z 15. lipca 1920 roku, zawierającą statut organiczny województwa śląskiego (Dz.U. R.P. Nr 73, poz. 497) województwo śląskie objęła Polska. Decyzją Rady Najwyższej z 20 października 1921 roku cesja Górnego Śląska, tak polskiego, jak i niemieckiego, miała się odbyć najwcześniej po upływie miesiąca po zawarciu przez Republikę Weimarską i Rzeczpospolitą Polskę porozumienia,

regulującego ogromny zespół problemów, wynikających z podziału jednolitego dotąd Górnego Śląska. Porozumienie to, zawarte w Genewie 15. maja 1922 roku, przyjęło postać Polsko-Niemieckiej Konwencji w Sprawie Górnego Śląska. Konwencja obowiązywać miała przez 15 lat, zresztą nie na całym obszarze autonomicznego województwa, lecz tylko w jego części górnośląskiej. Przestała więc obowiązywać w maju 1937 roku.

– **Czy faktycznie sprawa ta została załatwiona w ciągu miesiąca?**

– Tak. Zgodnie z decyzją Rady Najwyższej z 20 października 1921 roku Polska objęła przynajmniej część Górnego Śląska: 20. czerwca 1922 roku na Górny Śląsk wkroczyło woj-

sko polskie. Do tzw. drugiej strefy wojsko polskie wkroczyło 23. czerwca 1922 roku. Główne uroczystości zjednoczeniowe odbyły się 16. lipca 1922 roku w Katowicach. Przybyło na nie pięciu ministrów, jak również marszałek Sejmu Ustawodawczego, Wojciech Trąpczyński. Naczelnika Państwa, Józefa Piłsudskiego, reprezentował minister spraw wewnętrznych Antoni Kamiński. W uroczystościach brali udział m.in. mianowani przez Naczelnika Państwa: wojewoda śląski Józef Rymer, oraz wicewojewoda Zygmunt Żurawski.

– **Jakie instytucje powołano, aby zakorzenić państwowość polską na Śląsku?**

– Działająca po plebiscycie Naczelna Rada Ludowa dla Górnego Śląska zakończyła działalność 18. czerwca 1922 roku, przekazując władzę pierwszemu wojewodzie śląskiemu Józefowi Rymerowi. 19. czerwca 1922 roku wycofały się wojska koalicyjne, a służbę porządkową objęła polska policja. Rada Ministrów powołała Tymczasową Radę Wojewódzką, wyposażoną, wraz z wojewodą śląskim, w kompetencje ustawodawcze, do czasu powołania Sejmu Śląskiego. Tymczasowa Rada Wojewódzka działała do 10. października 1922 roku, czyli do zwołania Sejmu Śląskiego.

– **Jak wybierano posłów do tego Sejmu?**

– To na początku zawsze nieco skomplikowana historia. Ponieważ żeby wybrać Sejm potrzebna ordynacja wyborczej, a ta ordynacja miała być dziełem właśnie Sejmu Śląskiego. Ponieważ ordynacji takiej nie było, więc z konieczności wybory do I Sejmu Śląskiego, przeprowadzone 24. września 1922 roku, odbyły się na podstawie przystosowanej do warunków śląskich ordynacji wyborczej do Sejmu Ustawodawczego z 28 listopada 1918 roku. To były pierwsze wybory pięcioprzymiotnikowe: powszechne, równe, tajne, bezpośrednie i stosunkowe. Województwo śląskie podzielono na trzy okręgi wyborcze: jeden z siedzibą w Cieszyńcu, drugi w Katowicach, trzeci w Królewskiej Hucie. Czynne prawo wyborcze mieli wszyscy mieszkańcy województwa śląskiego, a więc i kobiety, bo wybory były powszechne, którzy ukończyli 21 lat życia. Natomiast bierne prawo wyborcze mieli mieszkańcy Śląska, którzy ukończyli 25 lat. Czynne prawo wyborcze przysługiwało tym obywatelom, którzy zamieszkiwali na Śląsku od dnia objęcia go przez władze polskie, tj. od 3 lipca 1922 roku. Jeden mandat miał przypadać na 25 tysięcy mieszkańców. W konsekwencji takiego dzielnika wyborczego w pierwszym Sejmie Śląskim zasiadało 48 posłów. Tak samo było w Sejmie Śląskim II i III kadencji: liczba posłów nie uległa zmianie.

– **Kto został wybrany do pierwszego Sejmu Śląskiego?**

– W I Sejmie Śląskim zasiadały dwie kobiety: Janina Omańkowska i Bronisława Szymkowiakówna. Posłów niemieckich, zorganizowanych w Klubie Niemieckim, było na początku 14. Od roku 1923 Klub liczył 12 posłów, gdyż dwaj niemieccy socjaliści stali się hospitantami Klubu Polskiej Partii Socjalistycznej. W tych pierwszych wyborach ugrupowania polskie były mocno reprezentowane i zdobyły w sumie 34 mandaty.

– **Był czas na to aby przeprowadzić kampanię wyborczą?**

– Był. Art. 13 statutu organicznego postanawiał, iż wybory do I Sejmu Śląskiego odbędą się w ciągu 80 dni od chwili objęcia Śląska przez władze polskie, a więc od 3 lipca 1922 roku. Prawie trzy miesiące, licząc od 3 lipca do 24 września 1922 roku, to wystarczający okres do prowadzenia kampanii wyborczej. Istniała duża łatwość zgłaszania list wyborczych. Wystarczyło, że pod listą wybor-

czą, zawierającą nazwiska kandydatów na posłów, podpisało się 50 osób.

– **Dziś Komitet Wyborczy wyborców może zostać utworzony po zebraniu co najmniej 1000 podpisów obywateli mających prawo wybierania do Sejmu natomiast lista kandydatów powinna zostać poparta podpisaniami co najmniej 5000 wyborców, którzy stale zamieszkują w danym okręgu wyborczym.**

– A wówczas wystarczyło 50 podpisów!

– **Jaki był przekrój społeczny ówczesnych posłów?**

– W I Sejmie Śląskim, wybranym 24 września 1922 roku, było: 5 robotników, 1 rolnik, 1 rzemieślnik, 2 kupców, 4 przemysłowców i ziemian, 15 działaczy politycznych i związkowych, 18 pracowników umysłowych i 2 księży.

– **Dziś rządzi jedna partia, bądź koalicja partyjna, a wówczas?**

– Wygrał Blok Narodowy (18 mandatów). Za nim uplasowała się Polska Partia Socjalistyczna (8 mandatów), Narodowa Partia Robotnicza (7 mandatów). Po 6 mandatów zdobył stronnictwo niemieckie: Deutsche Katholische Volkspartei; Deutsche Partei. Dwa mandaty otrzymali niemieccy socjaliści (Deutsche Sozialdemokratische Partei). Jeden mandat przypadł Polskiemu Stronnictwu Ludowemu „Piaśt”.

– **Kobiety miały swój klub?**

– Nie. Wymienione już dwie posłanki do I Sejmu Śląskiego: Janina Omańkowska i Bronisława Szymkowiakówna, należały do Klubu Bloku Narodowego, przemianowanego w roku 1924 na Klub Chrześcijańskiej Demokracji.

– **Kiedy Sejm Śląski zbiera się po raz pierwszy, o czym dyskutuje, jakie są jego pierwsze uchwały?**

– Sejm nie może prowadzić działalności merytorycznej bezpośrednio po wyborach, ponieważ musi załatwić najpierw cały szereg spraw prawno-organizacyjnych. Po pierwsze trzeba ustalić, które mandaty są ważne, a które nie. Reguła jest taka: o ważności mandatów niezaprotestowanych decyduje sam Sejm. Natomiast o ważności mandatów zaprotestowanych miał zdecydować – na podstawie ustawy śląskiej z 11 stycznia 1923 roku – Sąd Apelacyjny w Katowicach.

– **Dużo ich było?**

– Nie za dużo. Kolejna sprawa to jak obradować? Czyli trzeba było uchwalić regulamin Sejmu. Ale żeby dyskutować o regulaminie to trzeba było przedtem powołać komisję regulaminową, która przysięgała jego projekt i przedstawi go sejmowemu plenum. W rezultacie pierwszy regulamin, z 17. października 1922 roku, został uchwalony już na drugim posiedzeniu. To był regulamin tymczasowy, a stały uchwalili Sejm na swym 32. posiedzeniu plenarnym, odbytym 31. stycznia 1923 roku. W rezultacie porządek obrad pierwszego posiedzenia Sejmu Śląskiego, 10. października 1922 roku, był z natury rzeczy dość skromny: przemówienie premiera Juliana Nowaka; powołanie prezydium Sejmu; wybór Komisji Regulaminowej; dekrety wojewody wydane w porozumieniu z Tymczasową Radą Wojewódzką. Ostatni punkt porządku obrad pierwszego posiedzenia ma ścisły związek z drugą nowelą statutu organicznego, a więc z ustawą z 30. lipca 1921 roku o uzupełnieniu art. 40 ustawy konstytucyjnej z dnia 15 lipca 1920 roku, zawierającej statut organiczny województwa śląskiego (Dz.U. R.P. z 1920 r. Nr 73, poz. 497). Ustawa z 30. lipca 1921 roku ukazała się w Dz.U. R.P. Nr 69, poz. 449, wydanym 20 sierpnia 1921 roku. Art. 1 lipcowej ustawy postanawiał, co następuje: „W art. 40 Ustawy Konstytucyjnej z dn. 15. lipca 1920 r., zawierającej statut organiczny Województwa Śląskiego, po ustępie drugim wstawia się ustęp trzeci

w brzmieniu następującym: „Wojewoda w porozumieniu z Tymczasową Radą Wojewódzką będzie miał do czasu zebrania się Sejmu Śląskiego władzę ustawodawczą w zakresie, zastrzeżonym dla ustawodawstwa śląskiego, i w wypadkach, wymagających konieczności niezwłocznego ustawodawczego uregulowania. Wydane na tej podstawie dekrety z mocą ustawy tracą swoją moc, o ile ich nie zatwierdzi Sejm Śląski, któremu muszą być na pierwszym posiedzeniu do zatwierdzenia przedłożone”. Wypełniając obowiązki, zawarty w ostatnim zdaniu art. 1 ustawy z 30. lipca 1921 roku, Sejm Śląski zatwierdził 89 dekretów wojewody, wydanych od 17. czerwca do 9. października 1922 roku. Umożliwił w ten sposób ich dalsze obowiązywanie.

– **Kogo wybrano marszałkiem Sejmu?**

– Konstantego Wolnego. To był wówczas bardzo popularny polityk i świetny prawnik, Pisalem trochę o nim, powodowany znajomością z Konstantym Wolnym juniorem, który do niedawna pracował w Wyższym Urzędzie Górniczym w Katowicach, i wiele zrobił dla przypomnienia dokonań dziadka. To właśnie wnukowi przekazał marszałek Wolny swą łaskę marszałkowską. Konstanty Wolny był marszałkiem pierwszego Sejmu Śląskiego jak i dwóch następnych. Nowa ordynacja wyborcza i walka polityczna spowodowały, że ostatni Sejm Śląski został opanowany przez sanację. Sejm Śląski IV kadencji liczył najpierw 24 posłów, a po przyłączeniu Zaolzia, w jesieni 1938 roku, 28 posłów. Marszałkiem ostatniego Sejmu Śląskiego był Karol Grzesik, również prawnik.

– **Wróćmy jednak do Sejmu Śląskiego I kadencji. Jakie były najważniejsze sprawy załatwione przez ten sejm?**

– Jeśli chodzi o zakres kompetencji ustawodawczych tego Sejmu to był on niezwykle rozległy. Należały doń 63 materie ustawodawcze. Nie wszystkie, rzecz jasna, były wykorzystane. Najważniejsze to kompetencje finansowe. Wiemy przecież, że poza Skarbem Państwa istniał Skarb Śląski i trzeba było uregulować kwestie relacji między nimi. Trzeba było określić tak zwaną tangentę – to znaczy co z podatków pośrednich i bezpośrednich oraz opłat, wpływających do Skarbu Śląskiego, zostaje na Śląsku, a co ma być przekazane Skarbowi Państwa. Reguła była taka, a jej autorem był wiceminister skarbu Roman Rybarski – jeden z najwybitniejszych ekonomistów międzywojnia – że jeśli na głowę Ślązaka, mówiąc w uproszczeniu – przypada więcej pieniędzy, niż na głowę mieszkańca Rzeczypospolitej Polskiej, wyjąwszy województwo śląskie, to Skarb Śląski musiał nadwyżkę przekazać do Warszawy. A jeśli było odwrotnie, to Warszawa miała przekazać pieniądze do Katowic.

– **Czy to się kiedyś zdarzyło?**

– Nie zdarzyło się to ani razu. W lecie 1937, kiedy wygasta Konwencja Genewska, odbył się w Katowicach zjazd działaczy społeczno-gospodarczych województwa śląskiego. W czasie zjazdu były naczelnik Wydziału Skarbowego Śląskiego Urzędu Wojewódzkiego, dr Antoni Pawlita, udowodnił, że Skarb Śląski nadpłacił Skarbowi Państwa 304 miliony złotych, ponad to, co się Skarbowi Państwa z tytułu tangenty rzeczywiście należało.

– **Dlaczego tak się stało? Przecież przekazano ogromne kwoty.**

– Nie były dotrzymywane reguły, zapisane w dodatku do art. 5 statutu organicznego. Zgodnie z dodatkiem, o wysokości tangenty decydować miała corocznie Rada Ministrów w porozumieniu ze Śląską Radą Wojewódzką. To jednak nigdy nie miało miejsca, więc rząd decydował sam o tangencie, nie konsultując jej wysokości z Radą Wojewódzką. Ponadto bardzo naciskał na śląski parlament minister skar-

bu Rzeczypospolitej, dowodząc, że najbogatsze województwo nie może się uchylać od pomocy Skarbowi Państwa. Stąd wzięła się ta nielegalna nadwyżka, której nigdy nie zwrócono. Nawet mimo protestów wojewody Michała Grażyńskiego, który zresztą autonomii zachwycony nie był. Innym ważnym zadaniem Sejmu było uchwalenie ustawy o wewnętrznym ustroju województwa śląskiego. Ustawa ta, mająca być realizacją funkcji ustrojodawczej Sejmu Śląskiego, wymagała, jako jedyna ustawa śląska, podpisu naczelnika państwa (później prezydenta) i ogłoszenia w Dzienniku Ustaw Śląskich i w Dzienniku Ustaw Rzeczypospolitej Polskiej. Treścią ustawy miała być szczegółowa regulacja wielu zagadnień ustrojowych, tak pominiętych w statucie organicznym, względnie tylko ogólnie w nim zarysowanych.

– **Powiedział pan profesor to ważne zdanie – śląska autonomia. Jakbyśmy porównali tamtą i teraźniejszą, której chcą niektórzy politycy?**

– W sensie prawno-ustrojowym autonomia to wydzielenie części ustawodawstwa i przekazanie go parlamentowi określonego obszaru autonomicznego. Obecnie nie ma w Polsce autonomii politycznej, bo cała władza ustawodawcza należy do Sejmu Rzeczypospolitej. Dziś możemy mówić jedynie o wysoko rozwiniętym samorządzie szczebla wojewódzkiego, którego zresztą poza Śląskiem, oraz województwem poznańskim i pomorskim w Polsce okresu międzywojnia nie było.

– **Ale kiedy powstawał sejm w roku 1922 Śląsk był autonomiczny?**

– Ależ oczywiście, to była pełna autonomia. Samo istnienie Sejmu Śląskiego było symbolem i atrybutem autonomii województwa śląskiego. Wołą Sejmu Ustawodawczego, jedyne władzy ustawodawczej, a zostało to zapisane szczegółowo w artykułach ustawy konstytucyjnej z 15 lipca 1920 roku, zawierającej statut organiczny województwa śląskiego, została przekazana Sejmowi Śląskiemu.

– **Czy dzisiaj autonomia Śląska jest możliwa?**

– Chciałbym uchylić się od odpowiedzi na to pytanie, bo to jest kwestia dla polityków, a nie dla historyka prawa.

– **Ale z punktu widzenia prawa panie profesorze, jest to dziś możliwe?**

– To byłby załączek federalizacji Polski. Takie pomysły już były w okresie międzywojennym. Autorem prywatnego projektu federalnej konstytucji Polski był prof. Józef Buzek, dziadek stryjeczny byłego premiera, a obecnie eurodeputowanego, prof. Jerzego Buzka. Prof. Józef Buzek, dyrektor Centralnego Biura Statystycznego, był zresztą jednym ze współtwórców autonomii Śląska, jako autor projektu statutu organicznego województwa śląskiego, nado jako sprawozdawca Komisji Konstytucyjnej na 164 plenarnym posiedzeniu Sejmu Ustawodawczego, odbytym 15 lipca 1920 roku, rozpatrującym projekt ustawy konstytucyjnej o autonomii Śląska. Poseł Buzek napisał projekt konstytucji federalnej wedle wzorów konfederacji helweckiej i konstytucji Stanów Zjednoczonych Ameryki. Odrodzona Polska byłaby – według projektu – federacją aż 70 ziem. Załącznikiem do projektu był, opracowany przez profesora, projekt konstytucji Śląska Cieszyńskiego, tj. ziemi rodzinnej autora. Taki projekt nie miał żadnych szans realizacji, gdyż po 123 latach zaborów pierwszoplanowym zadaniem było scalanie, a nie dzielenie Polski.

– **Dziękuję panu profesorowi za rozmowę.**

1922 r. – polska
kultura na Śląsku

Problemy, konflikty, dokonania

TOMASZ
FAŁECKI

**Integracja województwa
z państwem polskim**

Województwo śląskie zostało utworzone w 1922 r. z przyznanej Polsce w 1920 r. części Śląska Cieszyńskiego i wschodniej części górnos Śląskiego terytorium plebiscytowego, przyznanej Polsce przez Konferencję Ambasadorów w październiku 1921 r. Było najmniejszym z polskich województw i jednocześnie najbogatszym. W 1938 r. w skład województwa wszedł Śląsk Zaolziański, odebrany wówczas Czechosłowacji. W 1931 r. ludność województwa liczyła 1 295 000 osób, z tego w części górnos Śląskiej mieszkało 1 129 000, a w części cieszyńskiej 166 000. Pod względem wyznaniowym województwo było prawie jednolite – wierni Kościoła Rzymsko-Katolickiego stanowili 92,3% ogółu ludności. Odsetek ewangelików wynosił 5,9%. Resztę stanowili wyznawcy religii mojżeszowej i inni.

**Województwo śląskie
w latach 1922-1939,
problemy, konflikty, dokonania**

Określenie składu narodowego ludności tego terytorium było znacznie trudniejsze, na skutek niewystarczalności kryterium językowego (obiektywnego), bądź też świadomościowego (subiektywnego) w śląskich warunkach. Uwzględniając różne szacunki można przyjąć, że około 200 000 osób nie posiadało wykrystalizowanej świadomości narodowej, tworząc tzw. warstwę pośrednią, która zależnie od okoliczności skłaniała się na stronę polską bądź

niemiecką. Władze polskie uznawały za miarodajne kryterium językowe, według którego w 1931 r. w województwie śląskim mieszkało jedynie 100 610 Niemców. Były to na pewno dane zaniżone. Ludność niemiecka grupowała się przeważnie w miastach, wśród których Bielsko posiadało większość niemiecką i było nazywane „niemiecką wyspą językową (deutsche Sprachinsel)”.

Według spisu z 1931 r. najwyższą warstwę społeczną tworzyli w województwie śląskim wielcy przemysłowcy, często będący jednocześnie właścicielami dużych połaci ziemi, wyższa kadra zarządzająca przemysłem, oraz wielki i średni handel. Grupa ta liczyła 28 500 osób. Rzemieśl-

ników i drobnych kupców było 81 800, chłopów 102 300, pracowników umysłowych 22 300, przedstawicieli wolnych zawodów 3200. Robotników było 918 100, czyli blisko 71% ogółu ludności. Reszta – 22 300 osób – należała do kategorii „inni”. Grupy marginalne liczyły 18 200 (1,4%).

Warunkiem uzyskania przez Polskę tej części obszaru plebiscytowego, która jej przypadła, było zawarcie z Niemcami na okres lat 15 odpowiedniej konwencji, gwarantującej prawa mniejszościom narodowym i regulującej funkcjonowanie jednolitego dotąd obszaru Górnego Śląska pod względem gospodarczym. Konwencję tę zawarto w Genewie w maju 1922 r.

W trakcie walki propagandowej o wyniki plebiscytu Sejm Rzeczypospolitej przyjął ustawę konstytucyjną o autonomii śląskiej (15 VII 1920 r.). Podstawą funkcjonowania autonomii śląskiej było istnienie odrębnego Sejmu Śląskiego, posiadającego bardzo rozległe uprawnienia we wszystkich dziedzinach życia społecznego, gospodarczego i politycznego wyjąwszy sprawy polityki zagranicznej, wojska, sądownictwa i kwestii walutowych. Zwłaszcza uprawnienia gospodarcze Sejmu były bardzo rozległe. Autonomiczne województwo posiadało własny budżet, zatwierdzany przez Sejm Śląski, własne podatki i Skarb, który rozliczał się ze Skarbem Rzeczypospolitej za pomocą wzoru tzw. tangenty. Posłowie Sejmu Śląskiego posiadali prawo nieetykalności osobistej. Sejm Śląski zwoływał, odraczał i zamykał prezydent RP. Wybory do Sejmu Śląskiego odbyły się czterokrotnie: 24 IX 1922 r., 11 V 1930 r., 23 XI 1930 r., 8 IX 1935 r. W 1935 r. ordynacja wyborcza uległa zmianom analogicznym, jak do Sejmu i Senatu RP, co wyeliminowało opozycję antysanacyjną ze składu ostatniego Sejmu Śląskiego. Zmniejszono wówczas także liczbę posłów z 48 na 24.

Organem władzy wykonawczej w województwie był wojewoda, nominowany i odwoływany przez prezydenta RP oraz Rada Wojewódzka. W latach 1922-1939 funkcję wojewody kolejno piastowali: Józef Rymmer (8 IV 1922 – 5 XII 1922), Antoni Schultis (1 II 1923 – 13 X 1923), Tadeusz Koncki (13 X

1923 – 2 V 1924), Mieczysław Bilski (26 V 1924 – 28 VIII 1926), Michał Grażyński (6 IX 1926 – 5 IX 1939).

Podstawowym problemem województwa śląskiego, a zwłaszcza jego górnośląskiej części była integracja z polskim organizmem państwowym. Warunkiem jej pomyślnego przeprowadzenia było dokonanie obustronnych zmian postaw świadomościowych i wzajemnych przekształceń ekonomicznych.

Górny Śląsk w początkach okresu międzywojennego był w Polsce (prócz podobnego doń Pomorza) jedyną enklawą kultury drobno-mieszczkańsko-plebejskiej. W latach trzydziestych na tej podstawie w terenie silnie zurbanizowanym zaczęły tworzyć się załążki kultury typu masowego, co wraz z jej trywialnością, w porównaniu do kultur elitarnych szokowało obserwatorów z innych dzielnic Polski, których społeczeństwo zdominowane było przez szlachecko-inteligencki wzorzec kulturowy, zakładający poszanowanie i cześć dla imponderabiliów, szlachecką podejrzliwość w stosunku do operacji finansowych i pragmatycznego działania, elitarność i związaną z nią kastowość. Zjawiska, obserwowane na terenie Górnego Śląska budziły zatem w nich odruchową repulsję, tak widoczną np. w szkicu Ferdynanda Goetla. Formy odnoszenia się ludzi do siebie były na terenie Górnego Śląska znacznie bardziej egalitarne, wartość jednostki mierzono jej osobistymi dokonaniami i powodzeniem życiowym.

Polacy na Górnym Śląsku pozbawieni byli przed I wojną światową tzw. klas wyższych, natomiast nieliczna inteligencja polska, najczęściej pochodząca z zaboru pruskiego dostosowała się do górnośląskiej mentalności.

Napływ inteligencji z Galicji i konflikty na tle jej dominacji

Po 1922 r. na teren województwa śląskiego napłynęła szeroka fala inteligencji polska, zajmując większość stanowisk urzędniczych w administracji publicznej, w szkolnictwie i w wolnych zawodach. **Miejscowa inteligencja polska właściwie nie istniała, większość Polaków, Górnoszlązaków posiadających dyplom wyższej uczelni należała do stanu duchownego.**

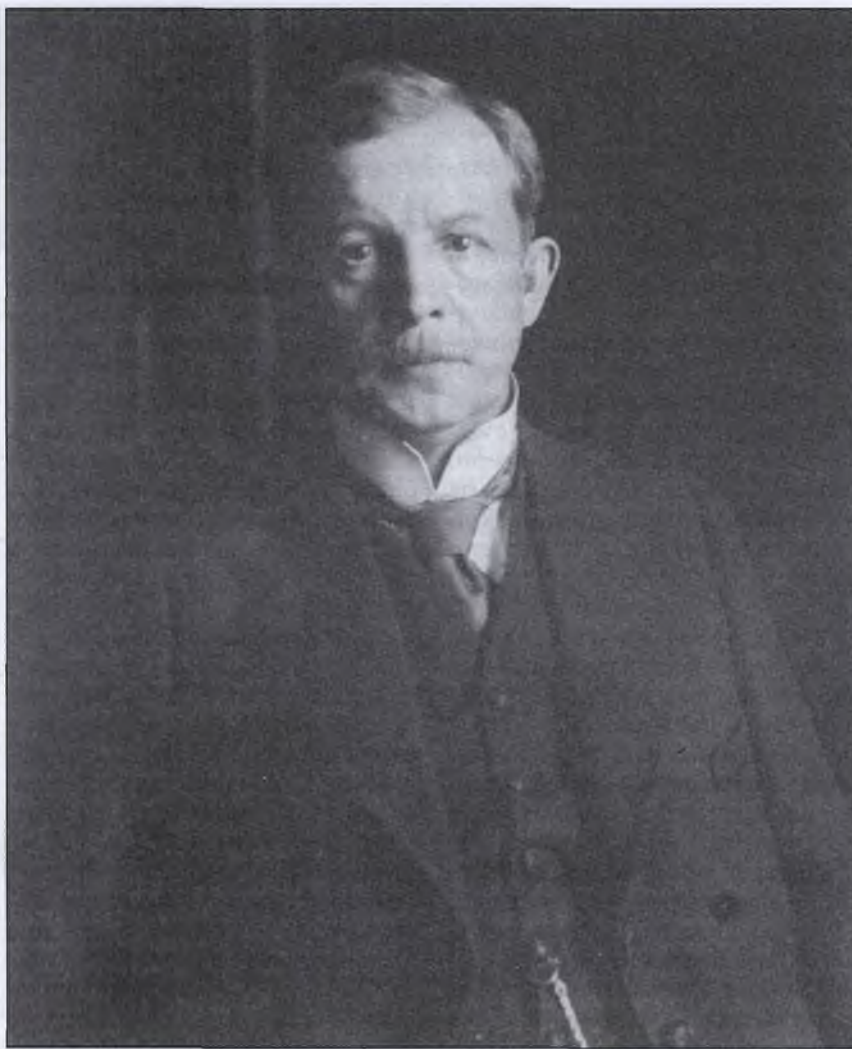
Jeszcze przed utworzeniem województwa śląskiego Naczelna Rada Ludowa, budująca zręby polskiej administracji na Górnym Śląsku przyjęła zasadę pierwszeństwa Górnoszlązaków w wypadku posiadania równego stopnia wykształcenia przez ewentualnych kandydatów. Nie na wiele to pomogło przy całkowitym braku sił miejscowych. Napływ inteligencji galicyjskiej (ta była najliczniejsza) spowodował wśród ludności miejscowej wrażenie lekceważenia jej interesów i zawłaszczenia przez obcych owoców zwycięstwa nad Niemcami. Mnożyły się apele do przybyszów, by nie gardzili ludem górnośląskim i nie zadawali się z Niemcami, świadczące najlepiej o wzajemnym niezrozumieniu. Górnoszlazacy mieli za złe, że „polski” inżynier nie witał się z robotnikami podając im rękę, co w stosunkach na terenie b. Galicji czy w b. Królestwie byłoby manifestem radykalizmu społecznego i zachowaniem odbiegającym od normy. Kontakty towarzyskie z Niemcami były naturalnym dla „Galileusza” poszukiwaniem partnerów o podobnej pozycji socjalnej. Ludzie ci doznawali na terenie Górnego Śląska podobnego szoku kulturowego, jak stykający się z nimi Górnoszlazacy. Przybysze reprezentowali często niechętnie stanowisko wobec istniejącego stanu rzeczy, uważając siebie za koryfeuszy kultury polskiej. To „kulturtregerstwo” szczególnie denerwowało Górnoszlazaków.

W świadomości górnośląskiego plebejusza stanowisko urzędnicze było świadectwem awansu społecznego, swego rodzaju synekurą, dostępną przedtem tylko dla Niemców. Polska propaganda plebiscytowa miała charakter często demagogiczny pod względem społecznym; rdzennym Górnoszlazakom obiecywano zajęcie miejsca, które do tychczas w strukturze społecznej zajmowali przybysze – Niemcy. Należy również pamiętać, iż motorem napędowym procesu polskiego odrodzenia narodowego na przełomie XIX i XX w. była nie tyle chęć połączenia Śląska z Polską, co ze względu na brak państwa polskiego nie wchodziło w rachubę, ile niechęć do obcych – w tym wypadku Niemców. Sytuacja, jaka się wytworzyła po 1922 r. spowodowała silne nastroje regionalistyczne, lecz o odwrotnym kierunku. Należy nadmienić, że podobny proces, może o mniejszym natężeniu przebiegał na tere-

nie ziem całego byłego zaboru pruskiego.

Korzenie śląskiego regionalizmu sięgały początków procesu industrializacji tego obszaru. Wówczas nastąpiło po raz pierwszy zderzenie miejscowej ludności mówiącej polskim dialektem górnośląskim z obcymi. Owa obcość manifestowała się na różnych płaszczyznach styku. Obcość językowa podkreślona została obcością wyznaniową urzędników, przemysłowców, kupców, fachowców, sprowadzanych do powstających zakładów przemysłowych. Przeciwny Górnoszlazak stawał przed koniecznością dokonania wyboru akceptacji nowego bądź jego odrzucenia w imię tradycji wyniesionej ze wsi rodzinnej, tradycji ulegającej zresztą procesowi mitologizacji. Tradycję tę, jak zresztą prawie każdą tradycję o wiejskim rodowodzie cechował izolacjonizm, polegający na bardzo silnym związku emocjonalnym z określonym terytorium. W obrębie Górnego Śląska mieściło się wszystko, co dawało poczucie swojskości. Kontakty z „obcymi” prowadziły do wytworzenia się szeregu zmitologizowanych obrazów sąsiednich grup etnicznych jak i własnego autostereotypu. Izolacjonizm polegał ponadto na zasklepieniu się we własnej ludowości, obrzędach i sposobie zachowania się. Tradycja ta w postaci niezmodyfikowanej była trudna do pogodzenia z wyjściem poza warstwy „ludu”. Plebejskość górnośląskiej swojskości była jednym z powodów germanizacji Górnoszlazaków, którzy w XIX w. uzyskiwali wyższy status społeczny. Dopiero koniec stulecia i początek XX w. przyniosły z sobą zmianę na skutek powstania na Górnym Śląsku wzorca kulturowego polskiego inteligenta.

Z niskiego statusu społecznego ludności polskiej wynikało poczucie krzywdy społecznej, które kierowało się przede wszystkim przeciw „obcym”, zajmującym wyższe miejsca w hierarchii społecznej. Nie tylko Niemcy mogli stać się „obcymi”. Status ten uzyskali również robotnicy z Królestwa Kongresowego i z Galicji, którzy na przełomie wieków przybywali na teren Śląska i poprzez niższe wymagania psuli rynek pracy robotnikom górnośląskim. Fakt ten w połączeniu z niskim standardem kulturalnym i materialnym przybyszów prowadził do objęcia ich, jako „Polaków” obrębem obco-



Wojciech Korfanty po przyjęciu przez Polskę obszaru górnośląskiego stał się jednym z czołowych działaczy polskich na niwie gospodarczej.

ści – tym razem o lekceważącym odzieniu. Ci „gorole” stali się pożądanym tłem dla górnośląskiego autostereotypu, nisko lokującego przybyszów zza Przemszy i Brynicy w porównaniu z samym sobą. Stąd już nie było daleko do głębokiego przekonania, jakoby wszyscy lub prawie wszyscy przybysze reprezentują znacznie niższy poziom umysłowy i kulturalny od ludności górnośląskiej i tylko na skutek powiązań mafijnych zasiadają na stanowiskach, należnych Górnolązom z natury rzeczy. Naruszenie górnośląskiego autostereotypu wywoływało gwałtowną reakcję, której przykładem mogą być protesty przeciwko obrazowi Katowic, skreślonego przez Ferdynanda Goetla.

Polityka kadrowa Grażyńskiego

Regionalizm górnośląski był zbyt znaczącym zjawiskiem społecznym, by nie został wykorzystany

w cyniczny sposób przez różne siły polityczne. Do regionalistyczno-separatystycznych uczuć próbowała odwoływać się Deutsche Katholische Volkspartei, prowadząc niezadowolonych z „polskiego” panowania do obozu niemieckiego. Nastroje regionalistyczne wykorzystywali wszyscy, którzy znajdowali się w opozycji do ugrupowania dzierżącego aktualnie ster władzy państwowej. W okresie 1922-1926 takim ośrodkiem była Narodowa Partia Robotnicza, próbująca w ten sposób osłabić wpływy Korfanteo i Chrześcijańskiej Demokracji, która z kolei po 1926 r. chwyciła za ten sam oręż w stosunku do sanacji. Rządzący senatorzy tak długo występowali przeciwko autonomii śląskiej, póki sami nie zostali jej beneficjentami po roku 1935. Wówczas zaczęli gorąco bronić „praw ludu śląskiego”. Grażyński miał zresztą własną koncepcję regionalizmu kulturalnego, podjętą i rozwijaną przez Pawła Musioła.

Trzeba też wskazać na pewne kulturowe uwarunkowania braku

inteligencji górnośląskiej. W miejscowej tradycji ludowej nie było miejsca na usilne kształcenie się i zdobywanie cenzusów. Okoliczny przemysł i kopalnie dawały miejsce godziwego zarobku dla fachowców o zawodowym wykształceniu i oferowały młodym możliwość szybkiego startu życiowego. Niekorzystne uwarunkowania społeczne utrudniały naukę i studia niezamożnej młodzieży śląskiej, jednakże czynniki te miały słabszą siłę oddziaływania, niż np. w stosunku do młodzieży z podhalańskich wsi czy małych miasteczek Polski centralnej, która mimo to zapełniała gimnazja i uniwersytety, często „o głodzie i chłodzie” starając się zdobyć wykształcenie. Młode pokolenie inteligencji śląskiej, grupujące się wokół Pawła Musioła było w większości cieszyńskiego pochodzenia.

Powstaje kwestia, jak daleko były uprawnione skargi na politykę wojewody Grażyńskiego, jakoby jednoznacznie popierał przybyszów z b. Galicji. Przeważająca ich ilość w katowickich urzędach spowodowana została logiką działania władzy autorytarnej. Grażyński cenił nade wszystko dyspozycyjność i polityczną lojalność. Nieliczna kadra starej śląskiej inteligencji związana była raczej z Chrześcijańską Demokracją niż ze zwolennikami Marszałka. Z tego powodu wojewoda bez skrupułów wyrzucił tych ludzi zastępując ich swoimi nominatami, a że miejscowych nie było z koniecznym cenzusem wykształcenia – posłużył się zatem kadrą z byłej Galicji. Tam, gdzie to nie kolidowało z politycznymi interesami tej koterii sanacyjnej, do której należał, potrafił walczyć o zatrudnianie Górnolązaków. W Warszawie uzyskał obniżenie kryteriów wykształcenia dla urzędników niższych kategorii, by móc obsadzać je ludźmi bez matur – oczywiście Górnolązakami.

Grażyński obsadzał Górnolązami wszystkie możliwe stanowiska samorządowe. Po wyborach komunalnych 1929 r. prezydentem Katowic został dr Adam Kocur (zresztą to stanowisko było poprzednio też zajmowane przez Górnolązaka dr. Alfonsa Górnikę). Lista Górnolązaków ze Związku Powstańców Śląskich, nagrodzonych awansem była wówczas długa. Oczywiście wszystkie te nominacje były pochodną zaangażowania politycznego, np. Jan Koj, burmistrz Mikołowa w latach 1922-1939 zachowanie stanowiska

po 1926 r. zawdzięczał rychłemu przejściu do obozu rządowego. Pomniejsi działacze – Górnolazacy z organizacji prorządowych – otrzymywali posady w samorządach, urzędach finansowych itp., mimo braku koniecznego wykształcenia. Nawet nieudane doświadczenia nie zniechęcały wojewody. Charakterystycznym przykładem takiego sposobu postępowania była sprawa hurtowni monopolu spirytusowego. Po ich uruchomieniu w 1926 r. stanowiska kierowników powierzono zasłużonym powstańcom, wysuniętym przez ZPSL, mimo zastrzeżeń płynących z warszawskiej centrali monopolu. Skutki nie dały na siebie długo czekać, w hurtowniach pojawiło się nagle wiele sfluczek, a w jednej z nich wykryto uzupełnianie niedoborów wodą. Monopol zwolnił powstańców z zajmowanych stanowisk w hurtowni w Pszczynie i w Tarnowskich Górach, gdzie braki były największe. Warszawska dyrekcja miała już upatrzonych kandydatów na te stanowiska, pochodzących z Cieszyńskiego, by dopasować się do regionalizmu wojewody. Grażyński wykazał jednak zdecydowanie i zmusił dyrekcję monopolu do pozostawienia dotychczasowych kierowników, bądź mianowania nowych spośród powstańców.

Wspomniane konflikty rzadko dotyczyły robotniczych stanowisk, ponieważ przez cały okres międzywojenny rynek pracy fizycznej województwa śląskiego był chroniony odpowiednim zarządzeniem ministerialnym przed napływem siły roboczej z zewnątrz.

Miejsce i rola Kościoła

Kościół Rzymsko-Katolicki był jedyną instytucją, gdzie przybyśców nie było, lub było bardzo mało. Lecz i w nim nastąpiły duże zmiany związane z działalnością ks. biskupa Augusta Hlonda, najpierw administratora apostolskiego, a potem pierwszego biskupa śląskiego. Jego dziełem była polonizacja kleru śląskiego, co spowodowało, że stał się on celem skarg i intryg różnego rodzaju, podjętych przez przywódców niemieckich katolików, tak wśród mniejszości niemieckiej jak i na terenie Niemiec. Lecz **niezależnie od opcji narodowościowych kler górnolazki bronił dotychczasowej pozycji Kościoła w życiu publicznym, a była ona znacznie bardziej rozbudowa-**



Wojewoda Michał Grażyński cenił nade wszystko dyspozycyjność i polityczną lojalność.

na niż gdziekolwiek indziej w Polsce. Dotyczyło to zwłaszcza szkolnictwa. Na Górnym Śląsku szkolnictwo było wyznaniowe, a miejscowy proboszcz posiadał duże uprawnienia w stosunku do szkoły i nauczycieli. W czerwcu 1924 r. Administracja Apostolska wystąpiła do Wydziału Oświecenia Publicznego z postulatem utrzymania 4 godzin tygodniowo nauki religii w szkole powszechnej we wszystkich klasach. W memoriale z 25 maja 1926 r. Kuria Biskupia żądała utrzymania szkolnictwa wyznaniowego i wypełniania przez nauczycieli swych obowiązków religijnych, przesiedlania tych, którzy ich nie wypełniają w myśl niemieckiego regulaminu dyscyplinarnego z 1851 r., usunięcia ze Śląska tych nauczycieli, którym z powodu udowodnionej dyskwalifikacji moralnej odebrano misję kanoniczną. Na tym tle rozgorzała ostra walka między nauczycielami przybyszami (pamiętamy, że Górny Śląsk był prawie pozbawiony polskiej kadry pedagogicznej) a klerem. Obiektem szczególnych ataków był

Związek Polskiego Nauczycielstwa Szkół Powszechnych „Ognisko”. Ataki te, niewspółmierne z przyczynami, ponieważ tzw. „ogniskowcy” nie występowali przeciwko nauce religii i religijnemu wychowaniu dzieci, stanowiły poważne zagrożenie dla polskiego stanu posiadania na Górnym Śląsku w obliczu polsko-niemieckiej rywalizacji o wpisy dzieci bądź do szkół polskich, bądź też do niemieckich, tworzonych na mocy przepisów konwencji genewskiej.

Jak reagowało społeczeństwo Górnego Śląska na tę walkę? Pytanie to jest o tyle zasadne, gdyż specyficznie pojmowana wierność Kościołowi stanowiła – według powszechnego mniemania – istotną część górnolazkiego poczucia tożsamości. Jednakże i pod tym względem było to społeczeństwo niejednolite. Istniała poważna mniejszość, głosząca np. na Polską Partię Socjalistyczną, która w tych latach prowadziła ostrą kampanię antyklerykalną. W ten sposób „ogniskowcy” znaleźli sojusznika, który

dodatkowo kompromitował ich w oczach Kościoła.

Po zamachu majowym stanowisko Kościoła wobec nowych porządków było niejednolite. Chadecka opozycja starała się o zajęcie stanowiska obrońcy uciśnionej wiary, i chciała rządzącym udowodnić za wszelką cenę prześladowanie katolicyzmu. Sanacja szczególnie związana z Kościołem nie była, jednakże wojewoda Grażyński starał się o maksymalnie dobre stosunki z Kurią Biskupią, chyba że musiałby poświęcić dla nich swe zamiary unifikacyjne. Jednakże rozziw między ideologią sanacyjną a personalistycznym rozumieniem roli państwa i jednostki pogłębiał się coraz bardziej. Kościół nie mógł poprzeć sanacyjnego uwielbienia dla omnipotencji państwa i podporządkowania mu wszystkiego. Dotyczyło to zwłaszcza wychowania młodego pokolenia, które obóz rządzący chciał zachować wyłącznie dla siebie. Taką była przyczyna kościelnych ataków na Legion Młodych. Do oficjalnego zerwania jednak nigdy nie doszło.

Konflikt Korfanty – Grażyński

Czołowym górnosłaskim sporem politycznym była nigdy niewygasła walka między dwoma stylami politycznego działania. Pierwszym z nich był kierunek konserwatywno-pragmatyczny, skłaniający się raczej do utrwalania i wykorzystania przez „swoich” zdobyczy roku 1921, niż do sięgania po nowe. Drugim z nich był kierunek, który można nazwać „demokratyczno-romantycznym”, wyrażający wolę dalszej walki z Niemcami, zmierzający do jak najszybszej likwidacji wielowiekowych skutków niemieckiego panowania na Górnym Śląsku, posługując się hasłami nacjonalistycznymi. Wiązały się one z nazwiskami Wojciecha Korfanty i Michała Grażyńskiego, lecz sprowadzanie ich tylko do sporu personalnego jest pewnym uproszczeniem. Za przywódcami stały bowiem poważne grupy ludzi, którzy współtworzyli programy i hasła obu głównych antagonistów. Warto podkreślić tutaj, że w życiu politycznym Górnego Śląska doszło do swoistej inwersji ideowej, polegającej na tym, że nacjonalistyczne postulaty charakterystyczne gdzie indziej dla wizji konserwatywno-prawicowej głosiły siły o rodowo-

dzie „belwederskim” i na odwrót – Korfanty i śląska ChD od tej wizji się coraz bardziej oddalały.

Dla Korfanty i jego ludzi zakończenie walk powstańczych i utworzenie autonomicznego województwa śląskiego miało być sygnałem powrotu do normalności w nowych polskich warunkach. Korfanty nie był rzecznikiem jakiegoś radykalnego narodowo-społecznego przewrotu w stosunkach górnosłaskich. W autonomicznym województwie chciał zmajoryzować całokształt życia politycznego, traktując to jako podstawę do dalszych działań na arenie ogólnopolskiej. By osiągnąć ten cel nie szczędził sił i środków, nie był też skrupulatny w doborze metod. W 1922 r. zmontował narodowo-chrześcijański Blok Narodowy, który w wyniku wyborów do Sejmu Śląskiego oraz Sejmu i Senatu Rzeczypospolitej stał się największym ugrupowaniem polskim, nie uzyskując przy tym pozycji tak silnej, by zdominować wszystkie polskie partie i ugrupowania polityczne. Wtedy Korfanty przystąpił do tworzenia Chrześcijańskiej Demokracji w województwie śląskim. Założenia ideowe ChD a zwłaszcza jej umiarkowanie w kwestiach mniejszości narodowych, odpowiadały bardziej jego potrzebom politycznym niż radykalny nacjonalizm Narodowej Demokracji.

Po przyjęciu przez Polskę obszaru górnosłaskiego, Korfanty stał się jednym z czołowych działaczy polskich na niwie gospodarczej. Prowadził rozległe operacje finansowe, otrzymał kluczowe stanowisko przewodniczącego Rady Nadzorczej polsko-francuskiej spółki „Skarboferm”. Nawiązał stosunki z kołami wielkiego kapitału na Górnym Śląsku, a zwłaszcza z Górnosłaskim Związkiem Górniczo-Hutniczym. Ideą Korfanty była polonizacja wielkiego przemysłu na Górnym Śląsku poprzez powiązanie jego interesów z państwem polskim. Na forum ogólnopolskim stał się rzecznikiem tego przemysłu; stąd wynikała jego zacięta walka z wpływami „Lewianta” i rządem Grabskiego. Ta szybka przemiana z rzecznika praw ludu i przeciwnika wielkiego kapitału niemieckiego w postać typu *grand bourgeois* spowodowała, iż był on atakowany z pozycji lewicowych i prawicowych. Z prawicowo-narodowych pozycji ideowych zwalczała go zaciekle śląska endecja, która w 1923 r. pod przywództwem Edwarda Rybarza wyodrębniła się

z Bloku Narodowego. Głównymi zarzutami były w tym przypadku oskarżenia o współpracę z Niemcami i zaprzepaszczenie rzeczywistej, personalnej polonizacji przemysłu górnosłaskiego. Zarzuty te powtarzał Związek Obrony Kresów Zachodnich, obwiniając ponadto wojewodę o uleganie Niemcom. Górnosłaska PPS, wówczas należąca do obozu zwolenników Piłsudskiego, oskarżała Korfanty razem z większą częścią powstańców o to samo, dodając ponadto motywację społeczną. Także Narodowa Partia Robotnicza wypowiadała się zdecydowanie przeciwko Korfantemu.

Stosunek do osoby Korfanty podzielił środowisko powstańców śląskich. Brak szybkiego awansu i widocznych, wymiernych korzyści, wynikających z faktu przynależności Górnego Śląska do państwa polskiego spowodował polityczną i społeczną frustrację znacznej ich części. Na tym tle doszło do otwartej walki i rozbicia organizacyjnego powstańców.

Korfanty w tym okresie myślał o poważnym ograniczeniu, bądź też zniesieniu autonomii śląskiej. Wiosną 1926 r. występował z propozycjami zmierzającymi do ograniczenia roli Sejmu w państwie i umocnienia władzy wykonawczej.

Po maju 1926 r. Korfanty znalazł się w ostrej opozycji do zwycięskiego obozu politycznego. Jego porachunki z Piłsudskim miały dość dawną metrykę. Już w 1922 r. Marszałek nie dopuścił go do objęcia stanowiska premiera. We wrześniu 1926 r. wojewodą śląskim został Michał Grażyński, osobisty wróg Korfanty jeszcze z czasów III powstania. Sanacyjna propaganda jednoznacznie kwalifikowała Korfanty jako zdrajcę interesów narodowych i poplecznika niemieczyny. Rzeczywiście powiązania Korfanty z wielkim przemysłem górnosłaskim i kulisy jego szybkiego wzbogacenia się, sprawa dotacji na działalność prasową, między innymi na wydawanie „Polonii”, stały się przedmiotem śledztwa, prowadzonego przeciw niemu przed Sądem Marszałkowskim Sejmu RP. Przebieg tego postępowania zakończony wyrokiem w dniu 26 listopada 1927 r. potwierdził te powiązania. Korfanty później z trudem odrabiał propagandowe straty. Wyrok Sądu Marszałkowskiego miał ostatecznie dowieść jego współpracy z Niemcami, zastępując piętnem zdrajcy nimb bohatera na-

rodowego. Aż do wybuchu wojny sanacja śląska nie zaniechała propagandy tego typu. Nawet oczywiste niebezpieczeństwo niemieckie i konieczność konsolidacji wszystkich sił polskich nie powstrzymały władz przed aresztowaniem Korfanteo, powracającego z emigracji politycznej.

Polityka wobec mniejszości niemieckiej

Zupełnie inny stosunek do ówczesnej rzeczywistości politycznej wykazywał Michał Grażyński. W czasie III powstania był jednym z przywódców tzw. buntu grupy „Wschód”, co raz na zawsze zepsuło jego stosunki z Korfantem. **Grażyński był zwolennikiem kontynuowania walki zbrojnej z Niemcami, podczas gdy dla Korfanteo była ona tylko środkiem do osiągnięcia politycznych celów na arenie dyplomatycznej.** W opracowaniach dla II Oddziału, czyli dla polskich wojskowych służb specjalnych proponował organizację sieci konspiracyjnej po niemieckiej stronie granicy w celu wywołania nowego powstania. Po przewrocie majowym zwolennicy Marszałka na Górnym Śląsku rozpoczęli politykę zmierzającą do likwidacji przeciwników w obozie polskim i znacznego ograniczenia pozycji niemieckich w województwie. Piłsudzycy zarzucili wtedy swym przeciwnikom politycznym niedocenianie roli państwa i brak „instynktu państwowego”. Nie stanowiło to specyfiki sanacji śląskiej, bowiem myśli tego typu publikowano i potem próbowano realizować w wymiarze ogólnopolskim. Powstawał w ten sposób specyficzny nacjonalizm państwowy, rozumiany jako podporządkowanie wszystkich interesów, łącznie z interesem narodowym, dobru państwa polskiego. Wprowadzenie dominacji państwa we wszystkich dziedzinach życia traktowano jako panaceum na wszystkie dolegliwości polityczne i społeczne.

Sanacja utożsamiała się z osobą Marszałka i państwem. W propagandzie ówczesnej Piłsudski posiadał cechy charyzmatyczne, między innymi ów sławetny instynkt państwowy, który stawał się również udziałem jego podwładnych na skutek wspólnej przeszłości bojowej i ideowej jedności. W wymiarze lokalnym podobną rolę „wodza” odgrywał wojewoda

Grażyński, który spokojnie wysłuchiwał pochlebstw, niekiedy aż śmiesznych. Jego przekonanie o posiadanej racji było tak silne, że prowadziło do działań pozaprawnych, posługiwania się powstańcami jako bojownikami itp.

Próby ograniczenia wpływów mniejszości niemieckiej powiodły się jedynie w ograniczonym zakresie, doprowadziły natomiast do znacznych szkód na terenie międzynarodowym. Grażyński traktował wszystkich Niemców jako jedną całość. Zwłaszcza po przewrocie hitlerowskim w Rzeszy nie rozumiał konieczności rozróżnienia opozycji antyhitlerowskiej od jakże liczniejszych zwolenników brunatnego koloru wśród śląskich Niemców. Szybka, wymuszona polonizacja stawiała się polonizacją bardzo powierzchowną.

W okresie międzywojennym zaczął narastać nowy problem narodowy, którym było wzajemne współżycie Polaków i Żydów na tym terenie. Na Górnym Śląsku Żydzi pojawili się już w średniowieczu, lecz dopiero w 1750 r. dopuszczono Żydów do akcyzowych miast Górnego Śląska, aby ożywić w nich handel. W 1812 r. Żydzi zostali w całym państwie pruskim zrównani w prawach z ludnością chrześcijańską i uzyskali prawo do swobodnego osiedlania się. Wtedy dopiero pojawili się oni w większej liczbie w miasteczkach i wsiach Górnego Śląska. W przeciwieństwie do Galicji i Królestwa Kongresowego byli to ludzie na pierwszy rzut oka nie odróżniający się od Niemców, za których też się uważali. Duża część górnosłańskiej plutokracji, zwłaszcza katowickiej, była żydowskiego pochodzenia. Wymienić tu można Goldsteinów, Silbersteinów, Borinskiich, Fröhlichów. Polscy plebejusze stykali się z nimi tylko sporadycznie; dzieliła ich bowiem zbyt duża przepaść społeczna. Z tego powodu w II połowie XIX w. na Górnym Śląsku antysemityzm był problemem marginalnym.

Po 1922 r. na teren Górnego Śląska zaczęli przybywać inni Żydzi, biedni, odróżniający się od otoczenia a jednocześnie ruchliwi i stanowiący konkurencję dla drobnych kupców i rzemieślników. Zjawisko to było marginalne, ilość Żydów, poświadczona spisem 1931 r. była niska w stosunku do ogółu ludności. Ilość ta jednak wystarczała, by pobudzić uprzedzenia o charakterze antysemickim. Szczególną rolę w ich

wzmacnianiu miał wielki kryzys lat trzydziestych, który spowodował zacieklą konkurencję o każde miejsce pracy i źródło utrzymania. Jednocześnie środowiska konserwatywne zaczęły upatrywać genezy wszystkich nieszczęść epoki w spisku Żydów i masonów. Żyd zaczął w ten sposób występować w charakterze zmitologizowanego wroga Polaków, Kościoła, państwa itd. Absolutna prostota takiej koncepcji równała się jedynie jej fałszywości, co jednak nie odbierało jej walorów propagandowych. Zmitologizowany Żyd był bowiem lekarstwem na kryzys, tłumaczył w niekłopotliwy sposób wszystkie bolączki epoki. Na antysemityzmie próbowali zbić kapitał polityczny wszyscy na Górnym Śląsku, prócz radykalnej lewicy. Miał on zresztą różne stadia rozwoju; rozpoczął się od utyskiwania na ekonomiczną rolę Żydów w Polsce, a kończył się ślepą nienawiścią, charakterystyczną dla publicysty „Kuźnicy”. Głosy trzeźwe z rzadka przebijały się przez wrzask kołtunów. Warto podkreślić, że mimo tej propagandy, na terenie Górnego Śląska nie doszło do spektakularnych akcji antysemickich, takich jak w Myślenicach, czy też do polsko-żydowskich walk jak w Przytyku. Władze nie wprowadziły też żadnych formalno-prawnych ograniczeń dla obywateli żydowskiego pochodzenia.

Zmagania między tradycją a nowymi wartościami, spory ideowe i polityczne, narodowościowe swary – wszystko to rozwijało się mając w tle przemiany społeczne i gospodarcze epoki. W 1922 r. Polska uzyskała w sumie około 2/3 całości górnosłańskiego przemysłu ciężkiego. Poważną jego część była własnością kapitału obcego. Na teren województwa śląskiego weszli międzynarodowi finansjści Friedrich Flick i Hugo Stinnes oraz amerykański multimilioner Averell Harriman. W rękach kapitału niemieckiego znalazło się około 75% potencjału ciężkiego przemysłu w 1922 r. W latach trzydziestych odsetek ten zmalał na skutek etatystycznej polityki wojewody Grażyńskiego.

Jedynie tylko kilka lat okresu międzywojennego można zaliczyć do czasów ekonomicznie pomyślnych. Po przyłączeniu przemysłu górnosłańskiego do Polski okazało się, że polski rynek nie jest na tyle chłonny, by spożytkować górnosłański węgiel i żelazo. W 1923 r. dostawy podstawowych produktów górnosłańskich były szczególnie po-

trzebne w Niemczech z powodu francuskiej okupacji Ruhry. Koniunktura ta skończyła się jednak na jesieni 1923 r., co znalazło m.in. swoje odbicie w zaburzeniach społecznych, które przeszły wówczas przez Polskę, nie omijając też Górnego Śląska. **Przemysł w województwie śląskim produkował drogo, stawał się niekonkurencyjny. Kapitał niemiecki starał się również o to, by kosztem przemysłu polskiego ratować zakłady, znajdujące się w niemieckiej części Górnego Śląska.**

W latach recesji i kryzysu

Z chwilą wprowadzenia złotego przez rząd Grabskiego skończyły się inflacyjne zyski wielkiego przemysłu. Ogólnie zła sytuacja gospodarcza Polski rzutowała na stosunki górnośląskie. Wyjątkowy nieurodzaj i obniżka cen na węgiel i na cukier na światowych rynkach o 30-40% doprowadziły do stagnacji gospodarczej. Wielki przemysł widział ratunek w przeprowadzeniu obniżki płac i wydłużeniu czasu pracy. Usiłowania te wywołały falę strajków i niepokoїв. Hutnicy utracili 20% zarobków i pracowali od 10 godzin na dobę, górnicy zachowywali ośmiogodzinny dzień pracy, stracili natomiast 10% zarobków. Ulice górnośląskich miast zapełniły się bezrobotnymi, dla których Korfanty zorganizował wielką akcję charytatywną, dostarczając potrzebującym ziemniaków i węgla.

Trudną sytuację Polski wykorzystały i Niemcy. Na mocy konwencji genewskiej do 15 czerwca 1925 r. Niemcy były zobowiązane przyjmować polski węgiel z Górnego Śląska w znacznych ilościach. W Rzeszy istniała wówczas nadprodukcja węgla. Fakt ten, oraz nadzieja, że krach polskiej gospodarki umożliwi odzyskanie terenów utraconych po I wojnie światowej spowodował rozpoczęcie przez Berlin wojny celnej z Polską.

Recesja stabilizacyjna w 1924 r. i wojna celna spowodowały skokowy wzrost bezrobocia w województwie śląskim. Od maja do lipca 1924 r. ilość bezrobotnych wzrosła od 5.966 do 17.664. W maju roku następnego wynosiła 37.578 osób, by w grudniu osiągnąć 65.783. Poprawa nastąpiła w drugiej połowie 1926 r. głównie na skutek unieruchomienia kopalń

angielskich przez strajk i uzyskania przez węgiel polski nowych rynków zbytu. Mimo ogólnej poprawy koniunktury liczba bezrobotnych już nigdy nie spadła do poziomu z czasów szalejącej inflacji w 1924 r.

Wielki kryzys, który ogarnął świat w 1929 r., a którego dno na Górnym Śląsku przypadło na lata 1932-1933 posiadał zasadnicze znaczenie dla ówczesnie żyjącego pokolenia. Znamiona kryzysu wystąpiły najpierw w przemyśle przetwórczym. Rozgorzała ostra walka konkurencyjna, walka wszystkich ze wszystkimi, o zamówienia, kredyty, płace. Praca stała się dobrem nadaremnie poszukiwanym. Aby ją uzyskać, wykorzystywano bez skrupułów zaangażowanie polityczne czy też narodowościowe. Wielki przemysł przeprowadzał masowe redukcje pracowników. **W dobie największego nasilenia kryzysu pracowała zaledwie 1/3 robotników górnośląskich. Ogółem 191,5 tysiąca ludzi było bez pracy, bądź też na bezpłatnych urlopach, zwanych turnusami lub świętówkami.** Pracujący nadal otrzymywali znacznie zmniejszone zarobki. Pomoc społeczna dla bezrobotnych była niewystraszająca, na porządku dziennym była eksmisja z mieszkań, samobójstwa popełniane z nędzy itp. Górnośląską specyfiką wielkiego kryzysu było rozszerzanie się biedaszybkarstwa i pokątny handel węglem. W 1932 r. działały 2.352 biedaszyby, a pracowało w nich około 12.000 osób. Był to proceder nielegalny, policja prowadziła z biedaszybkarzami prawdziwą wojnę.

Doświadczenie kryzysu było szokiem także dla klasy średniej. Kupcy i rzemieślnicy boleśnie odczuli skurczenie się popytu, bankructwa były masowe. W tej sytuacji zaczęły rodzić się różne pomysły totalitarnego przebudowania społeczeństwa, ponieważ mało kto wierzył w dalszą możliwość istnienia gospodarki liberalnej. Grażyński skorzystał z okazji, jaką dał kryzys i upaństwowił znaczną część wielkiego przemysłu. Upaństwowienie traktowano wówczas jako lek uzdrawiający chore stosunki społeczne i gospodarcze. Nawet środowiska konserwatywne głosiły konieczność radykalnych zmian własnościowych.

Kryzys wstrząsnął również światem tradycyjnych wartości, stając się źródłem wielu zjawisk patologicznych w życiu społecznym i zastrzył wszystkie sprzeczności,

tkwiące w górnośląskiej rzeczywistości. Powszechne zagrożenie i niepewność będą powodowały różne reakcje społeczne, w pierwszym rzędzie wytwarzając chęć rewindykacji, idących w różnych kierunkach wśród szarej masy zjadaczy coraz bardziej niepewnego chleba. Rewindykacje te dotyczyły nie tylko spraw socjalnych. Zaostrezenie przeciwieństw narodowych było zjawiskiem wtórnym wobec kryzysu ekonomicznego i służyło w pewnej mierze – podobnie jak hasła antysemickie – jego kompensacji.

Od roku 1934 następowała stopniowa poprawa koniunktury. Skutki kryzysu przetrwały jednak w postaci zmienionej mentalności ludzi. Idee autorytarne, rasistowskie i totalitarne stały się modne, dając złudną nadzieję obrony przed grożącym niebezpieczeństwem komunistycznym. Państwo etatyzowało w szybkim tempie gospodarkę Polski, co powodowało uzależnienie od władzy państwowej bytu coraz większej grupy ludzi. Następowo szybkie odchodzenie od demokratyczno-liberalnego wzorca państwa. Rząd coraz częściej skłaniał się ku rozwiązaniom pozaprawnym, likwidującym podstawowe swobody obywatelskie. Poczynaniom tym towarzyszyła wszechobecna propaganda „państwotwórcza”.

Jak zatem przedstawia się bilans międzywojennego dwudziestolecia na polskim Śląsku? Czy były to lata stracone i zmarnowane, jak głosiła opozycja, czy też był to okres umocnienia się zrębów polskiej państwowości na tej ziemi? Na takie pytanie trudno dzisiaj o jednoznaczna odpowiedź. Wybuch wojny w 1939 r. przetrwał rozwój wydarzeń, zmienił zupełnie ich bieg. Sytuacja międzynarodowa i wewnętrzna Polski nie sprzyjała realizacji politycznych zamysłów Wojciecha Korfantego. Stosunki polsko-niemiecki nie zmierzały w tym czasie do wzajemnego zaniechania pretensji w wymiarze międzynarodowym i lokalnym, śląskim. Mniejszość niemiecka nie miała zamiaru stać się lojalnymi obywatelami nowej ojczyzny. Europa po I wojnie światowej tylko pozornie stała się bardziej liberalna. W tych warunkach znajdowała swe usprawiedliwienie koncepcja Grażyńskiego. Lecz czy to usprawiedliwienie nie było zbyt łatwe?

• Pożegnanie z Torkatem

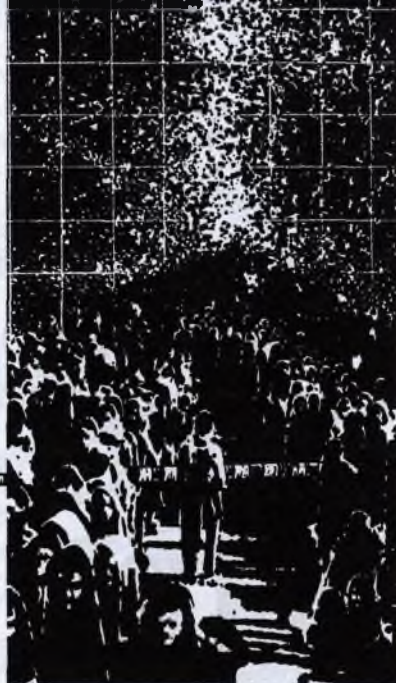
Takie właśnie tytułowe zapewnienie formułował wielokrotnie Umberto Eco, autor nieśmiertelnego *Imienia róży*, prac naukowych i nieskończenie wielu drobniejszych tekstów, w tym także eseju *O bibliotece*. A zatem czytający winni być długowieczni, może nawet matuzalemowi. Przypomniałem sobie te słowa z wielu powodów. Już wkrótce tuż za budynkiem Wydziału Nauk Społecznych Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach otwarta zostanie jedna z najnowocześniejszych księgarni w Polsce, Europie, a może nawet w świecie. Ulokowano ją na terenach dawnego lodowiska Torkat, budzącego u starszych czytelników sentymentalne wspomnienia. Ten sportowy obiekt przez wiele lat niszczał, aż w końcu stał się żalosną ruiną. Patrzyłem na niego z okien Uniwersytetu i w obecności moich studentów przywoływałem słowa Josepha Conrada Korzeniowskiego z *Jądra ciemności*: *Ohyda, ohyda...* Teraz na tym miejscu pyszni się duży gmach biblioteki, o laterytowej elewacji, nagradzany za pomysł architektoniczny i fantazję jego twórców.

• Zawstyżenie?

Trudno jednak nie zauważyć w tym kontekście, że niemal corocznie Biblioteka Narodowa publikuje doniesienia dotyczące czytelnictwa. Wiemy już, że w minionym roku, ponad połowa Polaków nie zajrzała do żadnych książek, choćby do poradników medycznych i kucharskich czy bedekerów turystycznych. Najbardziej zastanawia jednak fakt, że książek, papierowych czy elektronicznych, nie czyta co piąty obywatel z wyższym wykształceniem. Nie podnoszą zatem kwalifikacji zawodowych i nie aktualizują wiedzy niektórzy lekarze, nauczyciele, profesorowie czy wysocy urzędnicy. Można jednak radośnie zakomunikować, że mimo wszystko, 44% rodaków deklaruje kontakt z książką. To znacznie mniej niż w Czechach (83%) i Francji (69%), ale to też wielkie wyzwanie cywilizacyjne, aby ten poziom czytelnictwa jednoznacznie poprawić. Tej czytelniczej degrengoladzie towarzyszy rozwój wydawnictw, które biją rekordy publikacyjne walcząc o rodzimy rynek wydawniczy szacowany obecnie na 2,5 miliarda złotych.

• Kogo i co czytamy?

Sukcesy frekwencyjne stały się udziałem bibliotek lokalnych, które są czytelniczym azylem dla osób o niższych dochodach. Ale nie tylko. Kogo i co czytamy najchętniej. Rejestr nazwisk od kilku lat w zasadzie nie zmienia się. Przoduje Henryk Sienkiewicz, ale w ścisłej czołówce znajdujemy Katarzynę Grocholę, Paulo Coelho, Agathe Christie, Stephena Kinga, Joannę K. Rowling, Adama Mickiewicza. Stawkę liderów zamykają: Dan Brown, John R. R. Tolkien i Joanna Chmielewska. Mamy też ulubione tygodniki i miesięczniki. W tej pierwszej kategorii bezwzględna dominacja stała się udziałem *Tele Tygodnia*, *Życia na Gorąco* i *Chwili dla Siebie*, *Angory*, *Newsweeka* i *Gali*, *Auto Świata*, *Wprost* i *Polityki*. Wśród miesięczników bezkonkurencyjne są *Twój Styl*, *Claudia*, *Fokus*, *Cztery Kąty* i *Murator*. Wbrew powszechnemu przekonaniu, co piąty polski mężczyzna ochoczo czyta magazyny dotyczące urody, kosmetyków i pielęgnacji ciała. Być może to zapowiedź wielkiej rewolucji metroseksualnej w Najjaśniejszej Rzeczy-



MAREK S. SZCZEPAŃSKI

Notatnik
spóźnionego przybysza

Lektura książek przedłuża życie, czyli rzecz o Pizystracie i katowickiej księżnicy

pospolitej. Blisko połowa czytelników płci brzydkiej namiętnie sięga po magazyny związane z urządzaniem mieszkania i wystrojem wnętrz. To naprawdę dobre znaki dające nadzieję na zmianę stosunku do książki. Świadom sytuacji minister kultury Bogdan Zdrojewski podpisał w roku 2010 deklarację założycielską Republiki Książki – sojuszu na rzecz promocji czytelnictwa zawiązanego przez przedstawicieli władz, twórców, bibliotekarzy i czytelników. Republikę Książki honorowym patronatem objęła Anna Komorowska, a w spotkaniu założycielskim uczestniczyły też ważne figury polskiej polityki, była minister edukacji narodowej Katarzyna Hall, członek Rady Ministrów Michał Boni, wiceminister spraw wewnętrznych i administracji Piotr Kołodziejczyk. Doceniam tę inicjatywę, ale w pierwszej kolejności trzeba podkreślić rolę rodziny w kształtowaniu nawyku czytania, pomnażania wiedzy przez kolejne pokolenia.

• Szkolna heroina: bibliotekarka? No i mądrość Piotra Skargi

Ważną rolę odgrywa szkoła i jej zasoby biblioteczne, a zwłaszcza pasja szkolnej bibliotekarki. To ona, i jej siła przebiecia, odpowiadają za papierowe i elektroniczne nowości na półkach, za dostęp do lektur, dzienników, tygodników i miesięczników. Bibliotekarka często lokowana jest niezauważenie nisko na edukacyjnej drabinie prestiżu i szacunku. Nierzadko dyrektor placówki kieruje ją na zastępstwa, często niepłatne, mimo że nie jest to zgodne z prawem pracowniczym. Bywają w tej grupie profesjonalne, zresztą jak w każdej innej, osoby wypalone, działające rutynowo i bez polotu. A przecież czytanie książek nie tylko powiększa wiedzę, tworzy wspólnoty, ale również przyspiesza budowę społeczeństwa obywatelskiego, świadomego własnej historii, nadchodzących zdarzeń, rozumiejącego meandry współczesnego świata. Niepokojące jest również słabe przygotowanie państwa do przekazu sieciowego i czytelnictwa internetowego. Nie wnikając w szczegóły, warto przypomnieć, że co roku publikowany jest światowy ranking gotowości sieciowej. Polska zajmuje w nim odległą pozycję (65), wyprzedzona przez Azerbejdżan, Sultanat Brunei i tuzin innych egzotycznych krajów. Mówiąc inaczej, mamy wciąż za mało najnowocześniejszego sprzętu a poziom kompetencji komputerowej jest nadal niezadowalający. Nie sprzyja to e-lekturze, tak przecież atrakcyjnej dla najmłodszych pokoleń. Warto pamiętać o profetycznych słowach Piotra Skargi: *czytaniem odganiać matkę wszystkich grzechów – próżnowanie*.

• Powrót do przeszłości i przyszłości

To przesłanie intuicyjnie odczuwał też Polikrates, władca greckiej wyspy Samos, w szóstym jeszcze wieku przed naszą erą (537-522). Ceniony tyran, opisany w trzeciej księdze *Dziejów* Herodota, zbudował wokół siebie wianuszek uczonych i poetów. Kochał księgi i skrupulatnie je gromadził. Ale za twórcę helleńską, a dokładniej ateńską, biblioteki uważany jest wszakże Pizystrat (561-527 przed naszą erą), wielki reformator, opiekun sztuk pięknych i mecenas kultury, filozofów i mówców. Prawdopodobnie to między innym dzięki jego staraniom spisano antyczne eposy: *Iliadę* i *Odyseję*, a dramat grecki przeżywał wyjątkowy rozkwit. Biblioteka antyczna o największej reputacji działała zapewne od trzeciego wieku przed naszą erą przy Muzeum Aleksandryjskim, instytucji przypominającej dzisiejszy instytut naukowo-badawczy. Każdy kto wizytował wówczas Aleksandrię i posiadał księgę, oddawał ją do depozytu, aby cierpliwi kopiści mogli sporządzić jej duplikat. Myliłby się jednak ten, który Bibliotekę Aleksandryjską definiował jako instytucję demokratyczną. Kluczowy jej segment, Bruchejon, dostępny był wyłącznie dla wybranych, głównie uczonych. Mieszkańcy miasta mieli dostęp do księżnicy ulokowanej przy Świątyni Boga Serapisa, Serapejon. Można mieć jednak pewność, że nowe *Centrum Informacji Naukowej i Biblioteka Naukowa*, bo tak brzmi pełna i oficjalna jej nazwa, stanie się demokratycznym miejscem zdobywania wiedzy, informacji i budowania postaw obywatelskich, nie tylko w Katowicach.

Tą historię można by opisać jak wiele innych tego typu przypadków. Był rok 2007, w Polsce brakowało pracy, zarobki były niskie, a zasiłki socjalne wystarczały zaledwie na podstawowe opłaty. Decyzja była jedna – wyjazd za granicę, dokładnie do Niemiec w poszukiwaniu pracy i lepszych perspektyw.

Jugendamt w polskim sądzie

MARCIN
RUDZKI

Tutaj jednak historia bohaterów tego tekstu zaczyna się radykalnie zmieniać. Nie ma mowy o „wysokich zarobkach”, „odkładaniu na powrót” czy „układaniu sobie życia”. Rodzina państwa G. próbuje wiązać przysłowiowy koniec z końcem. W 2009 roku na świat przychodzi drugie dziecko – chłopiec, Dawid. Jakiś czas później rozpoczyna się prawdziwa batalia już nie o „lepsze jutro”, a prawo by nadal mogli wychowywać swoje dzieci.

Rodziną Dawida i Daniela w 2011 roku zaczyna interesować się Jugendamt – Niemiecki urząd do spraw dzieci i młodzieży. W relacji rodziców chłopców, pracownicy urzędu odwiedzają ich kilkakrotnie. Niestety, rodzina nie rozumie, co tak naprawdę się dzieje. Tymczasem pracownicy Jugendamt oceniają warunki w jakich wychowywane są dzieci. Ostatecznie hanowerski sąd pozbawia państwa G. praw rodzicielskich argumentując to „złą sytuacją rodzinną”. Od tego momentu dzieci trafiają pod opiekę niemieckiego domu dziecka. Już w Polsce rodzice relacjonują, że nie wiedzieli, jakiego rodzaju czynności wykonują urzędnicy i jaki może być efekt ich pracy. Narzekają na brak wsparcia psychologa czy prawnika, który mógłby ich reprezentować przed niemieckim sądem.

– Nie wiedziałem, nie rozumiałem co to znaczy, myślałem, że to normalna kontrola, może jakaś pomoc – wspo-

minał kontrole Jugendamt ojciec chłopców.

Porwać własne dzieci

Wioletta i Dariusz decydują się na trudny krok. Jest lipiec 2011 roku. Ich dzieci nadal znajdują się w domu dziecka. Nie widzą innej możliwości – chcą porwać swoje dzieci. Dlaczego? Bo od kilku miesięcy są pozbawieni praw rodzicielskich, co oznacza między innymi, iż bez zgody ich prawnego opiekuna nie mogą opuszczać placówki, wyjeżdżać z miasta czy za granicę kraju. Sąd nie zabronił rodzicom widzeń z chłopcami i zabierania ich na kilkugodzinne spacery. Po jednym z takich spotkań dzieci nie wrócił już do placówki opiekuńczej.

Niemiecki urząd w polskim sądzie

Po powrocie do kraju nie mają w zasadzie nic. Na sali sądowej, Dietmar Brehmer, założyciel Górnośląskiego Towarzystwa Charytatywnego zezna, że rodzice chłopców trafili do niego, bo potrzebowali żywności, ubrań i miejsca, w którym mogliby zamieszkać. Problemy rodzinne narastają. Konflikt ojca dzieci z teściową, przemoc w rodzinie. W końcu matka zostawia męża i prosi o pomoc instytucję wspierającą ofiary przemocy w rodzinie. To jednak nie koniec ich problemów. Do bytomskiego Sądu Re-

jonowego wpływa wniosek Jugendamtu. Niemiecki urząd domaga się wydania chłopców niemieckiej rodzinie zastępczej. Wskazuje, że chłopcy do Polski wrócili nielegalnie, a rodzice nie posiadają w świetle niemieckiego prawa władzy rodzicielskiej na dzieci. Daniel i Dawid ponownie trafiają do ośrodka opiekuńczego. Tym razem polskiego, by czekać na rozstrzygnięcie sprawy.

Dzieci na wokandzie

W czerwcu sprawa trafia na wokandę bytomskiego sądu, a do mediów dociera mail, którego przesłanie może zastanawiać. Niemiecki Jugendamt przedstawiony jest jako instytucja powołana w nazistowskich Niemczech. Padają zarzuty o próbę germanizowania polskich dzieci, a sama sprawa przedstawiana jest w retoryce, o której zwykło się mawiać „wojenna”. Współautorem tych ostrych słów jest Wojciech Pomorski, prezes Polskiego Stowarzyszenia Rodzice Przeciw Dyskryminacji Dzieci w Niemczech. On sam także stracił prawa rodzicielskie do swoich córek w Niemczech. Ostre słowa pod adresem niemieckiego urzędu powtarza przed kamerami i na sali sądowej.

Przed drugą rozprawą organizuje konferencję prasową. Zaprasza na nią między innymi Annę Fotyę, byłą minister spraw zagranicznych. Pada wiele ostrych słów, głównie pod kierunkiem niemieckich urzędników, którzy odebrali rodzicom dzieci. Była minister przypominała sprawę kobiety, która jesienią 2008 r. uprowadziła z Duesseldorfu swojego syna. Kobieta była ścigana listem gończym przez niemiecki wymiar sprawiedliwości. Dziecko wróciło potem do ojca, który mieszkał w Niemczech.

– Sprawa zaczęła się od porozumiewania się matki z dzieckiem w języku polskim. Kobiecie po rozwodzie wstępnie przyznano prawo do opieki nad dzieckiem. Rozwód był z oczywistej winy ojca, a jednak potem, w toku ingerencji urzędu do spraw młodzieży, zdecydowano się na przekazanie praw do opieki nad dzieckiem ojcu, a w końcu na zakaz widywania się matki z dzieckiem – przypominała Fotyga. Była minister krytycznie oceniła też działania polskich służb społecznych. Jak mówiła, jest „osobiście wstrząśnięta tym, że w Polsce zaczynamy odbierać prawa do opieki nad dzieckiem z powodów materialnych”.

27 czerwca sąd wyznacza termin ogłoszenia wyroku w sprawie. Los dzieci rozstrzygnie się 18 lipca.

Wyrok, ulga i oklaski

Rodzice do bytomskiego sądu przyjeżdżają po godzinie ósmej rano w asyście Pomorskiego i jednego z po-



słów Prawa i Sprawiedliwości. Na korytarzu czekają już na nich dziennikarze. Do sądu przyjechało kilkunastu reporterów z różnych redakcji. Wojciech Pomorski tłumaczy dziennikarzom, że nie może teraz rozmawiać, musi szybko „wejść na żywo” do porannego programu w jednym z kanałów telewizyjnych. Po kilkunastu minutach wszyscy już na sali sądowej czekają na wyrok.

Sędzia Ludmiła Lampert odrzuca na wstępie kolejny wniosek dowodowy złożony przez Rzecznika Praw Dziecka. Argumentuje, że podobne stanowisko zgłaszane było już wcześniej i też nie zostało uwzględnione. Po krótkiej przerwie – wyrok: sąd odrzuca wniosek niemieckiej strony w sprawie wydania dzieci niemieckiej rodzinie zastępczej. Na sali słyszeć brawa.

Sędzia Lampert potwierdza. Według litery prawa, dzieci zostały uprowadzone i hanowerska instytucja miała prawo złożyć wniosek, o ich wydanie. Jednocześnie sąd nie ma wątpliwości:

– Powrót dzieci do Niemiec naraziłby je niewątpliwie na szkodę psychiczną – podkreśla Lampert. Dodaje też, że dzieci mają cały czas zachowany kontakt z rodzicami i babcią, która ubiega się o status rodziny zastępczej dla wnuków. Wyraźnie zaznacza też, że podejmując w tej sprawie decyzję sąd przede wszystkim kierował się dobrem dzieci.

Wyrok nie jest prawomocny.

Wiara w intuicję

Rodzice po wyroku mówią niewiele. Słowa przychodzą im z trudem. Wioletta i Dariusz podkreślają, że są szczęśliwi, dodają też, że mają nadzieję, że strona niemiecka nie odwoła się od wyroku. Matka chłopców nie kryje radości, w rozmowie z dziennikarzami wspomina, że miała dobre przeczucia: – Nachodziły mnie myśli, że przegramy, ale intuicja podpowiadała mi coś innego i miałam rację.

Rodzice pytani o to, co dalej z dziećmi, nie umieją udzielić jednoznacznej odpowiedzi. Wierzą jednak, że ostatecznie znowu wszyscy zamieszkają razem. Na to pytanie odpowiada mecenas Marкус Matuszczyk, który reprezentował rodziców w sądzie.

– Teraz czekamy na wyrok w sprawie o ustalenie prawnego opiekuna dzieci. Pozew złożyła ich babcią, która chce by sąd przekazał jej prawa do opieki.

Najprawdopodobniej, aż do rozstrzygnięcia sprawy, dzieci pozostaną w katowickim ośrodku opiekuńczo-wychowawczym. Dla rodziców to już jednak wygrana. Co pewien czas każde z nich powtarza, że teraz będzie już dobrze, że najgorsze jest już za nimi...

Na marginesie sprawy

Hanowerski urząd do spraw dzieci i młodzieży prawdopodobnie nie

będzie już wnioskował o wydanie do Niemiec polskiego rodzeństwa uprowadzonego przez rodziców z niemieckiego domu dziecka. Rzeczniczka miasta Hanower Konstanze Kalmus powiedziała dziennikarzom, że prawo do opieki na dziećmi, które ma obecnie tamtejszy Jugendamt zostanie przekazane stronie polskiej.

– Z najnowszych informacji, jakie posiadamy wynika, że polski sąd porozumiał się w tej sprawie z sądem rodzinnym w Hanowerze. Dla dobra dzieci prawo do opieki nad nimi zostanie przekazane polskim instytucjom. I to właśnie się dzieje – podkreśla Kalmus.

Chłopcy zostają w Polsce. Na razie pod opieką ośrodka wychowawczego. Ale to dopiero pierwsza odpowiedź na pytanie, co dalej z ich przyszłością. Znaków zapytania jest wiele. Czy rodzice podążą wychowaniu dzieci? Czy zagwarantują im odpowiednie warunki rozwoju? Co z konfliktem w rodzinie i jak wpłynie on na los chłopców? Czy rodzina może liczyć na takie samo wsparcie i zainteresowanie mediów oraz ośrodków pomocy jak do tej pory? Wydaje się, że pytań bez odpowiedzi jest zbyt dużo.

Pewne jest jednak, że jeśli dobro dzieci ma być wartością nadrzędną, to dalsze procesy, kłótnie rodzinne z pewnością nie wpłyną korzystnie na rodzeństwo. A jeśli rodzicom, polskim sądom i niemieckim urządowi zależy wyłącznie na dobru dzieci, to sprawa wydaje się zamknięta... oczywiście na dobre.

Rozpłynałem się w tęczy. Zupełnie jakbym zrozumiał istotę kolorów, których nie ma poza rzeczywistością i snami. A przecież wiem, że nasze istnienie jest złudzeniem, kolorowym złudzeniem: ale można je zobaczyć, dotknąć i uwierzyć, że naprawdę JESTEŚMY. Dla siebie.

Kiedy się obudziłem w środku nocy, tęcza zniknęła. Nie mogłem już zasnąć. I dopiero poranne Słońce oddało mi wszystkie kolory Ziemi.

Biegałem granicą między jawą i snem. Wypiłem za dużo kaw, nie mogłem zasnąć.

To dziwny stan, zamglony; tam gdzieś we mgle czekały tajemne postacie senny i zupełnie przetworzony ja – właściwie JA NIE JA. Zawsze boję się o niego, jest nieobliczalny. Nigdy nie wiem, co zmaluje. I nigdy nie wiem: będzie odważny, czy tchórzliwy; uratuje mnie, czy mnie zabije w jakiejś karkołomnej kosmicznej eskapadzie; wciągnie mnie w straszliwe erotyczne orgie, czy każe klęczeć w klasztorze na niebosiężnej górze.

Biegałem tak w tej mgle – nawet nie wiem jak długo, na granicy między jawą i snem. Ale przecież mgła nie ma granicy. Powiedział mi to JA NIE JA i wciągnął nagle do snu, którego nawet nie zapamiętałem.

Bo rano senny teatr zniknął w jednej chwili! Obudził mnie telefon, przez który mi oznajmiono, że mam natychmiast zjawić się w bardzo ważnym miejscu, w sprawie bardzo ważnej dla mojego przyszłego życia.

Nad światem zawisła zagłada.

Czułem to całą swoim istotą. KONIEC NASZEJ ZIEMI! Ale kiedy? Dzisiaj, jutro, za tydzień? W i e d z i a ł e m tylko, że niedługo. Słońce świeciło inaczej niż zwykle, jakimś czerwonym kolorem. I ten głos wiatru – prze-raźliwy, wyjący na pomoc, szukający jak oszalały swoje-go początku...

To byłem ja! Byłem bezcielesnym wichrem, pędzącym do innego miejsca, silny, łamiący konary drzew i przewracający płoty...

Okrążyłem świat, dotykając wszystkich ludzi i zdmuchnąłem z nich myśli, złe i dobre – już nie wiedzieli nawet, że istnieją.

Wreszcie dotarłem do ostatniego miejsca na Ziemi, w najdzikszym zakamarku i ujrzałem SIEBIE siedzącego na kamieniu, z rozwianymi włosami...

Wiatr uciął, zamarł, spadł razem z kurzem i piaskiem. Zniknął. Myśli powoli wracały do ludzi – najpierw dobre, potem złe.

A do mnie przyszło przecucie, że ŚWIAT ZOSTAŁ URATOWANY!

TRZY WYMIARY: wschód-zachód, północ-południe, dół-góra – wzięły mnie w objęcia, nie do ucieczki. Byłem w klatce wielkiej jak Ziemia, albo mikroskopijnej jak jeden z atomów mojego włosa...

Teatr Senny

MICHAŁ WRÓŃSKI

Motto:

*Po to się budzę, żeby nazbierać trochę
świata do moich snów!*

MW

Tuż przed porankiem, starym kindzalem, który wisi nad moim łóżkiem, wy-rąbałem otwór w suficie i pomknąłem W NICOŚĆ, trzymając się ogona CZASOPRZESTRZENI, prawie z prędkością światła – osiągalną tylko przez BOGA...

Ale kiedy obudziło mnie stukanie sąsiada z dołu, któremu woda z mojej łazienki zalała mieszkanie, nic już nie pamiętałem z tej kosmicznej podróży.

Nic mi się nie chciało. Leżałem w gęstej mgle, obezwładniony zupełnie. Widziałem tylko swój czubek nosa, podwójnie zamglony i tylko jedna myśl drażyła moją senną świadomość: TRZEBA COŚ ZROBIĆ, COŚ WIELKIEGO, WIELKIEGO JAK PIRAMIDA CHE-OPSA...

Nagle otworzyło się okno i mgła zniknęła. Okazało się, że leżę w swojej kuchni. Poczułem głód. Więc wstałem i zrobiłem sobie jajecznicę – jedyne danie, jakie potrafię zrobić.

Kiedy się obudziłem, leżałem na moim tapczanie. Poczułem głód, poszedłem do kuchni i zrobiłem sobie kanapkę

z żółtym serem, bo nic innego nie było do jedzenia... Ale tego dnia nie zrobiłem żadnego głupstwa!

Byłem w ogromnej windzie pełnej ludzi z twarzami bez wyrazu; nieznanych, obojętnych, wpatrzonych w lustro na suficie. Wiedziałem, że wznosimy się do góry, ponieważ na lśniącej chromowej ścianie wyświetlały się liczby:... 38, 39, 40... 125, 126, 127... Winda zatrzymywała się co jakiś czas, ludzie wychodzili, wchodzili. Ale wchodziło coraz mniej. Na 2012 piętrze zostałem sam.

Drzwi rozsunęły się bezszelestnie, zbliżyłem się do nich. Stałem nad przepaścią bez horyzontu.

Przekroczyłem próg i poleciałem, jak ptak, w bezkresną przestrzeń bez czasu – bezcielesnie, wolny i bez żadnego strachu.

Szybowałem tak aż do nagłego przebudzenia w środku ciemnej nocy! U sąsiada pode mną zegar wybił drugą godzinę...

Cofnąłem się do dalekiej przeszłości. Stałem obok siebie i patrzyłem na niemowlaka w głupawej pościeli, trochę już wyrosniętego, który gapił się na mnie z kpiącym uśmiechem. Jego oczy więcej wiedziały ode mnie. Był przecież niedawno w NIEBYCIE. Nie musiał wszystkiego nazywać, że-by WIEDZIEĆ.

Ale wybrał mnie i będzie musiał ze mną żyć do końca, słuchając moich niepewnych nauk i przekonań o ludzkich prawdach. Będzie musiał ze mną BYĆ, zanim nie wrócimy do PRZEDPOCZĄTKU...

Stałem sam na ogromnej, pustej scenie i wygłaszałem monolog w jakimś niezrozumiałym dla mnie języku, ubrany w dziwny, niebieski kostium. Sala przede mną była wypeł-

niona ludźmi, aż po horyzont, który znikał w mroku. Byłem pewny – tam też siedziała nieprzeliczona widownia z niewidzialnymi twarzami...

Nagle zauważyłem, że w moim bucie rozwiązała się długa czerwona sznurówka. Wiedziałem, że muszę ją zawiązać, bo dyrektor teatru wywali mnie z pracy. Przerwałem monolog i schowałem długie końce sznurówki pod mankiet spodni. Kiedy podniosłem głowę, sala była pusta. Ale pośrodku setnego rzędu SIEDZIAŁEM JA, śmiejąc się jak idiota...

* * *

Byłem właścicielem wysypiska śmieci, w dolinie otoczonej jesiennymi bukowymi lasami o złotym kolorze.

Wędrując z metalowym prętem, szukałem ludzkich wytworów, którym można jeszcze przywrócić użyteczność, chociaż doskonale wiedziałem, że to niemożliwe. Co jakiś czas znajdowałem pieniążek, złoty kolczyk albo list jakiegoś znanego człowieka i to pozwalało mi przeżyć do następnego roku.

A wieczorem wracałem na skraj bukowego lasu, do szalasu zbudowanego przeze mnie z dykty i zapadałem się w swoją wizję świata.

* * *

Przedemną wznosiła się ogromna góra aż do nieba. Nie mogłem iść dalej, a wiadomo mi było, że po drugiej stronie czeka na mnie kobieta, którą mam pokochać do szaleństwa: absolutnie idealna, o długich nogach i łagodnym charakterze.

Więc musiałem górę obejść!

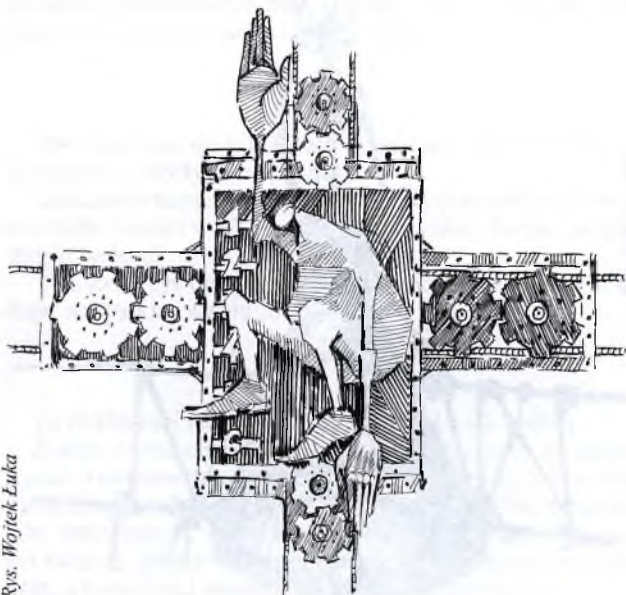
Zabrało mi to tak dużo czasu, że po drugiej stronie góry spotkałem staruszkę, która nawet na mnie nie spojrzała.

Ale już nie było po co i gdzie wracać...

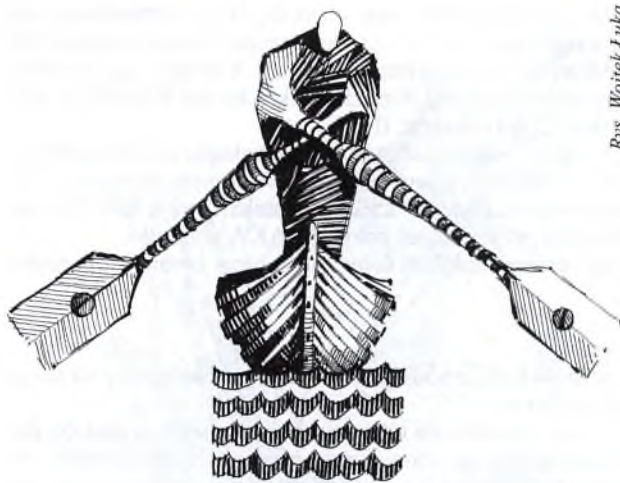
* * *

To był ponury, podzielony świat. W klatkach. Jedne klatki – dla ludzi pięknych, drugie – dla brzydkich; a te klatki jeszcze w innych klatkach... Osobne klatki dla mądrych, dla głupich, dla leniwych, dla pracowitych, dla pijących, dla abstynentów, dla erotomanów, dla ascetów... Klatek bez liku!

I ja – biegający od jednej klatki do drugiej. Nikt mnie nie wpuszczał. Musiałem być na wolności.



Rys. Wojtek Łuka



Rys. Wojtek Łuka

* * *

Ten sen przychodzi do mnie co jakiś czas. Jest zawsze taki sam.

Zaczyna się jaskrawym wschodem słońca bez chmur, w otoczeniu absolutnej, krystalicznej CISZY i całkowitego BEZRUCHU. Zupełnie nagle znajduję się w samym środku BEZLUDNEJ PUSTKI... Przemierzam się bezszelestnie i swobodnie po świecie, jaki pamiętam: z miastami, drogami, lasami, górami, morzami – ze znajomymi krajobrazami. Ale nigdzie nie ma ani jednego człowieka. I mam świadomość, że WSZYSTKO JEST MOJE. Mogę wchodzić do sklepów bez sprzedawców, do banków bez kasjerów; wszystkie samochody są moje, wszystkie pałace i ogrody. Cała Ziemia jest MOJA!

Ale tylko na moment jestem szczęśliwy z tego bezmiernego bogactwa. Już po chwili tęsknię za ludźmi, tęsknię za hałasem miast, świergotem ptaków, szczekaniem psów i pędzącym gdzieś ŻYCIEM. Więc biegam wszędzie z szybkością dźwięku – którego nie ma – w poszukiwaniu ludzi, w poszukiwaniu śladów istnienia, w poszukiwaniu żywej teraźniejszości. I wszędzie pustka, wszędzie cisza, wszędzie martwota...

Ale nagle, w środku jakiegoś nieznanego mi miasta, słyszę DŹWIEK! Z okna stupiętrowego wieżowca rozlega się wspaniały, czysty, donośny śpiew KOBIEITY. Biegnę po schodach jak oszalały, w poszukiwaniu śpiewaczki – zapewne młodej i pięknej; otwieram dziesiątki drzwi: pusto, tylko śpiew ucieka ode mnie coraz wyżej i wyżej...

I tak aż do przebudzenia!

* * *

Stałem nad rzeką, może nawet nie za szeroką i wiedziałem, że muszę dostać się na drugi brzeg. Dostrzegłem tam przewoźnika opartego o łódź; krzychałem, machałem rękami – żadnej reakcji. Albo przewoźnik był leniwy, albo mnie nie widział, bo lekka mgiełka zamazywała widoczność.

A ja, aby dalej żyć, musiałem dostać się na drugą stronę rzeki.

– Przecież muszę żyć! – krzychałem w stronę przewoźnika. – Muszę, muszę... – Dygotałem z zimna, wchodząc do wody. Coraz głębiej, głębiej, po pas, po szyję, brnąłem w stronę drugiego brzegu, w stronę przewoźnika.

Zupełnie zapomniałem, że nie umiem pływać!

* * *

Uciekałem z moją RACJĄ przed jakimś monstrualnym potworem, który był tak ogromny, że swoją paskudną głową

sięgał nieba. Gonił mnie z sękatą lagą, wymachując nią na wszystkie strony świata, ale nie mógł mnie dosięgnąć. Byłem zwinniejszy, szybszy, mniejszy. A on był ślepy. I nawet o tym nie wiedział. Wiedział tylko, że jest PRAWDĄ ABSOLUTNĄ i ma tępić INNE...

W końcu został daleko w tyle, pohukując groźnie, ale bezsilnie, a ja przysiadłem sobie na powalonym pniu sosny, sapiąc zziębnięty. Podczas ucieczki zgubiłem swoją RACJĘ i usiłowałem przypomnieć sobie, o JAKĄ chodziło.

Nie przypominałem sobie i musiałem zrobić sobie nową.

To była krótka podróż, chociaż zapowiadała się na długą i nietypową...

A więc – może za karę jakąś – odbywałem podróż dookoła świata na walcu drogowym! Nie na jachcie, nie na tratwie z balsa, nie na rowerze, ani nawet nie na piechotę (marzyłem o takich podróżach w młodości), ale na WALCU, który z prędkością pięciu kilometrów na godzinę miażdżył polne drogi, uprawne pola, łąki, a nawet młode lasy...

Po pięciu kilometrach, czyli po godzinie, która w moim śnie trwała minutę, musiałem czmychać z pojazdu dookołaświatowego, zaatakowany przez tłum rozwścieczonych rolników...

Już mieli mnie rozszarpać na kawałki, ale na szczęście się obudziłem!

Zrobiłem coś tak strasznego, że wyrzuciłem to ze świadomości. Wiedziałem tylko: MUSZĘ SCHOWAĆ SIĘ JAK NAJDALEJ, JAK NAJBARDZIEJ NIEWIDZIALNIE, JAK NAJBLIŻEJ NIEBYTU...

Zapadłem się w głębię mojego istnienia, ograniczając świadomość do podwójnego uspienia; może nawet do potrójnego? Jak najdalej od piekającej RZECZYWISTOŚCI, która siedziała za stołem sędziowskim i groziła mi ogromnym palcem. Jak najdalej!

Wreszcie paniczna ucieczka zapędziła mnie do najdalszego atomu mojego siwego włosa na brodzie...

Zapewne, którego rano zgoliłem, patrząc sobie w oczy.

Rano zajączałem, jeszcze prawie śniąc:

– Kobiety z moich snów porzucają mnie tuż przed przebudzeniem...

Ale może jutro wrócą?

Wylądowałem na spadochronie pośrodku dużej polany oświetlonej bezchmurnym słońcem...

Czekało tam na mnie wielkie SZCZĘŚCIE – pod postacią pięknej, kruczowłosej kasjerki, która wypłaciła mi kolosalną ilość pieniędzy. Tak kolosalną, że nie potrafiłam TEGO unieść w ogromnej walizce...

Usiadłem zrozpaczony obok uśmiechniętej piękności, pogłaskałem ją po policzku i zostałem tak do końca snu.

Nagle znalazłem się w jakiejś magmie o zapachu nieskończoności – nie do opisanie i nie do porównania...

Przedzierałem się przez tłum przezroczystych, zwiewnych ludzkich kształtów o twarzach bez wyrazu. To byli NIEISTNIEJĄCY. Albo już nieistniejący, albo jeszcze nieistniejący. Miliony milionów byłych albo przyszłych ludzi, których

nigdy nie spotkałem i nigdy nie spotkam. Prawie ich dotykałem, ale nie widzieli mnie. Czekali! Czekali, a ja szukałem wśród nich SIEBIE...

Ale znalazłem tylko kilku moich sobowtórów, którzy nosili nawet moje imię i nazwisko, albo będą nosili...

Mam nadzieję, że będą nosili lekko i przyjemnie!

Dosyć długa droga do tej SZKOŁY była jak najbardziej realna; kręta, z garbami, a nawet jakby całkiem zimowa, w zaspach po kolana... Gdy znalazłem się w niej wreszcie, poczułem się dziwnie i nieswojo, chociaż nauczyciel był miły i łagodny.

To była SZKOŁA WIEDZY O NIEWIEDZY!

Uczono tam NIEMOŻNOŚCI poznania prawdy o świecie, prawdy o kosmosie, prawdy o nieskończoności czasu i przestrzeni. Uczono, że to, co nas otacza i w czym tkwimy, jest złudzeniem naszej świadomości, której istoty i tak nigdy nie poznany. Że nasz świat jest subiektywnym mgnieniem, nie mającym nic wspólnego z prawdą – bo jej po prostu NIE MA!... Kolory nie istnieją, to tylko forma energii odebrana przez nasze oko, a nawet nasze ciało jest właściwie PUSTKĄ, bo atomy są puste. Ale o nich też niewiele wiemy...

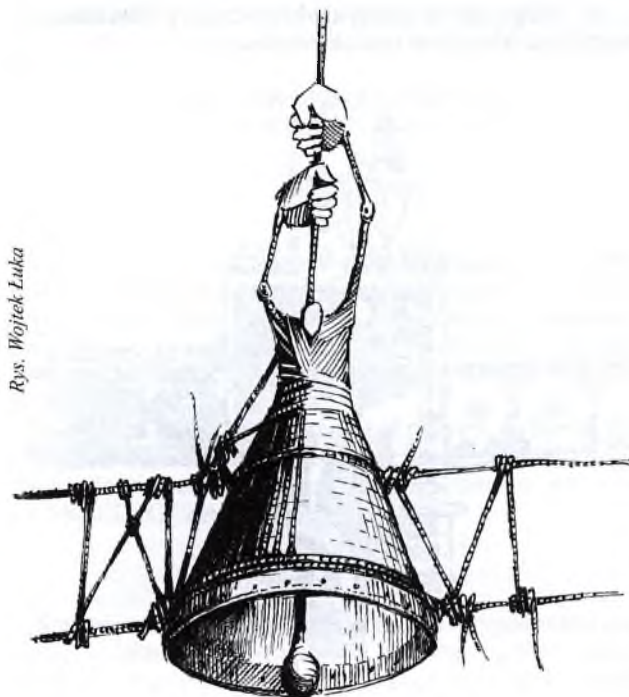
Na całe szczęście oblałem egzamin polekowy, mówiąc:

PANIE PROFESORZE, WIEM, ŻE MUSZĘ WRÓCIĆ DO PORANNEJ JAWY, PONIEWAŻ PRZYPADNĄ ROBOTNICZY WSTAWIĆ NOWE OKNO BALKONOWE...

No i wyleciałem nawet łagodnie ze Szkoły Wiedzy o Niewiedzy na zimową drogę. Chociaż mamy przecież liście.

Byłem bezpieczny! Naprawdę bezpieczny pierwszy raz w życiu...

Wysoko, wśród zieleni i ptaków ktoś (a może ja sam?) zbudował mi szałas, domek z gałęzi, przykryty grubą warstwą liści. Nigdy nie schodziłem na ziemię, która roiała się od jakichś strasznych, niewyobrażalnych wrogów. Ale wiedziałem, że nie potrafią wchodzić na drzewa. Mogłem komunikować się z sąsiednimi gałęzianymi domkami, w których mieszkali przyjaźni ludzie; kobiet było więcej... Spotyka-



Rys. Wojtek Łuka

liśmy się w wesołym podnieceniu na wielkim, rozłożystym dębie, spełniającym rolę rynku, kawiarni, teatru... I tak sobie żyłem beztrząsco!

Czułem się szczęśliwy i całkowicie spełniony, gdy nagle poczułem, że lecę w dół ku wroziej i dalekiej ziemi. Obudził mnie potworny strach...

I przypomniałem sobie zdanie z jakiegoś wiersza, który ktoś pokazał mi niedawno:

„Kiedy zapagniemy wrócić na drzewa, drzew już nie będzie”...

* * *

Jagodom

Wędrowałem w stronę poszarpanego horyzontu, jak za dawnych lat, z plecakiem i z małym namiotem; powoli, uważnie rozglądając się, jakbym szukał miejsca na wieczorny postój. Nie spieszyłem się, wierząc, że horyzont można przekroczyć w każdej chwili, bo mi nie ucieknie. W każdej chwili. Trzeba tylko chcieć...

– Trzeba tylko chcieć! – odpowiedziały jaskółki w moim języku. One przekraczały horyzont, kiedy tylko miały ochotę...

A ja szedłem, szedłem, aż do wschodu słońca, które wróciło stamtąd. Tylko dla mnie. Aby mi świecić!

* * *

Koło wirowało coraz szybciej. A ja wewnątrz, zbliżałem się coraz bardziej do jego brzegu...

A przecież niedawno w jakimś śnie byłem w środku, zupełnie bez cienia strachu!

* * *

Znajdowałem się na wielkim placu, w samym środku tłumu, któremu o coś chodziło, bo wykrzykiwał: **NAPRZÓD! CHODZCIE Z NAMI!**... Ale nikt się nie ruszał, ponieważ tłok był taki, że nie można było postawić kroku. Stałem ściśnięty między grubasem a bosonogą dziewczyną i myślałem, jakby się stamtąd wydostać, kiedy spostrzegłem, że wszyscy wkoło patrzą na mnie jakoś dziwnie...

– On nie nasz! – syknęła bosonoga do grubasa.

– Nie nasz! – krzyknął grubas i usiłował mnie schwytać, ale nie dał rady, tak było ciasno.

Tłum zafalował i zaryczał:

– Tam jest nie nasz! Tam jest nie nasz!

Wiedziałem, że to mój **KONIEC**.

– Boże, żeby się obudzić. Natychmiast!...

Ale zamiast tego reżyser snu zamienił mnie w muchę, która odfrunęła sobie poza plac, patrząc radośnie, jak tłum narpaża się w poszukiwaniu **NIENASZEGO**.

* * *

Opowiadałem go kilkakrotnie; ostatnio na moich sześćdziesiątych szóstych urodzinach...

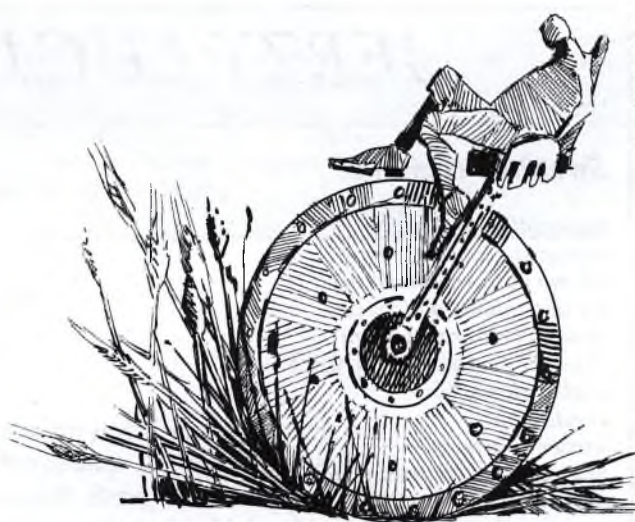
Spotkałem na pustyni człowieka, który podzielił się ze mną ostatnim łykiem wody, a potem mnie zabił, bo mu nie podziękowałem!

Tak. Żeby żyć dalej, musiałem się znowu narodzić. I dziękuję wszystkim wkoło...

* * *

To chyba mój najpiękniejszy spektakl, jaki śniłem...

Żyłem wśród chmur kłębiastych, a właściwie na jednej z nich o nieprawdopodobnej urodzie – okazałej, z licznymi zatokami, rozjaśnionej słońcem; na boskiej rzeźbie, nieustannie zmieniającej swój kształt... Podróżowałem na niej po świecie, gnany wiatrem, patrząc z góry na zieloną Ziemię, a ludziożuki machali do mnie z zazdrością...



Rys. Wojtek Łuka

Niestety, moja piękna chmura w połowie podróży zmieniła się w chmurę gradową. Szkody w rolnictwie, jakie wyrządziło gradobicie, były ogromne; ceny żywności tak wzrosły, że ludzie musieli zaciągać kredyty w bankach, od których otrzymałem dyplom honorowy i nagrodę w postaci samochodu marki polonez...

* * *

A to najbardziej monotony sen, jaki pamiętam...

Płynąłem w stronę dalekiego migoczącego światła. Nie zbliżało się, mimo że mój statek pruł fale jak ścigacz torpedowy. I tak aż do przebudzenia. Koszmar!

Do tej pory nurtuje mnie pytanie: czy to było światło latarni morskiej, czy ktoś biegał dookoła ogniska?

– Ty naprawdę nie masz innych problemów? – zdziwił się mój przyjaciel, konstruktor dźwigów budowlanych, kiedy mu o tym opowiedziałem w barze „U Pawła”.

* * *

Był rok 2111!... Pamiętam, bo miałem przed oczami duży kalendarz z portretem Księżycy w pełni, który wisiał na drzwiach mojej łazienki...

A więc w roku 2111 świat będzie jeszcze istniał!

* * *

– Nie wiem która godzina!

Czas jest poza snem. Biegnie obok, pędząc przed sobą ludzi, a za sobą zostawiając płacz i zgrzytanie zębów, może trochę uśmiechniętych wspomnień dla urodzonych w czepku...

Tutaj, w pełnym **BEZCZASIE**, w pofałdowanym zwierciadle rzeczywistości, można **WSZYSTKO**. Nawet za najcięższe grzechy nikt nie karze; można bezkarnie zdradzać, uprawiać zakazaną miłość, bić się na wszystkich podwórkach świata; można latać nad Ziemią, nurkować w Rowie Mariańskim, bawić się trzęsieniami ziemi. Można być nawet władcą wszechświata. Można też kochać wszystkich ludzi...

Dobranoc! Do zobaczenia!

KURTYNA

Lato 2011

Mój blog w Internecie: „Kraina Zielonego Pojęcia – Michała Wrońskiego”

<http://michalwronski45.blogspot.com/>

JERZY LUCJAN WOŹNIAK

Światło i ciemność

umieranie jest ciężkie
najcięższe ze wszystkiego
nie ma porównania do męki
nie dotlenionego biegacza
wysiłku boksera na ringu

wielka ciemność
i codzienne
widzenie światła –
przerazający kontrast między nimi boli
jak żołnierz w okopach konający
w zgryzocie przegranej

gdy odejdzie to światło
oczy sierotami nie do wyobrażenia
ich martwość ma szczególny wymiar
jak zasypyany
z obu stron tunel pod wielką górą

światło w żrenicach
codzienną drogą
wyboje ale i radości
wizja zupełnej ciemności zmusza
do głębokiej pokory trwogi
ciągłego nawrotu opętającej myśli
bezwzględne gońca

Cień

krąży nad nami cichy
jak wielki nietoperz
wszechobecny
przypomina i niepokoi

wżarty w nasze życie jak rdza
trucizna pod skórą
jest w nas nawet wtedy
gdy znika oświetlony światłem

niezniszczalny i nieobliczalny
zawsze groźny
noszony za pazuchą
gdy się zbliża
gotowi jesteśmy na kolanach
prosić o łaskę

pewnego dnia otuli nas
wielką niewiadomą

Broń się wszystkimi siłami
z martwych nie powstaniesz
broń się wszystkimi siłami
gdy cię ta siła zmoże będziesz
tylko wspomnieniem
płaczem pamięci może natchnieniem
zniczem na grobie światłem

u żyjących pamięć o tobie
blaknącym obrazem

pamiętaj o tym ciągle
jak o długu który nie oddałeś



Rys. Wojtek Łuka

Będzie jeszcze niejedno cięcie

życie jak obrazy
rzucone w kąt pracowni
większe i mniejsze płótna
znaczą w panoramie –
wielkie cofnięcie w nasze wnętrza

nie wiemy gdzie
nastąpi najważniejsze cięcie
wszystko się zmienia
przeistacza i porządkuje
ustawia odpowiednio
jak na filmowej taśmie
póki żyjemy
czeka nas niejedno cięcie
nim w kapsule czasu odjedziemy

uwolnieni od działania
coraz bardziej szarzy
roztopieni w historii
w kosmicznej materii
po latach nieobecni
nawet we wspomnieniach

Brzask

skrzeczeniem
sroki rozstrzeliwują nocne sny
świt jasny żeglarz
napływa jak flaga
dotyka nas ciepłymi
dłońmi

gładkie czoło horyzontu
zapowiada
zagadkową twarz słońca

dzień niesie za pazuchą
niespodzianki –
płachtę szarości
dwulicowość z egoizmem
bohaterstwo z tragedią

kielkuje nowa nadzieja

Tchnienie

spłynie na ciebie z którymś świtem
lub z którymś cierpieniem
światło wyrażania siebie
i upłynie jeszcze trochę czasu
nim zrozumiesz na czym polega –
będzie lekarstwem podnoszącym z kolan

ani pomyślisz że masz być sobą
bo będzie w tobie jak krew i myśl
a nawet na tobie jak rzep
wczepiony w sztruksową kurtkę
łagodzący strach
przed upływającym czasem

Dzwon

bije dla każdego
większy lub mniejszy
zgrany z twoim sercem

pagór życia
ścieżki nie wydeptane wyznaczasz swoje
po latach na rozdrożach
słuchasz dzwonu uważnie
wybierając własne tony –
wreszcie – bije w tobie codziennie

wzmaga się
kołysze w wielkim napięciu

przed bramą w niebyt

Cisza

skrada się nocą z chrobotem
najczęściej brzemienią

jest spowiednikiem
zwała na mnie bagaż pokuty
z którym muszę sobie poradzić
nie przejmuję się wcale
nawet gdy jestem w depresji
siedzi godzinami
tyle tego dzwoniącego przesytu
boję się by
nie została we mnie na zawsze

MATTHIAS KNEIP

Poeta, badacz literatury, publicysta, urodzony w 1969 r. w Ratyzbonie (Regensburg – Niemcy), studiował germanistykę, slawistykę i politologię. W 1999 r. obronił pracę doktorską o miejscu i roli języka niemieckiego na Górnym Śląsku w okresie od 1921 r. do lat dziewięćdziesiątych XX w. Obecnie związany jest pracą zawodową z Polskim Instytutem w Darmstadt, angażując się w rozwijanie kontaktów kulturalnych między Niemcami i Polską.

Dłonie poety

moje dłonie marzą
o aktówkach i reklamówkach
o metalu lub glinie
o drewnie do rzeźbienia

marzą o uchwytach do podnoszenia
o sznurkach do pakowania
o piłkach do chwytania
ziemniakach na polu

moje dłonie otwarte
trochę drżą
znoszą pustkę
z trudem nie do pojęcia

Midlife Crisis

Co było niewiele
przypomina co będzie,
co nowego
przyniosą dni
szczęście zaczyna kapać
nie zaspokoi pragnienia
nieszczęście staje się
przyzwyczajeniem
dlatego tylko w połowie złe
czy tylko złe w połowie?
Moja połowa nie chce się skończyć
nawet nadzieja nie wie dokąd
utknąłem i czekam.
Czekam. Czekam
na małą dozę
braku równowagi.

Pęknięcie

Podróż na wschód Polski

Kiedy ujrzałem pęknięcie, zobaczyłem:
Wojnę. Przegraną. Śmiertelny skok
w życiorysach. Brzeg środka. Zobaczyłem:
granice przenosiły ludzi. Ucieczki.
Wytrwałych. Wspomnienie tego, co było, niepokój
o to co zostało. Poszukujących. Zobaczyłem: jakąś rzekę,
na przykład Wisłę, Bug,
San albo Narew. Płynęły. Murom
pozwolić oglądać zieleni, ludzi,
ich nadzieję, życie po rozłamie.
Zobaczyłem: coś pomiędzy, coś rosnące,
otulało ciepłem kamień, wylaniało się z ciemności
z korzeniami, o wiele starszymi niż pęknięcie.

Do przyjaciela

Nie żądasz ode mnie dowodu
nie wystawiasz na próbę
nie dręczysz zazdrością

Słuchasz, kiedy milczę
zawierzasz bez obietnic
nie pytasz kiedy proszę

Pomiędzy nami wyznanie
objęcie, uścisk dłoni.
Niewypowiedziane. I o każdej porze.

Przełożyła: GRAŻYNA SZEWCZYK



Rys. Wojtek Łuka

1922 r. – polska kultura na Śląsku

Bez płaszcza Konrada?

TADEUSZ
SIERNY

I.

Po podpisaniu 15 maja 1922 traktatu w Genewie, na południowo zachodnich kresach Polski – w czerwcu 1922 roku – zaczyna funkcjonować województwo śląskie, ustanowione już wcześniej przepisami ustawy konstytucyjnej Sejmu Ustawodawczego z dnia 15 lipca 1920 roku wraz z zawartym w niej Statutem Organicznym Województwa Śląskiego.

Bielsko, Cieszyn, Katowice, Królewska Huta (Chorzów), Lubliniec, Pszczyna, Rybnik, Świętochłowice, Tarnowskie Góry – to główne ośrodki miejskie skupiające w 1921 roku ponad 1,1 mln mieszkańców zróżnicowanych: narodowościowo, wyznaniowo, ekonomicznie, politycznie, społecznie.

Katowice z kresowego wschodniego miasta pogranicznego, ale o historycznie już wykształconych w państwie pruskim funkcjach administracyjnych (tu zlokalizowane były siedziby dyrekcji koncernów węglowych, kolei państwowych, towarzystw kredytowych i ubezpieczeniowych, banków, siedziba sądu, szkół, szpitali, redakcji gazet, teatru), dosyć niespodziewanie stały się stolicą jednego z najważniejszych gospodarczo województw w odrodzonej Polsce, znowu na kresach, lecz tym razem zachodnich.

Tradycyjnie funkcjonujący jako centrum kulturalne, edukacyjne i polityczne Bytom, pozostał poza gra-

nicami państwa polskiego i teraz wraz z Gliwicami rozpoczął ostrą rywalizację z swoim polskim sąsiadem. Nie zniknęło także, chociaż zostało osłabione podziałem miasta, ambitne środowisko kulturalne, o bogatych tradycjach edukacyjnych, artystycznych – ale, przede wszystkim patriotycznych – Cieszyna, czyli Śląskich Aten.

Zlokalizowane w Katowicach urzędy: Sejmu Śląskiego, Rady Wojewódzkiej, wojewody i Urzędu Wojewódzkiego, Sądu Okręgowego i Apelacyjnego, Komendy Policji, Urzędu Skarbowego, Naczelnego Dowództwa Wojskowego na Górny Śląsk, Wyższego Urzędu Górniczego, Urzędu Miar i Wag, Urzędu Kontroli Państwowej, dyrekcje koncernów węglowych i hutniczych, koncernów handlujących węglem i stałą, instytucji samorządu gospodarczego, banków, przedstawicielstw konsularnych spowodowały powstanie w tej zurbanizowanej przestrzeni miejskiej grupy urzędników, pracowników umysłowych liczącej sobie w 1931 roku ponad 22 000 osób. Jeśli dodać do tego społeczność nauczycielską w województwie śląskim, czyli prawie 3,5 tys. osób oraz blisko 10 000 rzeszę uczniów szkół średnich w początku lat dwudziestych to, wielkość potencjalnej grupy publiczności kulturalnej w Katowicach i województwie szacować można na kilkadziesiąt tysięcy osób, w tym wielu inżynierów, prawników, ekonomistów i in.

Pamiętać jednak musimy o wspomnianym wyżej zróżnicowaniu narodowościowym i napięciach polsko-niemieckich, zróżnicowaniu ekonomicznym i stosunkowo drogiej książce, która „mogła kosztować od 95,00 groszy za tom, co równało się cenie taniego studenckiego obiadu, a tom beletrystyki 2-3 złote, gazeta od 5 groszy do 20 groszy, nowość beletrystyczna mogła kosztować i 12,00 złotych, czyli tyle ile dwie pary dobrych butów”, w efekcie na zakup książki w latach 1929-1939 stać było co 30 mieszkańca Polski, no i wreszcie o tej mało znanej okoliczności, iż cyt.: „Prawie połowa naszej inteligencji w 1931 roku posiadała wykształcenie niższe aniżeli średnie, wyższe zaledwie, co dziesiąta osoba.” Na pruskim Śląsku obowiązywał przymus szkolny i wszystkie dzieci musiały uczęszczać do szkół podstawowych – tyle że niemieckich; ale zmora analfabetyzmu tutaj nie była już znana. W latach 1922-1923 poziom scholaryzacji w województwie wynosił 87%.

II.

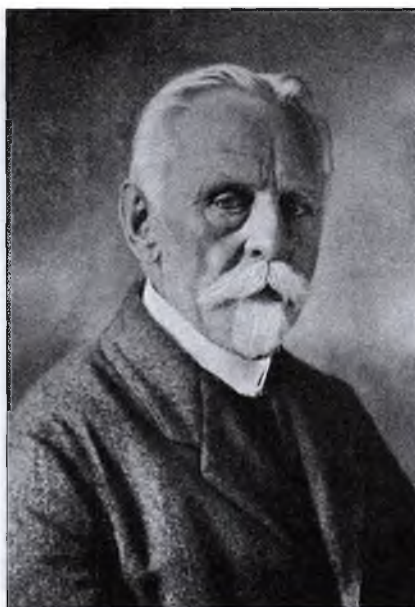
U zarania procesu rodzenia się katowickiego środowiska kulturalnego umierają dwaj znakomicie wykształceni pisarze: poeta, dramatopisarz, prawnik dr Jan Nikodem **Jaroń** (1864-1922) i bernardyn, prozaik i publicysta Franciszek **Stateczny** (1864-1921).

Tradycję kulturową, literacką, nie rzadko akademicką wyniesioną z ośrodka Krakowskiego, Wrocławia, Wiedeńskiego i innych drugiej połowy XIX wieku symbolizują w nowym województwie śląskim nestorzy polskiego piśmiennictwa: Jan **Kubisz** (1848-1929), nauczyciel, autor hymnu Śląska Cieszyńskiego: *Źyjesz Olzo*, znany przede wszystkim z opublikowanego w 1928 roku *Pamiętnika starego nauczyciela*; Piotr **Kołodziej** (1853-1931) robotnik z Siemianowic, pisarz ludowy, dramatopisarz, komediopisarz, prezes Związku Chrześcijańsko Ludowego, jego komedie były bardzo popularne i często wystawiane przez teatry ludowe, w latach dwudziestych zamilkł, już nie tworzył; Józef **Londzin** (1863-1929), ksiądz katolicki, burmistrz Cieszyna, prezes Towarzystwa Wydawniczego Dziełnictwo Błogosławionego Jana Sarkandra dla Ludu Polskiego na Ślą-

sku, senator, napisał m.in. rozprawę pt.: *Polskość Śląska Cieszyńskiego* (1924); Franciszek **Popiołek** (1868-1960) nauczyciel, historyk; Ernest **Farnik** (1871-1944) nauczyciel, założyciel i redaktor „*Zarania Śląskiego*”, autor „*Istnych roków*” sztuki wielokrotnie granej w teatrach ludowych.

Nieco młodszy od wymienionych wyżej: Jakub **Kania** (1872-1957) z Siołkowic Starych (Opolszczyzna) rolnik, poeta, autor *Wierszy śląskich* (1931), Konstanty **Prus** (1872-1961) publicysta, historyk, współorganizator *Towarzystwa Przyjaciół Nauk* na Śląsku i Wojewódzkiego Archiwum w Katowicach; Jan **Wantuła** (1877-1953) samouk, hutnik, wyróżniony wawrzynem PAL; bibliofil, w 1930 roku opublikował w Zaranii Śląskim: *Pamiętnik Jury Gajdźcy*; Oskar **Zawisza** (1878-1933) proboszcz w Cierlicku, historyk, folklorysta, muzyk, kompozytor dramaturg; Emanuel **Grim** (1883-1953), duchowny katolicki, od 1926 roku członek Rady Wojewódzkiej w Katowicach, wyróżniony Srebrnym Wawrzynem Polskiej Akademii Literatury, autor m.in. *Jasełek śląskich* (1920), *Wesela śląskiego* (1924); Jan **Sznurowacki** (1883-1941) duchowny katolicki, autor bajek, wierszy, monologów, zamordowany w KL Dachau; Józef **Lebie-dzik** (1884-1928) filolog, dziennikarz; Wincenty **Ogrodziński** (1884-1945) wizytator szkół średnich w województwie śląskim, pełnił nadzór nad mniejszościowym szkolnictwem niemieckim, historyk literatury, badacz piśmiennictwa, edytor; Józef **Piernikarczyk** (1885-1946) historyk górnictwa; Walenty **Krzyszcz** (1886-1959) nauczyciel, organista, prozaik, dramaturg, w 1923 napisał obrazek pt.: *Raubczy-cy spod Czantorii*, później *Wesele cieszyńskie* in.; Emil **Szramek** (1887-1942) duchowny, socjolog, prezes Towarzystwa Przyjaciół Nauk na Śląsku, zginął w KL Dachau; Emanuel **Imiela** (1888-1953) w 1922 opublikował *Górnośląskie bajki i satyry*; Ludwik **Musiół** (1892-1970) współtwórca w 1922 roku pierwszego polskiego seminarium nauczycielskiego w Pszczynie, historyk, archiwista; Ludwik **Kobiela** (1897-1945) nauczyciel, pisarz.

Do nich dołączają znacznie młodsi, urodzeni już w XX wieku: Jerzy **Probosz** (1901-1942) samouk, poeta



Jan Kubisz

i prozaik, autor *Wesela górali istebniańskich*; również wyróżniony Srebrnym Wawrzynem Akademickim Polskiej Akademii Literatury (1938), zamordowany w KL Dachau; pochodzący z Wielkopolski Alfred **Jesionowski** (1902-1945), nauczyciel, krytyk literacki, walczący o uznanie i wysoką rangę regionalnej literatury śląskiej, Kazimierz **Popiołek** (1903-1986) późniejszy pierwszy rektor Uniwersytetu Śląskiego; Paweł **Musiół** (1905-1943), nauczyciel, organizator w 1931 grupy literackiej „Młoda Polska”, propagator swego rozumienia regionalizmu śląskiego, zgilotynowany w Katowicach w 1943 roku; Paweł **Kubisz** (1907-1968) poeta, publicysta, autor tomu poetyckiego *Kajdany i róże* (1927), określano go jako pierwszego awangardowego poetę na Zaolziu; Adolf **Fierla** (1908-1967), nauczyciel, poeta i prozaik, autor tomów: *Haldy* (1930), *Przydrożne kwiaty* (1928), powieści *On-draszki* (1930).

Kolejne pokolenie najmłodszych pisarzy i poetów przywędruje na Śląsk w latach trzydziestych i ujawni swoją obecność pod koniec tych lat publikując swe utwory w redagowanej przez P. Musiōła: *Kuźnicy* (1935-1939) oraz Z. **Hierowskiego**, W. **Szewczyka** i J. K. **Zarembe**: *Fantanie* (1938-1939).

Z zestawu ówczesnych postaci widać jak liczne było owe „środowisko” i jak wielkie było jego terytorialne rozproszenie, właściwie jedynie Cieszyń mógłby się poszczycić zintegrowanymi grupami literatów, ale twórcy

ci pracowali najczęściej w odosobnieniu komunikując się ze sobą tradycyjną drogą epistolarną, lub poprzez publikowane w czasopismach artykuły albo spotykając się w gronie erygowanych jeszcze w XIX wieku Stowarzyszeń, nikt z ich grona nie funkcjonował jako profesjonalny pisarz. Swoją twórczość literacką traktowali jako powołanie, nie zawód lub profesję, swoje utrzymanie zawdzięczali najczęściej: wykonywanej pracy na roli lub w przemyśle, funkcjom duszpasterskim lub pracy w szkole, albo w czasopismach.

Mogli, zatem ówcześni władarze tego skrawka Rzeczypospolitej pozwolić sobie na nieco lekceważący stosunek do tych środowisk. Dowodem, na bagatelizowanie kwestii kulturalnych i naukowych były m. in. ogromne perypetie, z jakimi musieli się borykać ówcześni zarządzający TPN, ewakuujący w 1922 roku cenny zbiór książek Towarzystwa z Bytomia do Katowic i nieznajdący wówczas zrozumienia dla tych starań zarówno w Katowicach, Śląskim Urzędzie Wojewódzkim i Ministerstwie WRiOP. Nie powinno nas, więc dziwić gorzkie wyznanie Konstantego Prusa odnotowane w pierwszym tomie Roczników Towarzystwa Przyjaciół Nauk na Śląsku, cyt.: „*Pod rządami polskimi, które już trwają z górą 6 lat, co się zmieniło? Żadne województwo w Polsce w proporcji do swej ludności i swego obszaru nie daje państwu i swojej władzy wojewódzkiej tak wielkich dochodów, jak Województwo Śląskie, a jednak żadne województwo rdzenne polskie nie leży pod względem kulturalno-naukowym tak smutnym odlegiem, jak właśnie Województwo Śląskie.*”

Warto w tym kontekście pamiętać także o podjętych w 1927 roku próbach utworzenia w województwie śląskim – Politechniki oraz Uniwersytetu, a w 1930 Wyższego Studium Ekonomiczno Handlowego – zakończonych wówczas fiaskiem, z powodu stanowczego sprzeciwu władz centralnych.

III.

Dlatego całkowicie uzasadnionym było dążenie środowisk kulturalnych do zintegrowania i zorganizowania się w celu efektywnego współdziałania z władzami lokalnymi i regionalnymi.

Pierwszym skutecznym działaniem na tym polu było przeniesienie w 1922 roku siedziby **Towarzystwa Przyjaciół Nauk** na Śląsku z Bytomia do Katowic. W 1924 w Katowicach organizuje się siedziba władz **Centralnego Związku Akademików Górnoślązków**, literaci po raz pierwszy próbują się zorganizować w 1927 w **Kole Literatów na Śląsku**, nauczyciele w następnym 1928 roku tworzą **Koło Polonistów** na czele z W. Ogrodzińskim, a pisarze **Śląskie Towarzystwo Literackie**, które już pod opieką urzędującego od 1926 nowego wojewody dr. Michała Grażyńskiego otrzymuje liczne subwencje z środków Skarbu Śląskiego. ŚTL jest oficjalnym decydem nagród literackich przyznanych później G. Morcinkowi (*Wyrąbany chodnik*), Z. Kossak (*Nieznany kraj*), S. Ligonowi (*Wesele na Górnym Śląsku*).

W 1930 roku powstaje liczny **Związek Artystyczno Literacki** na Śląsku, w tymże roku rodzi się **Związek Pisarzy Regionalnych „Silesia”**.

Inne środowiska kulturalne także nie próżnują, w 1922 roku powstaje **Towarzystwo Przyjaciół Teatru Polskiego**. W skład jego zarządu wchodzi: bankowiec (J. Piechulik), sędzia (F. Bocheński), kupiec (W. Cieplicki), rzemieślnik (A. Kmiotek), lekarz (M. Sobolewski) burmistrz Królewskiej Huty (P. Dąbek). Tak znakomite towarzystwo niestety nie uchroniło powstałego teatru polskiego od przeróżnych kłopotów i problemów; w 1928 rodzi się **Śląskie Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych i Towarzystwo Muzyczne**, a także **Związek Śląskich Kół Śpiewaczych**; a 1929 **Związek Zawodowy Artystów Plastyków na Śląsku** na czele z S. Ligonem.

Można, więc powiedzieć, że do końca lat dwudziestych środowisko literackie i szerzej kulturalne utworzyło pierwsze formy organizacyjne, a władze wojewódzkie ukształtowały zaczątki instrumentów umożliwiających skuteczną realizację regionalnej polityki kulturalnej (dotacje, śląskie nagrody wojewódzkie, koncepcja polityki regionalnej).

Równolegle powstają media umożliwiające komunikowanie się twórców z swoimi odbiorcami w ramach, nowoczesnej, tworzącej się sfery nowej kultury masowej.

Ukazują się pierwsze numery tygodnika „**Gość Niedzielny**” (1923),



Ludwik Kobiela

w następnym roku koncert wydawniczy W. Korfatego publikuje od września 1924 roku „**Polonię**”, w 1926 wydawana jest **Polska Zachodnia z Dodatkiem Literackim**, w następnym roku zaczyna być publikowany „**Powstaniec Śląski**”. W sumie w połowie lat dwudziestych w Katowicach drukowanych jest 58 czasopism (w tym 18 niemieckich).

W 1927 śląskie środowiska kulturalne otrzymują do dyspozycji **Rozgłośnie Polskiego Radia w Katowicach**, w której realizować będą swe audycje G. Morcinek, S. Ligoń, W. Szewczyk, T. Dobrowolski i wielu innych.

Od grudnia 1929 roku publiczność kinowa w Katowicach w kinie „**Rialto**” ma do dyspozycji seanse udźwiękowione, działają liczne kina, po-



Emanuel Konstanty Imiela

wstają pierwsze przedsiębiorstwa produkcji filmowej.

Niezmenną popularnością cieszy się teatr, w tym przede wszystkim teatry amatorskie preferujące regionalizm kulturowy, zrzeszone w **Związku Śląskich Teatrów Ludowych**.

W drugiej połowie lat dwudziestych władze wojewódzkie tworzą także strukturę podstawowych instytucji kultury erygując w 1924 roku **Bibliotekę Sejmu Śląskiego** (późniejsza Biblioteka Śląska), **Muzeum Śląskie**; 1927, **Państwowe Konserwatorium Muzyczne** (1928), **Instytut Pedagogiczny**, a w 1932 roku utworzone zostaje **Wojewódzkie Archiwum Akt Dawnych**.

Do przełomu lat dwudziestych i trzydziestych zostaje, więc stworzona infrastruktura instytucji kultury.

W 1931 roku prawie 3% czynnej zawodowo ludności Katowic, pracuje w sferze oświaty i kultury. Ta potencjalna publiczność literacka ma niewątpliwie dostęp do sieci upowszechniającej treści literackie. W Katowicach i województwie śląskim w latach 1922-1927 działa **Towarzystwo Akcyjne Księgarń Polskich na Śląsku „Księgarnia Polska”**; a także m.in. „**Księgarnia Śląska**” A. Rychlewskiego, **Księgarnia T. Mikulskiego** (do 1939), **Księgarnia i Drukarnia Katolicka** oraz wielu wydawców.

Budowana od podstaw oświata polska zaowocowała powstaniem w 1931 roku **Śląskich Technicznych Zakładów Naukowych**.

Zatem była już tutaj obecna liczna publiczność literacka i istniały zarówno – edukacyjne jak i organizacyjne oraz ekonomiczne – warunki dla jej rozwoju.

IV.

Kiedy w Warszawie Antoni Słomski „*zrzucił z ramion płaszcz Konrada*” (1919) a Kazimierz Wierzyński z radością witał II Rzeczpospolitą fantazyjnym stwierdzeniem iż, „*Zielono mam w głowie i fiołki w niej kwitną*” (1919) na Śląsku trwały intensywne przygotowania do II i III Powstania.

Nie zrucano więc tutaj ochoczo ani płaszcz Konrada, ani fiołki nie kwitły w głowach twórców, co więcej bez echa pozostał wygłoszony nieco później w 1930 roku apel nauczyciela, polonisty z Cieszyna by Śląsk funkcjonował jako: „*Najbar-*

dziej zachodni, najbardziej uprzemysłowiony i różnicowany społecznie region – w służbie najbardziej nowoczesnej ideologii artystycznej” (J. Przyboś: 1930).

Co zatem zadecydowało o tym, że pomimo obecności Zofii **Kossak**, Gustawa **Morcinka**, Juliana **Przybosia**, Pawła **Kubisza** na Zaolziu, krytycznej działalności Ignacego **Fika**, F. **Bujaka**, S. **Kota** – to także zróżnicowane i liczne grono twórców zostało zmarginalizowane we współczesnej im polskiej kulturze literackiej lat dwudziestych minionego wieku, tendencje artystyczne manifestowane w twórczości licznych grup literackich, prawie w ogóle – poza wpływami Czwartaka – nie objęły w tych latach swoimi wpływami rodzimych, śląskich twórców.

Sukcesy artystyczne i czytelnicze Zofii Kossak (honorowane także Śląską Nagrodą Literacką, Złotym Wawrzynem Literackim PAL, nagrodą czytelników „Wiadomości”) są efektem publikacji dzieł tej pisarki i jej fascynacją tematyką śląską w latach trzydziestych.

Gustaw Morcinek w latach dwudziestych zdążył opublikować tylko w 1929 tom nowel *Serce za tamą*, a sztandarowy *Wyrąbany chodnik* i wiele kolejnych książek ukazało się w 1931 roku i następnych latach.

Postulaty artystyczne J. Przybosia nie zostały na Śląsku dostrzeżone w latach dwudziestych, a jego tomy poetyckie *Z ponad* (1930) i *W głębi las* (1932) są już publikacjami z lat trzydziestych.

W całym okresie międzywojennym 60% pisarzy polskich pochodziło z terenów zaboru rosyjskiego, niespełna 36% z obszaru zaboru austriackiego, zaledwie 4% z terenów zaboru i ziem państwa pruskiego. Charakterystyczne jest i to, że ustanowiona w 1925 roku Nagroda Ministra Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego zwana także nagrodą państwową w kwocie od 5 000 do 20 000 ówczesnych złotych, nigdy nie została przyznana pisarzowi ze Śląska.

Wszyscy badacze tego okresu – z których dorobku także czerpał autor niniejszego tekstu – Zdzisław Hierowski, Mirosław Fazan, Witold Nawrocki, Stefan Żółkiewski, Maria Tkocz, Wilhelm Szewczyk wskazują na okres lat dwudziestych jako pewną fazę stagnacji życia literackiego i kulturalnego (z wyjątkiem



Walenty Krzyszcz

ruchu śpiewaczego i teatralnego amatorskiego).

Zarówno w ośrodku cieszyńskim jak i górnośląskim dominowały „narodowo polityczne funkcje uprawianej literatury” adresowanej do czytelnika ukształtowanego przez wówczas już historyczny wzór czytelnictwa, marginalizujący ludyczną funkcję tekstu, natomiast sakralizujący jego ideowo patriotyczne i edukacyjne funkcje. Teksty literackie były budowane głównie w oparciu o fabułę znaną z autopsji „pisarzom ludowym”, w klasycznej stylistyce adaptowanej z ogólnopolskich wzorów romantycznych lub pozytywistycznych.

Literatura o charakterze patriotycznym, eksponująca śląską odrębność i rodzimość, będąca znakiem mitym narzędziem dydaktycznym i agitacyjnym zmienia się w latach dwudziestych w archaiczną częstokroć manierę folklorystyczną.

Paradoks polega prawdopodobnie także i na tym, że najbardziej wdzięczną, najbardziej liczną grupą publiczności literackiej, teatralnej była ta, – której gusta estetyczne i oczekiwania ideowe zostały ukształtowane w okresach silnej konfrontacji polsko niemieckiej, jej oczekiwania spełniały właśnie owe utwory demonstrujące tożsamość śląską, rodzimość, odrębność wobec Niemców i Polski (rola gwary). Odrębność Śląska, atrakcyjność kulturowa owej uświadamianej przez publiczność inności czyniła różne folklorystyczne *Wesela śląskie* szczególnie atrakcyjnymi i oczekiwanymi przedstawieniami.

Rywalizacja, bliskość i ofensywność ciągle przecież wówczas obec-

nych na Śląsku atrybutów kultury niemieckiej – umacniała i wielokrotnie uzasadniała korzystanie z tego typu utworów.

Standardy kultury literackiej pokoleń urodzonych twórców wkraczających do literatury na przełomie XIX i XX wieku usprawiedliwiały i uzasadniały tego typu normy estetyczne, postawy artystyczne. Trzeba obiektywnie przyznać, że wielu przedstawicieli tych starszych pokoleń twórczych – w latach dwudziestych, po odzyskaniu niepodległości zamilkło i nie kontynuowało swej działalności literackiej.

Jednakże praca edukacyjna realizowana w szkolnictwie podstawowym i średnim, ogólnopolska komunikacja literacka organizowana przede wszystkim przez prasę i radio kreowała już w drugiej połowie lat dwudziestych inną estetykę, tę bez płaszczy Konrada, patriotyczną, ale wrażliwą na nowe wartości estetyczne i rodzące się w czasach kryzysu ekonomicznego problemy społeczne. Tej okoliczności nie dostrzegło wielu ówczesnych animatorów i twórców kultury.

Dopiero przełom lat trzydziestych przyniósł dzieła o współczesnych problemach Śląska dostrzeganych nie ze stereotypowej perspektywy mniemy regionalizmu, ale wnioskujące głęboko w aktualne problemy narodowe, społeczne, polityczne, czyli te, które w tradycyjnej literaturze regionalnej były częstokroć ukryte pod zasłoną solidarności narodowej, miłości do stron rodzinnych i innych temu podobnych szlachetnych, ale także już zmitologizowanych ideałów.

Budowany od 1929 r. i preferowany przez wojewodę M. Grażyńskiego program rozwoju kultury narodowej opartej na ekspozycji odrębności regionu, ideologii katolickiej i przesłankach patriotycznych, realizowany w dyskusji z programem regionalnym Pawła Musioła, na tle trawiącego gospodarke wielkiego kryzysu ekonomicznego zaowocował w latach trzydziestych dokonaniem Pawła **Stellera**, Stanisława **Szukalskiego**, Adama **Bunscha**, wielkimi sukcesami czytelniczymi: Gustawa **Morcinka**, Poli **Gojawiczyńskiej**, Zofii **Kossak**.

Te postacie stały się w trudnych latach trzydziestych inspiracją i wzorem dla rodzącego się, nowego śląskiego środowiska literackiego.

1922 r. – polska kultura na Śląsku

Kultura muzyczna Katowic pozostawała od początku założenia miasta w cieniu głównego niemieckiego kulturalnego ośrodka ówczesnego Górnego Śląska jakim był Bytom obsługujący imprezami teatralnymi i muzycznymi także najbliższe miejscowości. Ale od podziału tego regionu w r. 1922 na część niemiecką i polską z Katowicami jako stolicą nowo powstałego województwa śląskiego nastąpiły tu inicjatywy zmierzające do zastąpienia dominującej dotąd oficjalnie kultury niemieckiej treściami i formami kultury polskiej.

Droga do potęgi

LEON
MARKIEWICZ

Z historii początków
życia muzycznego Katowic

Dokonywały się one nie tylko w powszechnym na Śląsku amatorskim ruchu chóralnym ale i w sferach profesjonalnych dotąd pozostających w rękach niemieckich: scenicznej, szkolnictwa muzycznego, ruchu koncertowego. Ożywienie tych sfer – nie tylko w Katowicach, ale i w innych miastach województwa – w dużym stopniu zależało najpierw przede wszystkim od inicjatyw miejscowych działaczy kultury. Spośród nich niewątpliwie pierwszoplanową rolę w zakresie organizacji polskiego życia muzycznego na Górnym Śląsku odegrali wówczas dwaj muzycy pochodzący spoza Śląska: Stefan Marian Stoiński i Stefan Ślęzak.

Spójrzmy najpierw na ruch chóralny. Konsekwencją podziału terytorialnego Górnego Śląska stała się konieczność uszczuplenia gęstej sieci amatorskich chórów polskich, które od wielu lat były głównym przejawem kultury polskiej w całym spornym regionie. Wprawdzie w jego wyniku założony już w roku 1910 w Bytomiu Związek Śląskich Kół Śpiewaczych musiał rozdzielić się na dwa odrębne związki śpiewacze z siedzibami w Katowicach

(ZŚKS) – 225 chórów i w Bytomiu (Związek Kół Śpiewaczych na Śląsku Opolskim) – 129. To jednak na terenach przyłączonych do Macierzy polski ruch śpiewaczy, nieskrępowany dotychczasowymi restrykcjami ze strony władz pruskich, zdołał w stosunkowo krótkim czasie zregenerować się, okrzepnąć i niemal podwoić stan liczbowy zespołów. W ślad za tym szła znacznie większa niż w przeszłości ilość występów poszczególnych zespołów. Jedną z głównych form działalności zarządu Związku była kontynuacja organizowania tradycyjnych turniejów, świąt pieśni i masowych zjazdów chórów – okręgowych lub ogólnos Śląskich – będących zazwyczaj radosnymi manifestacjami patriotycznymi. Np. pierwszy wielki zjazd ogólnos Śląski zorganizowany był w Katowicach już w r. 1925, zaś drugi odbył się w r. 1930 przy manifestacyjnym udziale 8 tysięcy chórzystów z okazji odsłonięcia pomnika Stanisława Moniuszki wznieśionego z własnych składek. Zjazdy takie były zazwyczaj uświetniane wspólnym wykonywaniem pieśni przez połączone chóry. Gdy w r. 1927 Stefan M. Stoiński, pochodzący z Wielkopol-

ski wielce zasłużony dla polskiego życia muzycznego na Górnym Śląsku kompozytor, dyrygent i niestrudzony działacz społeczny został dyrektorem artystycznym ZŚKS, w krótkim czasie zainteresował chóry wielkim repertuarem, doprowadzając kierowany przez niego katowicki chór „Ogniwo” do najwyższych osiągnięć artystycznych w wykonywaniu dzieł tej miary co kantaty i oratoria Moniuszki, Haendla, Nowowiejskiego, Berlioza, Beethovena. W tym zakresie „Ogniwo” stało się jedynym chórem polskim na Górnym Śląsku zdolnym rywalizować z działającym od wielu lat w Katowicach znakomitym niemieckim chórem „Meistersche Gesangsverein” pod dyktando Fritza Lubricha, który dotąd górował nad chórmi polskimi w wykonywaniu tego rodzaju repertuaru. Szczególnym przejawem tej rywalizacji – zaznaczmy: nie konfliktowej! – było pierwsze na Śląsku wykonanie przez chór Lubricha oratorium „Stabat Mater” Karola Szymanowskiego. Uniesiony ambicją Stoiński był w stanie podjąć to wyzwanie dopiero po czterech latach wykonując „Stabat” z „Ogniwo” oraz orkiestrą Towarzystwa Muzycznego pod swoją dyktando i to w obecności kompozytora przyznanego z najwyższymi honorami przez władze miasta, zachwyconych chórzystów i publiczność.

Po wykonaniu „Stabat Mater” – wspominał ówczesny sekretarz „Ogniwa” Edward Mazurek – rozległy się takie brawa, że nie wierzyliśmy własnym oczom i uszom. Wprost nie było im końca. Spotęgowały się one, kiedy Szymanowski, prowadzony przez ówczesnego prezydenta Katowic doktora Kocura, wszedł na estradę. Z zażenowaniem dziękował za gorące przyjęcie i zrozumienie dzieła przez publiczność. Kiedy zaś zwrócił się do chóru, spadł na niego deszcz kwiatów, które chórzystki miały przypięte do bluzek. Po wielu trudnościach, jakie mieliśmy do pokonania, nikt z nas nie spodziewał się aż tak wielkiego sukcesu wykonawczego, ani też tak gorącego przyjęcia ze strony publiczności.

Ten podniosły koncert, który się odbył 15 maja 1934 roku w przepełnionej do ostatniego miejsca Sali Teatru Polskiego, stał się jednym z najważniejszych wydarzeń owego okresu. Przypomnijmy, że na życzenie Szymanowskiego jako soliści wystąpili w nim śpiewacy tej miary co: jego siostra Stanisława Korwin-Szymanowska, Halina Leska i Eugeniusz Kossakowski. W programie koncertu oprócz „Stabat Mater” zostały wykonane fragmenty „Requiem” Berlioza oraz *Wielka Modlitwa* Stoińskiego.

Zachęcony sukcesem Stoiński planował wykonanie w najbliższej przyszłości przez swój chór „Litanię do Marii Panny” i „Veni creator” Szymanowskiego – znów w obecności kompozytora. Niestety – już w trzy lata później „Ogniwo” w grupie 600 osobowej dele-

gacji chórów śląskich uczestniczyło w krakowskim pogrzebie autora „Harnasiów”...

Żywiołowemu rozwojowi polskiego śpiewactwa na Górnym Śląsku zwłaszcza w zakresie jego integracji i w pobudzaniu sfery intelektualnej chórzystów odegrało też czasopismo „**Śpiewak Śląski**”. Periodyk ten wychodzący w latach 1920-22 w Bytomiu jako dwutygodnik, a później w Katowicach jako miesięcznik osiągnął swój rozkwit w latach 1926-39, gdy na jego czele stanął pełen pomysłów innowacyjnych Stoiński, pozyskując do współpracy także wybitne autorytety muzyczne spoza Śląska. W formie kwartalnika czasopismo to utrzymuje się do dziś.

W sferach profesjonalnych jedną z pierwszych inicjatyw po powrocie części Górnego Śląska do Macierzy w roku 1922 było ukonstytuowanie się Towarzystwa Przyjaciół Teatru Polskiego na Śląsku, które doprowadziło do utworzenia w Katowicach **Teatru Polskiego** z dwoma działami: komediowo-dramatycznym i muzyczno-operowym. Już 7 października zespół teatralny wystąpił z premierą „Królewskiego jedynaka” Lucjana Rydla w reżyserii Wacława Nowakowskiego, operowy zaś w dzień później z „Halką” Stanisława Moniuszki w reżyserii Romualda Mossoczego. Oba spektakle, zwłaszcza muzyczny, publiczność przyjęła wręcz manifestacyjnie jako wielkie wydarzenie o wymowie patriotycznej. Wykonawcami tych historycznych wydarzeń byli aktorzy i muzycy przeważnie zaangażowani spoza Śląska. Odnajdujemy, że partie tytułowe na premierze „Halki” wykonali: Hanna Skwarecka (Halka), Henryk Miller (Jontek), Wiesława Stróżyńska (Zofia), Czesław Rawita (Janusz) i Tadeusz Wierzbicki (Stolnik). Premierę prowadził powołany na dyrygenta przez Zarząd Towarzystwa Przyjaciół Teatru Polskiego Stefan M. Stoiński.

Już w pierwszym sezonie dział muzyczny Teatru Polskiego przygotował takie dzieła jak „Madama Butterfly” Pucciniego, „Straszny Dwór” Moniuszki, „Trubadur” i „Traviata” Verdiego, ale wobec jeszcze niewystarczająco przygotowanej publiczności katowickiej do odbioru muzyki operowej – co odbijało się negatywnie na frekwencji i wpływach kasowych – ambitne zamierzenia repertuarowe urozmaicano operetkami lub wodewilami. Jednakże mimo dotacji ministerialnych i wojewódzkich wciąż z trudnością radzono sobie z kłopotami finansowymi, które w końcu doprowadziły do rozwiązania sceny operowej w r. 1932. Wszakże podczas dziewięciu sezonów zdołano wystawić na scenie katowickiej wiele oper z światowego repertuaru – w tym nawet trudnego „Tannhäusera” R. Wagnera – a tak-



Michał Spisak

że takie dzieła kompozytorów polskich jak „Casanova” L. Różyckiego, „Legenda Bałtyku” F. Nowowiejskiego, „Silesiana” St. Ślązaka, „Mazepa” A. Münchheimera i „Zygmunt August” T. Jotejki. Czasem, oprócz stałej grupy solistów do odtwarzania ról tytułowych zapraszano na scenę katowicką śpiewaków z Warszawy, Lwowa, Poznania w tym o światowej renomie jak np. Adę Sari, Wandę Wermińską, Adama Didura czy młodego wówczas Jana Kiepurę.

Warto pamiętać, że Katowicka Scena Operowa nie ograniczała się do spektakli tylko w stolicy województwa lecz prowadziła także działalność objazdową w niektórych miastach polskiego Górnego Śląska jak i po stronie niemieckiej, co umożliwiała Konwencja Genewska, na podstawie której w Katowicach występowała także niemiecka opera z Bytomia.

Od r. 1932, w wyniku likwidacji sceny operowej zaprzestano systematycznego prezentowania spektakli muzycznych, ograniczając się do okazjonalnych koncertów, wieczorów muzyczno-baletowych i fragmentów lub całych oper w wykonaniu doraźnie angażowanych solistów, muzyków orkiestrowych i katowickich amatorskich chórów „Echo” i „Ogniwo”; ewenementem były niekiedy gościnne występy zespołów operowych z Warszawy czy Krakowa. Tym



Grono profesorów Śląskiego Konservatorium Muzycznego, w środku Władysława Markiewiczówna.

sposobem możliwe było jednak organizowanie w sezonie nawet do 30 koncertów lub spektakli muzycznych.²

W rozwoju polskiego życia muzycznego Katowic lat międzywojennych zaczęły już od roku 1925 uczestniczyć szkoły muzyczne. Jedną z nich założył pochodzący z Lubelszczyzny kompozytor, dyrygent, reżyser, śpiewak i organizator życia muzycznego Stefan Ślązak; jej pierwotna nazwa **Śląskie Konservatorium Muzyczne** została zmieniona w r. 1932 na **Pierwszą Polską Śląską Szkołę Muzyczną im. J. Elsnera**. Drugą szkołą był **Instytut Muzyczny Stefana Mariana Stoińskiego**, łączący w sobie kształcenie organistów w ramach nadzorowanego przez władze duchowne „Działu Muzyki Kościelnej”. Obie placówki uzupełniały prowadzoną w nich dydaktykę publicznymi popisami i okolicznościowymi koncertami.

Ale o wiele bardziej istotnym faktem rzutującym na długoletnie kształtowanie kultury muzycznej całego województwa stało się założenie w roku 1929 **Państwowego Konservatorium Muzycznego** – pierwszej śląskiej uczelni o statusie wyższym. Powołane ono zostało z inicjatywy wojewody Michała Grażyńskiego i ulokowane w opróżnionym przez Sejm Śląski okazałym gmachu przy ulicy Wojewódzkiej, do dziś dziedziczonego przez Akademię Muzyczną. Podejmując tę decyzję Grażyński, któremu szczególnie zależało na szybkim rozwoju kultury polskiej w powierzonym mu województwie, zagrał „va banque”: mimo świadomości kompletnego braku w Katowicach odpowiednio przygotowanej artystycznej kadry profesorskiej powołał wyższą uczelnię muzyczną na wzór państwowych konservatoriów w Warszawie i w Poznaniu – miastach mających przecież za sobą o wiele bogatsze i dłuższe niż Katowice tradycje muzyczne. Nie wszystkim dziś wiadomo, że w wyborze odpowiedniego kandydata na organizatora i dyrektora nowego Konservatorium miała decydujący wpływ opinia profesora lwowskiego uniwersytetu Adolfa Chybińskiego, autorytatywnego twórcy polskiej muzykologii, który na to stanowisko usilnie popierał **Witolda Friemanna** – cenionego we Lwowie kompozytora, wirtuoza i pedagoga mistrzowskiej klasy fortepianu tamtejszego konservatorium a także uniwersyteckiego lektora.³

Zarówno poparcie profesora jak i decyzja wojewody Grażyńskiego okazały się przysłowiowym „strzałem w dziesiątkę”. Przeniósłszy się ze Lwowa do Katowic Friemann, mając zapewnione hojne dotacje państwowe, zabrał się z całą energią zarówno do przystosowania gmachu dla potrzeb kształcenia muzycznego i wyposażenia w niezbędne instrumenty, ale przede wszystkim do kompletowania kadry artystyczno-pedagogicznej i to w niespotykanej dotąd

liczbie kilkudziesięciu muzyków różnych specjalności, niezbędnych do natychmiastowego uruchomienia nowej placówki. Oczywiście Friemann sięgnął przede wszystkim po znanych sobie pedagogów ze środowiska lwowskiego ale też wyłowił szczególnie uzdolnionych muzyków z całego kraju legitymujących się dyplomami konserwatoriów warszawskiego, krakowskiego, poznańskiego, studiów zagranicznych czy działalnością koncertową. Przychodziło to mu dość łatwo, ponieważ perspektywa pracy w nowo formowanym konserwatorium – w dodatku państwowym (!) – była i dla młodszych i starszych muzyków, nie do pogardzenia szansą w karierze artystycznej. W rezultacie w Katowicach nagle pojawiło się – wprawdzie importowane – środowisko muzyczne o wzrastającym z roku na rok znaczeniu. Kroniki dzisiejszej Akademii Muzycznej z należytym

szacunkiem i uznaniem wspominają zarówno pierwszego dyrektora Witolda Friemanna jak i powołanych przez niego pedagogów – pionierów profesjonalnej kultury muzycznej w regionie zdominowanym dotąd przez wielki przemysł i sprawców ożywionego życia muzycznego Katowic: pianistów – Stefanię Allinę, Wandę Chmielewską, Władysława Markiewiczówną, wiolinistów – Józefa Cetnera, Tadeusza Krotochwilę, Zygmunta Szellera (skrzypce), Józefa Drohomireckiego (wielonczela), Jana Głuszyńskiego (kontrabas), dęciaków – Wojciecha Smyka, Władysława Reichera, Feliksa Kwiatkowskiego, wokalistów – Zofię Kozłowską i Bronisławę Romaniszyną, dyrygentów – Zbigniewa Dymka, Faustyna Kulczyckiego, organistę i kompozytora – Bolesława Szabelskiego, teoretyków – Adama Miśchę, Tadeusza Prejznera. Do tego grona dołączyli z czasem tej miary artyści co kompozytor Marian Cyrus-Sobolewski, uczniowie Ignacego Paderewskiego Aleksander Brachocki i Stanisław Bielicki, a także znakomita śpiewaczka Stanisława Korwin-Szymanowska.⁴

Ale mimo wysokiej protekcji wojewody M. Grażyńskiego Konserwatorium jako instytucja państwowa istniało zaledwie dwa lata, ze względu na nieprzewidywany przez niego sprzeciw Sejmu Śląskiego zarzucający mu utrzymywanie bardzo kosztownej instytucji. Urażony w swych ambicjach wojewoda przekazał więc tę placówkę pod zarządek wspieranego nadal z środków wojewódzkich Towarzystwa Muzycznego, by po wygranych wyborach w roku 1934 przejąć ją pod nazwą **Śląskiego Konser-**



Stefan Marian Stoiński

watorium Muzycznego znów na budżet Skarbu Śląskiego W tymże roku nastąpiły też zmiany personalne: z funkcji dyrektora Konserwatorium zrezygnował Witold Friemann, przenosząc się do Warszawy; jego następcą został Faustyn Kulczycki – prowadząc tę placówkę również energicznie co jego poprzednik.

Oczywiście perturbacje te nie zahamowały dynamicznego rozwoju Konserwatorium, zwłaszcza że zainteresowanie nauką muzyki na wszystkich trzech poziomach – niższym, średnim i wyższym przerosło najśmielsze oczekiwania organizatorów. Oto do wstępnego egzaminu w r. 1929 zgłosiło się aż 1000 kandydatów, spośród których można było jednak przyjąć zaledwie 400. Wobec nadmiaru kandydatów na poziomie niższym wkrótce go przekształcono w pięcioletnią szkołę umuzykalniającą pod patronatem Konserwatorium. Realizując zapotrzebowanie społeczne wdrożono w tok kształcenia kilka ważnych innowacji. Np. tradycyjne specjalności wokalo-instrumentalne z kompozycją i teorią muzyki uzupełniono, wzorem konserwatorium warszawskiego, kierunkiem kształcenia nauczycieli w szkolnictwie ogólnokształcącym i seminariach nauczycielskich. Już w roku 1930 uruchomiono też pierwszą w Polsce **Wojskową Szkołę Muzyczną** kształcąca kapelmistrzów i elewów wojskowych orkiestr dętych, a w r. 1937 – dwuletnie eksperymentalne **Liceum Muzyczne** utworzone w celu umożliwienia niektórym absolwentom uzyskanie świadectwa dojrzałości w toku wyższych studiów muzycznych. (Z doświadczenia tego

skorzystano po wojnie włączając licea muzyczne do struktury kształcenia muzycznego najpierw w Katowicach, potem w całym kraju).

Wprawdzie od założenia Konserwatorium sporo jeszcze czasu musiało upłynąć zanim pojawili się pierwsi dyplomanci, to jednak już sama dydaktyka prowadzona w Śląskim Konserwatorium wydatnie wpłynęła na ożywienie życia muzycznego Katowic, tym bardziej, że oprócz studenckich popisów oraz koncertów chóru i orkiestry studenckiej aktywność koncertową wykazywali profesorowie występujący jako soliści, kameraliści, prelegenci na koncertach popularyzatorskich oraz recenzenci.

* * *

W rozwoju życia muzycznego Katowic poważne trudności przyniósł rok 1932, w którym – jak już wspomniano – nastąpiła likwidacja Sceny Operowej Teatru Polskiego,

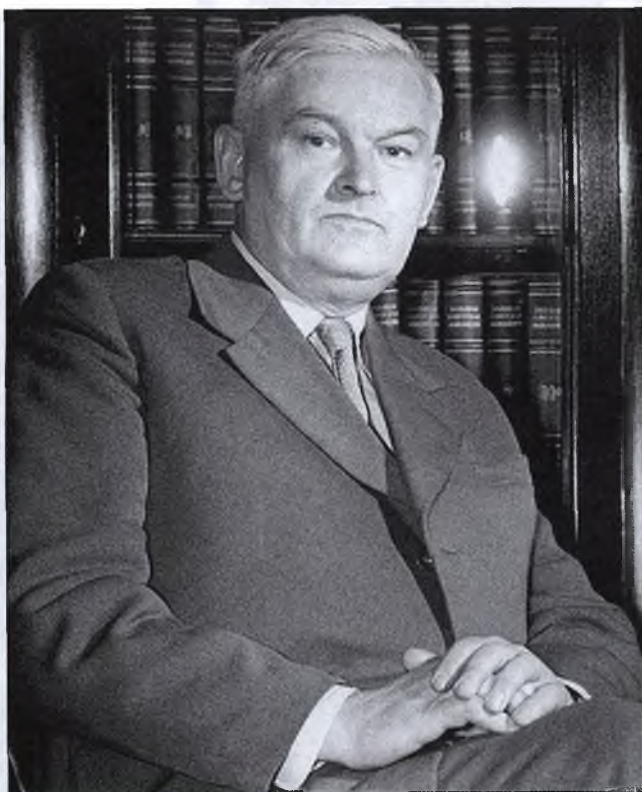
grożąca bezrobociem wśród muzyków orkiestrowych, oraz utrata praw uczelni państwowej przez Konserwatorium. Muzyków rozwiązanej orkiestry operowej natychmiast postanowił zatrudnić jej dotychczasowy dyrygent Stefan Ślązak, umożliwiając im uczestnictwo w orkiestrze błyskawicznie zorganizowanego przez siebie Towarzystwa Muzycznego pod nazwą „**Filharmonia Śląska**” Program pierwszego koncertu, który pod jego dyrekcją odbył się 6 listopada 1932 roku, okazał się dość ambitny, zawierał bowiem uwerturę „Bajka” Stanisława Moniuszki, „I symfonię” Witolda Maliszewskiego, „Koncert fortepianowy f-moll” Chopina w wykonaniu Zbigniewa Drzewieckiego i muzykę baletową z opery „Silesiana” Ślązaka. Nowa orkiestra przetrwała jednak zaledwie jeden sezon; zdołała jeszcze m.in. wystąpić wraz chórem „Śłowiczek” pod dyr. Juliana Kandziory w dniach 2, 9 i 10 kwietnia 1933 roku z oratorium „Quo vadis” Feliksa Nowowiejskiego, po czym przestała istnieć razem z efemerycznym Towarzystwem.

O wiele trwalszą i ważką działalność miało powołane w tym feralnym roku 1932 z inicjatywy wojewody Grażyńskiego drugie **Towarzystwo Muzyczne**, którego zadaniem było dotowanie Śląskiego Konserwatorium oraz sprawowanie głównego mecenatu nad rozwojem życia muzycznego Katowic. Gwarancją autorytetu Towarzystwa było powierzenie funkcji prezesa wicewojewodzie dr. **Tadeuszowi Saloniemu**, a kierownika artystycznego – **Faustynowi Kulczykemu**, dyrektorowi Konserwatorium, któremu wkrótce udało się

utworzyć nowy zespół symfoniczny, tym razem z udziałem także profesorów i studentów Konserwatorium. Doto- wana z funduszy wojewódz- kich **Orkiestra Towarzystwa Muzycznego** okazała się ze- społem trwałym, występując przeważnie raz w miesiącu przy udziale solistów i dyry- gentów miejscowych bądź gościnnych. Wobec braku sta- łej siedziby jej koncerty odby- wały się w Teatrze Polskim, w sali Śląskich Technicznych Zakładów Naukowych lub w kinie „Zorza” a także przed mikrofonem Polskie- go Radia. Oprócz repertuaru uwzględniającego przede wszystkim tradycyjne gusta publiczności nie zaniedby- wano też twórczości kompo- zytatorów współczesnych – cze- go chlubnym wyrazem było chociażby wspomniane wyko- nanie już w roku 1934 „Stabat Mater” Szymanowskiego.

Koncerty Orkiestry umożli- wiły też prezentację utworów dość jeszcze szczupłego kato- wickiego środowiska kompo- zytorskiego: Faustyna Kulczyckiego, Mariana Cyrusa Sobolewskiego, Stefa- na M. Stońskiego, Zbigniewa Dymka a także dopiero odkrytych – Bolesława Szabelskiego i Michała Spisaka. Przypo- mnijmy, że Szabelski zaangażowany przez Friemanna za radą Szymanowskie- go na pedagoga organów, niespodziewa- nie w roku 1934 zadebiutował w Kato- wicach jako kompozytor „II symfonii na sopran, chór i orkiestrę”, będącej re- miniscencją stylu swego profesora. Prawdziwie jednak zaskoczył całe środo- wisko katowickie dwoma następnymi wirtuozowskimi utworami orkiestrowy- mi – „Suitą” i „Etiudą”. Ich wykonana- nia pod batutą Zbigniewa Dymka na kon- certach w latach 1937 i 39 wprost zdumiewały awangardowością pomy- słów i estetyki rodem z rewolucyjnych koncepcji Strawińskiego. Oba te dzie- ła – których wartość znalazła bezspornie wysoką ocenę recenzentów katowickich (prasa warszawska jeszcze wówczas nie dostrzegała tego co się działo w Katow- ich...) – były początkiem fascynującej drogi twórczej Szabelskiego, która w skali ogólnokrajowej zapewniła mu dopiero po wojnie pozycję jednego z najwięk- szych symfoników polskich.

Stosunkowo wcześniej dostrzeżono niezwykłą indywidualność twórczą po- chodzącego z Dąbrowy Górniczej Michała Spisaka studenta z klasy kom- pozycji Aleksandra Brachockiego; ilość i jakość jego utworów skomponowanych przed i w czasie studiów była imponu- jąca na tyle, że – na zasadzie wyjątku uczynionego dla studenta – nastąpiło podczas jednego z koncertów symfonicz- nych Towarzystwa Muzycznego



Bolesław Szabelski

w r. 1937 – prawykonanie jego „*Concer- tina na zespół instrumentów dętych, harfę i czeleste*” przyjętego z wielkim uznaniem przez recenzentów katowic- kich. W tym samym roku Spisak ukoń- czył studia kompozytorskie otrzymując pierwszy w historii Śląskiego Konserwa- torium dyplom z wyróżnieniem. W na- stępstwie tego Towarzystwo Muzyczne przyznało mu stypendium na studia w Paryżu, gdzie zatrzymany działani- ami wojennymi pozostał do końca życia. Jako jeden z kompozytorów polskich tworzących za granicą utrzymywał ści- śłą więź z krajem zyskując opinię głów- nego twórcy polskiego neoklasycyzmu.

Wprawdzie życie muzyczne między- wojennych Katowic znajdowało odbicie w okazjonalnie ukazujących się recen- zjach w dziennikach „Polska Zachodnia” i „Polonia”, to jednak dość długo wiele inicjatyw i aktualnych problemów pozo- stawało bez profesjonalnej nadbudowy w postaci lokalnego czasopisma muzycz- nego. Organem tym stał się ukazujący się w latach 1937/39 miesięcznik „**Śląskie Wiadomości Muzyczne**” wydawany przez Śląski Związek Muzyków Pedago- gów. Ze względu na to, że w Komitecie redakcyjnym kierowanym przez Fausty- na Kulczyckiego uczestniczyli najbar- dziej autorytatywni pedagodzy Śląskie- go Konserwatorium o różnych specjalnościach „Śląskie Wiadomości Muzyczne” stały się już od pierwszego numeru jednym z najbardziej interesują- cych ówczesnych polskich czasopism muzycznych. Oczywiście znalazła się

w nim możliwie pełna reje- stracja życia muzycznego Kato- wic z programami koncer- tów i fachowymi recenzjami oceniającymi zarówno wyko- nawców jak i nowe utwory kompozytorów, przy czym – co było nowością – publi- kowano recenzje z wystę- pów przed mikrofonami otwartej niedawno katowic- kiej rozgłośni Polskiego Radia. Na łamach tych wypo- wiadano się – także z udział- łem wybitnych autorów z ze- wnętrza – w artykułach o tematyce historycznej, teo- retycznej, popularyzatorskiej, pedagogicznej lub publicy- stycznej; przykładem tej ostat- niej były postulaty i ożywio- na dyskusja o konieczności zastąpienia skądinąd zasłużo- nej orkiestry Towarzystwa Muzycznego stałym, finanso- wanym z budżetu państwowego zespołem symfonicznym. Nie zaniedbywano też relacji kronikarskich o wydarzeniach muzycznych zarówno w re- gionie, całym kraju jak i za gra- nicą. Z dzisiejszego punktu

widzenia „Śląskie Wiadomości Mu- zyczne” – choć istniały zaledwie dwa la- ta – należą do bezcennych źródeł o am- bicjach i przejawach życia muzycznego stolicy województwa śląskiego w owym okresie.

Wszystkie te inicjatywy i działania po- dejmowane od roku 1922 – nie bez tru- du, ale z niezaprzeczalną energią orga- nizacyjną – zostały brutalnie przerwane przez wybuch wojny w dniu 1 wrze- śnia 1939 roku. Natychmiast po zajęciu Katowic przez armię i administrację nie- miecką nastąpiła likwidacja wszelkich przejawów polskiej kultury muzycznej w całej polskiej części Górnego Śląska. Teatr Polski znów stał się instytucją nie- miecką a gmach Śląskiego Konserwato- rium przejęła wraz z bogatym instrumen- tarium i zbiorami bibliotecznymi „Landesmusikschule”. Skonsolidowane już polskie środowisko artystyczne zdą- żyło w pierwszych dniach działań wo- jennych opuścić Katowice rozpraszając się po całym kraju; na swej rodzinnej zie- mi tkwili jedynie – jak przed ro- kiem 1922 – działacze i członkowie chó- rów zakazanego przez władze nazistowskie Związku Śląskich Kół Śpiewaczych, nękani przez okupanta szczególnie surowymi represjami.

Ale gdy na początku roku 1945 styczniowa ofensywa Armii Czerwonej zmusiła Niemców do pośpiesznego opuszczenia Katowic nastąpiły tu zadziwiające jeszcze dzisiaj inicjatywy w przywracaniu nie tylko zniszczonych przez nich form polskiego życia



Towarzystwo Śpiewu „Ogniwo” w Katowicach

muzycznego, ale i w przedsięwzięciach, których efekty przekraczały najśmielsze ambicje przedwojennych działaczy owocując aż po dzień dzisiejszy.

Oto tuż po ustaniu w Katowicach działań wojennych powrócili na swe miejsca pracy pedagodzy – pionierscy założyciele Śląskiego Konserwatorium – dzięki czemu już 1 marca wznowiło ono działalność – wkrótce jako **Państwowa Wyższa Szkoła Muzyczna** a dziś **Akademia**. Jak w początkach swego istnienia tak i teraz uczelnia ta odegrała pierwszoplanową rolę w skupieniu rozproszonego podczas wojny katowickiego środowiska muzycznego i w kształceniu całej rzeszy wysoko kwalifikowanych muzyków i pedagogów.

Zrealizowały się też dążenia przedwojennych działaczy do utworzenia w Katowicach stałej orkiestry symfonicznej – i to z nieoczekiwanym nadatkiem. Oto 19 marca dla potrzeb programowych Polskiego Radia sprowadzono z Krakowa kilkunastoosobową grupę członków byłej orkiestry Generalnej Guberni, tworząc Orkiestrę Rozgłośni Śląskiej pod dyr. Witolda Rowickiego. Wkrótce okazało się, że zwiększona o muzyków śląskich stała się ona załącznikiem restytuowanej w r. 1947 Wielkiej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia – dziś: Narodowej – ze sławnym Grzegorzem Fitelbergiem na czele!

Nie przeszkodziło to katowickim muzykom w równoległych staraniach o utworzenie miejscowej orkiestry symfonicznej, skutkiem czego 26 maja odbył się po dykcją Jana Nowińskiego jej

koncert inauguracyjny jako orkiestry przyszłej Filharmonii Śląskiej.

W tym zrywie powojennych inicjatyw nie zabrakło intensywnych starań o wznowienie zlikwidowanej w roku 1932 katowickiej sceny operowej; w rezultacie po krótkiej działalności objazdowego Śląskiego Teatru Muzycznego pod kierownictwem baletmistrza Walentego Śliwskiego 14 czerwca odbyła się w teatrze katowickim premiera „Halki” St. Moniuszki przygotowana pośpiesznie pod nadzorem artystycznym światowej sławy śpiewaka Adama Didura z Wiktorią Calmą i Lesławem Finzem w rolach głównych. Przedstawienie to dało początek działalności Opery Śląskiej, pierwszej po wojnie sceny operowej w Polsce, której potencjał artystyczny osiągnął wkrótce godne podziwu wyżyny dzięki m.in. zasileniu zespołem artystów i personelu technicznego przesiedlonej Opery Lwowskiej

I to wszystko zrealizowało się w ciągu niespełna pół roku! Tempo i efekty oszałamiające. Czy nagle zadziałał uśpiony „genius loci”, czy też zerwał się do lotu legendarny feniks z popiołów? A może ustrój polityczny z hasłami bardziej przyjaznymi dla kultury? Czy po prostu tzw. śląski etos pracy? Zapewne wszystko spłótło się razem...

Trzeba jednak na koniec stwierdzić, że ten wyjątkowy zryw w ożywieniu życia muzycznego Katowic w roku 1945 zdominował niestety w pamięci środowiska muzycznego wszystko, co działo się tu wcześniej. Okazał się on w swej istocie tylko radośnym finałem realizacji inicjatyw i działań, które już od początków ana-

szej państwowości w roku 1922 podejmowali z nie mniejszym zapalem wspomniani tu muzycy i działacze. Im to przypadła pionierska rola zbudowania w nowej stolicy Górnego Śląska fundamentów kultury muzycznej i wzniesienia jej poziomu od przejawów najprostszych do profesjonalnych.

Warto o nich pamiętać – szczególnie nam, dzisiejszym uczestnikom i konsumentom wysokiego poziomu przejawów kultury muzycznej w Katowicach i całym naszym regionie.

¹ L. Markiewicz: *Karol Szymanowski a „Ogniwo”*. W: *50 lat w służbie pieśni. Wydanie Jubileuszowe Chóru „Ogniwo”*. Katowice 1963, s. 73-80.

² Bardzo dokładną historię i dokumentację działalności Sceny Operowej Teatru Polskiego w okresie międzywojennym przedstawiła Elżbieta Szwed w swej pracy doktorskiej. Katowice 1997. Niestety ta fundamentalna pozycja nie może doczekać się wydania ani przez Operę Śląską ani przez Teatr im. Wyspiańskiego.

³ A. Mitscha: *Witold Friemann. Życie i twórczość*. Zeszyty naukowe Akademii Muzycznej w Katowicach nr 17. Katowice 1980, s. 5, 36-38.

⁴ Zob. red. L. Markiewicz: *30 lat Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej w Katowicach*. PWM Kraków 1960. Tamże historia Konserwatorium, sylwetki profesorów, wykaz absolwentów, wspomnienia.

Woody Allen powiedział kiedyś: „Kręć filmy dla ludzi wykształconych”. Ale to dawny twórca „Manhattanu”, który twierdził, że jest wątpliwe, aby poza Manhattanem istniały jakieś inteligentne formy życia. Już samo to zdanie ma blask i wdzięk filmowych ripost bohaterów Woody Allena, który w ostatnich latach kręci w Europie, w Londynie, Barcelonie, Paryżu.

W filmie ostatnim, którego fabuła rozgrywa się w Rzymie, Woody Allen nie ominął Coloseum, ni Fontanny di Trevi, już nie mówiąc o Hiszpańskich Schodach! Tytuł „To Rome With Love” jest uwieńczeniem owej dedykacyjno-pocztówkowej proveniencji filmu! Mer Rzymu musiał dobrze potrząsnąć kiesią!

Ale „pocztówkowość” uniemożliwiła wykreowanie Rzymu na bohatera filmu. Dla tych czterech historii, które opowiada Woody Allen jest zupełnie obojętne, czy dzieją się w Wiecznym Mieście. Więcej: z faktu, że akcja „Zakochanych w Rzymie” rozgrywa się we Włoszech też nie wynika nic nadzwyczajnego. Kino europejskie i amerykańskie dziesiątki razy dworowało sobie z Amerykanów w Rzymie, Paryżu, czy nawet w Londynie, już nie mówiąc o naigrzaniu się z mentalności włoskiej, w czym celowali – i to im się chwali – sami Włosi.

Tym razem Woody Allen nie miał elektryzującego pomysłu na film, tym bardziej po oszałamiającym sukcesie finansowym (ale i u wymagającej krytyki) „O północy w Paryżu”. Sięgnął więc po Boccaccia i zacerpnął odeń formułę narracyjną. Film miał też mieć w tytule hasło Dekameron! W filmie mamy cztery pary, dwie włoskie, dwie amerykańskie, które w różnoraki sposób będą się krzyżować wedle reguł surowo przestrzeganych w farsie. W rzeczy samej Woody Allen wprowadza nas do świata farsy. Ale jaki jest ten Woody Allen? Pytam o jego fizyczność.

Otóż po raz pierwszy widzimy na ekranie człowieka najzwyczajniej starszego, o szerniałych zębach, z mocno przerzedzonymi włosami, jeszcze grubszymi szklami, w niezawodnej kraciastej koszuli z długimi rękawami i płóciennych portkach wiszących byle jak na chudej, jakby zapadającej się w sobie figurze. Niespecjalnie bawi jego gestykulacja ani sposób artykułowania średnio udanych kwestii. Jest rzeczą niemożliwą, by Amerykanin nawet niekoniecznie tak inteligentny jak Woody Allen, nie zrozumiał włoskiego słowa „imbecile”, a Woody Allen pyta swoją żonę Amerykankę (nie Włoszkę), co to słowo znaczy! Scena w samolocie lecącym z Nowego Jorku do Rzymu, w której Woody Allen po raz pierwszy pojawia się w filmie, jest kiepska pod względem scenariuszowym, a także reżyserskim. Mistrz najzwyczajniej nie miał żadnego pomysłu inscenizacyjnego. Nie bardzo (albo wcale!) wiedział gdzie postawić kamerę. Prawdę mówiąc ta akurat kwestia jest w tym filmie dość obojętna, co świadczy o tym, że rzymskie dzieło Mistrza powstało w pośpiechu.



Zakochani w Rzymie

Oczywiście, są przebłyski twórczej inwencji, na przykład na scenie, w której ruchoma kamera nagle zatrzymuje się przed policjantem kierującym ruchem, a ten na jej widok przestaje zajmować się ruchem, natomiast zwraca się do nas w kiepskiej angielszczyźnie, wręczając nam jakby klucze do Wiecznego Miasta! Jest to świetny chwyt i zapowiada film znacznie oryginalniejszy niż ten, który ostatecznie obejrzymy.

Z czterech historii opowiedzianych w „Zakochanych w Rzymie” najlepsza wydaje mi się ta, w której występuje sam Woody Allen. Jest on reżyserem i producentem operowym, bez olśniewających sukcesów, ponieważ, jak sam mówi o sobie „wyrzedza epokę”. Na przykład „Toscę” wystawił w ten sposób, że artystów ubrał w kostiumy wyobrażające białe myszy! W osobie przyszłego teścia (który prowadzi dobrze prosperujący zakład pogrzebowy) poznaje człowieka obdarzonego fenomenalnym głosem. Rzecz w tym, że człowiek ów potrafi śpiewać jedynie biorąc prysznic. Próba na scenie bez prysznica nie powiodła się. Ale już kabina z prysznicem wprowadzona do akcji opery „Śmiej się pajacu”, z bohaterem śpiewającym i zarazem namydlałym się w strugach wody, wywołuje wielki aplauz. Jest to, rzecz jasna, satyra na tak zwane unowocześnianie sta-

roświeckiej ponoć formy operowej. Może nie w operze, ale w teatrze coś takiego zdarzyło się u nas bodaj przed czterdziestu laty, że wspomnę motocykle w Hanuszkiewiczowskiej „Balladynie”...

Nieco słabsza, ale również mająca w obsadzie gwiazdę, tym razem włoskiego aktora i reżysera (Życie jest piękne) Roberto Benigniego. Gra on szarego urzędnika, którego ni stąd ni z owąd upatrzyły sobie media. W ciągu kilku, kilkunastu godzin staje się celebrytą, czyli jak mu wyjaśniono, człowiekiem sławnym dlatego, że jest sławny! Przez ten krótki czas pocziwy Leopoldo przechodzi różne fazy obróbki medialnej, z bezpośrednim przekazem filmowym z rytuału golenia się w łazience, a więc miejscu raczej intymnym. Ciekawość mediów zaspokaja dopiero w chwili, gdy zdradza im, że nie ma na sobie slipów, lecz „luźne, białe bokserki”. Zainteresowanie „ciekawym rzymianinem” zdaje się nie mieć granic ni końca, a jednak nagle, z chwili na chwilę ustaje. Na próżno Leopoldo próbuje odzyskać medialne wzięcie, na próżno opuszcza spodnie do kolan demonstrując na środku ulicy, że ma na sobie białe, luźne bokserki, na próżno, bowiem media oraz sfera paparazzich rzuciła się na Bogu ducha winnego kierowcę autobusu. Sic transit gloria mundi...

Trzecia historia opowiada o młodym małżeństwie, które odwiedza amerykańska przyjaciółka żony Jacka (Jesse Eisberg), na której punkcie mężczyźni ponoć tracą rozum. Co też sprawdza się w tym dość niemrawym epizodzie. Czwarta opowieść to już czysta farsa w stylu francuskim, w której młode małżeństwo z prowincji wskutek farsowego zamieszania przechodzi przyspieszoną edukację seksualną w wielkim mieście: notliwy małżonek pada ofiarą (?) pięknej prostytutki (Penelope Cruz), natomiast pani małżonka ląduje w hotelowym łóżku w objęciach złodzieja hotelowego, który wpadł do apartamentu, gdy miała się oddać ubóstwianemu przez nią gwiazdorowi, panu pod pięćdziesiątkę, z brzuszkiem, łysiejacemu, brzydkiemu i głupiemu...

Nie lepiej zaprezentował się w filmie Alec Baldwin!

Tak więc mamy gwiazdy światowego formatu, mamy jedno z najpiękniejszych miast naszej planety, mamy jednego z najinteligentniejszych ludzi stających się po tejże planecie, ale, niestety, Mistrz Woody Allen nie trzyma tym razem, zwykle wysokiego poziomu. Ale mamy w filmie maleńkie polonicum! W jednej z męskich głównych ról wystąpił Jesse Eisenberg, który szczyci się polskim rodowodem, i choć urodzony i wychowany w Nowym Jorku, twierdzi, że czuje się bardziej Polakiem niż Amerykaninem. Był nominowany do Oscara za rolę w filmie „The Social Net”.

FELIKS NETZ

1922 r. – polska kultura na Śląsku

Teatr marzeń i oczekiwań

MARIA SZTUKA

Protoplaści Teatru Polskiego na Śląsku

Otwarty 2 października 1907 r. Teatr w Katowicach wybudowany został z inicjatywy Niemców, nie dziwiłby więc napis umieszczony na frontonie budynku „*Deutschem Wort Deutscher Art.*” (niemieckiemu słowu, niemieckiej sztuce), gdyby nie fakt, że środki na jego budowę w przeważającej części pochodziły z kasy miejskiej, czyli także z podatków mieszkających tam Polaków. Jak pisze w swych kronikarskich wspomnieniach Marian Sobański podczas uroczystości ślubowano, że ze sceny tego teatru nigdy nie zabrzmi polskie słowo. Ówczesna prasa polska „*Kurier Śląski*”, „*Górnoślązak*” czy „*Katolik*” solidarnie zapowiadali bojkot sceny, której celem była „*germanizacja, szerzenie kultury niemieckiej i zgłuszanie polskości*”, zapewniając jednocześnie, że „*My Polacy możemy jednak być spokojni o nasze skarby narodowe, bo żadna moc na świecie nie potrafi nam ich odebrać...*” („*Górnoślązak*” z 6 października 1907 r.)

„Owo polskie słowo”, którego tak bardzo obawiali się Niemcy czekać musiało aż do 1920 roku, kiedy to po raz pierwszy na scenie katowickiego Teatru Miejskiego wystawiona została „*Zemsta*” A. Fredry (12 IV) przygotowana przez zespół Teatru Plebiscytowego. Odpowiedzią Polaków bowiem na otwarcie „*dumnego i niezwalzonego bastionu przeciwko wrogowi żywiołowi polskiemu*” – jak nazwał otwierający teatr katowicki ówczesny burmistrz miasta (*Oberbürgermeister*) Alexander Pohlmann – były tworzone spontanicznie liczne teatralne koła i grupy amatorskie. Ich

działalność szczególnie wzmogła się po 1918 r. a w okresie powstań śląskich i przygotowań do plebiscytu stały się orężem w walce z brutalną antypolską propagandą.

Brak odpowiedniej opieki artystycznej, należycie wyposażonych pomieszczeń, często wręcz prymitywne warunki przygotowania spektakli czy koncertów nie dawały możliwości tworzenia ambitnych przedstawień ani sięgania po klasykę narodową. Jednak nie sposób pominąć znaczenia działalności miejscowych Towarzystw Śpiewu „*Moniuszko*”, „*Halki*”, organizacji społeczno-oświatowych, Towarzystwa Polek, Mężów Katolickich, Towarzystwa św. Alojzego, św. Jacka, amatorskich kółek teatralnych: „*Wesołość*”, „*Fredro*”, „*Gwiazda*”, „*Czarny kot*”, których istnienie i funkcjonowanie w kontekście potężnych niemieckich instytucji artystycznych („*Oberschlesisches Volkstheater*” w Królewskiej Hucie, teatry miejskie w Bytomiu, Katowicach, Cieszyźnie) było ważnym głosem, wspierającym ideę powołania do życia polskiej sceny narodowej.

Popularność, ogromne zapotrzebowanie i zainteresowanie wśród Polaków występami rodzimych grup amatorskich wykorzystał Polski Komisariat Plebiscytowy. Nie tylko roztoczył nad nimi opiekę, ale także diametralnie zmienił ich repertuar. Miejsce „*Mośka spekulanta*”, „*Amerykańskiej golarni*” czy „*Żyda na majówce*” zajęły manifestujące patriotyzm i poczucie więzi narodowej spektakle pod wymownymi tytułami: „*Obrońca Częstochowy*”, „*Kościuszkę w Piotrogradzie*”, „*Polska jest wolna*”. 19 września 1920 r. w sali „*Ul*” w Bytomiu zagościli akademicy z „*Kordianem*” J. Słowackiego. Zespoły amatorskie otrzymały także wsparcie w „*Poradni te-*

atralnej” (założonej w marcu 1929 roku w hotelu Lomnitz w Bytomiu) kierowanej przez Maksymiliana Hasińskiego i Maksymilianą Wilimowskiego. Oprócz kostiumów, dekoracji czy rekwizytów czekała tam fachowa pomoc reżyserska, a co najważniejsze poradnictwo w doborze repertuaru.

*Aby mocnych utwierdzić,
zaś dusze słabsze zachwycić*

Polscy działacze plebiscytowi doskonale zdawali sobie sprawę z roli, a raczej misji, jaką miały do wypełnienia w walce o zachowanie tożsamości narodowe sztuki teatralne. Za sprawą rzeczowego już Polskiego Komisariatu Plebiscytowego w marcu 1920 roku pojawił się na Śląsku pierwszy polski teatr zawodowy zwany Teatrem Plebiscytowym. Kierujący nim Edmund Rygier zainaugurował działalność zespołu na scenie bytomskiej „*Ślubami panieńskimi*” Aleksandra Fredry i ruszył w objazd na terenie śląskiego obszaru plebiscytowego, gdzie w ciągu niespełna trzech miesięcy odbyło się blisko pięćdziesiąt przedstawień. To za ich sprawą na scenach w Katowicach, Zabrze, Chorzowie, Świętochłowicach, Bobrku, Bytomiu, Mikulczycach, Rybniku, Mysłowicach, Pszczynie i wielu innych miast gościły utwory Adama Mickiewicza, Juliusza Słowackiego, Michała Bałuckiego, Lucjana Rydla... Gazety polskie prześcigały się w słowach radości i entuzjazmu, uznając te spektakle za „*uroczysty akt otwarcia Górnego Śląska dla zabronionej dotąd prawdziwej sztuki polskiej...*” aby mocnych utwierdzić, zaś dusze słabsze zachwycić i podnieść w świat polskiej myśli, w świat polskiego życia” („*Katolik*”, 9 marca 1920 r.). W połowie maja zespół Edmunda Rygiera powrócił jednak do Poznania.

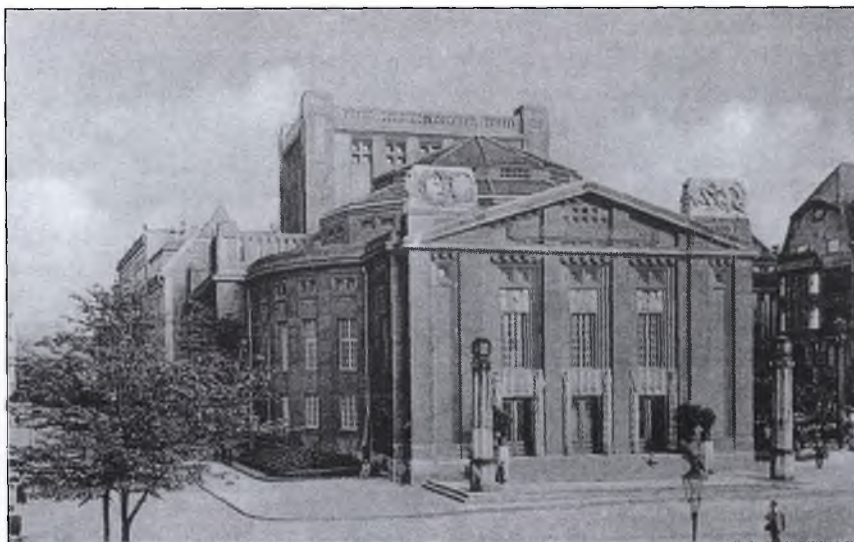
W lipcu natomiast wstrząsnęło Śląskiem wielkie wydarzenie artystyczne. Gościnne występy 150-osobowego zespołu Opery Warszawskiej pod dyrekcją Emila Młynarskiego witane były wszędzie z ogromnym entuzjazmem. „*Halka*” i „*Verbum nobile*” Stanisława Moniuszki święciły triumfy w Bytomiu, Katowicach, Zabrze, Gliwicach. Wśród wykonawców znaleźli się wielcy ówczesnej sceny operowej, m.in.: Maria Mokrzycka, Adam Ostrowski, Wacław Brzeziński, Eugeniusz Narożny, Aleksander Michałowski, Maurycy Janowski, Zygmunt Mosaczy. Wypełnione po brzegi sale teatralne, w których rozbrzmiewała muzyka jednego z największych polskich kompozytorów nie mogły pozostać bez echa. Prasa niemiecka doceniała wprawdzie kunszt polskich artystów, odnotowując wielki sukces narodowych polskich oper, jednak bojówkarzy i nacjonalistów to nie przekonało. Nie tylko nie szczędzili obelg pod adresem artystów, niejednokrot-

nie posuwali się wręcz do czynnej na nich napaści.

Kilkumiesięczne nawet trasy objazdowe nie były w stanie zaspokoić potrzeb i oczekiwań Polaków, dla których kontakt z rodzimymi dziełami narodowymi był wielkim wsparciem duchowym. Pod koniec listopada 1920 roku Polski Komisarjat Plebiscytowy sprowadził do Bytomia zespół teatralny pod kierownictwem Henryka Cepnika, byłego dyrektora Teatru w Wilnie. Był to pierwszy stały polski teatr zawodowy, który przyjmując nazwę Górnosląskiego Teatru Narodowego zdał się stanowić przeciwwagę instytucjonalnym, znakomicie wyposażonym scenom niemieckim. Swoją sezon zespół zainaugurował 22 listopada „Damami i huzarami” A. Fredry w gmachu Teatru Miejskiego w Katowicach. Nadal jednak, mimo stałej siedziby w Bytomiu, musiał zadowolnić się spektaklami objazdowymi. Do 30 czerwca 1921 roku, czyli zaledwie w ciągu siedmiu miesięcy, odwiedził czterdzieści jeden miejscowości, grając w nich sto pięć przedstawień. Starannie dobrany repertuar zaczerpnięty z kanonu polskiej klasyki (m.in.: „Kościuszkę pod Racławicami” Władysława L. Anczyca, „Betlejem Polskie” L. Rydla, „Święto majowe” W. Gomułickiego) i dbałość o patriotyczny i narodowy ich wymiar przyczyniły się do ogromnej popularności GTN. Wybuch III Powstania (2/3 maja) nie tyle przerwał działalność teatru, co zmienił dotychczasowy styl jego pracy. Już 26 maja wznowił on swoją działalność, ale pod nową nazwą: Teatr Powstańczy przy Naczelnym Dowództwie Wojsk Powstańczych Górnego Śląska. Widownię stanowili żołnierze i ludność cywilna na terenach zdobytych przez powstańców. Występy odbywały się niejednokrotnie w warunkach zagrażających życiu artystów. Jednak rola, jaką odegrały owe frontowe przedstawienia była godna najwyższego szacunku i podziwu. Czytamy m.in. we wspomnieniach dyrektora Henryka Cepnika: „W akcji uświadamiania ludności polskiej na Górnym Śląsku jedno przedstawienie tej sztuki („Kościuszkę pod Racławicami” Władysława L. Anczyca, *przyp. red.*) miało większe znaczenie niż dziesięć wieców publicznych.” (cyt za: A. Linert, [w:] „Śląsk” nr 3/2011).

Teatry amatorskie

Lukę po teatrze Cepnika próbowali wypełnić Walenty Folwarczny i Kazimierz Beroński i założony przez nich „Górnosląski Teatr Ludowy”, jednak – jak pisze Marian Sobański – żywot tego teatru był krótki, ograniczył się do zaledwie kilku i to słabych artystycznie przedstawień w Bytomiu i Katowicach. Wzmogła się natomiast znacznie



Katowice, G. Śl. Teatr Miejski (podpis oryginalny, 1907).

aktywność amatorskich zespołów robotniczych. „Wesoła Myśl”, „Klub Teatralny Polonia” w Goduli, trupa aktorska „Wesołość” w Dąbrówce czy „Amatorski Teatr Robotniczy PPS” w Ligocie Rybnickiej występowały po kilka razy w tygodniu, w odległych czasem od własnej siedziby zakątkach. W kwietniu prasa katolicka podała do wiadomości informację o narodzinach „Amatorskiego Górnosląskiego Teatru Ludowego”, który powstał na bazie „Wesołości”, „Fredry”, „Gwiazdy” i „Czarnego kota”. Na jego czele stanął dotychczasowy kierownik „Wesołości” J. Rasek. *Teatr ten wędrowny – jak wówczas pisano – przyczynił się wielce do poznania i ukochania słowa i pieśni polskiej. W rozlicznych wioskach terenu plebiscytowego lud polski oglądał po raz pierwszy widowiska sceniczne, nabierał zamiłowania do rzeczy swojskich i odchodził wzruszony i pozyskany dla sprawy narodowej. Ten środek kulturalny dopomógł wiele do zwycięstwa plebiscytowego.*

W połowie 1920 r. Walenty Folwarczny zajmujący się impresariatem koncertowym nawiązał kontakt z dyrektorem Teatru Polskiego w Sosnowcu Henrykiem Czarneckim i tak po raz pierwszy 28 lutego 1921 r. zagłębiowski zespół zaprezentował się na Śląsku na scenie teatru w Katowicach operetką F. Lehara „Hrabina Luksemburg”, następną była „Cnotliwa Zuzanna” J. Gilberta, a 14 maja w Szopienicach – w sali w Burowcu zabrzmiała „Halka” S. Moniuszki. Staraniem utworzonego na początku 1921 r. w Katowicach Towarzystwa Miłośników Sztuki i Wiedzy od października do końca maja 1922 r. już regularnie, co tydzień zespół zza Brynicy gościł na śląskich scenach teatralnych, dając w sumie 96 przedstawień: w Katowicach, Królewskiej Hucie, Mysłowicach, na Burowcu, w Słupnej, Bytomiu, Karbiu, Rybniku, Rudzie Śląskiej, Józefowie, Zabrze i Tarnowskich Górach.

Towarzystwo Przyjaciół Teatru Polskiego w Katowicach

Rok 1922. Śląsk powraca do Macierzy! 20 czerwca wkracza do Katowic polskie wojsko pod wodzą generała Stanisława Szeptyckiego a już 15 lipca w sali obrad Urzędu Wojewódzkiego ukonstytuowało się Towarzystwo Przyjaciół Teatru Polskiego, na czele którego stanął doktor praw Feliks Bocheński, działacz społeczny, organizator polskiego sądownictwa na Górnym Śląsku, prezes Sądu Apelacyjnego w Katowicach, zastępcą został Jan Piechulek – prezes „Towarzystwa Miłośników Sztuki i Wiedzy”. W składzie zarządu znaleźli się ponadto śląscy burmistrzowie, urzędnicy, sędziowie, kupcy, lekarze, przemysłowcy. Z inicjatywy tej grupy patriotów został powołany Teatr Polski w Katowicach, scena o charakterze komediowo-dramatycznym, mająca służyć całemu Górnemu Śląskowi. Rozpoczęły się także starania w magistracie o wydzierżawienie budynku teatralnego (E. Tosza „Teatr Śląski im. Stanisława Wyspiańskiego 1907-1922-1997”). Zadaniem TPTP była m.in. organizacja przedstawień, ustalanie wysokości gaży, rozstrzyganie sporów, zabezpieczenie transportu itp.

Pierwszą decyzją programową było zaproszenie warszawskiego Teatru „Reduta” na uroczystości „Zjednoczenia Górnego Śląska z Polską” (15-16 lipca). W gmachu Teatru Miejskiego w Katowicach w spektaklu „Fircyk w załotach” wystąpili wówczas m.in.: Juliusz Osterwa, Maria Dulembianka, Jan Kochanowicz, Józef Jaracz-Poremba, Feliks Norski...

Pierwsze kroki

W budynku wzniesionym według projektu architekta Carla Moritza, w którym przez 15 lat funkcjonował te-



Widownia teatralna 1922-1939.

atr niemiecki, zarządzany przez Niemiec-
ką Gminę Teatralną zagościł polski ze-
spół, a przedstawienia niemieckie odby-
wały się już tylko dziewięć razy
w miesiącu. Niezwłocznie należało ure-
gulować status budynku, tak więc TPTP
wystosowało do magistratu pismo,
z prośbą o wydzierżawienie gmachu,
szybko nadeszła negatywna odpowiedź
z dość zaskakującym uzasadnieniem –
prośba nie mogła być spełniona,
ponieważ wcześniej podobne pismo
wpłynęło od członków Niemieckiej
Gminy Teatralnej i ich prośba została na-
tychmiast spełniona. Tak więc przez ko-
lejne lata budynek teatru posiadał dwóch
dzierżawców (na równych prawach), co
nie ułatwiała pracy ani nowo tworzone-
mu zespołowi artystycznemu, ani też ca-
łej rzeszy zatrudnianych w teatrze pra-
cowników. Teatr Polski w Katowicach
musiał przede wszystkim pokonywać
niechęć i wrogość urzędników magistra-
tu do polskiej administracji. Przejawem
tej zacieklej było m.in. prowadzenie
wszelkiej korespondencji
wyłącznie w języku niemieckim.

Kolejnym krokiem, które podjęli
członkowie Towarzystwa Przyjaciół Te-
atru Polskiego było rozpisanie konkur-
su na stanowisko dyrektora teatru. Osta-
tecznie, po rozpatrzeniu wielu ofert,
zapadła decyzja o powierzeniu tej funk-
cji doktorowi Tadeuszowi Wierzbicki-
emu, byłemu dyrektorowi Opery Po-
znańskiej. Jednocześnie ustalono
dwutorowość działania teatru, z po-
działem na scenę komediowo-drama-
tyczną i scenę muzyczno-operową.

Ambicją Towarzystwa było urucho-
mienie teatru już we wrześniu. Dyrek-
tor Wierzbicki musiał więc w ciągu za-
ledwie kilku tygodni skompletować oba
zespoły i przygotować odpowiednie za-
plecze. Mimo tak krótkiego czasu zdo-
łał – jak pisze Marian Sobański – zaan-
gażować zespół artystyczny obu działów,
składający się z 60 aktorów dramatu
i śpiewaków operowych, skompletował
także orkiestrę, chór i balet. Stanowiska
reżyserskie w dziale komediowym ob-
jęli M. Brokowski, J. Leśniewski, W. No-
wakowski i M. Pietrzycki, zaś w dzia-
le muzycznym – dyrektor Wierzbicki

i R. Mossoczy. Kapelmistrzami zostali
S. Stoiński i K. Bończa-Tomaszewski,
na baletmistrza pozyskano Jana Ciepłiń-
skiego a zasadnicze prace malarsko-de-
koracyjne powierzono artyście malar-
zowi A. Kobryniowi, korzystano
również ze współpracy artystów malarzy
Z. Wierciaka i prof. L. Rudyego. Dorad-
cą literackim został poeta Tadeusz Koń-
czyc, a sekretarzem teatru W. Polak.

Wysiłek dyrektora i poświęcenie arty-
stów znalazło uznanie w oczach społec-
zeństwa. „Na czele Teatru Polskiego
w Katowicach stoi pan dyrektor Wierz-
bicki, znany w Polsce śpiewak operowy
i znawca teatru, który wziął sobie za cel
podniesienie kultury polskiej na Śląsku
przez działalność dobrego teatru. W tym
celu zjednał dla tej pracy cały zastęp zna-
komitych artystów i aktorów, którzy
mimo trudności mieszkaniowych i dro-
żyzny, zdecydowali się na przyjazd
na Górny Śląsk, aby przyczynić się
do tego dzieła kulturalno-oświatowego”.
(Gazeta Robotnicza 1922, nr 228).

Uczęszczajmy pilnie na przedstawienia

Otwarcie polskiej sceny było nie tylko
wydarzeniem kulturalnym, miało
ono przede wszystkim wymiar patriotycz-
ny. Jego wagę rozumieli i doceniali człon-
kowie TPTP. Kilka dni przed pierwszą pre-
mierą zwrócili się więc do śląskiego
społeczeństwa z apelem o jak najliczniej-
sze odwiedzanie polskiej sceny i przyste-
powanie w charakterze członków do To-
warzystwa Przyjaciół Teatru Polskiego.

Odpowiedzią było wsparcie śląskiej
prasy, która zachęcała: „Obowiązkiem
naszym jest poparcie Teatru polskiego
w ten sposób, ażeby starania dyrekcji
i artystów nie poszły na marne. Przed
wszystkim uczęszczajmy pilnie na przed-
stawienia Teatru polskiego, poza tym
przystępujmy na członków Towarzystwa
Przyjaciół Teatru Polskiego, którego
staraniem stały Teatr polski w Katowic-
ach, przychodzi do skutku.” (Gazeta
Robotnicza 1922, nr 228).

Tymczasem trwały przygotowania
do premiery w teatrze, który nie posia-
dał żadnych zapasów kostiumów, deko-
racji, rekwizytów, który także nie dys-
ponował środkami finansowymi na to,
aby je zakupić. Zawiodły niechętne
przedsięwzięciu ziemszone władze
magistratu, pierwsze wojewódzkie wła-
dze śląskie poprzestały na moralnym
wspieraniu a środki finansowe z Warsza-
wy nie dosyć, że docierały z dużym
opóźnieniem, to na dodatek w mar-
kach niemieckich, walucie, która w bły-
skawicznym tempie traciła na wartości.
Tak więc kostiumy... wypożyczono
w teatrach warszawskich.

7 i 8 października 1922 roku stały się pa-
miętnymi datami tak dla śląskiej spo-
łeczności, jak i dla pierwszego stałego ze-



Teatr był świadkiem ważnych wydarzeń historycznych. Manifestacja Wojska Polskiego po wkrocze-
niu do Katowic 20 czerwca 1922 r.

społu polskiej sceny zawodowej na Górnym Śląsku. „Królewski jedynak” Lucjana Rydla inaugurował (7 października) działalność sceny dramatycznej Teatru Polskiego w Katowicach. Premiera, wprowadzie – jak pisali recenzenci – trochę nudna, lecz *postaci były porywające, w czym wielką rolę grały wspaniałe kostiumy*. W roli tytułowej wystąpił W. Nowakowski, w postać *Zygmunta I* wcielił się J. Leśniewski, *Królową Bonę* zagrała gościnnie Aldona Jasińska. 8 października przed południem odbyła się uroczysta akademicka, podczas której dokonano oficjalnego otwarcia Teatru Polskiego, wśród mówców znaleźli się: poseł Wojciech Korfanty, prezes TPTP Feliks Bocheński, dyrektor Teatru Tadeusz Wierzbicki. Tadeusz Kończyc napisał na tę okoliczność prolog, który odczytał reżyser J. Leśniewski. Ukoronowaniem uroczystości było odegranie hymnu narodowego i uwertury koncertowej „Bajka” Stanisława Moniuszki, którego „Halka” wieczorem zainaugurowała działalność sceny muzycznej Teatru Polskiego. W tym historycznym przedstawieniu w tytułowej roli wystąpiła H. Skwarecka, partię *Jontka* śpiewał H. Miller, *Janusza* – C. Rawita, *Stolnika* – T. Wierzbicki, *Zofi* – W. Stróżyńska.

Po trzech przedstawieniach „Królewskiego jedynaka” kostiumy musiały wrócić do Warszawy, w zamian do repertuaru weszły... 32 nowe premiery, m. in.: „Zemsta”, „Damy i huzary”, i „Słuby panieńskie” A. Fredry, „Oj mężczyźni, mężczyźni” K. Zalewskiego, „Wierna kochanka” M. Fijałkowskiego, „Obrona Częstochowy” Juliana z Poradowa, „Betlejem Polskie” L. Rydla, „Straszny dwór” S. Moniuszki, „Tosca” i „Madame Butterfly” G. Pucciniego, „Trubadur” i „Traviata” J. Verdiego, „Faust” Ch. Gunoda. W sumie do końca sezonu (15 lipca 1923 r.) odbyły się... 239 przedstawienia, z czego w Katowicach zagrano 186 spektakli a 53 w *miejsowościach prowincji województwa śląskiego*.

Próby zażegnania kryzysu

Kiedy gazety polskie, z niezrozumiałych powodów, coraz rzadziej odnotowywały pojawianie się kolejnych premier, niemieccy dziennikarze nie szczędzili pochwał pod adresem poziomu polskich przedstawień, nie ukrywając, że jest on znacznie wyższy od spektakli granych w Landertheatrze w Bytomiu. Oceny te jednak nie pokrywały się z zainteresowaniem polskiej publiczności proponowanym repertuarem. Jak podsumowuje ten pierwszy sezon Marian Sobański – popularnością cieszyły się przede wszystkim spektakle muzyczne i koncerty symfoniczne, natomiast na przedstawieniach komediowo-dramatycznych frekwencja była znikoma. Nie pomogły zachęty w postaci abon-



Marian Sobański (1889-1980), twórca wielkości katowickiej sceny.

mentów i różnych form zniżek, ani nawet powołana przez dyrekcję komisja propagandowa. „Goniec Śląski” i „Górnoślązak” były jedynymi gazetami ogłaszającymi stałe komunikaty i reklamy na temat wydarzeń w teatrze. Rosło także niezadowolenie wśród zespołu artystycznego, nieterminowe wypłaty zdevaluowanych pobrań znacznie wpływały na pogarszanie się atmosfery za kulisami. Wrzenie wyładowywano często w formie strajków, które tworzyły wokół teatru nie najlepszy klimat.

Próba poprawy sytuacji było ograniczenie deficytowych przedstawień wyjazdowych na rzecz spektakli w Katowicach. Służyć miało temu m.in. uruchomienie 10 marca 1923 r. nowej sceny w wydzierzawionym przy ulicy Bronisława Pierackiego lokalu Kabaretu „Apollo”. To właśnie tam przede wszystkim miały odbywać się spektakle operetkowe, lekkie komedie i farsy. Wobec trudności i przeszkód, jakie stawiał magistrat a tak-

że nadal niezadawalającej frekwencji – po dwóch tygodniach scenę jednak zamknięto. Problemy finansowe teatru przełożyły się także na działalność Towarzystwa Przyjaciół Teatru Polskiego, które nie nadążało za potrzebami finansowymi zespołu. Wyrazem ostatecznego niezadowolenia było przejęcie 1 kwietnia 1923 r. przez TPTP prowadzenia księgowości teatru. 15 lipca gmach teatru został oddany do dyspozycji „Zrzeszenia Artystów”, które w niespełna dwa tygodnie zorganizowało dodatkowe przedstawienia „Tosci”, „Fausta” i „Żydówki” a uzyskany dochód przeznaczony został do podziału wśród najbardziej potrzebujących członków zespołu.

* * *

Kolejne lata nie były łatwe dla młodej polskiej sceny. Kłopoty finansowe, konieczność konkurowania ze znakomicie wyposażonymi profesjonalnymi teatrami niemieckimi stały się codziennością zespołu aktorskiego. Najtrudniejszym jednak przeciwnikiem okazał się narastający nacjonalizm o czym najdobitniej świadczą dramatyczne wydarzenia w Opolu 28 kwietnia 1929 r. Przybyli na zaproszenie sekcji miłośników sceny przy Polsko-Katolickim Towarzystwie Szkolnym w Opolu aktorzy Teatru Polskiego z Katowic nie tylko z trudnością zagrali „Halkę” Stanisława Moniuszki (atakowani m. in. nabożami łzawiącymi), ale zostali także brutalnie zaatakowani przez członków NSDAP, Jungstahlhelm i kilku żołnierzy Reichswehry w drodze na dworzec. W wyniku bestialskiego pobicia 50 osób trafiło do szpitala, kilku aktorów pozostało do końca życia kalekami. Natomiast kary dla sprawców były nie tylko symboliczne, ale i nadmiernie łagodne. Wojewoda śląski Michał Grażyński, który od początku wspierał działalność Teatru Polskiego, powierzając mu misję polonizacyjną zakazał do odwołania występów sceny niemieckiej w całym województwie. Sytuacja ta nie zmieniła się aż do 1935 r.

W 1927 r. dyrektorem teatru został wybitny śpiewak operowy Marian Sobański, który okazał się wyjątkowo zdolnym zarządcą. Funkcję tę pełnił do wybuchu wojny. Był też pierwszym powojennym dyrektorem teatru. Od września 1936 r. teatr otrzymał patrona, którym został Stanisław Wyspiański.

W pracy wykorzystano:

Marian Sobański *Teatr polski na Śląsku*, Katowice 1937

Elżbieta Tosza: *Teatr Śląski im. Stanisława Wyspiańskiego w Katowicach 1907-1922-1997*, Katowice 1998.

Andrzej Linert, [w:] „Śląsk” nr 3/2011.

Zdjęcia pochodzą z: Elżbieta Tosza *Teatr Śląski im. Stanisława Wyspiańskiego w Katowicach 1907-1922-1997*, Katowice 1998.



Dr Tadeusz Wierzbicki, pierwszy dyrektor Teatru Polskiego, sezon 1922/23.

Pierwszy dzwonek za nami. Rozpoczął się kolejny rok szkolny. Przez uczniów nie jest to z pewnością wyczekiwany z utęsknieniem moment. Przez rodziców, w ostatnich latach – także nie.

Wakacje zaczęliśmy z odbijającymi się głośnym echem protestami w związku ze zmianami sposobu nauczania historii w szkołach ponadgimnazjalnych. Przez region przeszła fala protestów, wieców, dotyczących łączenia i likwidacji szkół. W Bytomiu jedną ze szkół okupowali uczniowie, nauczyciele i rodzice.

Nowy rok szkolny wszyscy rozpoczynają z obawami... Nauczyciele boją się zapowiadanych zwolnień. Według przewodniczącego oświatowej Solidarności – Ryszarda Proksy pracę może stracić nawet 30 tysięcy pedagogów. Pierwsze redukcje nauczycielskich etatów mają nastąpić w ciągu kilku miesięcy. Powód? Coraz mniej pieniędzy w samorządowych kasach i coraz mniej dzieci w szkolnych ławkach.

Tego roku szkolnego boją się także rodzice. Nowe podręczniki, kolejne zmiany, sześciolatki w pierwszych klasach i zaskakujące pomysły wprost z Ministerstwa Edukacji Narodowej.

Wśród nowości w roku szkolnym 2012/2013 na szczególną uwagę zasługuje nowa podstawa programowa w szkołach ponadgimnazjalnych. Powiązane zostały programy nauczania w gimnazjum i liceum. Uczniowie pierwszej klasy liceum będą kontynuować naukę rozpoczętą w gimnazjum, ma to zapobiec uczeniu się dwa razy tych samych tematów. W następnych latach, w drugiej i trzeciej klasie liceum, uczniowie będą nadal obowiązkowo uczyć się języka polskiego, matematyki i dwóch języków obcych. Obowiązkowe będą również zajęcia z wychowania fizycznego. Dodatkowo licealista będzie musiał wybrać co najmniej dwa przedmioty (może od dwóch do czterech), których będzie się uczył w wymiarze rozszerzonym, w zależności od zainteresowań. Oprócz przedmiotów rozszerzonych uczeń będzie miał obowiązek uczenia się przedmiotów uzupełniających. Podobne zmiany zostały wprowadzone w technikach i szkołach zawodowych. Czy to zmiany na lepsze? Czy może czeka nas edukacyjny galimatias?

Jaki będzie ten rok szkolny na Śląsku? Młodzież z regionu powinna się czegoś obawiać...?

Ze śląskim kuratorem oświaty
**STANISŁAWEM
FABEREM**
rozmawia
EWELINA KOSAŁKA



Dostosować edukację do potrzeb

– **Rozpoczął się nowy rok szkolny, ale spójrzmy jeszcze przez chwilę na ten, który się skończył. Były protesty nauczycieli historii wobec zmian w podstawie programowej dotyczącej nauki tego przedmiotu, likwidacje szkół, okupacje w Bytomiu. To był burzliwy okres?**

– Protesty nie tylko nauczycieli historii, ale osób, które do historii ojczyściej przywiązują ogromną uwagę i osób całą sytuacją poważnie zaniepokojonych. W moim odczuciu jednak zupełnie niesłusznie. Nauczanie historii w liceum, w pierwszej klasie, stanowi kontynuację całej podstawy programowej, którą uczniowie realizowali w gimnazjum. W liceum, czy technikum nie ma powtarzania tych samych treści. Pamięta pani jak było kiedyś?

– **Dwa, czy trzy razy uczyliśmy się starożytności, nigdy nie dochodząc do wydarzeń związanych np.**

z Okrągłym Stołem, czy zburzeniem Muru Berlińskiego.

– W szkole ponadgimnazjalnej rozszerzaliśmy te znane zagadnienia, ciągle na nowo. Natomiast wielu nauczycieli miało kłopoty z realizacją tematów dotyczących historii najnowszej, tak ważnej, by zrozumieć chociażby zmiany zachodzące w współczesnej Polsce, czy świecie.

– **A później dochodzi do pomyłek z dopasowaniem daty do np. roku upadku komunizmu.**

– Tak, chociaż daty nie są najważniejsze. Istotne jest by znać proces zmian, by móc, w szczególny sposób, odnieść się do osiągnięć ludzi, którzy mieli odwagę głosić prawdę, w sytuacjach, w czasach, kiedy groziły za to poważne sankcje. To oni spowodowali, że żyjemy w wolnym, demokratycznym kraju. To także ci ludzie, często pomijani w podręcznikach, uczyli odpowiedzialności za swoje czyny, za słowo.

– **Ostatnio pojawiła się opinia, że po zmianie formy nauczania historii, młodzi ludzie będą uczeni tylko celebracji krwawych, martyrologicznych, przełomowych momentów w dziejach Polski. Padło nawet stwierdzenie, że „będziemy polewać się krwią naszych przodków”.**

– Nie, zmiana podstawy programowej bynajmniej temu nie służy. Wręcz odwrotnie. Jako Kuratorium Oświaty w Katowicach organizujemy szereg konkursów, związanych z tymi przełomowymi wydarzeniami. Ale historii uczymy przede wszystkim po to, by nie tylko pamiętać o bohaterach, ale wskazać na wielkie dni, te trudne, dni porażek, ale też te chwalebne. Nie można budować świadomości społecznej na martyrologii, ale trzeba zawsze wskazywać na to, co jest pozytywne. Trzeba uczyć pozytywnie.

– **Jaki będzie ten rok szkolny? Przed jakimi wyzwaniem stoi śląska szkoła?**

– Od samego początku reformy, która teraz wkracza do szkół ponadgimnazjalnych, zwracamy uwagę na indywidualizację procesu nauczania. Mamy około sześciuset tysięcy uczniów na terenie naszego województwa, uczy tu dziewięćdziesiąt dwa tysiące nauczycieli. Mimo to zwracamy uwagę na fakt, że każde dziecko ma pewien określony potencjał i jego obecność w szkole powinno owocować odniesieniem sukcesu na miarę jego możliwości. Przed takim też zadaniem stoją nauczyciele: pomóc uczniom osiągnąć sukces. Jeśli patrzemy na oświatę, nie powinniśmy patrzeć tylko holistycznie, po-

przez pryzmat wyrastających słupków, ale pochylić się nad losem każdego jednego ucznia. Chcemy stwarzać coraz lepsze warunki do rozwoju dziecka. Temu służą różne narzędzia, między innymi edukacyjna wartość dodana, która wskazuje, jakie sukcesy odnosi dodatkowo uczeń, który przychodzi z gimnazjum do szkoły ponadgimnazjalnej. Bo egzaminy na każdym etapie edukacji są porównywalne. Jest matematyka, język polski, język obcy. Chcemy jednak pomóc uczniowi realizować także jego pasję. Wyzwań jest dużo. Ważne, by w naszym województwie, gdzie jest ponad pięć i pół tysiąca placówek oświatowych i przedszkoli, stworzyć jak najlepsze możliwości rozwoju. Dostosować naszą edukację do potrzeb, które narzuca społeczeństwo informacyjne. Już trzy lata temu, wraz z wojewodą, realizowaliśmy projekt: „Lekki jak piórko – multimedialna szafka dla każdego ucznia”, to jest jak gdyby wyprzedzenie działań realizowanych w ramach cyfrowej szkoły. Teraz idziemy krok dalej. Między 19 a 20 września – organizujemy w Sosnowcu Targi Multimedialne – to jest ewenement na skalę kraju. Będziemy nie tylko przedstawiać sprzęt przydatny na lekcjach, ale także pokażemy, w jaki sposób należy się tymi narzędziami posługiwać. Na przykład chcemy zachęcić do częstszego wykorzystywania podczas zajęć dydaktycznych platform internetowych. Dla uczniów szkół ponadgimnazjalnych: liceów, techników i szkół zawodowych jest przygotowana platforma e-learningowa, by podnieść wyniki uzyskiwane trakcie nauki i przygotować do egzaminów maturalnych, czy zawodowych.

– **W jakim stopniu te wszystkie nowości multimedialne są wykorzystywane w nauczaniu, na Śląsku? W szkołach obserwujemy ewolucję, czy wciąż najczęstszymi pomocami dydaktycznymi nauczycieli są: gąbka, kreda i tablica?**

– Ważne jest to, by takie działania miały charakter systemowy. Urząd Marszałkowski jest liderem takiego multimedialnego projektu, przy współpracy z Kuratorium Oświaty w Katowicach. Jesteśmy wzrokowcami: wizualizacje, animacje komputerowe, czy wirtualne przestrzenie skupiają naszą uwagę i pomagają w poznawaniu świata. Dlaczego nie wykorzystać tego podczas zajęć?

– **Teraz sceptycy i zwolennicy „tradycyjnego nauczania” zaczynają przygotowywać pisma protestacyjne. Przecież taki plan nauki**

opiera się na „gadżetach” a nie solidnej wiedzy. Nauka ma zmieniać się w zabawę?

– Wiedza to informacja, świat prężnie się rozwija. Ważne, by nie dać się „uwięzić” magii multimediów, czy choćby portali społecznościowych, ale wykorzystać je do swoich potrzeb. Jestem zwolennikiem nowości, nie przeszkadza mi to jednak być bibliofilem. Uwielbiam książki, czytam...

– **A e-booki też?**

– Nie mam e-booka ale chętnie go nabędę, jeśli będę mieć czas na przeczytanie wszystkich książek, które mieszczą się w takim czytniku.

– **Właśnie, bo był taki pomysł Kuratorium, by zaopatrzyć, szczególnie najmłodszych w czytniki i e-booki. Miało to rozwiązać problem ciężkich tornistrów. Nikt teraz o tym nie mówi. Pomysł jak szybko się pojawił, tak szybko zniknął?**

– To był pierwszy projekt, chodziło o czytniki e-booków i odciążenie plecaków. Jednak po konsultacji z Intelem, doszliśmy do wniosku, że lepiej sprawdzą się netbooki. One dają więcej możliwości: pracę w sieci, kontakt z nauczycielem, łatwiejszy dostęp do informacji.

– **Jak po wprowadzeniu programu, to teraz funkcjonuje?**

– Niestety nie zostało to objęte takim działaniem systemowym jak byśmy chcieli. To nie leży w gestii kuratoriów oświaty, aczkolwiek są realizowane granty, w ramach których nauczyciele są szkoleni w tym obszarze. Coraz więcej nauczycieli zdobywa wiedzę niezbędną do tworzenia tego typu platform. Natomiast ja mam takie marzenie, może kiedyś się spełni, by powstała, niczym „parasol” platforma dostosowana do możliwości i umiejętności uczniów na każdym poziomie edukacji. Bo teraz dzieci np. sięgają do Wikipedii, która owszem podaje informacje, ale w sposób niezrozumiały, lub, co też niestety się zdarza, z błędami.

– **Szkoła wspierająca indywidualizm ucznia i rozwijająca jego zainteresowania to właśnie przyszłość?**

– Podstawa programowa już daje taką możliwość. Uczeń po przyjeździe do szkoły ponadgimnazjalnej może rozwijać swoje pasje, rozszerzać wiedzę z wybranych przedmiotów,

Nowy rok szkolny w województwie śląskim rozpoczął: w szkołach podstawowych, gimnazjalnych i ponadgimnazjalnych ok. 530 tysięcy uczniów i ponad 220 tysięcy przed-szkolaków.

w dwóch ostatnich latach edukacji. Nie uczymy tylko pod kątem egzaminów zewnętrznych. Musimy rozbudzać pasję w młodych ludziach, ciekawość świata. Egzaminy to jedno, zdobywanie wiedzy, poznawanie nowych zagadnień to drugie. Szkoła musi dostarczać i tego, i tego. Szkoła ma kształtować, ukierunkowywać ucznia tak by znalazł swoją drogę, by później uczył się dalej. Dużo się dzieje, jest wiele możliwości, trzeba pokazywać uczniom różne drogi. Czy z nich skorzystają – to już ich wybór.

– **Dużo się dzieje i dużo się dzieło. Istnieje ryzyko, że powtórzy się np. sytuacja z ubiegłego roku szkolnego, gdy protestowali nauczyciele, uczniowie i rodzice, żeby nie likwidować i łączyć szkół w Bytomiu. Grozi nam w tym roku szkolnym taki scenariusz?**

– Ministra Edukacji Narodowej, kuratora oświaty, czy całej administracji rządowej nie można obarczać odpowiedzialnością za działania podjęte, być może czasami nierozważnie, przez przedstawicieli samorządów: wójtów, burmistrzów, czy prezydentów miast. Tak jak w przypadku ma być zachowana równowaga, powinno działać się również w funkcjonowaniu aparatu państwowego. Kuratorium oświaty jest instytucją, która stoi na straży przestrzegania prawa. Interweniuje w przypadkach naruszania prawa. Od tego jesteśmy, by stać na straży przestrzegania zgodności i decyzji administracyjnych, zarządzeń, z obowiązującym prawem. Kuratorium Oświaty stoi na straży realizacji zadań związanych z nadzorem pedagogicznym – i to egzekwujemy. Natomiast szkoły prowadzą organy prowadzące. Dobrze, gdy jest panująca określona harmonia i tak bywa. Natomiast nie za wszystko, podobnie jak za sytuację w Bytomiu odpowiedzialność może brać na siebie kuratorium. My pomagamy, analizujemy trendy. Ale nie mamy wpływu na instytucje, które są autonomiczne.

– **Ten rok szkolny, który właśnie się rozpoczął, jaki będzie dla śląskiej szkoły? Czego życzyć uczniom?**

– Żeby nie zniknął entuzjazm powakacyjny. Życzę wszystkim uczniom, aby ich szkoła była radosna, przyjazna i żeby... była też wymagająca. Wymagająca wobec uczniów i nauczycieli. Myślę, że wtedy cel zostanie osiągnięty. Jeśli szkołę da się polubić, a naprawdę da się, to każdy rok szkolny będzie udany. Życzę tego wszystkim, sobie także!

Trucizna przychodzi zza Olzy

KAZIMIERZ
KASZPER

Obraz Polski i Polaków w Czechach na tle afery metanolowej

Jedną z przyczyn naszego, Zaolziaków, szlochania przed telewizorami 23 lata temu była wiara w bliską odnowę stosunków czechosłowacko-polskich. Mieliliśmy jeszcze wtedy w żywej pamięci wyzwiska, jakie padały pod adresem strajkujących Polaków z ust uświadomionych obywatelsko i klasowo czeskich obywateli.

„Lenie” i „nieroby” należały do bar-
dziej delikatnych. Niektórym
brzmiały jeszcze w uszach opowieści
krewnych zza Olzy, którym kasjerki
w sklepach w Czeskim Cieszyńcu i in-
nych przygranicznych miastach wyjmo-
wały czekoladę z koszyków ze słowami
nagany na polską gospodarkę i pazerność
Polaków na cudze, w pocie czoła wypra-
cowane dobra. – Nie damy sobie zdesta-
bilizować rynku spożywczego przez
nieodpowiedzialnych Polaków – pota-
kiwali sobie wracający z fabryk i hut,
z kieszeniami wypchanymi przydat-
nym w domu żelastwem, starzy i mło-
dzi „obrońcy” wspólnego socjalistycz-
nego mienia. Wymowne były również
w tym czasie doniesienia prasowe o Po-
lakach masowo podróżujących przez
Czechy do Austrii i na Węgry „na han-
del” – po towar sprzedawany następnie
z zyskiem na nielegalnych często targow-
iskach u siebie w kraju.

Przekaz wszystkich tych komuni-
katów, zarówno medialnych jak obywa-
telskich, był jasny: Polska była i jest

krajem zacofanym z winy własnych
obywateli, którzy zamiast uczciwie
pracować, wolą demonstrować na uli-
cach i zarabiać na swoje godne pożało-
wania życie pokątnym handlem. Swo-
im lenistwem, wybujałym egoizmem,
nieposłuszeństwem oraz chorobliwą
skłonnością do kombinatorstwa podmino-
wują nie tylko socjalistyczny ład własne-
go państwa, ale całego bloku ludowo-
demokratycznego. Towarzysze w Moskwie,
możecie spać spokojnie. My tu, nad We-
łtawą, czuwamy i nie pozwolimy szarań-
czy znad Wisły pożreć tego, co dzięki
swoim wyjątkowym zdolnościom i głę-
bokiemu zrozumieniu waszych i naszych
potrzeb stworzyliśmy. Pracy cześć!

Zaolziańskie tęsknoty
do normalności

Bardzo pragnęliśmy zmiany. Jaki-
kolwiek rodzaj manifestacji swojej
polskości w klimacie permanentnej wo-

bec niej wrogości wymagał końskiego
zdrowia. Każdy, kto choć trochę niedo-
magał na tożsamości, odpadał niestety.
Spory odłam jako tako sprawnych na cie-
le i umyśle osób zaczął się dla własne-
go bezpieczeństwa okrywać płaszczem
Wallenroda. I jedni, i drudzy tak czy
owak skazywali się na życie w podwój-
nej moralności. Oczekiwaliśmy więc, że
wydarzenia z późnej jesieni 1989 r.
ostatecznie zdejmą z nas odium parwe-
niuszy i odsuną w niebyt dyskomfort psy-
chiczny, jaki zafundowała nam filozofia
wygodnego pragmatyzmu i narcystycz-
nego upojenia większościowej czeskiej
społeczności.

Wierzyliśmy, że przystąpienie do wiel-
kiej rodziny zachodnich demokracji za-
owocuje m.in. przywróceniem szacunku
dla człowieka, tolerancją dla innych
kultur, wzrostem wiedzy o człowieku
i świecie, zwłaszcza zaś nasyceniem
całej naszej przestrzeni życiowej pier-
wiastkami prawdziwego, niekwestio-
wanego humanizmu. Nic z tych rzeczy
„samo z siebie” nie przyszło. Akurat
dzięki Unii Europejskiej mamy prawo
skutecznie domagać się zgodnego z re-
gulami języka polskiego wpisywania
imion i nazwisk do dowodów osobi-
stych, a w rejonach zamieszkałych
przez „historyczną” mniejszość naro-
dową można, lecz bez przesady, na ta-
blicach drogowych umieszczać nazwę
miejscowości w języku tej mniejszości.
Czego jednak nie udało się w UE
prawnie zadekretować, tego w zakre-
sie stosunków międzyludzkich i międ-
zynarodowych nie ma. Nagonka
na Polaków może być bez przeszkód
kontynuowana.

„Odwieczna” obecność
czesko-polskich uprzedzeń

Żeby nie być posądzonym o stronni-
czość bądź ideologiczne zaciętrze-
wienie muszę dodać, że negatywny ste-
reotyp Polski i Polaków funkcjonuje
w kulturze czeskiej, podobnie jak
Czech i Czechów w polskiej, od naj-
dawniejszych czasów. Czeski stereoty-
powy obraz Polaka zaczął się kształtować
już w latach 20. XII wieku, kiedy w Kro-
nice Czeskiej (Chronica boëmorum)
Kosmasa pojawiły się pierwsze wzmian-
ki o polskich książętach. Od tej pory li-
sta przypisywanych Polakom przywar
uległa znacznemu wydłużeniu. Znaj-
dziemy na niej takie negatywne cechy
charakteru, jak: przebiegłość, zabor-
czość, pijaństwo, lenistwo, nieróbstwo,
zarozumiałość, pyszałkowatość, nie-
chlujność („na hoře hój, dole fuj” – po-
wiadają Morawianie z Hany), nieuc-
two, pijaństwo, zacofanie, fałszywą
pobożność, kombinatorstwo... Z kolei
polska tradycja, sięgająca czasów Galla

Kierowanie się stereotypami w odniesieniu do obcych ma swoją wyraźną dy-

Temat Polski i Polaków przynależy do drugiej z wymienionych kategorii. I to od pierwszych chwil formowa-

Na słuszność takiej dedukcji wskazywałby nie tylko termin „aksamitna rewolucja”, jakim z emfazą zaczęto określać listopadowe wydarzenia, ale także

41 SLASK

ulotki, którymi już w grudniu został ob-
siany cały plac Wacława i przyległe
ulice. Głosiły one: „Polákům to trvalo
10 let, Němcům 10 měsíců a nám
stačilo 10 dnů!”.

Kontekst mitu założycielskiego cze-
skiej demokracji każe z nieco innej
perspektywy spojrzeć na przyczyny
stałej obecności w czeskiej przestrze-
ni publicznej negatywnego stereotypu
Polski i Polaków. Stereotyp ten naj-
prawdopodobniej wchodzi w skład
wzmiankowanego mitu jako jego
ujemny przeciwbiegun, rodzaj swoiste-
go wentylu bezpieczeństwa, którego ro-
la nie sprowadza się tylko i wyłącznie do
kształtowania i utrwalania wykrzywio-
nego obrazu północnego sąsiada, ale
głównie do kanalizowania możliwych ne-
gatywnych emocji społecznych związa-
nych z procesami demokratyzacji życia
i transformacji ustrojowej. Jeśli tak rze-
czywiście jest, to – biorąc pod uwagę ro-
snący stopień niezadowolenia obywateli
ze sposobu sprawowania władzy przez
postrewolucyjne elity – będzie on obec-
ny w mediach dopóty, dopóki elity te nie
zejdą ze sceny. A na to się, jak na razie,
nie zanosi.

Festiwal samouwielbienia i nienawiści

Owyjątkowej biegłości dziennikarzy
w posługiwaniu się wzmianko-
wanym stereotypem świadczy sposób
prezentacji afery metanolowej w pra-
sie i telewizji. Pierwsze informacje o jej
wybuchu telewizja publiczna ilustr-
owała zdjęciami feralnego kiosku w Ha-
wierzowie-Szumbarku oraz wyjmo-
-

nymi z tekturowych pudeł butelkami,
opatrzonymi etykietami z napisem „Spi-
rytus rektyfikowany” i „Inländer”. Tak
było przez pięć dni, rano, w południe
i wieczorem. **Przekaz dla odbiorcy
był więcej niż czytelny: to nie sprawa
ka nas, porządnych i przestrzegają-
cych norm współżycia społecznego
Czechów, lecz tych bezkarnie od lat na-
jeżdżających naszą kotlinę barba-
rzyńców z północnego wschodu.**

Sugestię natychmiast bezbłędnie wy-
chwycili internauci, dając na forach
dyskusyjnych upust swej ksenofobii.
W ich opiniach Polska i Polacy to najbar-
dziej parszywy śmieć współczesnego
świata, porównywalny może jeszcze
tylko z Chińczykami i Wietnamczykami.
Ich zdaniem nic, absolutnie nic, co po-
chodzi z Polski nie nadaje się do użytku
w Czechach. Koronnym argumentem dla
większości były wyeksportowane do
Czech polskie artykuły spożywcze,
w których składzie czescy kontrolerzy
doszukali się szkodliwych dla zdrowia
pierwiastków. Oczywiście wymachiwa-
no również solą przemysłową dodawa-
ną do niektórych wyrobów w Polsce, nie
zdając sobie sprawy, że tego proceduru
nie wykryto w Czechach, lecz czeskie
media przejęły i odpowiednio nagłośni-
ły informację o nim na podstawie donie-
sień polskiej prasy.

Naturalnie żadnemu z pałających świę-
tym oburzeniem na polski „hnus i hu-
mus” nie wpadło do głowy, że stawianie
znaku równości między potencjalnym za-
grożeniem, nb. wydedukowanym najczę-
ściej z lektury ramek zawartości na opa-
kowaniach, a bezpośrednim atakiem
na życie w postaci dodania metanolu
do alkoholu konsumpcyjnego jest logicz-
nym nonsensem. Ale wiadomo, rolę mi-

tów i stereotypów nie jest skłanianie
do myślenia.

W tyle nie pozostawali również dzien-
nikarze prasowi – i to na wskroś wszyst-
kich możliwych opeci politycznych. Po-
mimo iż ani policja, ani żadna ze służb
kontrolnych czy medycznych nie zasugerowała im polskiego rodowodu
zatrutego alkoholu, z własnej wolnej
i nieprzymuszonej woli podjęli się he-
roicznego wysiłku udowodnienia, że
winni znajdują się za polską granicą.
Najpierw zaczęli za polską prasą upo-
wszechniać informacje o zatruciach
metanolem w Polsce. Faktycznie, zda-
rzyły się takie np. w Kieleckiem i Opol-
skim, o czym dość obszernie donosił
ogólnopolski brukowiec „Fakt”. **Kiedy
jednak okazało się, że pity przez tych
nieszczęśników alkohol pochodził naj-
prawdopodobniej z Czech, bez potrze-
by prostowania czegokolwiek wycią-
gnęli kolejny, tym razem bez
najmniejszych wątpliwości mający
rozstrzygać o polskiej winie argu-
ment: metanol trafił do Czech jako
składnik polskich płynów do spryski-
waczy! To tak, jakby powiedzieć, że
winni hitlerowskich ofiar II wojny świa-
towej są Czesi, gdyż to właśnie ze znaj-
dujących się na terytorium okupowanych
Czech i Moraw fabryk pochodziła więk-
szość broni jaką dysponował Wehr-
macht.**

I tak dalej, i tym podobnie. Napraw-
dę trudno było w ciągu ostatnich dwóch
tygodni oderwać się od telewizora, kom-
putera i wysoce oświeconej czeskiej
prasy. Takiego festiwalu samouwielbie-
nia, nienawiści i głupoty graniczącej
z szaleństwem dawno nie mieliśmy oka-
zji oglądać. A nie wiadomo, jak długo
jeszcze potrwa i czym się ostatecznie za-
kończy.

Nie mamy alternatywy

W każdym razie nasze poczucie przy-
zwoitości i pragnienie zanurzenia
się w polskości bez konieczności legity-
mowania się świadectwem poczytalno-
ści nadal będą wystawiane na próbę
wytrzymałości. Tym razem jednak alter-
natywą dla nas nie jest polskość a l b
o demokracja. **Jako wolni i odpowie-
dzialni za siebie obywatele demokra-
tycznego państwa możemy i powinni-
śmy dolożyć maksimum starań
o przywrócenie właściwego, zgodnego
z rzeczywistością obrazu Polski i Po-
laków wśród większościowego społe-
czeństwa czeskiego. A swoje przywią-
zanie do polskości bez kompleksów
manifestować na zewnątrz. Na co
dzień, osobiście i za pośrednictwem
swoich organów przedstawicielskich.**

Krótką historia afery

Pierwszy przypadek zatrucia alkoholem z wysoką zawartością metanolu za-
notowano 6 września 2012, ofiara zakupiła go w kiosku spożywczym w Ha-
wierzowie-Szumbarku. Od tej pory niemal codziennie przybywało zatrutych
i hospitalizowanych oraz ofiar śmiertelnych – najwięcej w północnych i po-
łudniowych Morawach, pojedyncze przypadki zanotowano również w Pra-
dze i południowych Czechach. W rezultacie 14.9. minister zdrowia RC ogło-
sił częściową prohibicję w całym kraju. Mimo to poszkodowanych nadal
przybywało, do 25.9. było już 25 ofiar śmiertelnych.

Do wykrycia źródła skażenia, a więc butelek ze śmiertelną zawartością me-
tanolu, zaangażowano służby kontrolne z branży handlowej, zdrowotnej i fi-
nansowej (służby celne). Niezależnie od tego nielegalnych producentów
i dystrybutorów alkoholu zaczęła tropić policja. 24.9. jej przedstawiciele
na konferencji prasowej poinformowali, że źródło skażenia znajdowało się
w nielegalnej wytwórni w Opawie. Tutejsi wytwórcy produkowali przy uży-
ciu spirytusu przemysłowego i metanolu nie tylko różne marki alkoholu, ale
także płyn do spryskiwaczy.

O tym, że proceder nielegalnej produkcji i dystrybucji alkoholu kwitnie
po czeskiej stronie granicy, wiedzieli od co najmniej 15 lat wszyscy miesza-
kańcy Czeskiego Cieszyzna, obserwując zdumiewające zjawisko powstawa-
nia w mieście i okolicy coraz to nowych punktów sprzedaży taniego alkoh-
lu i tłumy pielgrzymujących do nich klientów z Polski. Mimo to po wybuchu
afery czeskie media wołały zamiast na miejscu szukać winnych za granicą,
w Polsce.

Zawsze w nocy wchodzę do biblioteki, mieszczącej się wieży nieopodal baszty, która kiedyś wieńczyła szyb kopalniany sięgający głęboko w ziemię. Przez tę dziurę górnicy nie tylko zaglądali w ślepią industrii, ale również ocierali się o tajemnice, ukryte często w bryłach węgla oraz w zakamarkach ich serc. Teraz – bliźniacza wieża – sięga w głąb pamięci, niczym wehikuł czasu, penetrując pokład po pokładzie. Choć jestem tylko strażnikiem, czuję się jak dowódca statku poruszającego się i w czasie i przestrzeni (bo inaczej przecież nie można), często odkrywając zupełnie zatarte znaki. Z pozoru pełnią tylko funkcje zdobnicze, pokrywając fragmenty artefaktów, ale gdy się nad nimi zatrzymać, rozkwitają za każdym razem kodem, rozświetlając ciemności, uwidaczniając całą wielowymiarową siatkę powiązań. Bo choć doskonale o tym wiemy, że nie ma nic z niczego, za każdym razem rozdzielamy gębę, że przecież... I choć wydawać by się mogło, że jako jedyny strażnik nocnej biblioteki jestem zamknięty w wieży, ubezwłasnowolniony niczym średniowieczny szaleniec w wieży głupców, w rzeczywistości przenikam wszechświaty tam i z powrotem. Ale najpiękniejsze w tym wszystkim jest to, że nawet na milimetr nie opuszczam tego magicznego miejsca, które nazywa się Śląsk.

Stąpam korytarzami Biblioteki, zapuszczając się momentami w tak zapomniane korytarze, iż ciemność zalegająca ze wszystkich stron jest tak intensywna, że mózg mój podsuwa rozwiązania alternatywne. I aby nie oszaleć, wierzę w to, bo przecież w rzeczywistości wszechświat działa racjonalnie, nie nakłada na siebie przestrzeni ani czasu – jest przecież matematyczny. Chyba. W tych zaskakujących sytuacjach pojawiają się czasem dziwne postacie, których uroda zapiera dech, czasem, dla odmiany, jest to zwykwalny oddech zła, a czasem, choć rzadko, rozpościera się przede mną widok łącie fantastyczny.

Tym razem wielce zdziwiony doświadczam iluminacji w dosłownym znaczeniu tego słowa. Być może winę za ten stan ponosi książka, której oryginalny tytuł brzmi: *Der Wind weht von der Oder*. Słoneczne światło zalewa moją twarz. Po chwili, kiedy spoglądam po bokach, widzę skrzący się błękit zawieszony nad soczystą zielenią i żółcią, w której popychane murowane domki z czerwoną dachówką, rozstrzelone wzdłuż czarnej wstęgi drogi, zamiatanej przez kobiety – widać jest sobota – doopisują przestrzeń, w której jestem. Znajoma przydrożna kapliczka z Matką Boską, pomnik ofiar żołnierzy, którzy zginęli w wojnie zakończonej w roku 1871, remiza pyszniąca się niczym dom kultury oraz beżowy kościółek na wzgórzu z przyległym do niego cmentarzem. Tam grupka mężczyzn i kobiet z dziećmi ubranymi na czarno, śpiewa nad otwartym jeszcze grobem pieśni żałobne – najpierw po polsku, a potem po niemiecku, mówiąc w przerwach językiem ni to śląskim, ni

Biblioteka nocą



KRYSTIAN GAŁUSZKA

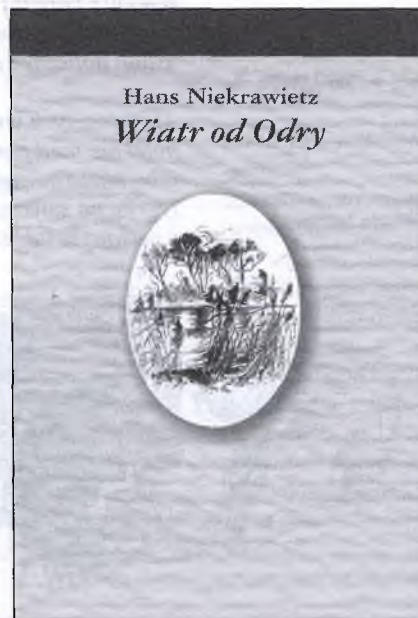
Wyspy szczęśliwe

morawskim. Z niedowierzaniem przecieram oczy. Jestem w Owsiszczech, czy jak chcą niektórzy w Haberggrundzie, wsi graniczącej z Piszczem (Pišť), w którym neobarokowy kościółek szczyci się obecnością kopii obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej. Jestem zatem na pograniczu, nieopodal sunącej Odry, która tuż za sąsiednimi Krzyżanowicami zasila swymi wodami ciąg rozlewisk. Pomny

jednak zdumienia nie do końca ukrytego w uciekającym wzroku, w trakcie słynnej konwersacji z mieszkańcami Owsiszc, wiem, że Śląsk to Racibórz albo Opole, a pogranicze to my.

Wie to również autor *Wiatru od Odry*. Poeta opolski Hans Niekrawietz. Autor szeregu zbiorów wierszy, na czele z *Kantate O/S*, do którego to zbioru wierszy i poematów opisujących Śląsk, muzykę skomponował znany górnośląski muzyk, ale także i malarz Rudolf Halaczinsky. Wie, że Śląsk jest jeden i w swojej najważniejszej książce, opisuje to z perspektywy wsi podopolskiej. Z wielką wprawą, momentami z poetycką werwą kreśli losy bohaterów nie tylko zamieszkujących wieś i rogatki Opola, ale opisuje także krajobraz przemysłowy wschodniej części Górnego Śląska. Oddaje klimat towarzyszący rzeszom pątników ze Śląska, przybywającym do sanktuarium Matki Bożej Pomocnej w Zuckmantel (Zlate Hory), bądź do klasztoru na „Świętą Górę Ślązaków” czyli Górę Św. Anny. Oczywistym jest fakt, że na kartach powieści nie mogło zabraknąć Wrocławia, od którego wszystko się zaczęło. W mistrzowski sposób wskrzesza realia górnośląskie z przełomu wieku XIX i XX (powieść oryginalnie wydana została w roku 1962, polska edycja w 2001 r.) ukazując wielowymiarowe relacje i to nie tylko językowe. Akcja powieści kończy się tuż przed wybuchem pierwszej wojny światowej, jakby autor, który swym bohaterom nie oszczędza doznań pejoratywnych, ukazując czasem ich złośliwości i małostkowości, chciał oszczędzić hekatombę. Jakby chcąc ocalić czystość świata, który w oczach autora był światem, choć nie idealnym, to przecież najwłaściwszym.

Momentami leniwie płynąca fraza opowieści przenosi czytelnika w krainę dzieciństwa, gdzie magia w sposób oczywisty przeplata się z codzienną zwyczajnością, która z kolei wcale nie jest nudna, gdyż jest absorbująca, wyzywająca i pochłaniająca. Posłuchajmy: „*Zbierały się też u niej sąsiadki na darcie pierza podczas długich, a przecież zawsze zbyt krótkich wieczorów zimowych, z płynącym od pieca ciepłem i ochotą do snucia gawęd. Kiedy z półmroku wylały się stare legendy i baśnie, których nie objawiała żadna księga i które biegły z ust do ust, z pokolenia na pokolenie. Lampki oliwne płonęły tam niby błędne ogniki na bagnach, zmieszane głosy ściszały się do szeptu, i było tak, jak gdyby wiatr przemyczał przez jesienne drzewa. Niewyczerpanie jak woda w głębokiej studni wzbierały tajemnicze opowieści, przejęte z dawnych czasów, a przecież tworzone wciąż na nowo i jak pogrążone w cieniu znaki zapytania siedziały i opowiadały lub nasłuchiwały kobiety, otoczone chmurą pierza i puchu.*” Być może ta tęsknota powoduje, że czytelnik nie tylko idzie śladami pisarza, ile sam zmierza ku wyspom szczęśliwym. Śląskim wyspom szczęśliwym jak chce autor *Wiatru od Odry*.



IRENA WYCZÓŁKOWSKA

Ci dwaj

*Anioł i diabeł. Zawieszeni w nieskończoności
jak w zepsutej windzie.*

*Z czasem anioł zaczął bywać ironiczny,
jego perfumy Odor sanctitatis
całkiem zwietrzały,
przywykł do džinsów i skóry,*

*potrafi kopnąć poniżej pasa,
a Biblię ma już nie w małym palcu
– lecz na audiobooku.*

*A diabeł stracił rogi: wyszczerbił je
czy – nieużywane – zanikły?
Jest teraz czuły, taki empatyczny,
płacze na melodramatach
i bardzo chciałby mieć kota.*

Jak ich rozpoznać, odróżnić od siebie?

*Któryś z nich zawsze miewa pod ręką
elegancko opakowane, praktyczne
i o wydłużonej przydatności
mniej zło.*

Arka Noego

*Tak gwałtownie trzepotało serce,
i tyle razy przewracał się na łóżku
to w jedną, to w drugą stronę,
że dusza się odkleiła
– wyleciała, zupełnie oghupiała,
niczym wiosenna mucha.
Nie było aniołów, chyba że to kudłate
z długimi uszami, tuż przy łóżku,
nie było zorzy, blasku cyfr dokonanego Rachunku.*

*Lekki wiatr poruszał ciemnością przy otwartym oknie,
to mogło przypominać morze, i dusza
poczuła się Arką Noego, przecież unosiła
trzymające się gromadnie wspomnienia,
różne gatunki tego co tak łagodnie czułe
i tego co drapieżne, tego co pełźnie
i tego co fruwa.*

*Stop! szepnął poranek, śpiący się poruszył,
niespokojnie, ale już po chwili Wszystko
wróciło na swoje miejsce.*

Czy obiektyw jest obiektywny?

Romanowi Hławaczowi

*Obiektyw patrzy wokół uważnym jasnym okiem
– oko utajone, niewidzialne, przygląda się
fotografującemu, jest w tym chłodna ciekawość,
jaki zobaczy świat wewnątrz świata,*

*czy uwierzy w pozory i weźmie obrzeża
za samiutkie centrum, czy potrafi sprawić,
by pękło to, co realne, odstaniając tajemnicę?*

*Czy umiałby uwolnić drzewa
przywiązane do wiatru, pozostawić mgłę
jej szczęśliwie niczego nieświadomą niewinność?
Patrzeć, jak się unoszą w powietrznym oceanie
wiosnąjące skrzydła?*

*Czy będzie szukał kręgu pustych twarzy,
liczył warstwy makijażu, jakie Sukces
lubi nakładać na siebie,
rozbawi go wodewilowa powtarzalność miasta
z malowanymi uszami, które nie słyszą?*

*I czy już wie, że piersi kobiet są uformowane
ze światła, a cienie przypominają starców
podglądających Zuzannę, i jeszcze to:
czy myśli kolorami? Na jawie i we śnie?*

*Ten BŁYSK zachwyty w mrocznym kościele,
dźwięk migawki niczym potwierdzenie: TAK!,
i jeszcze raz – TAK!*

Z przygód Guliwera

*Zdarzyło mi się kiedyś nocować w hotelu
dla lunatyków. W każdym pokoju pod oknem taboret,
przy zewnętrznym parapecie – pełne bezpieczeństwo! –
schody z poręczą wiodące na dach z wysoką balustradą,
tam barek, zgrabne dachessy, przekąski, napoje,
usługi doliczane do rachunku.*

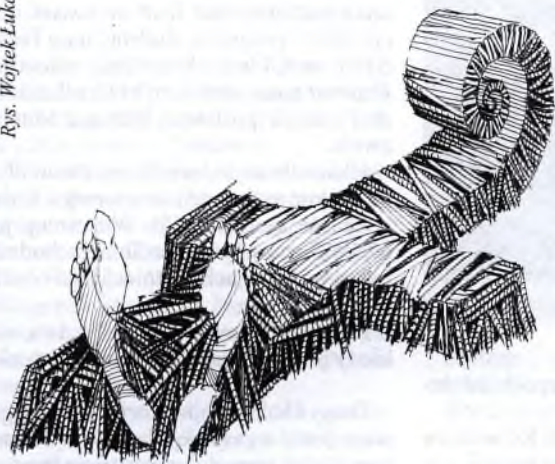
*Ale mimo tych wygod, to ciekawe,
hotel nie miał powodzenia, chyba nie dość reklamy,
albo i inne powody – może nie wszystkim się podoba
tygrys na smyczy, z opілowanymi pazurami
z perłowym lakierem.*



HANNA DIKTA

– ur. w 1977 r., poetka, przed debiutem książkowym. Laureatka kilkudziesięciu ogólnopolskich konkursów poetyckich, m.in. OKP im. C. K. Norwida, OKP im. Jana Śpiewaka i Anny Kamińskiej oraz OKP im. R. Wojaczka. Publikowała m.in. w „Migotaniach, przejaśnieniach”, „Arkadii”, „Pograniczach” i „Kozimrynu”. Mieszka wraz z mężem i córkami w Piekarach Śląskich.

Rys. Wojtek Łuka



Zbawicielka

Przychodzą do mnie w szlafroku chorej matki,
otuleni zieloną poświatą szpitalnego korytarza.

Gotuję im pomidorową na maśle, przemywam podbrzusze,
zdrapuję z głowy nadpaloną kobaltem skórę.
Heroicznie bronię przed psem obszczekującym
blade palce w plastikowych klapkach.

Wbrew gównianym prognozom wyrzucam susz,
wieszam dzwonki, kupuję nowe dywany i meble.

Zakończenie jednak jest wciąż takie samo –
obcy ludzie wkładają ciało do prześcieradła,
zaplatają palce

Zza kwefu

Kiedyś staniesz się gęściejszy od powietrza,
zakneblujesz mi usta językiem, ukamienujesz palcami.
Potem zawiniesz w lepkie prześcieradło
i nie będzie już ani ścian, ani okien.

Kiedyś przestanę błdzić w wąskich uliczkach Kabulu,
słuchać samotnych kroków na kamiennych schodach,
objąć się o beton wysuszonych studni.

Będziesz gryzł, wieształ i krzyżował; będę krwawić

Stop-klatka

Twoja śmierć - uchylony właz do piwnicy.
Wpadłam i nie rosnę. Jak Oskar po wypadku,
tylko u nas trudniej wskazać winnego.

Od tamtej pory mam dziewiętnaście lat,
noszę swetry ojca i owijam nadgarstki tuzinem rzemieni.
Przed snem zagłuszam twoje jęki Gangsta Paradise.
Wpycham w usta papkę z królikiem w marchewce,
ścieram z wykładziny fragmenty naskórka.
Znowu się przewróciłaś.

Nie ma teraz, jutro, jest tylko przedwczoraj.
W ciele trzydziestolatki zabawna karlica,
które nadal siedzi okrakiem na trumnie,
budzi bębnem matkę

Prośba

Nie chcę już dłużej uciekać, rozpędzać się na oblodzonych
parapetach, huścić pod słupami wysokiego napięcia.
Opychać życiem w pośpiechu, parząc tłuste palce.
Potem wymiotować w plastikowy kubek
i znowu stawać w kolejce do lady.

Zamiast pocałunku, seks, zamiast snu, drzemka na peronie,
nawet książki czytam cztery jednocześnie.
Z trotylem pod abayą nie można przecież zwyczajnie
przechadzać się po parku, lizać lodów w wiklinowym fotelu.

Rozbierz mnie wreszcie. Do skóry, włosów, bieli paznokci,
krzyku tłumionego zapinką zegarka. Wyjmij z ręki granat,
zatrzymaj

Z punktu A do punktu B

To zawsze jest szyba pociągu, tylko czasem on stoi na
peronie,
czasem ja, to zawsze jest zmniejszający się świetlny punkt,
wraca zapachem lub dźwiękiem, raz zrobiłam mu zdjęcie.

Drzwi zwykle zatrzaskują się w połowie drogi,
zanim miasta przerosną lasy, a konduktor powtórnie
zażąda biletu.

Kryza powoli zaciska się na szyi, piersi nabrzmiewają
pokarmem, a nogi układają się pod właściwym kątem.

W żółtym świetle jarzeniówek dogasają wulkany,
znowu jestem śmiertelna

Berlińskie adresy

MARIA
DĘBICZ

Listy Tadeusza Różewicza do Henryka Bereski

To był pierwszy Transatlantyk i moje ostatnie spotkanie z Henrykiem Bereską.

W Krakowie w maju 2005 roku odbywał się, zorganizowany przez Instytut Książki, Światowy Kongres Tłumaczy Literatury Polskiej. Ogłoszono nazwisko laureata nowej nagrody Transatlantyk – za popularyzację literatury polskiej na świecie.

Został nim Henryk Bereska.

Poznałam go w latach 70. Przyjeżdżał do Wrocławia na festiwale polskich sztuk współczesnych jako tłumacz naszej dramaturgii. W gronie gości festiwalu, Bereska z ogromnym dorobkiem translatorskim, wyróżniał się otwartością i talentami towarzyskimi, co jest cenione na tego typu imprezach. Do legendy przeszły jego „odprowadzania”. Bereska, znany spacerowicz, gawędząc ciekawie z Haliną Filipowicz, profesorką uniwersytetu Wisconsin w Madison, autorką monografii o dramaturgii Różewicza, wędrował przez pół miasta, by jeszcze pod domem w odległej od centrum dzielnicy, już o świcie, całą naszą towarzyszącą im kompanię, zachęcać do zwiedzenia okolicy.

Na festiwalach spotykali się „Ossi” i „Wessi”. W festiwalowym hotelu krążyła zachodnia prasa. W ostatnim dniu festiwalu Henryk przynosił „Spiegle”, które przywozili Heinz Kneip z Ratyzbony, czy Werner Klieppert z Frankfurtu. Po doświadczeniach na granicy, wołał nie mieć ich w bagażu.

Osobny punkt programu stanowiły spotkania z Tadeuszem Różewiczem, którego sztuki były stale na festiwalach obecne. Henryk znał Różewicza najdłużej. Zapamiętał, że po raz pierwszy odwiedził go w 1953 roku w Gliwicach. Henryk opowiadał, że na poezję Różewicza zwrócił mu uwagę Tadeusz Borowski, którego poznał w Berlinie w Polskiej Misji Wojskowej. Od Borowskiego otrzymał *Czerwoną rękawiczkę* i kilka wierszy z tego tomiku opublikował w 1949 ro-

ku w „Berliner Zeitung”. Przekładał potem także prozę i dramaty.

Dwa ostatnie tomy poezji Różewicza w tłumaczeniu Bereski ukazały się w 2000 roku.

Ich znajomość, potem przyjaźń miała charakter bardzo osobisty. Więcej ze sobą rozmawiali, niż do siebie pisali. Poeta używał najczęściej otwartych kartek pocztowych. Pisał o sprawach zawodowych, codziennych, nie dotykając żadnych tematów politycznych. Również później – po obaleniu Muru.

W przekazanej po śmierci Henryka przez jego żonę Gildę do Archiwum Karla Dedeciusa przy Collegium Polonicum na Uniwersytecie Europejskim Viadrina bogatej spuściźnie literackiej, znalazła się także korespondencja z polskimi pisarzami.

Listów od Różewicza jest kilkanaście. Zachowały się kopie maszynopisów pięciu listów Bereski do Różewicza.

O czym pisał poeta do swego tłumacza i przyjaciela?

dn. 26 VI 1973

Drogi Heniu,

nie odzywasz się – po naszym ostatnim widzeniu, nie miałem od Ciebie słowa. Może we wrześniu wybiorę się do Was, do Berlina. U nas nic nowego. Obecnie panują straszne upały! Człowiek ma w głowie zamiast mózgu pomyje (letnie!). Czy już uporałeś się z tłumaczeniami? Ciekaw jestem jak Ci to poszło?

A więc jest nadzieja, że dramaty w roku przyszłym ukażą się u Was? Napisz jak planujesz urlop letni? Ja siedziałem do tej pory we Wrocławiu, dopiero 1 lipca wybieram się z Żoną na wieś – na 2-3 tygodnie. Potem wracam do Wrocławia. Gdybyś napisał, to list Twój tutaj mnie zastanie.

Przesyłam serdeczne pozdrowienia dla Twojej Żony – a Ciebie ściskam

Tadeusz

To pierwszy zachowany w Archiwum Bereski list od Różewicza. Dotyczy planowanego przez wydawnictwo Volk und Welt w Berlinie wydania dramatów. Tom *Stücke* pod redakcją Jutty Janke ukazał się w 1974 roku. Zawierał osiem dramatów, z czego cztery: *Kartoteka*, *Grupa Laoookona*, *Świadkowie*, czyli *nasza mała stabilizacja*, *Śmieszny staruszek* i *Wyszedt z domu* – w tłumaczeniu Bereski.

W rozdziale *Różewicz o swoim teatrze* zamieszczono *Teatr niekonsekwencji*, tekst z programu studenckiego Teatru STEP w Gliwicach z 1962 roku oraz *Przyrost naturalny*. Tom zawierał obszernie *Postowie* profesora Wernera Mittenzweia.

Ukazanie się książki miało zasadnicze znaczenie w recepcji dramaturgii Różewicza na terenie NRD. Wcześniej, już od 1962 grany był w Berlinie Zachodnim i w innych krajach niemieckiego obszaru językowego.

Dramaty Różewicza miały po dwa, niekiedy po trzy tłumaczenia na niemiecki.

Drogi Henryku, poczta idzie b. długo, więc piszę wcześniej. Jestem w Krynicy – do 26 lutego. [...] nie mam pewności, czy będę mógł przyjechać na premierę do Lipska. Zadzwoń do mnie jeszcze 27 lutego wieczorem do Wrocławia – będę mógł dać odpowiedź. Pewniejsze jest połączenie telefoniczne, bo kartka może iść i 2 tygodnie!

Pytałeś mnie, jak się czuję, otóż czuję się podle, źle. Ostatnio znów słyszę, że wszystko, co napisałem (i sztuki i wiersze) jest szkodliwe, plugawe, konwencjonalne, głupie – celuje w tym Artur Sandauer (inni „dokładają”) – mówi o tym w telewizji (!)... Oczywiście jest w tym szaleństwie metoda... (jak mówią w „Hamlecie”). Myślę, że kuracja w Krynicy zrobi mi dobrze... przekaz ukłony Pani Knauth. Ściskam Tadeusz

PS. [na stronie adresowej]: Żeby było weselej; Sandauer potępia w telewizji „Białe małżeństwo”. Mówi, że to pornografia, autor ma umysł 14. latka (że niby niedorozwinięty...) itd., gromi mnie w imieniu moralności, społeczeństwa itd.

[5 II 1980]

Kartka pocztowa, okolicznościowa [300 lat Wilanowa] zaadresowana do Bereski na wydawnictwo Henschel w Berlinie. Różewicz przebywał wtedy w Domu ZAiKS-u w Krynicy.

W kartce nawiązuje do wystąpienia Artura Sandauera w telewizyjnym magazynie kulturalnym Pegaz w 1979 roku.

Ingeborg Knauth była redaktorką w wydawnictwie Henschel.

Drogi Henryku – piszę na adres Henschelverlag – bo nie wiem, gdzie Cię szukać. Otrzymałem tłumaczenie *Na czworakach*. Chcę wyjaśnić sprawę zakończenia. Pieśń Kochanowskiego jest tłumaczeniem (a właściwie adaptacją – spolszczeniem) Horacego *Carmen* 20 „Do Mecenas”: Non usitata nec

teniu ferar /... itd. Trzeba więc, albo dać zwrotki oryginału łacińskiego, albo jakiegoś gotowe klasyczne niemieckie tłumaczenie... tłumaczenie (spolszczenie) Kochanowskiego może wywołać nieporozumienie. Napisz do mnie w tej sprawie po otrzymaniu mojej kartki! Czemu się nie odzywasz? Przyślij mi oba Twoje berlińskie adresy, bo nie wiem gdzie pisać! Pozdrowienia dla Ciebie i Zony

Tadeusz

9.8.1980 Wrocław

Kartka pocztowa okolicznościowa [II Zjazd ZSMP] zaadresowana na Henschelverlag. Nad napisem II Zjazd – pełny adres domowy Nadawcy.

Tłumaczenie Bereski ukazało się najpierw w formie tzw. *Manuskryptu* (1971), dopiero w 1986 wyszło w Henschlu, w teatralnej serii *Dialog*, razem z *Pułapką* [*Die Falle*] i *Odejsciem Głodomora* [*Hungerkünstler geht*]. Pieśń Jana Kochanowskiego Bereska tłumaczył na podstawie wydania: *Sztuki teatralne*, Ossolineum 1972.

„Oba adresy berlińskie”, to znaczy domowy oraz w Kolbergu pod Berlinem, gdzie Bereskwie mieli mały drewniany wiejski domek. Tam Henryk wyjeżdżał pracować.

Drogi Heniu – Twój list w olbrzymiej kopercie bardzo niewyraźnym pismem zapisany otrzymałem... wspominasz o mojej ewent. wizycie w Waszym leśnym domku... chętnie bym skorzystał... ale podróż nie jest łatwa... jeśli zaproszenie jest prywatne nie mogę korzystać z paszportu służbowego, który jest w Warszawie, a tu we Wrocławiu musiałabym sobie wyrobić paszport prywatny – na KDLe. Muszę to kiedyś oczywiście załatwić, żeby z Wrocławia nie jechać (albo lecieć) przez Warszawę. Ty sobie nawet nie wyobrażasz jaki bałagan panuje w mojej głowie, kiedy chodzi o „organizację” podróży itp. Jedną tylko Maria mi w tym pomoże, wtedy prosto z Wrocławia zajadę do Waszego domku w lesie... i wypijemy natychmiast po 3 piwa! Na razie muszę się zadowolić skromniejszym „menu” [...]

Czy nie masz żadnych pytań związanych z tłumaczeniem „Do piachu”? W znakomitym tłumaczeniu „Na czworakach” zrobiłeś śmieszny błąd. „ein Stück Fleisch mit einer Blume” = „sztukamię z kwiatkiem” to jest gekochtes Rindfleisch (a „kwiatek”? To są przeorośnięte chrząstki i tłuszczone kawałki wołowiny. Mój Tata bardzo lubił „sztukamię”, „pod szklaneczkę czystej wyborowej” itp. (sztukę mięsa = poprawnie).

Przesiedziałem całe lato od maja do jesieni we Wrocławiu, a teraz czuję się znęczony i stary, kaszlący i słaby... Gilda mnie nie pozna! Na „urlop” zamierzam (?) wybrać się w październiku. Możliwie szybko chciałbym przyjechać do Berlina i zobaczyć się z wszystkimi Dobrymi znajomymi. Czuję się u Was swojsko



Tadeusz Różewicz i Henryk Bereska

i dobrze... a to już prawie rok mija od mojego pobytu!

Bądźcie zdrowi i do widzenia!

Tadeusz

pierwszy dzień jesieni 1986 r.

We wrześniu 1985 roku Różewicz był w Berlinie na premierze *Pułapki*.

Różewiczowi sprawiała kłopoty organizacja podróży. W sąsiedztwie Teatru Polskiego we Wrocławiu znajdowały się biuro LOT-u i ORBIS. Nieraz kupowałam tam bilety lotnicze i kolejowe.

Wcześniej, wiosną 1986 Różewicz pisał w kartce do Bereski: „[...] *chodzisz po ulicach, po lasach; „zazdroszczę” Ci tej chaty w lesie. „Całe życie” marzyłem o czymś takim, ale jakoś nic z tego nie wyszło (i nie wyjdzie, tego już jestem pewien)*”.

Temat „leśnego domku” będzie jeszcze wracał w korespondencji. Na koniec we wzruszającym wspomnieniu pośmiertnym, opublikowanym w Odrze (nr 3, 2006).

„*Całe lata planowaliśmy „podróż” do jego leśnego domu, ale... nigdy tam nie dojedziemy. Mówią – „nie mów nigdy” i „nie mów zawsze”... używaj tych słów bardzo oszczędnie albo nie używaj ich wcale. Ale teraz wiem, że nigdy nie będę z Henrykiem pił piwa i rozmawiał o wierszach. Nie widziałem Henryka w jego „Hütte”, jak pracuje, wypoczywa, patrzy na odchodzące lato...*”

Moi Drodzy, dostałem Waszą kartkę z trasą wędrówek... nie zazdroszczę ludziom ani sławy ani pieniędzy... ale Wam pozazdrościłem powietrza i lasów... przesiedziałem lato we Wrocławiu i skwaśniałem (a nawet zgorzkniałem) prawie całkowicie... Do Henryka pisałem niedawno i myślałem, że mój list zastał go w domu? Oczywiście piję piwo, które sam sobie warzę... i nie mogę mieć żalu do nikogo („nie mam żalu do nikogo”, jak to Jontek śpiewa w „Halce”..., jeśli mnie pamięć nie myli). Ja bym do Was przyjechał chętnie

nie wiosną albo latem, ale na to muszę mieć paszport do Krajów Dem. Lud. (prywatny) we Wrocławiu, muszę to sobie wyrobić w tym roku. Przecież nie mogę do Lipska lub Weimaru lecieć przez Warszawę, Berlin (samolotem), kiedy z Wrocławia mam dużo bliżej – (no i nie muszę dodatkowo z Wrocławia do Warszawy wędrować).

Napisz, Henryku, jak Ci idzie praca nad „Do piachu”, czy nie masz trudności (wątpliwości). Serdeczne uściski dla Was również od Mojej Zony. Tadeusz

8.10.1986

Kartka pocztowa z fragmentem Pano-ramy Raclawickiej, napisana w przeddzień 65. urodzin Różewicza, zaadresowana: Frau Gilda u. Henryk Bereska, Schamhorststr. 8, Berlin NRD.

Różewicz używa potocznego skrótu nazwy Kraje Demokracji Ludowej: KDL-e; tu: Kraje Dem. Lud.

Bereska bardzo interesował się sztuką *Do piachu*... Jej przekład pozostał jednak po korektach w maszynopisie.

Różewicz początkowo nie chciał zgodzić się na publikację, a potem powiedział tłumaczowi, że sztukę musiałby poprzedzać autorski *Wstęp* przeznaczony dla czytelnika niemieckiego. Do napisania takiego tekstu nie doszło.

Moi Drodzy,

[...]

Bardzo żałowałem, że ta historia z okiem przeszkodziła mi w planowanej (od dawna) podróży – i „czytaniu” – w Jenie i Berlinie. Ale nie mogłem tego zabiegowi odkładać. Coraz częściej zdrowie nie pozwala mi na dotrzymanie terminu – to jest wbrew mojej „naturze”... a przy tym chciałem w Berlinie spotkać się ze Znajomymi i załatwić kilka spraw „zawodowych”. Mam trudności z pisanie i czytaniem... ale piszę do Was... a Henryk, który ma jeszcze sokole oczy – nie lubi pisać – nie pamiętam już kiedy miałam od niego list. A jak jest w Polsce – to też nie zadzwoni...

Zdaje mi się, że z Tobą, Gildo, łatwiej bym się porozumiał... Podróż do Berlina nie udało się... ale to nie jest daleko i przy najbliższej sposobności przyjadę. Henryku, przyslij mi dokładny i czytelny adres Winkelgrunda, muszę do niego napisać... Jak wyglądało czytanie? (sam już nie wiem czy Autor jest potrzebny?). Bardzo też załowałem spotkania z Waszym PEN. Co Ty Henryku robisz w Zamku u Księżnej Pani?! Ściskam Was Oboje serdecznie – i do zobaczenia w Berlinie,

Tadeusz
11 XI 94 r.

Różewicz prosi o adres Rolfa Winkelgrunda, reżysera jego sztuk w teatrach niemieckich: *Pułapka*, *Białe małżeństwo*, *Świadkowie*, czyli *Nasza mała stabilizacja*. Winkelgrund uczestniczył jako lektor w wieczorze autorskim Różewicza po premierze *Pułapki* w 1985 roku.

„Czytanie” w Berlinie, o którym mowa, odbyło się w 13 grudnia 1992 i zgromadziło liczną publiczność, mimo nieobecności Autora. Bereska opisał wieczór w zachowanym w kopii liście z dnia 31 stycznia 1993.

W innym liście z 18 grudnia 1994 pisał: „[...] po tym jak sam z Winkelgrundem zrealizowałem Twój wieczór autorski przed dwoma laty, znowu dwa wieczory poświęciliśmy Twojej poezji. Po sukcesie pierwszego, drugi zorganizował ad hoc PEN Club. [...] pięknie, że Ty mimo historycznych przełomów, masz tu stałe swoich fanów. Nie powinien tak długo kazać na siebie czekać.” I zauważa cierpko: „Wiem, że Twoja ochota na podróże nie ustała całkowicie, skoro, jak się dowiaduję, jesteś w Wiedniu”.

Różewicz był w grudniu 1994 w Wiedniu. Pozostaje tajemnicą Bereski, jak się o tym dowiedział.

W latach 90. „Zamek Księżnej Pani” to miejsce pobytów stypendialnych Bereski w Wiersdorfie, 120 km od Berlina. Wiersdorf stanowił posiadłość rodziny męża Bettiny von Arnim (1785 – 1859), pisarki epoki romantyzmu. Henryk bardzo namawiał Różewicza, aby tam przyjechał, ponieważ są bardzo dobre warunki do pracy, a „po nocach krąży duch Bettiny”.

Drogi Henryku,
Najlepsze Życzenia Noworoczne dla Gildy, Ciebie i całego Waszego Domu! Dobrego Roku 1995!

W pierwszych słowach mojego listu – chcę potwierdzić odbiór wierszy – poszedłem na Komandorską i obojętnie (od F. Przybylaka) odebrałem przesyłkę. Te wiersze pozwoliły mi lepiej Ciebie poznać – przez wiersz Mein Grossvater – albo – Aus alten Notizenbuch – uśmiełem się z Künstlerhaus im Flaming (choć brakło mi tam opisu Twoich „przygód”...) chyba, że ukryłeś się pod postacią „Banatdeutscha” – beobachtet das Treiben und staunt und

staunt – /, piękny mały wiersz Am Himmel.

Jak znów zacznę myśleć, czytać i pisać jeszcze raz zaborę się do czytania Twoich wierszy – teraz trudno mi się skoncentrować (brak mi też czasem słów... meine gebrochene deutsche Sprache...). Jak się zobaczymy, to przeczytamy te wiersze razem. Na wiosnę? A może wcześniej wybiorę się do Berlina? Mam tam kilka spraw do załatwienia. Dziękuję Ci za informacje dot. wieczorów poetyckich (bez mojego udziału...) Podziękuję Winkelgrundowi – ale nie zapomnij... czasem mam wrażenie, że już po przeczytaniu mojego listu zapominaś... prosiłam Cię o jego aktualny adres – nie wiem też czy masz dla mnie egzemplarze – tomików – które mieli dostarczyć? Może wreszcie posiedzisz w domu – jak przystało prawdziwemu dziadkowi – (a może Ty nie jesteś dziadkiem?! wszystko (mi) się myli – i dopadnę Cię w Berlinie?

Tymczasem mam „wszystkiego” dość! brr!

Całuję Gildę – Ciebie ściskam

Tadeusz
3 I 1995 r. Wrocław

Feliks Przybylak, wybitny tłumacz, profesor germanistyki na Uniwersytecie Wrocławskim przywiózł Różewiczowi *Berliner Spätlese. Gedichte*, Corvinus 1991. Różewicz miał pierwszy wydany na Zachodzie w 1980 roku tomik wierszy Bereski *Lautloser Tag*. Postać Banatdeutscha, o którym pisze Różewicz pochodzi z wiersza *Künstlerhaus im Flaming*, który został napisany w Wiersdorfie w październiku 1994 roku.

Różewicz dowiedział się o jeszcze jednym wieczorze poetyckim. Bereska czytała jego wiersze 15 listopada 1994 w Haus der Literatur w Berlinie.

Tomiki, na które czekał Różewicz, wydała niezależna berlińska oficyna Poet's Corner pt. *Gedichte*. W *Postwuiu* Bereska analizowała wiersze z ostatnich lat.

Kochany Henryku, chciałem przesłać – Tobie na 70. lecie – wiersz do „księgi”, o której mi pisał Twój wydawca... chciałem żebyś sam przeczytał i sam przetłumaczył (na pewno zrobiłbyś to najlepiej)... no, ale mi wy tłumaczono, że to niespodzianka, tajemnica, że nie wypada – no więc posłuchałem... i śle tekst bezpośrednio do wydawcy – ze zdjęciem, które jest dobre (znalazła Maria)... pewnie mówiliśmy o czymś niecenzuralnym, bo to były przecież czasy „realnego socjalizmu”.

Przebacz trochę niewyraźne pismo – wszystkie moje talenty kaligraficzne zużyłem przy przepisywaniu wiersza – chciałem aby był czytelny. Henryku – jestem w kiepskiej kondycji – wyjazd do Lipska to ciężka dla mnie przeprawa.

Mam nadzieję, że w czerwcu przyjadę na cały miesiąc do Berlina (jako gość DA-AD) wtedy będziemy mieli czas pomóc o „wszystkim”... włącznie z opano-

waniem „Berliner Theater” – i prace nad nowymi tekstami teatralnymi. Może wreszcie spędzimy kilka dni w Twoim leśnym domku.

Przesyłam serdeczne pozdrowienia i ucałowania dla Gildy – a Ciebie ściskam, T.

P. S. Rękopis wiersza odbierz od Wydawcy – jak go spożytkuje – bo jest dla Ciebie, chciałbym aby Ci się spodobał.

12 II 1996

Wydawnictwo Corvinus Presse w Berlinie przygotowało na 70. urodziny Henryka (17 maja 1996) bibliofilski, ręcznie sztyty tom *HB. Eine Festschrift für Henryk Bereska*, złożony z kilkudziesięciu tekstów, fotosów, grafik, dedykowanych jubilatowi. Różewicz przesłał rękopis wiersza *Dłaczego poeci piją wódkę*, oraz rysunek „mój autopoetret”; ja dołączyłam zdjęcie. Wiersz i dedykacja „od starszego o 5 lat Kolegi” zostały, zgodnie z życzeniem Różewicza, przetłumaczone przez Bereskę.

Wyjazd do Lipska był udany. Różewicz i Grass mieli 23 marca 1996 wspólny wieczór autorski, po którym odbył się koncert w Operze Lipskiej.

W czerwcu 1996 Różewicz przebywał w Berlinie. Do leśnego domku z Henrykiem nie pojechali.

Drogi Henryku, pisała do mnie pani Ewa Slaska (?) z Berlina z propozycją, abym wystąpił z Tobą 7 września we Wrocławiu (w Muzeum Medalierstwa). Ona nam proponuje – tłumaczkę na niemiecki – ale myślę, że damy sobie radę bez tłumaczki, bo ty mówisz po niemiecku i polsku. – Ja to widzę jako wspólny wieczór poetycki (zresztą musimy to omówić!) a dyskusji żadnej nie przewiduję / Pani Slaska wspomniała coś o „dyskusji z publicznością”... dyskutować mogą dziennikarze i politycy, oni mają do tego talent i mówią na tyle głupio, że zadowolą każdą „publiczność”. Jednym słowem zrobmy wieczór poetycki. W innych imprezach „na statku” nie mogę brać udziału... bo nie piję, nie jem i nie „dyskutuję”... Henryku! Jeśli jesteś na jakimś zamku (lub w pałacu) jakiejś margrabiny, markizy, baronowej... to do mnie zatelefonuj, nie bądź „żłobem”. Słysz, że wałęsasz się po Polsce i nawet nie powiesz „dzień dobry Tadeuszu” (kosztuje to 50 groszy!).

A więc żyj zdrowo i popraw się... Tadeusz

PS. Czekam na telefon (najlepiej o 22 wieczorem! albo list!).

Kochana Gildo, piszę do Henryka i lekko go „opieprzam” (nich Ci przetłumaczy). Całuję Cię serdecznie i do widzenia w Berlinie (może w październiku?)

Tadeusz
Wrocław, 26.06.1998

Wieczór poetycki Różewicza i Bereski odbył się 7 września 1998 we wrocławskim Muzeum Medalierstwa w ramach Polsko-Niemieckiego Statku Literackiego.

go 7–18 września. W rejsie uczestniczył tylko Bereska.

Ewa Maria Slaska, tłumaczka poezji Bereski z Berlina była zaangażowana w przygotowania do Statku.

Pisząc „o zamku (lub pałacu)...” Różewicz nawiązywał nie tylko do pałacu w Wipersdorfie, gdzie Bereska wyjeżdżała na pobyty stypendialne, ale i do zamku Duino, gdzie gościł Reiner M. Rilke.

Różewicz bardzo cenił i lubił Gildę. Żartował, że nie wie, czy to imię prawdziwe, czy wymyślone przez Henryka. Mówił, że Gilda ma talent literacki. Patrzy, jak przez obiektyw aparatu fotograficznego. Nagle migawka spada i zostają utrwalone szczegóły.

Konstancin, 5 VI 99 r.

Drogi Henryku,

przyjadę do Krakowa 25 lipca, zatrzymam się 3–4 dni. Najlepiej by było w Willi Deciusa, Pan Dyrektor obiecał mi gościć – ale nie wiem, czy będzie wolne miejsce – jeszcze do Ciebie przed przyjazdem zatelefonuję.

Widziałem się z Michaeliem Krugerem, mówił mi, że wybór może być obszerny (ponad 200 stron!) (ale nie 1000!) Ustalimy to jak się spotkamy z Tobą. Wyjechałem z Wrocławia ponieważ ciągle remonty i przebudowy u sąsiadów uniemożliwiały mi życie, pracę i spanie... ciągnie się to z małymi przerwami od trzech, czterech lat (!).

Główny problem mojej starości (i „twórczości”...).

Mówiła mi Wiesława, że pojechałeś na Ukrainę... bardzo żałuję, że nie mogę się z Tobą wybrać (nie znam ani Lwowa ani Kijowa, bywam od kilku lat zapraszany. Wyszedł tam mój wybór wierszy – ukraińsko-polski). Może się tam zetkniesz z Tymi Młodymi tłumaczami i poetami? Zdolni, ciekawi.

Mam nadzieję, że tym razem spotkamy się w Krakowie, ściskam dłoń,

Tadeusz

„Remonty i przebudowy”... m.in. związane z adaptacją strychu na mieszkanie, naprawami instalacji, przekładaniem dachu i innymi pracami remontowymi w kamienicy przy ul. Januszowickiej 13, gdzie mieszkali Różewiczowie stały się tak uciążliwe, że, aby spokojnie pracować, Różewicz wyjeżdżał do Konstancji, Karpacza, Kudowy...

Na Ukrainie ukazał się dwujęzyczny *Wybór wierszy* Tadeusza Różewicza w przekładach Jaryny Senczyszyn, wydawnictwo Kamieniar, Lwów 1997.

Wrocław 21 XI 1999 r.

Drogi Henryku, nie mam do dnia dzisiejszego żadnej wiadomości (ani od Ciebie ani od Krügera) na temat naszego wyboru wierszy u Hansera. wybierałem się do Berlina, ale były różne przeszkody i nie wiem, czy się jeszcze w XX wieku wybiorę. Napisz kilka słów. Serdecznie pozdrawiam Gildę i Ciebie – Tadeusz

„Nasz wybór wierszy” to przygotowywany do druku w wydawnictwie Hanser, którego szefem był Michael Krüger, tom *Zweite ernste Verwaltung* [Drugie poważne ostrzeżenie] w tłumaczeniu Henryka Bereski.

W XX wieku Różewicz nie wybrał się już do Berlina.

wroc. 20 VI 2001 r.

Drody Bereskwowie, dziękuję za list „Familoiki” (wiersze o dziadkach!) i informacje o Anemone.

Jutro mam jechać pociągiem do Greiswaldu – via Szczecin – chciałem bardzo znaleźć się w krainie F. C. Davida... ale myślę o tej podróży z niejakim „strachem”, bo jestem b. zmęczony i... i tyle.

Cieszę się, Henryku, że tak dzielnie przeszedłeś przez poprzeczkę urodzinową. Chcę się wreszcie wybrać do Berlina. Chyba Wam wspominałem, że zrezygnowałem ze świetnej propozycji – muszę się ograniczać, a propozycja dotyczyła 3–6 miesięcy! 7–10 dni – to wystarczy, ale o tym później.

Ściskam Was T.

Niemiecko-polski tom poezji Bereski *Familoiki* ukazał się w 2001 roku w wydawnictwie Księgarnia Akademicka w Krakowie. 9 kwietnia 2002 w Teatrze Polskim, w przeddzień wręczenia Beresce doktoratu honoris causa Uniwersytetu Wrocławskiego, odbył się wieczór autorski, na którym aktorzy czytali wiersze z tomu *Familoiki*, w obecności Autora, jego żony Gildy, córki Odette i wydawców z Berlina.

Anemone Poland wraz z mężem Rudim wreżyserowała *Akt przerywany* (premiera 31 X 1997) w Berlinie w Theaterforum na Kreuzbergu. Rudi Müller-Poland zmarł dwa miesiące później. Anemone zaprosiła Różewicza na przedstawienie dopiero w marcu 1998. Przez następne lata pozostawała z poetą w kontakcie.

Różewicz był w Greiswaldzie w dniach 21–24 czerwca 2001. „Po 40. latach obcowania z malarstwem Davida Friedricha chciałem zobaczyć pejzaże, w których żył”. Na biurku poety stała pocztówka z reprodukcją obrazu C. D. Friedricha *Frau am Fenster* / Kobieta w oknie (1822).

Echo tego obrazu słysząc w wierszu *Kobieta w oknie* (druk w „Śląsku”, Nr 4/2008).

„Poprzeczka urodzinowa” to nawiązanie do uroczystości 75. rocznicy urodzin Bereski, która odbyła się 17 maja 2001.

Różewicz otrzymał propozycję półrocznego pobytu w Berlinie jako gość profesora Wolfa Lepeniesa rektora Wiessenschatskollegium. Nie mógł jednak z tej propozycji skorzystać.

Wrocław, 28 XII 2001

Droga Gildo, Henryku, przesyłamy Najlepsze Serdeczne Życzenia wszelkiej pomyślności w r. 2002!

Może uda mi się „wpaść” do Berlina choć na 1 tydzień... ale kiedy? Nie wiem, Henryku!

Profesor Zybura zapewniał mnie, że zaproszenie do Opolu (i Kamienia) dotyczącej konferencji „Niemcy – Różewicz” były do Ciebie i Lachmana wysłane, ale żaden z Was ani nie odpowiedział ani nie przyjechał. Ale nie będę już tym zawracał (sobie) głowy. Jest dużo spraw do omówienia, musimy się porozumieć (albo telefonicznie albo listownie). Ucałowania dla Gildy, pozdrowienia dla Ciebie

Tadeusz

W dniach 24–28 października 2001 w Opolu, Kamieniu i Brzegu odbyło się międzynarodowe sympozjum poświęcone niemieckojęzycznej recepcji twórczości Tadeusza Różewicza, zorganizowane przez Instytut Filologii Germańskiej Uniwersytetu Opolskiego i Instytut Polsko – Niemiecki w Darmstadt. Jednym z organizatorów był profesor Marek Zybura.

W 2003 roku ukazały się książki z referatami z konferencji: w Polsce *Nasz nauczyciel Tadeusz. Tadeusz Różewicz i Niemcy*, Universitas, Kraków; w Niemczech *Tadeusz Różewicz und die Deutschen*, Herrassowitz Verlag, Wiesbaden.

Różewicz i Bereska spotykali się w następnych latach we Wrocławiu i Berlinie. Ostatnie berlińskie spotkanie wiązało się z premierą sztuki *Białe małżeństwo* w Theater am Salzufer. Przedstawienie zainaugurowało działalność sceny polsko-niemieckiej, której twórcami byli Janina Szarek i profesor Olav Münzberg. Patronat nad premierą objęli burmistrz Berlina i ambasador RP. Autor i tłumacz rzekli się honorariów.

Na premierze 28 marca 2004 był tylko Henryk Bereska. Różewicz przyjechał na spektakl we wrześniu. Wystąpili z Bereską na wieczorze autorskim, połączonym z programem poetyckim, przygotowanym przez aktorów Theater am Salzufer.

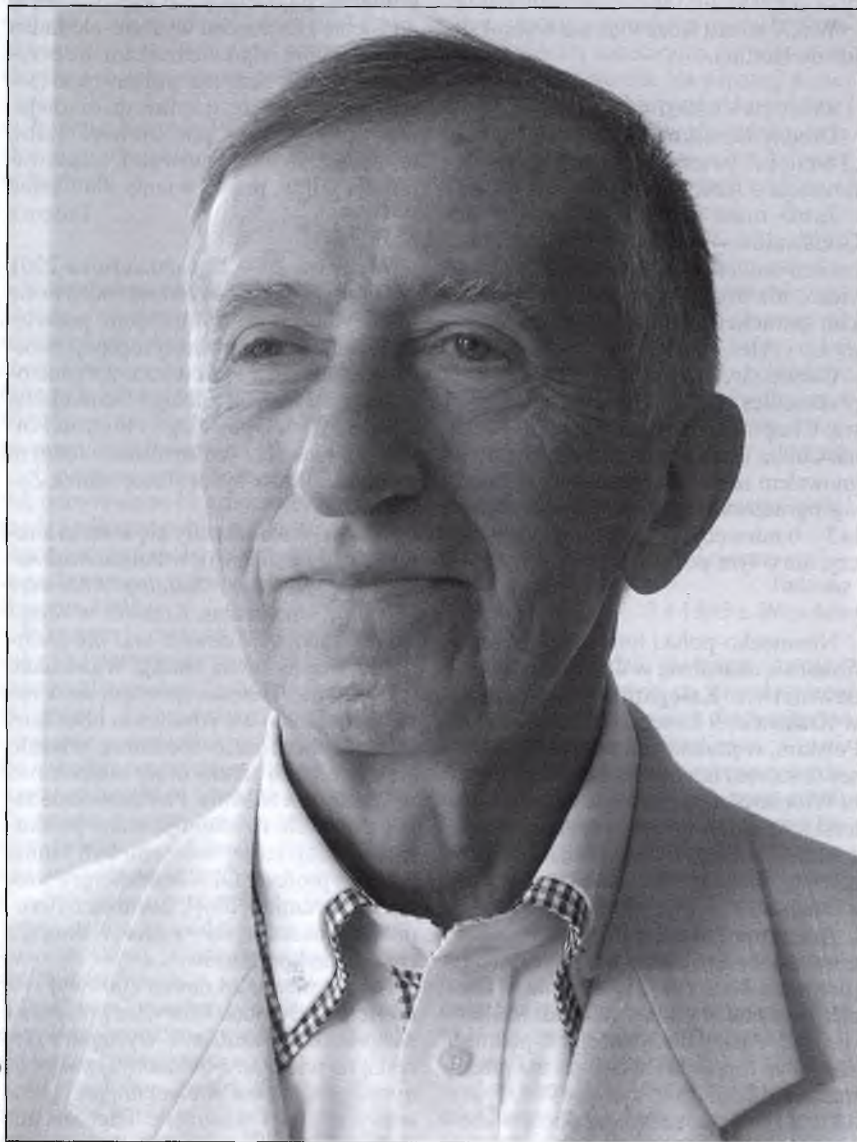
W uroczystości wręczenia Transatlantyku 13 maja 2005 roku Różewicz nie uczestniczył. Był za granicą.

Napisał do przyjaciela list. Nikt z nas nie przypuszczał, że to ostatni pobyt Henryka w Polsce.

Telefon Gildy o Jego śmierci odebrałam na lotnisku. 11 września 2005 roku wracałam z Targów Książki z Moskwy. Wiozłam dla Henryka nowy rosyjski tom opowiadań Różewicza *Griech*, upominek od tłumaczki Kseni Starosielskiej.

Kopie korespondencji Tadeusza Różewicza i Henryka Bereski za zgodą Gildy Bereski i Tadeusza Różewicza otrzymałam dzięki uprzejmości Błażeja Kaźmierczaka, kierownika Archiwum Karla Dedeciusa przy Collegium Polonicum w Ślubicach. Stiftung Europa-Universität Viadrina.

z LECHEM SZARAŃCEM, pierwszym dyrektorem
powojennego Muzeum Śląskiego w Katowicach,
rozmawia MARIA SZTUKA



Fot. Zbigniew Sawicz

Muzeum – dzieło śląskich patriotów

– Przez ponad 23 lata był pan dyrektorem Muzeum Śląskiego, pierwszym w powojennych Katowicach, ale historia tej instytucji sięga daleko głębiej, do początków lat dwudziestych poprzedniego stulecia.

– Idea Muzeum w Katowicach bierze początki w pierwszych latach po powrocie Śląska do Macierzy. W 1924 roku powstało Towarzystwo Muzeum Ziemi

Śląskiej, jego członkowie natychmiast zajęli się zbieraniem eksponatów. Ich siedzibą była szkoła nr 3 przy ulicy ks. Józefa Szafranka i to właśnie tam wszystko się zaczęło. Wkrótce pojawił się w Katowicach prof. Tadeusz Dobrowolski a stało się to za sprawą wojewody dr. Michała Grażyńskiego, który od chwili objęcia władzy, czyli od 1926 roku wspierał koncepcję organizacji muzeum

i kontynuacji tego, co zapoczątkowało TMZS. Wojewoda Grażyński dobrze znał prof. Dobrowolskiego z czasów studiów w Krakowie, zaprosił go więc do Katowic i powierzył mu urząd konserwatora w Śląskim Urzędzie Wojewódzkim a także organizację Muzeum Śląskiego. Prof. Dobrowolski był w owym czasie dyrektorem muzeum w Bydgoszczy, ale przyjął zaproszenie i zajął się organizacją muzeum od podstaw. Opracowując program dla nowej instytucji kontynuował myśl ks. Józefa Londzina, który w Cieszynie zainicjował powstanie Muzeum Śląskiego, gromadzącego zabytki polskiej przeszłości z terenu Śląska Cieszyńskiego. Zbiory te częściowo zasilili późniejsze muzeum śląskie w Katowicach.

W grudniu 1928 r. Śląska Rada Wojewódzka zaakceptowała wniosek o powołanie Muzeum Śląskiego a już 23 stycznia 1929 roku formalnie, ustawą Sejmu Śląskiego, zostało ono ustanowione. Tymczasową siedzibę zorganizowano na czwartym i piątym piętrze w nowo oddanym do użytku budynku Śląskiego Urzędu Wojewódzkiego. Oczywiście pierwszym dyrektorem został Tadeusz Dobrowolski, który już od dwóch lat gromadził zbiory do działu etnografii, zbierał stroje ludowe, wyroby rzemiosła artystycznego, obrazy, pamiątki związane z powstaniami śląskimi, kompletował także kolekcję sztuki sakralnej. Tak więc już w maju 1930 roku możliwe było udostępnienie pierwszych wystaw. Wszyscy byli świadomi potrzeby wzniesienia nowego gmachu dla muzeum, ale panujący wówczas kryzys ekonomiczny nie dawał żadnych szans na realizację tego zamierzenia, choć po rozpisaniu konkursu pojawiło się wiele interesujących projektów, to dopiero w 1935 roku, czyli po zakończeniu kryzysu pojawiła się możliwość urzeczywistnienia tych planów. W 1936 roku rozpoczęto budowę według projektu Karola Schayera.

– Był to podobno jeden z najnowocześniejszych w ówczesnej Europie gmachów muzealnych.

– To prawda. Autorem koncepcji architektonicznej był Karol Schayer. Budowę zakończono w 1939 r. jednak do uroczystego otwarcia, planowanego na wiosnę 1940 r. nie doszło. Po zajęciu Katowic, Niemcy szybko rozprawili się z tym symbolem polskości. Zaczęli od przewiezienia zbiorów do Muzeum w Bytomiu także i tych, które wcześniej trafiły do Lublina. Część zabrali przypadkowi szabrownicy, część sprzedano w Niemczech (kolekcję kobierców). Tak więc cenne kolekcje zostały szybko rozparcelowane albo trafiły do magazynów. Bezlitośni byli Niemcy także wobec nowego gmachu – w 1941 r. rozpoczęli jego rozbiorę, skończyli dzieło zniszczenia w 1944 r. wykorzystując do tego więźniów obozu koncentracyjnego Auschwitz-Birkenau. Była to wyłącznie decyzja polityczna. Jedyną pamiątką po przeszłym muzeum jest skrzydło

miętniający to zdarzenie stoi do dziś na przeciw „Zielonego oczka”. Początek lat dziewięćdziesiątych znów jednak okazał się nieprzychylny dla muzeum i z powodu braku funduszy ponownie inwestycja została wstrzymana. I po raz kolejny ta przerwa znacznie się wydłużyła, bo aż do 2000 roku.

– Budowa nowego gmachu dla Muzeum Śląskiego nie była marzeniem jakiejś wąskiej grupy miłośników, domagało się tego od dawna całe śląskie społeczeństwo.

– Świadczą o tym choćby obrady Kongresu Kultury Górnego Śląska w 1998 r., kiedy to podczas dyskusji panelowych podkreślano konieczność odbudowy muzeum a jedna z uchwał kongresu była tego wyrazicielem. Dokument ten był zarzewiem wielu cennych działań, to na jego bazie powstał rok później Komitet Budowy Nowego Gmachu Muzeum Śląskiego. Ja także nie stałem wówczas bezczynnie. Udało mi się dla wsparcia tej idei pozyskać protektorów, którzy objęli patronat nad budową, byli to metropolita katowicki arcybiskup Damian Zimoń i prezydent RP Aleksander Kwaśniewski, pozostały dokumenty wspierające nasze dążenia. Liczne gro- no sprzymierzeńców pod koniec 1999 roku zawiązało wspomniany już Komitet Budowy Nowego Gmachu Muzeum Śląskiego, na czele którego stanął senator Kazimierz Kutz. W komitecie działali ponadto arcybiskupi: Alfons Nossol, Stanisław Nowak, biskupi: Adam Śmigielski, Tadeusz Szurman, Paweł Anweiler a także rektor Uniwersytetu Opolskiego prof. Stanisław Nicieja oraz inni wybitni naukowcy, m.in. prof. Jan Miodek, prof. Franciszek Kokot, prof. Andrzej Bochenek, a także artyści: Wojciech Kilar, Waldemar Świerzy i Jerzy Duda-Gracz. Był członkiem tego komitetu również Tadeusz Kijonka, wówczas już redaktor naczelny „Śląska”. Na prośbę komitetu Jan Fiszer przedstawił dwie koncepcje nowego gmachu. Jednocześnie udało mi się przekonać ówczesnego marszałka Jana Olbrychta o celowości budowy nowego gmachu i do zaakceptowania przez Sejmik Województwa idei wznowienia budowy. A jednak trzeba było kolejnych lat, aby coś się ruszyło. Po wielu zabiegach w październiku 2002 roku zostaliśmy właścicielami działki w rejonie ulic Wita Stwosza, Ceglanej, Tadeusza Kościuszki i alei Górnośląskiej, tam miał stanąć nowy gmach.

– A jednak nie tam będzie muzeum.

– Lobby przemysłowe przekonało ówczesne władze wojewódzkie do koncepcji przejścia przez muzeum terenów pokopalnianych w zamian za muzealną działkę na rzecz Katowickiego Holdingu Węglowego. W grudniu 2004 roku doszło do zamiany działek. Nowe miejsce wymagało innej koncepcji architektonicznej, ogłoszono więc po raz kolejny konkurs, tym razem na zagospodarowanie terenu po byłej kopalni „Katowice”. Pod koniec 2005 r. koncepcja gliwickiej pracowni projektowej

NOVA S.A. została uznana za najlepszą i tym razem byliśmy już pewni, że jest to wersja ostateczna, pełni dobrej wiary przygotowaliśmy się do adaptacji tych pomieszczeń.

– Był to moment, w którym mogliście wreszcie odetchnąć z ulgą.

– Tak, nie było podstaw do obaw, byliśmy przekonani, że tym razem nic już nie stanie na drodze i muzeum powstanie. Rozpoczęliśmy rozdzielanie pomiędzy poszczególne budynki działów i konkretnych funkcji. Przygotowaliśmy plany rozmieszczenia eksponatów. Ale jednak i tym razem czekało nas kolejne rozczarowanie. Władza bowiem postanowiła, że nie będzie to zagospodarowanie, ale ... licząc na fundusze z Unii Europejskiej – budowa nowego gmachu na terenie pokopalnianym. Musieliśmy więc rozpocząć wszystko od nowa, czyli od rozpisania nowego konkursu ...

– Czy to wiązało się także ze zmianą koncepcji programowej?

– Nie. Koncepcja pozostawała ta sama. Nadal niezmiennie muzeum miało kontynuować przedwojenną tradycję i pozostawać placówką naukowo-badawczą, łączącą w sobie zainteresowania sztuką nowoczesną z historią i kulturą Śląska. Stała ekspozycja poświęcona miała być dziejom Śląska od zarania po dni współczesne, w tym powstaniom śląskim i rozwojowi przemysłu górnośląskiego. W nowej wersji mieliśmy do dyspozycji już tylko jeden budynek. Na konkurs wpłynęło wiele bardzo interesujących prac. Wybrany został projekt austriackich architektów z Grazu, zgodnie z którym wszystkie kondygnacje głównego budynku mają znaleźć się pod ziemią. Byłem temu przeciwny, początkowo wspierał mnie kolega, dyrektor muzeum z Grazu, ale w końcu i on uległ namowom reszty członków jury. Pozostałem sam, trudno mi więc było rzucić się na drzwi niczym Rejtan, ale zdania nie zmieniłem, choć oczywiście zaniechałem protestu.

– Dlaczego był pan przeciwny podziemnemu obiektowi?

– Patrzyłem na to okiem gospodarza i przerażał mnie przede wszystkim koszt utrzymania obiektu podziemnego, który będzie pożerał ogromne ilości energii elektrycznej – oświetlenie, ogrzewanie, utrzymanie odpowiedniej wilgotności itp. Ponadto w poprzedniej koncepcji wszystkie obiekty kopalniane były odpowiednio zagospodarowane i wykorzystane do ekspozycji, teraz będą straszyc. Nawet po latach osuwania się z tą nową propozycją nadal nie jestem nią zachwycony, ale liczy się nade wszystko fakt, że wreszcie po ponad dziesięć lat Muzeum Śląskie doczeka się własnej siedziby.

– Kiedy rodziły się coraz to nowe koncepcje lokalizacji, jakie były plany wobec istniejącego gmachu muzeum przy alei Korfantego?

– Ten budynek ma już swoją historię, ma także swoich wiernych i stałych bywalców, nie może więc zaprzestać do-

tychczasowej działalności. Kiedy w 1984 r. otrzymaliśmy „Grand Hotel”, jako tymczasową siedzibę muzeum, stanął przed nami ogrom pracy. Początkowo musieliśmy się pomieścić w jednym, niewielkim pokoju na trzecim piętrze. Ten bardzo piękny, eklektyczny budynek, wzniesiony został pod koniec XIX wieku, wymagał więc poważnego remontu, a przede wszystkim przystosowania go do potrzeb muzeum. Prace musieliśmy zaczynać od podstaw, czyli od stropów, instalacji, wzmocnienia schodów. Wymienić trzeba było także więźby dachowe a nawet umacniać cegły, których wapienne spoiwa zdążyły się przez lata rozsypać – to wszystko wymagało wielkiej staranności i pieczołowitości, dogłądałem każdego najmniejszego szczegółu kolejnych etapów adaptacji, wszystko musiało być bardzo dokładnie wykonane, sprawdzone i zatwierdzone. Dlatego prace te trwały tak długo. Ostatnie sale ekspozycyjne były udostępnione dopiero w 1992 roku. Według założeń to miejsce nadal pozostanie częścią Muzeum Śląskiego. Gdyby nie udało mi się w 1987 roku przełączenie tego obiektu na rzecz muzeum, dzisiaj wielu chętnych by po niego sięgnęło. Do nowego gmachu przeniesione zostaną: dział sztuki, historyczny, Centrum Scenografii i pracownie konserwatorskie, reszta zostanie przy alei Korfantego.

– Czy magazyny są aż tak pełne, że wystarczy eksponatów dla obu obiektów?

– W nowym muzeum wcale nie ma aż tak potężnych powierzchni wystawieni- niczych. Znaczną część zajmują parkin- gi, magazyny. Na ekspozycje przeznaczo- ne są dwa poziomy.

– Skąd więc zrodził się pomysł likwidacji Muzeum Górnośląskiego, którego zbiory miały wypełnić wolne przestrzenie?

– Zapewne chodziło o połączenie gale- rii malarstwa polskiego XIX i XX, tworzonej przed wojną przez prof. T. Dobrowolskiego, później przez doktora Józefa Matuszczaka. Po restytucji muzeum, do Katowic powróciła tylko niewielka część galerii, zbiory grafiki zachodnio- europejskiej podarowane muzeum przez generała Józefa Zająca, zbiory rzeźby i rzemiosła artystycznego. Natomiast pozostały w Bytomiu zbiory etnograficz- ne, przyrodnicze i archeologiczne. W tymczasowej siedzibie nie było ani tak obszernych sal wystawienniczych, ani na tyle dużych magazynów, aby wypeł- niać je eksponatami z Bytomia. W wie- lu muzeach narodowych a także europej- skich część zbiorów znajduje się w magazynach, zbyt małe powierzchnie wystawiennicze nie pozwalają na stałe ich eksponowanie. Dla nowego mu- zeum jest to okazja do organizacji wy- staw stałych i czasowych, do pokazania zalegających w magazynach cennych zbiorów, sprowadzając je nawet z najod- leglejszych stron świata.

– Dziękuję za rozmowę.

Łachmyta jako bohater

WITOLD
TURANT

(prolegomena – jakże skromne)

Niektórzy wolą określenie „menel”, ale choć i łachmyta i menel są pojęciami zdecydowanie nieostrymi, wolę łachmytę, jako że określenie to odnosi się nie tylko do wyglądu, ale także określa stosunek do życia we wszystkich jego przejawach. A więc niedbały strój, stan permanentnego niedomycia i niedogolenia, przy łóżku szkło z czymś mocniejszym, co czasem może, zwłaszcza w polskich warunkach, przybrać niebieskawo-purpurową barwę. To na pierwszy rzut oka. Natomiast pobieżny nawet wywiad środowiskowy, ulubiona czynność wszystkich policji świata, ujawnia brak pracy i zdecydowanych przekonań. Z jednym wszakże wyjątkiem. Charakteryzuje go przekonanie o głębokim bezsensie każdej pracy. Stosunek do kobiet? Konsumpcyjno-lekceważący. O służbie wojskowej nawet nie wspominam. Kodeks moralny? Brak. Plany i perspektywy? Proszę nie żartować.

Im więcej wiemy o łachmycie, tym mniej jesteśmy skłonni uważać go za bohatera. Właśnie za literackiego. Wychowano nas przecież na wzorcach romantycznych i kulcie dla wyjątkowości. Kiedy bowiem przyjrzymy się większości bohaterów literackich zachodniego świata ostatnich dwustu z okładem lat – od Tristrama Shandy, Mikołaja Doświadczyńskiego, Luciena de Ribampreux, Wokulskiego, Swanna, przez Błoma, Barykę i innych, aż po Gya Crouchbacka i samego Godota, to są to postaci niezwykle i niepowtarzalne, bardzo często, paradoksalnie poprzez swą typowość. Tymczasem łachmyta, nie wabiąc nas niczym szczególnym, czaił się przez te wszystkie lata, by mniej więcej w połowie ubiegłego stulecia wypłynąć na szerokie wody. Zajął na nich, jak to się mówi, poczesne miejsce i nie wskazuje na to, by miał je szybko opuścić, choć niektórym może i by

na tym zależało. Mówiąc krótko stał się bohaterem literackim cała gęba i to na długo przedtem, nim umościł sobie gniazdko w życiu politycznym.

Jedno i drugie nie nastąpiło nagle. To oczywiste. Zapowiedzi pojawienia się Łachmyty (skoro uznaliśmy go za bohatera, to piszmy go przez duże Ł) widzimy już w różnych dawnych literaturach (cała seria Dylów Sowizdrzałów, historie Łazika z Tormesu pióra Quevedo i mnóstwo innych). Zawsze jednak traktowano tę część literatury, jako boczną półkę satyry, bądź też koryfeusze światli uważali, że jest nie warta czytania z uwagi na oczywisty brak walorów pedagogicznych, a bywało też, iż przypinano autorom pierwszych, nieśmiałych prób ukazania nam Łachmyty in statu operandi (bo nie powiem przecież „przy pracy”) jako herezję czy pornografię.

Patronem tych prób był obwieś co się zowie – mistrz Franciszek Villon. Mistrzem był imię Villon nie tylko fachu poetyckiego, ale i rzezimieszkiem pierwszej klasy, co spowodowało, że jedynie o włos uniknął królewskiej szubienicy, która stała zapewne gdzieś pomiędzy Notre Dame, Prefekturą policji i Pałacem Sprawiedliwości. Wszystko wskazuje na to, iż żywot tego człowieka upływał właśnie w tym kwadracie (ów religijno-policyjno-sądowy trójkąt należy uzupełnić o Sorbonę, której był absolwentem). Gdyby poszukiwać patrona wszystkich późniejszych pisarzy łachmytów, z Henry Millerem i Jeanem Genetem, nota bene przez jakiś czas pensjonariuszem katowickiego więzienia, włącznie, Villon byłby patronem idealnym. Problem jedynie w tym, iż nie ma raczej, jak donoszą miarodajne źródła watykańskie, na jego beatyfikację, choćby najskromniejszą, nie wspominając o kanonizacji, cienia szans.

Gdzie tu sprawiedliwość? Żył tak jak pisał, a przecież tak niewielu to potrafi.

I tak oto docieramy do nowej, czy też jedynie odrębnej kategorii Łachmyty. No bo ci, którzy mieli odwagę przypominać społeczeństwu o jego wyrzutkach, niekoniecznie musieli żyć życiem swych bohaterów. Jest w tym pewna mądrość, bo już Arystoteles był zdania, iż życie to życie, a literatura to nie-życie. Zwłaszcza kiedy ktoś z literatury usiłuje wyżyć.

W wieku XIX, zwłaszcza pod koniec, modny stał się tzw. cygan (od cyganiego), tj. artysta w nienajlepszej kondycji finansowej i obyczajowej, który skandalizował syte i zamożne, choć także w nienajlepszej kondycji obyczajowej będące społeczeństwo. Cygan lubił się napić (absynt, wódka, ostatecznie alas, jeśli był to cygan krakowski, bo jeśli nie daj Boże paryski, to absynt obowiązkowo) i zamieszkiwał z osobą płci odmiennej (takie były czasy) niższego stanu. Wszyscy się oburzali i wszyscy (choć może głównie mężczyźni) mu zazdrościli seksu bez zobowiązań, albowiem wtedy zobowiązania to była legalna żona, a praczka, szwaczka czy subretka? Jakież to zobowiązanie? Dobrze, dobrze być cyganem, zwłaszcza na kartach powieści z La Belle Epoque.

Po wojnie jednak, tej pierwszej światowej, trochę zmieniło się społeczeństwo i twórcy inaczej niż dotychczas zaczęli postrzegać swoją rolę. Co by o niej nie mówić, rewolucja i w tym środowisku dała znać o sobie, domagając się od artysty, w tym także od pisarza, nieustannego eksperymentu, także na tkance swego niekoniecznie młodego życia. I tu wśród wielu utalentowanych pisarzy pojawia się facet doprawdy niezwykły – Eric Blair, znany dziś w świecie jako George Orwell. – Ależ Orwell nie był Łachmytą! – zawoła jakiś entuzjasta twórczości utalentowanego Anglika. – Zgoda, takim prawdziwym Łachmytą nawet nie mógł być. Przeszkodziło mu to, że był socjalistą. Nie w tym rzecz, bym uważał, iż socjaliści posiadają jakieś nadprzyrodzone przymioty, które impregnują ich przed stanieniem się Łachmytą. Nie. Socjaliści posiadają poczucie celu bądź misji, a to, jak wykazaliśmy na wstępie, nie mieści się światopoglądzie prawdziwego Łachmyty. Zasluga Orwella dla światowego łachmytizmu polega na tym, iż był przez pewien czas rzeczywiście „down and out in Paris and London”*** i opisał to ślicznie w książce wydanej w 1933 roku. Inaczej się jednak pisze, zaglądając jedynie do spelunki odwiedza-

nej przez biedaków, a inaczej, gdy nad człowiekiem zamyka się niebo i nie widać perspektyw. Oczywiście, pisarze sowieccy robili podobne eksperymenty, mieszając się w imię raczkującego socrealizmu z rewolucyjnym tłumem (nigdy motłochem) i osiągając raczej żałosne rezultaty. Sukces tak naprawdę odnieśli jedynie ci, którym ustrój niejako z góry przeznaczył taką rolę, nie pytając o predyspozycje, czyli Wieniedikt Jerofiejew, poniekąd Wałłam Szałamow, do pewnego stopnia Wiktor Jerofiejew i może jeszcze jeden lub dwóch pisarzy. Pozerów wykluczam. Łachmyta bowiem jakoś zawsze sobie radzi – zawsze ma co zapalić i gotów się urządzić choćby wodą brzożową, a proletariusz ma honor i raczej umrze niż użebże na papierosa i piwo. – A kij mu w ryj – jak mawiały zatwardziałe zeki, o których świat dowiedział się wiele lat później. – Niech sobie umiera.

Zwróćmy przez mgnienie oka uwagę na ów rok 1933 – albowiem jest to data wejścia Łachmyty na dobre, choć może to nie jest właściwe słowo, w świat polityki. Pisarz Łachmyta, nawet niespecjalnie wykształcony, rozumie Arystotelesa i nie miesza rzeczywistości z fikcją. Wystarczy, że swój świat opisuje. Polityk tego nie

potrafi. Jeśli w jakimś okresie życia coś takiego mu się przytrafi, żyje żądzą zemsty. Ów wiedeński menel, który w owym nieszczęsnym 1933 roku został kanclerzem Niemiec, jest klasycznym tego przykładem.

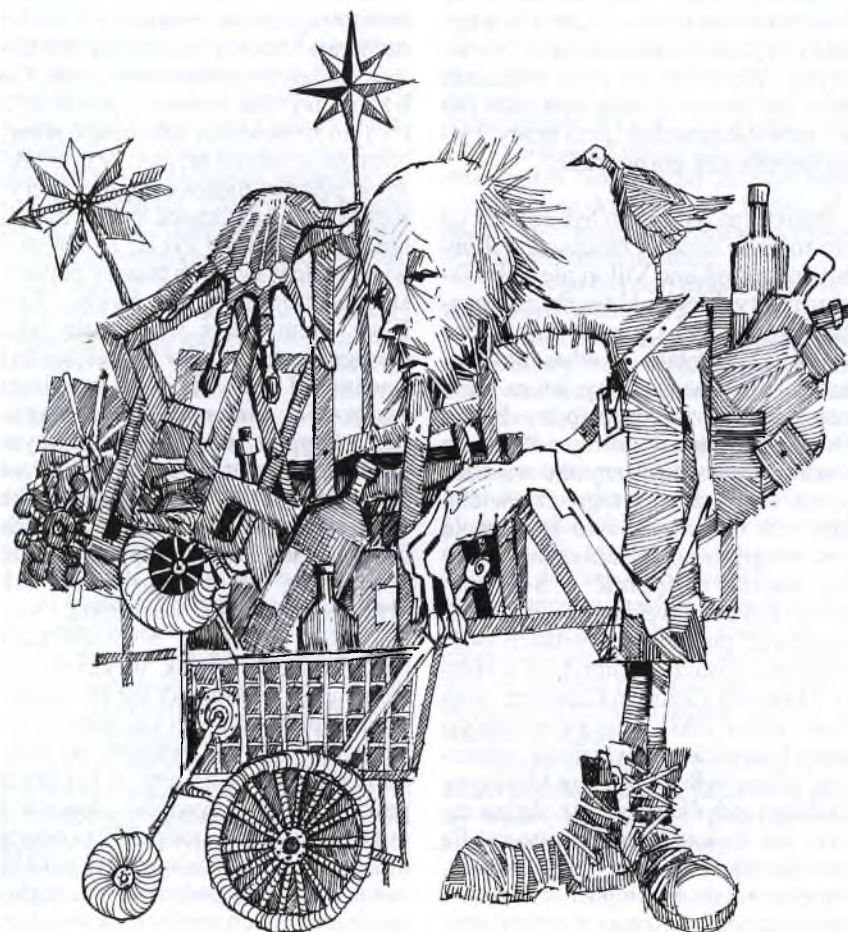
Tymczasem za Oceanam trudno było być Łachmycie artystą. Takie społeczeństwo. No, oczywiście jakoś tam się żyło, coś się pisało, ale żeby zostać takim przez duże Ł, trzeba było przyjechać do Paryża. Teraz jest odwrotnie. Jednym z większych mistrzów obu sztuk był Henry Miller. Sekwana stała się dla niego literackim Rubikonem, który przekraczał na Pont des Arts obejmując jednym ramieniem swą żonę, a drugim Anais Nin, a opublikowany w 1934 roku „Zwrotnik Raka” jest, jak to ujęła brytyjska literaturoznawczyni Margaret Drabble, „szczerą i żywą opowieścią o przygodach amerykańskiego artysty w Paryżu.”****) Szczerość relacji Millera była porażająca, zwłaszcza dla cenzury, amerykańskiej, ale nie jedynie. Ameryka nie lubi Łachmyty. A kto lubi? Z pewnością nie feministyczna część krytyki literackiej, która z przyczyn, o których już było na wstępie, plus z powodu fetyszizowania potencji seksualnej, uznaje Millera za jednego z głównych wrogów. Dlaczego nie lubią go pozostali?

Częściowo na to pytanie odpowiada amerykański Łachmyta nieco świeższej daty, Charles Bukowski. Twierdzi on bowiem, że faceci, którzy cały dzień spędzają przy produkcyjnej taśmie albo nie daj Boże w biurze, nie są w stanie w sprawach seksu dotrzymać kroku przepitemu co prawda, ale wybyczonemu ponad granice przyzwoitości Łachmycie. Takiemu żadna kobieta się nie oprze. Prawie żadna. I to nielubienie, to przez zwykłą, niską zazdrość, o którą nietrudno w społeczeństwie zniewolonym przez pracę – taśmę produkcyjną, biuro i inne temu podobne bzdury odzierające Łachmytę z jego godności. Dla feministek Bukowski ma również garść obserwacji:

- „– Żonaty jesteś, Manny?
- Co ty!
- Kibitki?
- Czasami. Ale nigdy na dłużej.
- W czym problem?
- Kobieta to zajęcie na cały etat. Każdy musi wybrać sobie fach i się go trzymać.
- Rzeczywiście. Jest to jakiś emocjonalny drenaż.
- Fizyczny również. Przecież one się chcą na okrągło pierdolić.
- Znajdź sobie taką, z którą byś to lubił robić.
- Akurat. Wystarczy, że pijesz albo grasz. Zaraz ci powie, że to „niszczy naszą miłość”.
- To znajdź sobie taką, która lubi gorzałę, hazard i ruchanko.
- A po co komu taka kobieta?”*****)

Sprawy damsko-męskie. Odwieczna kwadratura koła. Charles Bukowski miał jednak sporo szczęścia, bo w czasach, gdy dojrzał jako pisarz, co nastąpiło w jakiś czas po osiągnięciu dojrzałości w dziedzinie łachmyctwa, cenzura w Ameryce i w świecie zdążyła się już nieco przyzwyczaić do nowych dziedzin życia opisywanych przez literaturę. Także do brzydkich słów, które dodają autentyzmu dialogom, monologom, narracji, a nawet opisom. To że Bukowski wie o czym pisze, nie ulega wątpliwości. Potwierdza to jego biografia. Nie jest także dla niego problemem identyfikowanie się z pewnym idywiduum nazwiskiem Henry Chinaski.

Autorzy z pokolenia beat-generation nie rozpieszczali publiki. Dziś bohater „On the Road” Jacka Kerouaka, Dean Moriarty, przez krytykę i czytelników traktowany jest jak byronowski Childe Harold, a sam autor został ogłoszony klasykiem. Bukowski jest także na dobrej drodze. Jednakże jestem pewien, że gdybym w liceum porwał się na taki temat, jak niniejszy, a było



to przed trzydziestu z okładem laty, gdy żyli wszyscy trzej autorzy, moi rodzice zostaliby wezwani nazajutrz do szkoły, gdzie zapewne dowiedzieliby się, że jestem na najlepszej drodze, by zostać łachmytą.

A przecież w Polsce żył i tworzył wtedy niezapomniany Jan Himilbach, który na swój sposób opisywał i diagnozował takiego członka gomułkowskiego i gierkowskiego społeczeństwa, w którym z definicji nie powinno być dla niego miejsca. I okazało się, że scenografia odpustu w Rykach miała wiele wspólnego z entourage'em Alvarez Road w Los Angeles czy inną, podobnie lumpowską okolicą w innym mieście Ameryki. Nasza cenzura, równie głupia i absurdalna, jak amerykańska, żeby to przelknąć otrzymała twórczość Himilbacha w opakowaniu zastępczym jakiejś idiotycznej dydaktyki i walki z prowincjonalizmem, alkoholizmem itp. Było także, co zaskakujące, miejsce dla śląskiego portretu w tej galerii Łachmytów. Mam tu na myśli Janoschowego „Cholonka”. Autorzy beat generation natomiast byli nie do przelknięcia. Dekadencja społeczeństwa konsumpcyjnego, któremu przewróciło się w głowie. I nie było ani Ginsberga, ani Bukowskiego, ani Kerouaca, ani Millera do 1989 roku.

Dziś, kiedy przyglądam się dosyć nieporadnym próbom młodego pokolenia, podejmowanym z zamiarem stworzenia obrazu społeczeństwa konsumpcyjnego in statu nascendi i okazania sprzeciwu wobec, zdawałoby się, żelaznych reguł tego świata, widzę, że młodych zawodzi przede wszystkim odwaga i wyobraźnia. Odwaga, bo mają cykora, gdy trzeba by się wyrwać z kręgu zabawek Hi-Tec i zbliżyć się do rzeczywistości zachodniopomorskiej lub wschodniopogranicznej anno domini 2012, no i oczywiście jagodzianka to nie Jasio z czarną etykietą. A poza tym telewizja i rozmaite układy cię nie dostrzegają. A jak chce główne przykazanie piaru – jeśli nie ma cię w mediach, nie żyjesz. Wbrew Arystotelesowi. A wyobraźnia? Dopiero Łachmyta, który zrozumie, że media to także nie-życie, a życia nauczy się pomiędzy takimi jak on, może napisać o tym książkę. Bo na razie powstają steki wywisk pod adresem Bogu ducha winnej rzeczywistości. Wulgaryzmy jakoś nie chcą się stać solą życia. A literatura bardziej od naśladownictwa ceni sobie rzetelną obserwację i choćby ślad myśli czyli refleksji. Bo inaczej będzie tak, jak z wyjazdem Bukowskiego na zbiory pomidorów: „Zdecydowałem, że dam sobie radę z tymi pomidorami. Postanowiłem

jechać. Miałem już wsiadać, gdy z tyłu wpadła na mnie jakaś gruba Meksykanka. Wyglądała na nieźle narwaną. Ująłem ją pod boki i usiłowałem podesadzić. Była potwornie ciężka. Nie bardzo sobie z tym radziłem. Wreszcie moja ręka znalazła jakieś oparcie, chyba w najgłębszym zakamarku jej krocza. Podesadziłem ją w końcu, po czym sam wyciągnąłem rękę, aby złapać się czegoś i wskoczyć jako ostatni na platformę. I wtedy ten Meksykanin, nadzorca, przydepnął mi stopą dłoń i powiedział:

Nie jedziesz. Mamy już komplet.

Silnik ciężarówki zaskoczył, zacharkotał i po chwili zgąśł. Kierowca ponownie uruchomił starter. Tym razem zapalił. Odjechali.”*****)

Ale to nie wszystko. Bo Łachmyta często zaskakuje trafnością i głębokością sądów, opakowanych w niedoprawne, poniewierające się na prześcieradle nigdy nie zaślanego łóżka ciuchy. Skąd mu się to bierze? Strach nawet pomyśleć. Istnieją poważne podejrzenia, iż z ciężkiej i rzetelnej intelektualnej pracy. Kiedy znajduje na to czas, pomiędzy pijaństwami i rwaniem kobitek, tego nie sposób dociec, ale fakt pozostaje faktem, iż spod sterty brudnych skarpetek i stosu pudełek po papierosach wyzierają czasem myśli godne filozofa. „Z niczego nie ma nic” – powiada Cholonkowa, lewitując w odorze gotowanej kapusty i nie wietrzonego nigdy pokoju.

Ktoś, kto wyobraża sobie, iż Łachmyta, to łachmyta do szpiku, jest po prostu naiwny i zalatuje od niego uniwersytetem i literaturoznawstwem niedostudiowanym na kilometr. Taki ktoś zafascynował się widokiem zielonkawego absyntu, opowieściami o alaszu pitym w nadmiarze i łatwych panienkach, a przeoczył drobny fakt, iż Diogenes, nim zdobył się na daleko posuniętą bezczelność w stosunku do Aleksandra Wielkiego, nie tylko przerobił cały kurs tamtoczesnej filozofii, ale dołożył do niej sporo od siebie. Był Łachmytą z całą pewnością, natomiast czy był łachmytą, można poważnie wątpić. Choćby dlatego, że był synem bankiera, którego doprowadził do ruiny. Tak też się rzecz ma z wieloma innymi. Pod tygodniowym zarostem, nieświeżą koszulą czy zapuszczonej włosami kryje się wiedza, czasem połączona z erudycją, a wiersze, opowiadania czy eseje anie piszą się same. Są efektem uważnej lektury, wnikliwej obserwacji i bezsennych, choć ascetycznych nocy. Ktoś, kto zakosztował łachmytizmu w młodości niewielkimi szansami na to, by zostać Łachmytą. Często poprzestaje na małym i w ogóle na ma-

łym, ciesząc się sławą lokalnego abnegata szlachetniejszego (?) chowu. Słowem, łachmytizm to poza jedynie? Niekoniecznie. Raczej, w wielu przypadkach, odrzucenie pewnych konwensów, wygodnych, choć ogłupiających kolein życia, stereotypów, być może zastępowanych innymi, przyjęcie jakiejś postawy wobec konsumpcyjnego czy filisterskiego stylu egzystowania.

Ale nagle, być może od czasów, gdy polnymi drogami chadzał Edward Stachura, Łachmyta zdecydowanie opuścił margines literatury i sztuki. Dziś w wielu kręgach i koteriach literackich łachmytizm staje się pozą niemal urzędową, i zjawisko to zaczyna osiągać skalę masową. Ale nie dajmy się zwieść. Garnitury wiszą w szafach, bo zawsze może się trafić jakaś prestiżowa nagroda czy doktoracik honoris causa. Nic więc dziwnego, że od czasu, gdy zanegowano słuszość twierdzenia, iż ilość przechodzi w jakość, Łachmytów nie przybyło wielu, natomiast tych drugich, co niemiara.

* * *

Tyle o literaturze. A co z polityką? Tu także łachmyta zaczął odnosić sukcesy. Piszę się przez małe ł, bo pnie się zazwyczaj do urzędów, których nazwy szacunek dla państwa każe pisać literami dużymi. Oczywiście, do nich nie dorasta i sprawia, że Łachmyta literacki zyskuje na popularności. Patrząc na niego i czytając o nim, społeczeństwo już wie kim by był, gdyby nie był politykiem. Siedziałyby gdzieś przed sklepem i popijał piwo, nikomu jednak nie szkodząc. Nie obiecywałby swym wyborcom – Niemcom, Serbom, Bośniakom, Chorwatom, Białorusinom, Rosjanom, Palestyńczykom i innym, w tym niektórym Polakom, że się w ich imieniu za coś zemsć, czy o coś upomni, więc nie miałyby tego rodzaju stresogennych i przerastających jego możliwości zobowiązań. Piłby sobie swoje piwo czy wodę brzożową i byłby weselszym i szczęśliwszym człowiekiem. A my wraz z nim.

*) Tytuł książki Orwella opublikowanej w 1933 roku („Na dnie w Paryżu i w Londynie” w tłum. autora).

**) Margaret Drabble: The Oxford Companion to English Literature. Oxford University Press, Oxford 1985.

***) Charles Bukowski: Faktotum. Noir sur Blanc, Warszawa 2005. Przeł. Jan Krzysztof Kelus.

****) Tamże.

1922 r. – polska
kultura na Śląsku

Pasja i niezłomny upór

MICHALINA
WAWRZYCZEK-KLASIK

Początki i rozwój Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach

Akademia Sztuk Pięknych w Katowicach istnieje jako niezależna uczelnia dopiero 11 lat. Nie oznacza to bynajmniej, iż wcześniej jej tutaj nie było. Pod różnymi nazwami, w trudnych politycznie czasach, trwała i rozwijała się, skupiając od początku wybitne osobowości świata sztuki.

Jak zauważa Barbara Szczyńska-Gwiazda: *Formowanie nowoczesnego centrum kulturalno-artystycznego Górnego Śląska po II wojnie światowej jest zjawiskiem szczególnym na tle ówczesnej sztuki polskiej. Lansowana przez oficjalne programy rządowe wizja dzielnic industrialnej wyraźnie dyskredytowała jej dziedzictwo kulturowe, które zostało zredukowane do kilku zaledwie obszarów widzenia przez pryzmat folkloru i subkulturę familoka. Przybyłem do Katowic z różnych regionów Polski plastynom przyszło zatem budować nowoczesne oblicze artystyczne dzielnic oraz tworzyć dogodne warunki pracy twórczej. Był to czas szczególnej aktywności artystycznej, która w różnych częściach regionu rozwijała się w mniej lub bardziej korzystnych warunkach zewnętrznych. Ta aktywność artystyczna, wysiłek wielu, nie były nadaremne. Pedagogzy uczelni, jak i kolejne pokolenia absolwentów, stworzyli silne, śląskie środowisko twórcze. Ich prace zdobywały uznanie w kraju i za granicą, ukazywały region z całkiem innej, niż kreowana przez ów-*

czesne władze, strony. Historia tej uczelni to zatem historia kulturalnego, plastycznego środowiska Katowic. Opowieść o życiu artystów, którzy poprzez Akademię związali się z tym miastem i regionem.

Wolna Szkoła Malarstwa i Rysunku im. Aleksandra Gierymskiego

Pierwowzorem dzisiejszej ASP w Katowicach była, założona w 1936 roku, Wolna Szkoła Malarstwa i Rysunku im. Aleksandra Gierymskiego. Była to szkoła prywatna, utworzona przez wybitnych polskich kolorystów – Czesława Rzepińskiego i Józefa Jaremy. Ważnym jej sponsorem i pomysłodawcą był również Tadeusz Michejda – architekt oraz prezes śląskiego oddziału SARP. Jak zauważa Dorota Głazek: *Jej istnienie było jednym z wielu przedsięwzięć, obok działalności Muzeum Śląskiego, Towarzystwa Przyjaciół Nauk, czy Śląskiego Towarzystwa Wystaw i Propagandy Gospodarczej podejmowanych przez środowiska inteligenckie w istniejącym*

od 1922 roku Województwie Śląskim, mających na celu kreowanie polskiego, śląskiego środowiska kulturalnego i kultywowanie wszystkich form życia publicznego przynależnych takiemu środowisku. Do dziś budzi podziw ówczesny program kształcenia studentów – wszechstronny i nowatorski, prawdopodobnie wzorowany na programie Bauhausu – najśłynniejszej ówczesnej kuźni artystycznej w Europie. Uczniowie katowickiej szkoły uczęszczali m.in. do pracowni rysunku Józefa Jaremy, pracowni malarstwa prowadzonej przez Czesława Rzepińskiego, grafiki warsztatowej Jana Burczaka, grafiki użytkowej Józefa Mroszczaka i pracowni ceramiki, której przełożonym był Edmund Matuszczak. Środowisko artystyczne przedwojennych Katowic było bardzo silne, szkoła cieszyła się dużym zainteresowaniem. Niestety ten dobry czas całkowicie przekreślił wybuch wojny. Wykładowcy tak jak i wielu niezależnych śląskich twórców, rozprzeczli się po Polsce.

Początki Akademii

W 1945 r. w Katowicach pozostało niewielu twórców związanych z przedwojennym środowiskiem. Mimo to te osoby, które pozostały, zaangażowały się w odbudowę życia artystycznego. Informacji na ich temat dostarczają wspomnienia Amelii Pomorskiej-Lange, młodej wówczas, katowickiej graficzki. Opisuje ona m.in. swoją znajomość z Pawłem Stellerem – wybitnym artystą, nagrodzonym przed wojną w Paryżu złotym medalem za cykl grafik pt. „typy śląskie”. Jak zanotowała: *Paweł Steller, spokojny, zrównoważony i pełen optymizmu, zaczął działać bardzo aktywnie. Zaprojektował pierwsze plakaty dotyczące Ziemi Odzyskanych, obelisk na Placu Wolności i zajął się organizowaniem Związku Artystów Plastyków. Niestety jego działania zaniepokoiły władze do tego stopnia, iż, jak wspomina Pomorska: jak grom na nas wszystkich spadła wiadomość, że został aresztowany, następnie wywieziony na Sybir. Artysta przebywał w łagrze pod chińską granicą 20 miesięcy, udało mu się jednak powrócić. Ucieczką do Australii musiał ratować się natomiast kolejny, czynnie udzielający się po wojnie artysta – Adolf Knop. Przed 39 r. ucył on w szkole w Sosnowcu. Jego byli wychowankowie w kwietniu 1945 r. zorganizowali w Katowicach pierwszą wystawę malarstwa. Jak pisze Pomorska: Brali w niej udział między innymi bracia Wacław i Michał Błażejewscy, Stanisław Gawron i Marian Malina. Nazwaliśmy ich wtedy – „chłopcami z Sosnowca”. Rok później spotkali się wraz z autorką wspomnień w krakowskiej Akademii.*

W 1945 r. do Katowic powrócili m.in. grafik użytkowy Józef Mroszczak i rzeźbiarz Stanisław Marcinów. Uzyskali oni zezwolenie gen. Aleksandra Zawadzkiego na zorganizowanie pierwszej Państwowej Szkoły Sztuk Plastycznych w Katowicach. Do pracy w liceum przyjechało

wielu artystów z całej Polski. Byli wśród nich twórcy z wieloletnim dorobkiem artystycznym i pedagogicznym, tacy jak Aleksander Rak, ale też młodzi absolwenci Akademii – m.in. Stanisław Tajwan (późniejszy dyrektor tegoż liceum). Energicznie zajęli się oni rozwojem szkoły oraz organizacją życia artystycznego w regionie. Ich wysiłek zaowocował w niedługim czasie utworzeniem lokalnego oddziału Związku Polskich Artystów Plastyków, który powiększał się wciąż o przybywające do Katowic, nowe osobowości twórcze. Najważniejszym momentem dla rozwoju artystycznego środowiska regionu, było utworzenie w 1947 r. katowickiego Oddziału Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych we Wrocławiu, ze specjalnością grafiki użytkowej. Kierownikiem katowickiego oddziału został mianowany prof. Aleksander Rak, on też prowadził na uczelni zajęcia z rysunku dla studentów I roku oraz pracownię grafiki artystycznej. Pozostałymi wykładowcami byli m. in. prof. Józef Mroszczak (prac. grafiki użytkowej), Bolesław Stawiński (prac. rysunku), prof. Stanisław Marcinów (prac. rzeźby), Bogusław Górecki (kompozycja brył i płaszczyzn), Stanisław Janusiewicz (liternictwo), Zbigniew Rzepecki – znany katowicki architekt (formy architektoniczne i wiedza o sztuce), Wanda Rzepecka i Rajnhold Tomasz Domin (zajęcia z kreślenia perspektywy). Pracownię malarstwa powierzono młodemu Rafałowi Pomorskiemu, którego Stanisław Marcinów znał jeszcze z czasów okupacji, gdy pracowali razem w kawiarni „Plastyków” w Krakowie – Marcinów jako kierownik sali, a Pomorski jako kelner. Jak wspomina te pierwsze lata uczelni Amelia Pomorska – Lange „Do szkoły zgłaszali się adepci w różnym wieku. Byli bardzo młodzi i byli starsi od profesora, ale wszystkich cechowała jedna pasja. Nikt im niczego nie kazał, nikt sobie nic nie wykalkulował, nikt im też nic nie obiecał. Życie samo eliminowało słabszych i niedostosowanych. Jedni zrezygnowali, inni przechodzili do liceum, które wkrótce powstało. Zostali tylko najbardziej utalentowani i uparci, którzy dotarli do absolutorium w 1951 roku.”

W tym to też roku uczelni udało się na krótko usamodzielić. W październiku 1951 r. katowicki Wydział Grafiki Użytkowej odłączył się od macierzystej uczelni i stał się Państwową Wyższą Szkołą Sztuk Plastycznych w Katowicach. Jej dziekanem został prof. A. Rak. Trwało to jednak bardzo krótko, ponieważ, co potwierdza m.in. protokół z posiedzenia ASP w Krakowie, ówczesne Ministerstwo dążyło do tego, aby w Katowicach nie było samodzielnej artystycznej szkoły wyższej. Uczelnia w 1952 roku została filią krakowskiej ASP. W doku-

mentach z przyłączenia szkoły do krakowskiej Akademii nie zanotowano ani słowa o jej krótkiej samodzielności. Zmieniono nazwę uczelni na II Wydział Grafiki Propagandowej z siedzibą w Katowicach. Jej dziekanem został wówczas, mimo graficznego profilu uczelni, znany malarz, scenograf i wieloletni pedagog – Leon Dołżycki.

Pedagodzy katowickiej filii ASP w Krakowie

po przyłączeniu do krakowskiej ASP, kadra uczelni znacznie się powiększyła. Byli wśród niej młodzi artyści, którzy zaraz po ukończeniu studiów związali się z katowicką uczelnią na stałe – przykładem tutaj może być Andrzej S. Kowalski czy Stanisław Gawron. W większości jednak w szkole pracowało wielu artystów związanych głównie z Krakowem, oddelegowanych na kilka, bądź kilkanaście lat do Katowic. Wśród nich byli Jerzy Bulak, Adam Hoffmann, Andrzej Pietsch, Celina Styrylska, Stanisław Krzyształowski, Zbigniew Kowalewski i Bronisław Chromy. W drugiej połowie lat 60. do grona pedagogicznego zaczęto przyjmować też absolwentów katowickiego oddziału, byli to artyści: Tadeusz Grabowski, Roman Nowotarski, Roman Starak, Bertold Kuszka, a w późniejszych latach m. in. Jerzy Handerman, Stanisław Kluska, Jan Szmatoch, Jan Nowak, Jerzy Duda-Gracz oraz Tomasz Jura. Wraz z upływem następnych lat zatrudniano już samych absolwentów, w związku z czym dzisiejsza kadra uczelni składa się właściwie w całości z jej wychowanków.

Wpływ ideologii i polityki na program i treść nauczania

Zapisy w protokołach rad pedagogicznych i rad wydziału z lat 50. ukazują, jak władze komunistyczne próbowały wywrzeć wpływ na treści nauczania i program uczelni. W 1949 roku w całej Polsce oficjalnie przyjętym stylem był socrealizm. Na jednej z konferencji dla przedstawicieli wyższych szkół plastycznych w Ministerstwie Kultury

i Sztuki, minister W. Sokorski wzywał do nauczania w duchu socrealizmu, krytykując równocześnie grafikę użytkową: *przy szkoleniu studentów winno się położyć nacisk na filozoficzne założenia socrealizmu, przy równoczesnym demaskowaniu ich w formalizmie, w którym pozostała w skostnieniu grafika użytkowa. W tym celu pracy pedagogicznej powinien być nadany styl partyjny.* Innym razem próbowano zwiększyć studentom liczbę dni zajęć z 5 do 6 dni w tygodniu, aby byli zawsze uchwytyni i możliwi do zaangażowania w prace społeczne. W 1951 roku obowiązkowy stał się lektorat języka rosyjskiego. Próbowano też wprowadzić dla studentów wizyty, na zasadzie praktyk, w kopalniach i hutach, aby: *studenci mogli zapoznać się z pracą górnika bezpośrednio, co niewątpliwie wpłynie dodatnio na siłę i świeżość bezpośredniego przeżycia artystycznego.* To tylko niektóre z przykładów ukazujących, jak ówczesne władze próbowały ingerować w sprawy uczelni. Po 1956 roku naciski z ich strony stały się nieco mniej dotkliwe, ale już w latach kolejnych przełomów ujawniały się ze zdwojoną siłą. Jak zauważa Dorota Głazek: *Wydarzenia z marca 1968, wiece i strajki studenckie w Warszawie i Krakowie odbyły się echem w Katowicach. Chociaż nie doszło do wystąpień studentów poza gmachem Oddziału, to w uczelni odbywały się spotkania protestacyjne, spowodowane nie tylko relacjami z innych miast, ale też prewencyjną działalnością MO, która wkroczyła w nocy na teren domów studenckich i przeszukiwała pokoje. Dziekan i pozostali pedagodzy Oddziału dowiedziawszy się o tym po fakcie, starali się załagodzić napięcie wśród studentów.* Wtedy też powrócił nacisk na utrzymanie dyscypliny zarówno wśród studentów jak i pedagogów. Wymagano rygorystycznego sprawdzania obecności, a w listopadzie 1968 roku *studenci na specjalnym zebraniu z władzami Oddziału zostali poinformowani, że w celu podniesienia dyscypliny, lepszego zrozumienia polityki PZPR, rozbudzenia zaufania do władz państwowych i politycznych w czasie pierwszych trzech lat studiów, w czasie wakacji, zostaną zobowiązani do 4 miesięcy pracy, odpłatnej, jak zaznaczono. Ponadto zwraca się uwagę studentów, że nie mogą wyjeżdżać za granicę bez uzyskania pozytywnej opinii organizacji partyjnej i studenckiej uczelni, nie wolno im też pracować, nawet społecznie bez pozwolenia władz Oddziału, a także nie powinni, a nawet nie wolno im organizować indywidualnych wystaw swoich prac.* Studenci mimo tych ograniczeń nie poddawali się i wciąż próbowali iść swoją artystyczną drogą, tym bardziej, iż co roku wielu z nich



1947 r. Od lewej prof. Aleksander Rak, Hanna Janusiewicz, Witold Ciechanowicz i Stanisław Janusiewicz.



Dyplom 1957 r. Od lewej: Andrzej Czczot, Józef Marek, Ferdynand Szypula, Ryszard Twardoch, prof. Leon Dołżycki, Jadwiga Słomkiewicz, Anna Keyha, Henryk Baran, Franciszek Wyleżuch, Alojzy Słiwka, Jerzy Grabicki, Janina Panufnik-czczot, Krystyna Piotrowska, Janina Szmít-Goraj, Snopkiewicz, Janusz Owen, Henryk Goraj, Barbara Marcinów, Janina biała, Jerzy Nowak.

zdobywało nagrody na konkursach zarówno krajowych jak i zagranicznych. Zabawny i ukazujący stosunek ówczesnych studentów ASP do prób kontrolowania ich trybu studiów, fragment protokołu, przytacza D. Głazek. Zanotowano w nim: *Zachowanie studentów w czasie zajęć rysunku wieczornego budzi zastrzeżenia. Studenci piją wino, grają na korytarzach w piłkę, plamiąc ściany...*

Kolejne reorganizacje

Uczelnia w kolejnych latach przechodziła wiele reorganizacji. W 1972 roku sześciolletni tok studiów skrócono do 5 lat. W roku 1977/78 Katedra Kształcenia miała już 11 pracowników malarstwa i rysunku. Co ciekawe, prowadzono wtedy dla studentów I roku również zajęcia z anatomii. Pojawiła się nowa pracownia książki prowadzona przez Stanisława Kluskę. Warto podkreślić, iż wszystkie pracownie współdziałały z warsztatami – typograficznym i sitodruku oraz z zakładem fotografii. *„Cechą charakterystyczną uczelni katowickiej – zauważa D. Głazek – była tendencja do autonomizacji programów nauczania, nasilająca się w miarę upływu czasu tak, że już od początku lat 70. szkoła w Katowicach dysponowała własną koncepcją dydaktyczną.*

Wraz z powstaniem „Solidarności” lata 80. wzmogły dyskusje na temat samodzielności uczelni, jednocześnie uświadomiono sobie, jak dalece w całej Akademii działały tzw. Służby (D. Głazek). Stworzono grupę, która miała opracować raport dotyczący sytuacji na uczelni, rozpoczęto nowy podział pracowników i katedr, przygotowując się do otwarcia nowego kierunku – wzornictwa. Często poruszanym tematem było usamodzielnienie się i przekształcenie Filii w odrębną uczelnię. Studenci uzyskali możliwość wybierania swojego samorządu i zorganizowania oddziału Niezależnego Związku Studentów, który to m.in. wystosował list otwarty do Sejmu PRL,

sprzeciwiający się działalności Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego, wymierzonej w autonomię uczelni wyższych w kraju.

Powstanie samodzielnej Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach

Obchody 50-lecia istnienia katowickiej uczelni w 1997 przyniosły żywe dyskusje o możliwości jej usamodzielnienia się. Dwa lata później Rada Wydziału podjęła uchwałę w tej sprawie, a na początku 2000 roku zwróciła się do Rektora ASP o podjęcie kroków mających na celu przekształcenie filii w samodzielną akademię. Po wielu formalnych działaniach Sejm przyjął ustawę „O utworzeniu Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach”. Na jej podstawie 1 września 2001 roku powstała, składająca się z jednego wydziału – Grafiki, Malarstwa i Wzornictwa – Akademia Sztuk Pięknych w Katowicach.

Jak zauważa B. Szczypka-Gwiazda, pierwsi profesorowie katowickiej uczelni tworzyli głównie w nurcie postimpresjonistycznego koloryzmu. Za wyjątki można uznać tutaj Rafała Pomorskiego, który w pierwszej fazie swojej twórczości zwracał się w stronę sztuki abstrakcyjnej oraz Bolesława Stawińskiego, który w swoim malarstwie dążył do syntezy i ekspresji przedstawienia. Leon Dołżycki, Rafał Pomorski i Jan Dutkiewicz byli zaś wybitnymi pejzażystami, co miało duży wpływ na ich studentów. *Wychowankowie Pomorskiego i Dutkiewicza dysponowali rzetelnym warszta-tem wyniesionym z ich pracowni, który w połączeniu z indywidualną inwencją artystyczną zaowocował twórczością Urszuli Broll-Urbanowicz, Jerzego Dudy Gracza, Romana Nowotarskiego, Benona Liberskiego oraz Ludwika Poniewierę. Poszukiwali oni nowych rozwiązań i koncepcji twórczych. Ich działalność wybiegała daleko poza promowany w czasach komunizmu oficjalny obraz regionu. W latach 1940-1954 wielu z ar-*

tystów próbowało tworzyć wedle założeń socrealizmu. Młode pokolenie śląskich twórców szybko jednak odpowiedziało na próby ograniczania ich wolności. W 1953 r. powstała grupa artystyczna ST-53. Nawiązywała ona w swojej ideologii do założeń przedwojennej łódzkiej awangardy, której największą osobowością był Władysław Strzemiński. Mimo iż grupa wzięła swoją nazwę od pierwszych liter nazwiska artysty, często mylnie kojarzono ją z ówczesną nazwą Katowic – Stalinogrodem. Młodzi artyści, tacy jak Irena Bąk, Stefan Gajda, Hilary Krzysztofiak, Maria Obremba, Urszula Broll, Zdzisław Stanek, Tadeusz Ślimakowski, chcieli tworzyć sztukę bezprzedmiotową w opozycji do socrealizmu. W ich pracach widoczne były różnorodne wpływy – od impresjonizmu przez kubizm aż po bezprzedmiotowość. Organizowali na początku jedynie wystawy zamknięte, dopiero w 1956 r. pokazano ich prace publicznie w Krakowie i Warszawie, gdzie spotkały się z dużym uznaniem środowiska. Wysoka ocena wystąpień młodych artystów wiązała się zarówno z kwestią pionierskich wówczas działań na rzecz ponownej popularyzacji sztuki bezprzedmiotowej, która na gruncie śląskim nie miała żadnych tradycji, jak i z jakością wystawianych dzieł, w których sam Julian Przyboś dostrzegał awangardowy sposób myślenia, osiągnięcie tej samej świadomości wzrokowej, którą malarstwo europejskie miało dzięki odkryciom kubizmu analitycznego. Nawiązujące do tradycji przedwojennej awangardy dokonania artystyczne młodych twórców dały podstawy rozwoju różnych kierunków sztuki bezprzedmiotowej na Górnym Śląsku.

Kolejną była grupa Arkat (1964 r.). Zainicjował ją Zygfryd Dudzik, skupiając wokół siebie młodych plastyków: Tadeusza Figielę, Andrzeja S. Kowalskiego, Zygmunta Lisa, Teresę Michałowską-Rauszer, Zenona Moskwę, Igora Neubauera, Romana Nowotarskiego, Romana Nygę, Witolda Pałkę, Ludwika Poniewierę oraz Eryka Pudelkę. Współpracowali z nimi też rzeźbiarze – Stanisław Hochuł i Jan Nowicki, oraz wybitny kompozytor Henryk Miłkołaj Górecki. Nazwa ugrupowania nawiązywała do określenia „artyści katowiccy”, a jego założenia odwoływały się do poglądów artystycznych w estetyce bezprzedmiotowej sztuki awangardowej. Bliskie były im założenia informelu, choć ich prace były różnorodne, pozwalali sobie na eksperymenty i poszukiwania skupiając się na zagadnieniach abstrakcji, ekspresji, faktury i plamy barwnej. Jako pierwszy w regionie podjęli dialog ze sztuką światową oraz ośrodkami kulturalnymi w Polsce i za jej granicami. Dzięki temu ich twórczość została doceniona na świecie i utorowała drogę kolejnym śląskim twórcom. Poza 10 swoimi wystawami, zorganizowali też trzy ogólnopolskie Katowickie Spotkania Twórców i Teoretyków Sztu-

ki (1968 – 1970). Nic dziwnego zatem, iż B. Szczypka-Gwiazda określa członków grupy Arkat mianem czołowych animatorów lokalnego środowiska twórczego lat 60. i 70. XX wieku.

Wkrótce dwoje twórców – Urszula Broll i Andrzej Urbanowicz odłączyli się od grupy. Wraz z kilkoma innymi artystami, m.in. Henrykiem Wańkiem, założyli oni ugrupowanie o nazwie „Oneiron”. Jego członkowie zajmowali się tzw. sztuką metafizyczną. Elementy surrealistycznej metafory można też odnaleźć w twórczości Jerzego Dudy Gracza, wykładowcy katowickiej uczelni w latach 1976-1982. *Jego sztuka, posługująca się groteską i deformacją, nawiązująca do tradycji malarstwa niderlandzkiego i popularnej na Śląsku sztuki twórców samorodnych, znalazła duży rezonans w społeczeństwie. (...) Sam Duda Gracz uważał się raczej za realistę, twierdząc, że zarówno kompozycja, jak i styl jego dzieł zawdzięczają swój kształt bacznej obserwacji rzeczywistości. Stosowane w obrazach groteska i deformacja były dla niego wyrazem rozpacz i bezsilności.*

Twórcy tacy jak Halina Lerman, Stanisław Mazuś i Olgierd Bierwiazzonek uprawiali zaś malarstwo nawiązujące do postimpresjonistycznego koloryzmu, będące wynikiem dosyć zachowawczych postaw twórczych. Nie byli oni związani z katowicką uczelnią, jednak, jak zauważa B. Szczypka-Gwiazda: *Ich sprawne warsztatowo malarstwo na długo zdominowało w warunkach totalitarnego systemu politycznego gust lokalnej społeczności.*

Sytuacja polityczna lat 80. wpłynęła na częstą współpracę śląskich artystów z będącym w opozycji do ówczesnych władz, Kościołem. Twórcy tacy jak: Ma-



1970. Pracownia Grafiki prof. Aleksandra Raka

riusz Pałka, Maciej Bieniasz, Andrzej S. Kowalski, Tadeusz Siara, Zygmunt Brachmański, Teresa Bryning-Adamiecka, Ewa Czoher, Ewa Sidorowicz, Janusz Karbowniczek, Stanisław Kluska, Adam Romaniuk, Jacek Rykała, Roman Starak, Jan Szmatoch, Tadeusz Ginko, Kazimierz Cieślík, Tadeusz Czoher, Ireneusz Botor, Roman Kalarus, Zdzisław Wiatr, Jolanta Kłyszcz, Roman Nyga, zajmowali się często w swojej twórczości tematem etyki. Instytucje religijne umożliwiały im organizację wystaw. Artyści pokazywali swoje prace m.in. we wnętrzu kościoła Podwyższenia Krzyża oo. Kapucynów w Bytomiu, w Galerii „Gołębnik” przy Wyższym Śląskim Seminarium Duchownym w Katowicach, w krypcie katedry w Katowicach oraz w galerii „Fra Angelico” przy Muzeum Diecezjalnym.

Ostatnie 10-lecie XX wieku charakteryzowało się różnorodnością postaw artystycznych wyrosłych na gruncie polskiego koloryzmu, wzmocnionego przez

kompozycyjny i myślowy rygor konstruktywizmu oraz różne odmiany informelu. (...) Dominującą tendencją pozostawała sztuka w kręgu abstrakcji ekspresjonistycznej, magicznego realizmu, metafory, tradycyjnych odmian surrealizmu i nowej figuracji.”

Wielość stylów i postaw twórczych cechuje środowisko katowickie po dzień dzisiejszy. Nowe pokolenie twórców – pedagogów i absolwentów Akademii stanowi silne, interesujące i różnorodne środowisko twórcze. Wystarczy tu przywołać chociażby na wskroś nowoczesne, plasujące się pomiędzy malarstwem, modelarstwem a instalacją prace młodego twórcy Szymona Kobylarza, intensywne w wyrazie obrazy Ireneusza Walczaka czy subtelne i pełne poetyki ma-

larstwo Andrzeja Tobisa. Szczególnie miejsce zajmują też w katowickim środowisku graficy, wypowiadając się w różnych technikach – od tradycyjnych po nowe media. Każdego roku zdobywają nagrody i wyróżnienia na przeglądach i wystawach grafiki na całym świecie. Są to Grzegorz Hańderek, Dorota Nowak, Sybilla Skatuba, Olga Pałka-Słaska, Marcin Biały i wielu innych, dzięki którym katowicka szkoła grafiki w ostatnich latach urosła do rangi rozpoznawalnego symbolu.

W ciągu 11 lat swojej samodzielności uczelnia „rozrosła się”, dzieląc swoje struktury na dwa wydziały – Artystyczny i Projektowy, zwiększyła się także liczba przyjmowanych studentów, rozbudowano bibliotekę, nowo otwarte pracownie wyposażone są w najnowszy sprzęt komputerowy, fotograficzny i filmowy. Na jej potrzeby zaadaptowano i wyremontowano budynek przy ul. Koszarowej, gdzie obecnie funkcjonuje jedna z nowoczesniejszych pracowni graficznych w Polsce. Bardzo ważnym miejscem dla katowickiej uczelni jest, będąca od niedawna w jej pieczy, galeria Rondo Sztuki. Dzięki niej, w samym sercu miasta znalazł się obiekt promujący lokalne środowiska artystyczne. Pasja i niezłomny upór kolejnych pokoleń twórców, dla których sztuka była i jest jedną z największych wartości, zdecydowały o rozwoju akademii, akademii, która wzniosła się ponad politycznymi rozgrywkami, ponad podziałami...

W artykule wykorzystano teksty: Dorota Głazek *Trwanie i zmiana. Akademia Sztuk Pięknych w Katowicach 1947 – 2007*; Barbara Szczypka-Gwiazda *Pomiędzy tradycją a nowoczesnością*; Amelia Pomorska-Lange *Wspomnienia*, *Śląsk* nr 9/2010 r.



1996 r. pedagodzy i studenci w Hadze na wystawie Jana Vermeera van Delf.

W fascynujących wspomnieniach z lat 1925-1995 pt. „Z Janówki w świat” prof. Mieczysława Chorażego, wybitnego lekarza, długoletniego kierownika Zakładu Biologii Nowotworów Centrum Onkologii w Gliwicach, znajduje taki oto fragment dotyczący realiów roku 1945, opisujący marsz Czerwonej Armii ze zdobycznym dobrem: „Poboczami posuwały się stada czarno-białych krów, pędzone gdzieś znad Odry za Bug (...) Polska chudoba ginęła od strzału w łeb, jak żołnierz na froncie, odrąbane jej kopyta szły na wóz, a mięsem się dzielono”. Autor użył w nim wyrazu *chudoba* w odniesieniu do krów, zgodnie ze słownikowym znaczeniem „żywy inwentarz, składający się przede wszystkim zazwyczaj z krów i koni” (Trzaski, Everta i Michalskiego „Słownik języka polskiego” opracowany pod redakcją prof. Tadeusza Lehra-Spławińskiego” z r. 1938, t. 1, str. 382). Leksykony współczesne uznają już tę formę za przestarzałą i definiują ją jako „skromny dobytek, ubogie mienie, gospodarstwo”: *zgarznął do wozelka całą chudobę; ojcowiska chudoba* („Uniwersalny słownik języka polskiego” pod red. prof. Stanisława Dubisza, Warszawa 2003, t. 1, str. 442).

Rzeczownik *chudoba*, wywiedziony od przymiotnika *chudy* – w pierwotnym znaczeniu „biedny, ubogi, niezamożny, nędzny”, w języku staropolskim znaczył też tyle, co „bieda, nędza, ubóstwo”, „ubogi, biedak”, „chudość” (Stefan Reczek: „Podręczny słownik dawnej polszczyzny”, Wrocław-Warszawa-Kraków 1968, str. 44).

A rozpisałem się na jego temat, bo właśnie od niego pochodzi nazwa jednego z najbardziej znanych i najstarszych śląskich uzdrowisk – *Kudowy* (od XVI wieku znane są tam lecznicze źródła mineralne, a w stuleciu XVII powstały pierwsze zakłady kąpielowe). Dziś brzmieniowo tajemnicza, niemotywuująca się słowotwórczo od żadnej podstawy, była ona najpierw właśnie *Chudobą*, oznaczającą „ubogą osadę, liche gospodarstwo”, co poświadczają zapisy od XVIII wieku, występujące wariantywnie obok zniemczonej wersji *Kudowa*: *Chudoba* 1743, *Cudowa* 1789, *Cudowa*, *Chudoba*, *Kudowa* 1845. Wspominał mój wrocławski profesor Stanisław Rospond (1906-1982), że zastanawiano się po II wojnie światowej, czy wrócić do tej pierwotnej postaci, czy może zdecydować się na brzmienie *Chudobowice* („Zwierciadło Polski i Świata” 1947, nr 13). Ostatecznie – by nie wracać do postaci kojarzącej się z pejoratywnym znaczeniem rzeczownika *chudoba* – Komisja Ustalenia Nazw Miejscowości zatwierdziła nazwę *Kudowa*.

Także dzisiejsze *Krapkowice* – nazwa miasta na Opolszczyźnie, leżącego nad Odrą przy ujściu Osobłogi – miały pierwotne brzmienie z nagłosowym *ch-*, czyli *Chrapkowice*. Powstało ono od nazwy osobowej *Chrapek*: *Chrapkowicy*, późn. *Chrapkowice* – typowa nazwa patronimiczna, znacząca pierwotnie tyle, co „potomkowie Chrapka” (tak jak *Bo-*

cja rodzinna Zbigniewa Herberta”, Lublin 2008), a i jeden z moich tarnogórskich znajomych, tam urodzony w roku 1946, zawsze mi powtarzał, że przyzwyczajony był raczej do przymiotnikowego wzoru odmiany. Za obowiązujące uznaje się już jednak w tej chwili częstsze deklinowanie rzeczownikowe, o czym niniejszym przypominam: z *Kudowy*, do *Kudowy*, w *Kudowie*.

Nie mogę, niestety, jednoznacznie zalecić rzeczownikowego bądź przymiotnikowego wzorca odmiany w odniesieniu do nazwy miejscowości odległej od moich Tarnowskich Gór zaledwie o parę kilometrów, a nazywającej się *Wieszowa*, bo ilekroć tam jestem i dopytuję się o tenże paradygmat, niezmiennie słyszę: „Jedni godają do *Wieszowy*, w *Wieszowie*, drudzy – do *Wieszowej*, w *Wieszowej*” (czuję, że po ukazaniu się niniejszego odcinka dostanę jakiś „cynek” z *Wieszowy* // *Wieszowej*!!).

Wracając zaś do niestabilizowanych postaci nazewniczych na tych ziemiach śląskich, które znalazły się w granicach Polski w roku 1945, warto jeszcze przywołać *Legnicę*, *Kłodzko* i *Nysę*. Ta pierwsza – z rdzeniem wyrazowym *leg-*, typowa nazwa topograficzna o znaczeniu „rozLEGła, równinne pole” – w brzmieniu niemieckim funkcjonowała jako *Liegnitz*. W efekcie po wojnie dość długo utrzymywała się wariantywna postać *Lignica*, do tego brzmienia nawiązująca. Kiedy znany reżyser Waldemar Krzystek, mój dawny student, a rodowity legniczanie, pytał mnie przed laty, czy ją zostawić w jednej ze sztuk, której akcja toczy się w tużpowojennych latach, poradziłem mu, by tak uczynił, traktując tę formę jak dokument tamtego czasu. Co, oczywiście, wcale nie znaczy, bym się za nią opowiadał w jakichkolwiek innych sytuacjach komunikacyjnych. *Legnica* – z samogłoską *e* – jest pod względem historyczno-językowym jedynie uzasadniona!

Z *Kłodzkim* – „grodem otoczonym kłodami drzewa” – rywalizowało *Kładzko* (substytut niemiecki: *Glatz*). Tak było przez wieki i nietrudno się domyślić, że była to wariantywność polsko-czeska, potwierdzona już w dokumentach XII-wiecznych: *Clodsko*, *Klatsko* (z polskim *o*) – *Cladsko*, *Klatsko* (z czeskim *a*).

Wreszcie *Nysa*, oczywiście – nazwa odrzeczna. Zastanawiano się po wojnie, czy nie powinna to być *Nisa* (z dawn. postaci *Nidsa* – od archaicznego praindoeuropejskiego rdzenia *neid* „płynąć”). Jak pisze Stanisław Rospond w swym „Słowniku etymologicznym miast i gmin PRL” z roku 1984, Komisja Urzędu Rady Ministrów ostatecznie przyjął wariant z samogłoską *y*, gdyż Jakub Parkosz w swoim traktacie ortograficznym z roku 1440 zapamiętał i utrwalił przymiotnik *nyski* w znaczeniu „pochodzący z Nysy”. Bo też i niejednokrotnie w murach Almae Matris Jagiellonicae takie brzmienie musiał słyszeć od licznych scholarów z Nysy pochodzących.

Śląska ojczyzna polszczyzna



JAN MIODEK

Od chudoby do Kudowy

gucicy, późn. *Bogucice* – „potomkowie Boguty”, *Siemianowicy*, potem *Siemianowice* – „potomkowie Siemiana”, *Świętochłowicy*, późn. *Świętochłowice* – „potomkowie Świętochla” itp.). Niemcy – tak jak *Chudobę* – substytuowali *Chrapkowice* jako *Krapkowitz*, nagłosowe *ch* zamieniając na *k*, i tę zwartą spółgłoskę po ostatniej wojnie pozostawiono.

Wracając zaś do *Kudowy*, dodajmy, że przez wiele lat rywalizowały z sobą dwa możliwe systemowo wzory odmiany: rzeczownikowy, czyli *z, do Kudowy*, w *Kudowie* (jak *z, do alkowy*, w *alkowie*; *z, do Warszawy*, w *Warszawie*; *z, do Częstochowy*, w *Częstochowie*), i przymiotnikowy – *z, do, w Kudowej* (jak *zdrowej*; *z, do, w Limanowej*; *z, do, w Kolbuszowej*).

Matka Zbigniewa Herberta na przykład, która bardzo lubiła to uzdrowisko i często w nim przebywała, używała form *do Kudowej*, w *Kudowej* („Koresponden-



Niewiele mówiło się o ochronie przyrody w czasach, gdy przestarzały technicznie śląski przemysł z całą mocą zatruwał wszystko co było żywe i zielone. Ale nawet wtedy, w ówczesnym województwie katowickim, słynnym regionie kłęski ekologicznej drzemały sobie miejscami fragmenty cennych siedlisk natury. Nieraz było to spadek po dawnej, przedwiekowej gospodarce rolnej, pasterskiej i w lasach. Przetrwał on do dziś m.in. w Dolinie Górnej Wisły, bogatej w siedliska ptaków, których zachowanie wymaga ponownego użytkowania stawów hodowlanych. Podobnie dzieje się w dawnych lasach pocysterskich w Rudach Raciborskich czy na Wyżynie Krakowsko-Częstochowskiej. Tam dla zachowania muraw naskalnych znów pasą się owce i kozy.

Starania o trwanie natury już widać, bo w całej Unii Europejskiej, a więc i w Polsce, są obowiązkiem prawnym. Niestety, nie zawsze akceptowanym! Dla zbyt wielu z nas rygorystyczna ochrona „jakiś tam” żabek, ptaszków, roślinek czy bajorek... jest przeszkodą w rozwoju gospodarczym, rodzi niepotrzebne konflikty. Jak jest rzeczywistość? Czy tworzenie Europejskiej Sieci Ekologicznej Natura 2000 w Polsce, jest tylko unijną fanaberią?

Nadużywamy przestrzeni przyrodniczej, w której żyjemy. Co godzinę z naszej planety znika bezpowrotnie kilkanaście gatunków roślin i zwierząt. Jest to tempo od pięciu do dwudziestu pięciu tysięcy razy szybsze niż zaprogramowała je przez miliardy lat sama natura. Skutki tego odczuwamy coraz bardziej. W postaci zmian klimatu, ataku żywiołów, kataklizmów, wobec których coraz częściej jesteśmy bezsilni. Z tego powodu czynna ochrona bioróżnorodności w skali lokalnej i globalnej jest konieczna. Musimy ją akceptować i w niej uczestniczyć!

Bo czym w praktyce jest Natura 2000?

Na pewno nie jest kolejną formą ochrony przyrody. Jest odpowiedzią na katastrofalne zmniejszanie się bioróżnorodności przyrodniczej, obejmującej wszystkie geny, gatunki zwierząt i roślin, ekosystemy i krajobrazy. Dotyczy całej przyrody. Lasów, wód śródlądowych i morskich, gleb, dzikich i udomowionych zwierząt i roślin oraz wszystkich zna-



W przyrodniczej przestrzeni Śląska

nych nam i nieznanych mikroorganizmów. Czyli wielkiej wspólnoty życia na Ziemi od genów poczynając po biosferę kończąc. Człowiek jest tylko jednym z elementów tej żywej składanki, bez której jako gatunek może nie przetrwać.

Próby skoordynowania na drodze prawnej ochrony przyrody w Europie, na świecie, podejmowano wielokrot-

nie. Dopiero jednak zawarte na szczycie Ziemi w Rio de Janeiro w 1992 roku międzynarodowe porozumienie w postaci Konwencji o różnorodności biologicznej, podpisane wówczas także przez Wspólnotę Europejską (Polska ratyfikowała ją w 1996 roku) uczyniło z ochrony przyrody największe wyzwanie ludzkości.

Prawo jest dobre...

Sposobem na jego podjęcie w krajach członkowskich Unii Europejskiej jest właśnie Sieć Natura 2000 czyli tworzenie systemu obszarów chroniących cenne siedliska przyrodnicze Starego Kontynentu oraz zagrożone gatunki fauny i flory. Nie chodzi o wyznaczenie nowych rezerwatów czy parków narodowych, lecz o ochronę, zachowanie cennych gatunków ptaków, roślin, genów na terenach już użytkowanych, zagospodarowywanych od nowa czy w miejscach przyrodniczych, gdzie planuje się niezbędne dla miejscowych społeczności, inwestycje. Ten wymóg przyjęła również Polska w momencie, gdy w 2004 roku stała się pełnoprawnym członkiem Wspólnoty Europejskiej.

Prawo dotyczące Natury 2000 wymusza zrównoważony rozwój na terenach cennych przyrodniczo. Po to m.in., by na naszych oczach nie zniknęły także z polskiego krajobrazu rolniczego kolejne gatunki ptaków i owadów. W lasach nie ginęły bezpowrotnie gatunki, żerujące przez wieki na martwym, pozostawianym w nich do naturalnego rozkładu drewnie. Również i po to, by w pobliżu siedlisk przyrodniczych nie powstawały źle zaplanowane i źle wykonane, pozbawione rzetelnej oceny oddziaływania na środowisko (OOŚ) – obiekty czy inwestycje.

Podstawą prawną wytyczania obszarów Natura 2000 jest unijna Dyrektywa Ptasia o ochronie dzikich ptaków i Dyrektywa Siedliskowa o ochronie siedlisk przyrodniczych, ich dzikiej fauny i flory. Mają one charakter „twardego prawa” czyli muszą być przestrzegane pod groźbą kar finansowych.

Te dwie podstawowe dyrektywy już przyczyniają się do reaktywowania systemu obszarów żywej sieci przyrodniczej, połączonej korytarzami ekologicznymi pomiędzy krajami Europy. Już zaczynają one służyć utrzymaniu ist-



Bezcenne lasy Beskidów są dla ludzi



Fot. z archiwum RDOŚ w Katowicach



Obszar Ochrony Siedlisk Cieszyńskie Źródła Tufowe

niejącej różnorodności biologicznej, sprzyjają ochronie poszczególnych elementów natury i najbardziej typowych krajobrazów Starego Kontynentu.

W Polsce

W Polsce zasady funkcjonowania obszarów Natura 2000 reguluje Ustawa o ochronie przyrody z 2004 roku. Uwzględnia ona w nich potrzeby społeczne, rozwój gospodarczy, a nawet specjalne postępowanie w przypadku powstawania inwestycji nadrzędnego interesu publicznego.

W tej ustawie przewidziano między innymi wspólne opracowywanie przez przyrodników i przedstawicieli lokalnych społeczności planów ochrony każdego z tworzonych obszarów sieci Natura 2000. Muszą je zaakceptować lokalne rady gmin.

Takie obszary nie ograniczają zrównoważonej działalności gospodarczej, rolniczej czy leśnej. Nie eliminują rozwoju gospodarczego ani możliwości inwestowania na tym terenie. Są to w praktyce, zdaniem Mirosławy Mier-

czyk – Sawickiej, naczelnik Wydziału Ochrony Przyrody i Natury 2000 w Regionalnej Dyrekcji Ochrony Środowiska w Katowicach, obszary, na których chroni się wyłącznie konkretne siedliska roślin czy ptaków. Prawo nie ochrania całej przestrzeni, objętej Naturą 2000. Wiąże się z nim jedynie zasada przezorności, co oznacza, że wątpliwości dotyczące wpływu konkretnych inwestycji na chronione siedliska rozstrzyga się na korzyść przyrody, dodaje M. Mierczyk-Sawicka.

Zrównoważone gospodarowanie na takich terenach, ich rozwój wymaga wiedzy i dialogu społecznego. Stąd pomysł rozpoczęcia w województwie śląskim kampanii edukacyjno-informacyjnej, promującej sieć Natura 2000 pod hasłem „Natura nie boli”.

„Natura nie boli”

Jej organizatorami są: Regionalna Dyrekcja Ochrony Środowiska w Katowicach wraz ze Stowarzyszeniem Zrównoważonego Rozwoju Śląska „Libra”. Wspiera ją finansowo mocno zaan-

gażowany w ratowanie przyrody regionu Wojewódzki Fundusz Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Katowicach.

Kampanię zaplanowano na kilka miesięcy. Ma ona wpłynąć na zmianę stereotypu myślenia o celowości utworzenia europejskiej sieci przyrodniczej Natura 2000.

Wbrew obiegowym opiniom, tworzenie jej w Polsce nie blokuje rozwoju gospodarczego, nie wiąże się z nią żadna lista zakazów, za wyjątkiem jednego. Zabrania się na jej wyznaczonych obszarach niszczenia najcenniejszych, chronionych gatunków roślin i zwierząt. A to wymaga wyobraźni i dobrego przygotowania inwestycji na takim obszarze. w oparciu o ocenę oddziaływania na środowisko.

Czy to tak wiele w sytuacji, gdy lawinowo giną rzadkie gatunki flory i fauny, gdy zniszczone, mocno osłabione środowisko naturalne coraz gorzej radzi sobie z żywiołami?

Gdy słyszę pytanie, po co nam Natura 2000 i czy stać nas na nią, odpowiadam pytaniem: czy stać nas na ponoszenie kosztów likwidacji gigantycznych zniszczeń po suszach, powodziach, trąbach powietrznych, na utratę żyznych gleb, które nas żywią, itd... I to w sytuacji, gdy odzyskiwana przyroda przynosi same korzyści, mówił na konferencji prasowej rozpoczynającej kampanię „Natura nie boli” – Bernard Błaszczyk, były minister środowiska, obecnie dyrektor Regionalnej Dyrekcji Ochrony Środowiska w Katowicach. Ratujemy naturę ze wsparciem unijnych i polskich funduszy, uczymy się lepiej zarządzać jej zasobami, zgodnie z ideą ekorozwoju. Z Natury 2000 korzysta i przyroda, i człowiek. Trzeba dać jej szansę. I w dolinach rzek z ostojami ptaków, i na podmokłych łąkach, i w lasach, które mają naturalne możliwości retencji, wchłaniania wody i zapobiegania skutkom powodzi. Z bogactwa i wielkich możliwości odzyskiwanej przyrody, także w województwie śląskim, musimy zacząć mądrze czerpać. To wymaga pogłębiania naszej świadomości w tej dziedzinie, a nie powtarzania za innymi, że Natura 2000 wywołuje konflikty, bo oznacza zakaz inwestowania na jej obszarach, dodawał B. Błaszczyk.

Gabriela Lenartowicz, prezes Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej podczas tej konferencji przekonywała, że „Natura 2000 nie boli”. Nie tylko nie blokuje inwestycji i nie hamuje rozwoju, ale wręcz przeciwnie. Uczy nowoczesnego inwestowania i gospodarowania, eliminuje przedsięwzięcia chybione. Przynosi lokalnym społecznościom same korzyści. Poprzez

Fot. z archiwum RDOŚ



Obszar Ochrony Siedlisk Łęgi w lasach nad Liswartą

poprawę wizerunku ich miejscowości, profity turystyczne, lepszą jakość życia. Wszystko daje się pogodzić.

W lasach

Przykładami takiej harmonii pomiędzy wymaganiami Natury 2000 a gospodarką jest ta leśna, mówił podczas konferencji „Natura nie boli” Bogdan Gieburowski, z-ca dyrektora w Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Katowicach. Na początku pośpiesznego tworzenia listy obszarów Natura 2000 mieliśmy pewne problemy. Gospodarowanie w lasach zdecydowanie różni się od tego na terenach zamieszkałych i użytkowanych. Wymagało więc innego potraktowania w zetknięciu się z tym nowym przyrodniczym zadaniem. Formy i sposoby ochrony obszarów Natury 2000 okazały się na szczęście elastyczne. Spotkaliśmy się ze zrozumieniem państwowych urzędów w tej sprawie. Przeprowadziliśmy w lasach, z pomocą naukowców aktualną inwentaryzację siedlisk przyrodniczych pod kątem Natury 2000 (nadal jest ona uzupełniana). Przygotowaliśmy zmiany w dziesięcioletnich planach urządzania lasu, związane m.in. z dostosowywaniem nowo sadzonych drzew do siedlisk oraz uwzględnieniem w nich ocen oddziaływania na środowisko. (Obecnie 5 proc. ścinanych drzew pozostaje na zrębach do ich naturalnego rozkładu). Dziś możemy powiedzieć – Natura 2000 nam pomaga...

Na pewno nie przeszkadza chronić ostoje siedliskową rzadkich roślin na wilgotnych łąkach trzęślicowych Walaszczyki w Częstochowie. Wkrótce będzie ona graniczyć ze specjalną strefą ekonomiczną oraz z planowaną w pobliżu autostradą, która pobiegnie nad łąkami, nieco droższą niż autostradowy nasyp – estakadą.

Już wiadomo, że i budowę zbiornika Racibórz Dolny da się pogodzić z wydzielonym w jego czaszy obszarem Natury 2000.

Bogactwo niespodziewane

Jej sieć w krajach Unii Europejskiej to największy system obszarów chronionych na świecie. W Polsce pokrywa ona blisko 18 proc. jej powierzchni. W województwie śląskim wytyczono dotąd 41 obszarów tej sieci, na ponad 9 proc. jego terenów. I myśli się o następnych, bo...

W regionie niezmiennie uznawanym za centrum przemysłowe kraju, gdzie fragmentów środowiska naturalnego przetrwało niewiele, bogactwo przyrody i tak jest... niespodziewane!

Nie tylko w Beskidzie Żywieckim, Śląskim i Małym, gdzie wytyczono trzy obszary ochrony siedlisk oraz ob-



Jurajskie tereny otwarte Specjalnego Obszaru Ochrony Siedlisk Ostoi Kroczyckiej

szar specjalnej ochrony ptaków. Puszczańskie lasy Żywiecczyny zamieszkują głuszcze, dzięcioły i sowy leśne. Na ich śródleśnych polanach żerują duże ptaki drapieżne: orły, orliki krzykliwe, trzmiełojady i puchacze. Z kolei niezwykłym wyróżnikiem kilku enklaw Beskidu Śląskiego jest kilkaset jaskiń i schronisk skalnych. Wśród nich najdłuższe jaskinie w polskich Karpatach Fliszowych. To w nich zamieszkują nietoperze i nocki.

Słynie też śląska Natura 2000 z obszaru specjalnej ochrony ptaków w Dolinie Górnej Wisły, położonego na terenie aż dziesięciu gmin. Obszar ten obejmuje Zbiornik Goczałkowicki oraz stawy hodowlane karpia. Jest równocześnie jedną z dziesięciu najważniejszych w Polsce ostoi lęgowych kilku gatunków ptaków: bączka, czapli purpurowej, rybitwy rzecznej, białowąsej i czarnej oraz ślepowrona. Tu też odpoczywają ptaki w trakcie swoich długich wędrówek.

Zachwycający jest również leżący na terenie Parku Krajobrazowego Cysterskie Kompozycje Rud Wielkich specjalny obszar ochrony siedlisk – stawy Łęczczok. Ten otoczony lasami, z największym na Śląsku i najcenniejszym w swojej przestrzeni rezerwatem Łęczczok, obszar był jednym z pierwszych, który znalazł się w sieci europejskiej Natury 2000. Ze względu na ptaki (bytuje tutaj połowa wszystkich gatunków żyjących w Polsce) oraz pocysterskie stawy, oddzielone od siebie groblami, porośniętymi starodrzewiem (obecnie w remoncie!)

Nie sposób wymienić wszystkie cenne obszary. Unikatowe są przecież podziemia tarnogórsko-bytomskie czyli system wyrobisk, chodników i sztolni, powstałych po wybraniu kruszców metali ciężkich, gdzie zimuje wiele gatunków nietoperzy. Ten obszar obejmuje też

bytomski rezerwat Segiet i pobliskie zespoły przyrodniczo-krajobrazowe m.in. w Reptach.

Nie można też pominąć jednego z najcenniejszych parków krajobrazowych w regionie, jakim są Lasy nad Liswartą czy siedlisk Cieszyńskich Źródeł Tufowych. Tam sączącym się źródłem towarzyszy niezwykle zjawisko osadzania się węgla wapnia na uskokach terenu oraz na mchach i porostach. Bogactwem przyrody tchną obszary ochrony Jury Krakowsko-Częstochowskiej. Z ostoją kroczycką, olsztyńsko-mirowską, złotopotocką. Jurajskie tereny słyną też z największej w kraju populacji warzuchy polskiej, posadowionej na źródłach strumienia Centuria. Jedynym w swoim rodzaju okazem Natury 2000 w pejzażu Śląska jest Pustynia Błędowska.

Dziwi i cieszy siedlisko Lipienniki w przemysłowej Dąbrowie Górniczej, ulokowane na brzegu zbiornika Kuźnica Wrężyńska. Podobnie jak położone w pobliżu portu lotniczego w Pyrzowicach – Bagno Bruch, ze swoim lasem i torfowiskami, na których rosiczka okrągłolistna, tworzy czerwone kobierce.

Przyroda nie jest niezniszczalna. Ważne w naturze jest wszystko, co nam podarowała. W sieci Natury 2000 w naszym regionie jest więc i obszar w Radziechowach o powierzchni zaledwie 0,1 hektara. Zamieszkują tam latem na strychu i wieży miejscowego, zabytkowego kościoła – nietoperze.

Takich terenów przecenić nie sposób. Dobrze, że mają one swojego potężnego, europejskiego strażnika, na którym powinien wzorować się świat. To Natura 2000, która nie przeszkadza mądrym rozwojowi i równocześnie chroni nasze życie!

Czy można być przeciwn...

JOLANTA KARMAŃSKA



Wielką rzadkością a zarazem niebywałą atrakcją dla miłośników twórczości niezwyklej pary: ojca Stanisława Witkiewicza i syna Stanisława Ignacego Witkiewicza (Witkacego) jest możliwość zobaczenia prac obu artystów w jednym miejscu. Na ogół są one porozrzucane po niemal wszystkich muzeach w Polsce (i nie tylko). Pomysł zgromadzenia dzieł obu geniuszy zrodził się dosyć dawno – jak powiedział podczas wernisażu dyrektor sosnowieckiego muzeum Zbigniew Studencki – niestety stało się to na drodze jego realizacji. Ubiegło ich Muzeum Regionalne w Stalowej Woli, które wystawę Jacka i Rafała Malczewskich zapoczątkowało cykl obrazowania odrębnych osobowości twórczych ojca i syna i to właśnie stamtąd wystawa „Witkiewicz i syn” 7 września przywędrowała do pięknego neobarokowego pałacu Ernsta Schöna w Sosnowcu.

Na tę unikatową kolekcję składają się obrazy, akwarele, pastele, karykatury, rysunki i fotografie z różnych etapów twórczości obu artystów, które – jak mówi kurator ekspozycji, Anna Król – ukazują dwie sugestywne, odmienne wizje sztuki i świata. To blisko 100 obrazów z kilkunastu muzeów. Wiele z nich po raz pierwszy opuściło swoje siedziby.

Stanisław Witkiewicz – ojciec był postacią charyzmatyczną, zakochany w sztuce ludowej i krajobrazach Zakopanego, przeniósł się tam na stałe w 1890 r. i wystarczyło zaledwie kilkanaście lat, aby tę niewielką tatrzańską miejscowość przemienił w górska perłę a styl, który zapoczątkował zachwyci i przyciąga do dziś najwybredniejszych przybyszów z całego świata. Wiele „witkiewiczówek” przetrwało do naszych czasów. Przepiękna „Jaszczurówka”, urokliwe: „Koliba”, „Pepita”, „Pod Jedłami”, „Konstantynówka” czy „Oksza” nadal wzbudzają podziw i przykuwają uwagę swą niezwykłością. Oczarowany zakopiańskim krajobrazem „zapisywał” Stanisław Witkiewicz na płótnach swoje zauroczenia wędrującymi strumieniami, migotliwą mgłą wznoszącą się nad Regłami, bajecznymi kompozycjami tworzonymi przez nieprzewidywalnego, pędzącego ku dolinom haliaka („Na Rysach”, „Las tatrzański w śniegu”, „Wiatr halny”, „Mgły”).

W domu Stanisława Witkiewicza – architekta, malarza, filozofa, krytyka sztuki, eseisty... bywali wielcy tamtych czasów: krakowsko-warszawska bohema, arystokraci, malarze, pisarze, poeci, lekarze, sportowcy, politycy, górale... Wszystkich chętnie portretował, zapewniając swym „modelom” po wsze czasy godne miejsca na ścianach największych muzeów. Jednych z wymuskanych szacunkiem (np. Helenę Modrzejewską, Henryka Sienkiewicza), innych

W sosnowieckim muzeum



„Bu-Bu-Ja i Witkacy” – spektakl przygotowany przez aktorów Teatru im. St. I. Witkiewicza w Zakopanem: Dorotę Ficoń i Andrzeja Bieniasa.

Witkiewicz i Witkacy

z lekkością graficznego piórka (Sabała) a jeszcze innych z „przymrużeniem oka” (karykatury Stefana Żeromskiego, Jana Gebethnera).

Największą jednak miłością legendarnego twórcy zakopiańskiego stylu był jego jedyny syn – Stanisław Ignacy. Bojąc się zbyt ingerencji nauczycieli w swobodny rozwój dziecka, w obawie, by nie stłamsili drzemiących w chłopcu talentów, zapewnił mu domowe korepetycje, dbając równocześnie o jego wszechstronne wykształcenie. Tak więc dorastał przyszły Witkacy w atmosferze wielkiego intelektualnego fermentu, a stali bywalcy rodzinnego domu w Zakopanem, najwybitniejsi przedstawiciele epoki, kształtowali jego gusty i wrażliwość. Niezwykłych miał również rodziców chrzestnych: aktorkę wszech czasów Helenę Modrzejewską i nie mniej sławnego bajora i skrzypka Jana Sabałę-Krzepetowskiego. Nic więc dziwnego, że już w wieku ośmiu lat „zadebiutował” jako komediopisarz, sam drukując swoje dzieło opatrzył je napisem „Druk Stasia Witkiewicza, Zakopane 1893”. Burzliwe losy – podróże do Petersburga, Włoch, Niemiec, Francji, Anglii, wędrowki po Australii i Ceylonie, ochotnicze wstąpienie do Gwardii Carskiej, piętno Rewolucji Październikowej, której był naocznym świadkiem, samobójstwo narzeczonej... złożyły się zapewne na osobowość „genialnego ekscentryka”. Autor teorii „czystej formy” po wielu malarskich metamorfozach ostatecznie w 1925 r. porzucił malarstwo olejne i w oparciu o założoną przez siebie jednoosobową firmę zarabiał na życie portretowaniem. Zdarzało się, że stworzone przez niego obrazy nie zostały odebrane przez zamawiających, ci bowiem oburzeni karykaturalnymi „udoskonaleniami” woleli pozostawić je autorowi.

Wśród ekspozycji można podziwiać między innymi portrety Eugenii Dunin-Borkowskiej, Henryki Soroko-Labordaire, Marii Znamierowskiej-Pruffe-rowej, a także niezwykle autotypowe portrety. Można również poznać Witkacego, genialnego fotografa i zarazem modela, który bawiąc się światłem, obiektywem i przeróżnymi dodatkowymi efektami stworzył niepowtarzalny „Gębozbior”, manifestacyjnie obnażając najdziwniejsze z możliwych min, które nie zawsze wszystkim przypadły do gustu, wśród przyjaciół wzbudzały jednak zawsze zrozumiałe rozbawienie.

Oglądając na wystawie w Sosnowcu te same krajobrazy, tych samych bywalców witkiewiczowskiego salonu widzianych jednak oczami raz ojca, raz syna można zobaczyć świat odmiennych a zarazem bliższych sobie osobowości. Niby różne, a jednak pełne podobieństw. Z jednej strony spokój i nostalgia Stanisława-ojca, z drugiej ekspresja i niecierpliwość ręki Stanisława-syna. Uporządkowane i zdyscyplinowane dzieła malarza-architekta i burzliwe, zdawać by się mogło czasami pospieszne kreski malarza-dramaturga stanowią swoisty zapis ich fascynacji i nastrojów.

Nie lada niespodzianką podczas sosnowieckiego wernisażu był spektakl przygotowany przez aktorów Teatru im. St. I. Witkiewicza w Zakopanem: Dorotę Ficoń i Andrzeja Bieniasa – równie ekspresyjnych co dzieła, które można było przed chwilą oglądać. „Bu-Bu-Ja i Witkacy”. Kompilacja tekstów kilku spektakli m.in.: „Witkacy – Appendix”, „Czy-Witkacy-Y Menażeria” i wspaniała muzyka Jerzego Chruścińskiego to nawet dla stałych bywalców zakopiańskiego teatru Andrzeja Dziuka wspaniała uczta duchowa, choć czasami wzruszenie mieszało się z przerażeniem apokaliptycznymi wizjami świata zawładniętego przez głupotę, hipokryzję i zakłamanie.

Kolekcja „Witkiewicz i syn” powstała z dzieł wypożyczonych z Muzeum im. Jacka Malczewskiego w Radomiu, Muzeum Mazowieckiego w Płocku, Muzeum Narodowego w Krakowie, Muzeum Narodowego w Poznaniu, Muzeum Narodowego w Szczecinie, Muzeum Narodowego w Warszawie, Muzeum Okręgowego im. Leona Wyczółkowskiego w Bydgoszczy, Muzeum Okręgowego w Toruniu, Muzeum Podlaskiego w Białymstoku, Muzeum Śląskiego w Katowicach, Muzeum Tatrzańskie im. dra Tytusa Chałubińskiego w Zakopanem, Muzeum Okręgowego w Rzeszowie, Książnicy Pomorskiej im. Stanisława Staszica w Szczecinie.

Taki rarytas zdarza się rzadko, tę wystawę trzeba obejrzeć koniecznie, trzeba się spieszyć, dzieła Ojca i Syna pozostaną w Sosnowcu zaledwie do 4 listopada!

MARIA SZTUKA



Stanisław Ignacy Witkiewicz, *Autoportret*, pl. ol., 86 x 81, 1922 – 1924 r., własność Muzeum Podlaskiego w Białymstoku



Stanisław Ignacy Witkiewicz, *Portret Mieczysława Soroko*, 1929 r., pastel na papierze, Muzeum Okręgowe w Rzeszowie



Stanisław Ignacy Witkiewicz, *Portret Heleny Rogowskiej-Drebet*, 1938 r., pastel na papierze, Muzeum Okręgowe w Rzeszowie

Stanisław Witkiewicz i Stanisław Ignacy Witkiewicz



Stanisław Ignacy Witkiewicz, *Kompozycja kosmiczna (Sabat czarownic)*, 1939 r., pastel na papierze, Muzeum Podlaskie w Białymstoku



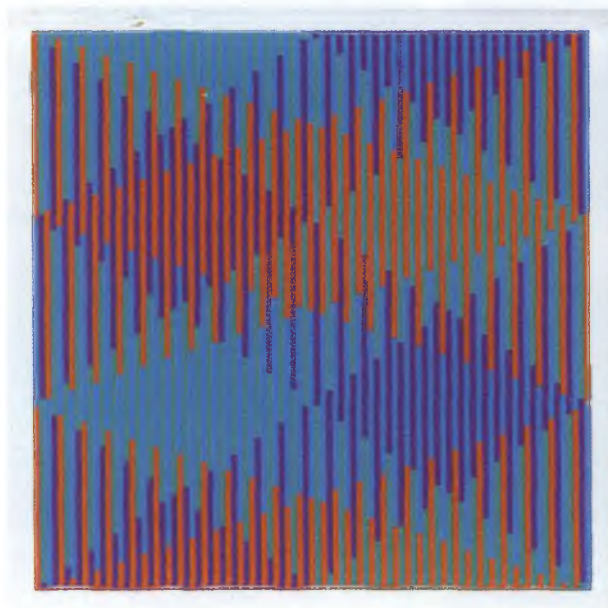
Stanisław Witkiewicz, *Widok z Koziańca na Regle, Sarnią Skagę i Łysanki*, przed 1912 r., olej na płótnie, Muzeum Podlaskie w Białymstoku



Endi Paskovic USA



Junji Sakai Japonia



Horst Bartnig Niemcy



Josephine Ganter Wielka Brytania



Karen Kunc USA

Mięło już ładnych parę lat (i to z hakiem) od czasu, kiedy odmawiałem „obrazkom z komputera” prawa do miana grafiki, choćby dlatego, że „nośniki” tej „prawdziwej”, klasycznej, szlachetnej techniki – drewno, metal, kamień itd. nie pozwalają na „klonowanie” odbitek w nieskończoność. Moje zdanie podzielała wtedy nie tylko część krytyków, ale i wielu „konserwatywnych” plastyków. Dziś trzeba powiedzieć, że my – zwolennicy „starego” – spór przegraliśmy, bo rozwój technologii doprowadził do zredefiniowania pojęcia „grafika”. Okazja do przyznania się do błędzenia jest dobra, bo w katowickim Rondzie Sztuki można było pooglądać Print Art Kraków – Katowice 2012 – wystawę, która stała się częścią krakowskiego Międzynarodowego Triennale Grafiki i zobaczyć, co się w tej dziedzinie dzieje na świecie. A dzieje się. Specjalnie przygotowywane papiery, niebawem rozwój możliwości poligraficznych, cyfryzacja itd. itp. doprowadziły do powstania nowych, niezwykłych możliwości tworzenia grafiki, dzięki czemu rodzą się prace dawniej nie do zrealizowania.

„Horyzont” – to tytuł tegorocznej wystawy Print Art. Nie zastanawiałem się nigdy specjalnie nad znaczeniem tego słowa, dla mnie było to – parafrazując Mickiewicza – „takie świata koło, jakie tępyimi zakreślam oczy”. Z przyjemnością przeczytałem więc w pięknie wydany katalogu ekspozycji erudycyjny szkic doktora Mieczysława Judy rozpoczynający się od stwierdzenia *Horyzontu nie ma*, bo w rzeczywistości nie istnieje linia, w której niebo styka się z Ziemią. Jednak – paradoksalnie – on jest. Autor w swoich rozważaniach na ten temat prowadzi nas przez historię filozofii od Parmenidesa po współczesnych, by skończyć odwołaniem się do biskupa Berkeleygo, który uważał, że istnieje tylko to, co jest postrzegane. W kontekście horyzontu Juda odwołuje się do muzyki, literatury, podróży i te odniesienia przekonują mnie, że hasło wystawy jest bardzo pojemne i na tyle ogólne, iż mieszczą się w nim wszystkie grafiki zaprezentowane w Rondzie Sztuki. Wybierali je z tysięcy nadesłanych dwaj niezależni kuratorzy z katowickiej ASP – profesor Adam Romaniuk i doktor Dariusz Gajewski. Rozmawiałem z oboma podczas wernisażu. Dowiedziałem się, że globalizacja dotyczy także sztuki. Zdarza się, że nie wiedzący nawet o swoim istnieniu artyści z różnych kontynentów wpadają na ten sam koncept. Jednak – co pocieszające – ich dzieła przenoszą także jakieś składniki własnej narodowej lub kulturowej tradycji. Rola „selekcjonera” w każdej dziedzinie jest niewdzięczna, polega bowiem na odrzucaniu, w dodatku wybór jest zawsze subiektywny, bo kierujemy się własnymi kryteriami, hierarchią naszych wartości, osobistymi uprzedzeniami itd. Ktoś niezasłużenie zostaje wybrany, ktoś

inny – skrzywdzony. Nie widziałem kilku tysięcy prac spośród których wybrano niewielką część do publicznej prezentacji. Jednak to, co można było oglądać na wystawie, jest na tyle różnorodne, że dowodzi, iż kuratorzy wnieśli się ponad własne preferencje i gusta, aby pokazać możliwie szerokie spectrum poszukiwań twórczych w dziedzinie grafiki. Do widza należy znalezienie sobie obrazków „z własnej bajki”. Tak właśnie zrobiłem oglądając grafiki godzinę przed oficjalnym wernisażem. Z doświadczenia wiem, że podczas samego otwarcia niewiele można zobaczyć, ponieważ tłum gości skutecznie przeszkadza w kontemplowaniu

Kraków, Katowice, Wiedeń, Stambuł

pojedynczych prac. A widzów tym razem przybyło mnóstwo, rzeczywiście było międzynarodowo, gdyż w Rondzie Sztuki pojawili się nie tylko Europejczycy. Profesor Jan Pamuła, prezes Stowarzyszenia Międzynarodowe Triennale Grafiki w Krakowie, w tekście zamieszczonym we wspomnianym już katalogu, nazwał Katowice „miastem muzyki i grafiki”. Ze względu na wybitnych kompozytorów i wykonawców oraz właśnie mistrzów *ars grafii* związanych ze stolicą Górnego Śląska. Napisał też, co mnie – rodowitego katowiczana cieszy – że jesteśmy „w sieci”. Bowiem druga już wystawa Print Art jest częścią prezentacji światowej grafiki w ramach cyklu International Print Network. Ten projekt, realizowany w latach 2012-2014, dotyczy ekspozycji odbywających się w Krakowie, Oldenburgu, Falun, Wiedniu i Stambule. To ostatnie miasto podsunęło mi pomysł na pytanie, które z redaktor Beatą Tomanek i profesorem Maciejem Sablikiem zadajemy w niedzielnych audycjach. Tym razem zapytaliśmy „czy to prawda, że Katowice mają coś wspólnego ze Stambułem?” Miałoby to być zaskoczenie dla słuchaczy, efektowny chwyt, tymczasem... okazało się, że Turcy bardzo wysoko ocenili dokonania naszego środowiska plastycznego. Niektóre będą u nich w sposób znaczący reprezentowane.

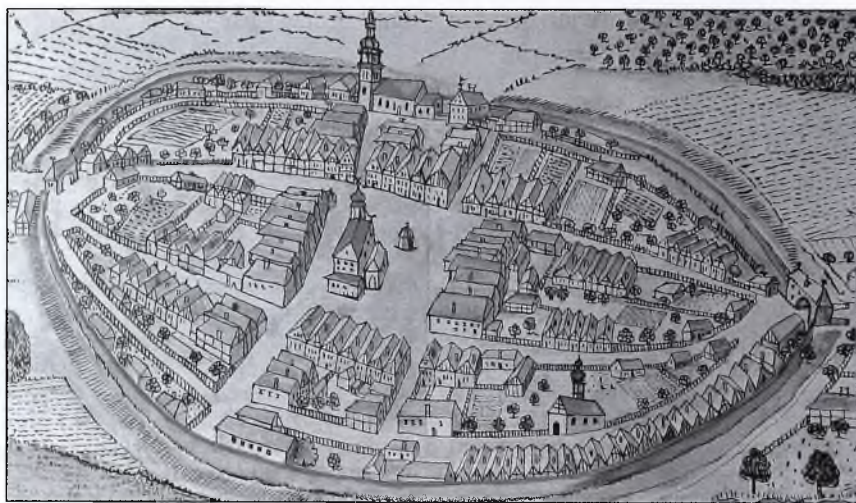
Wróćmy jednak do grafik pokazanych w Rondzie Sztuki, zdaniem profesora Pa-

muły „jednej z najpiękniejszych galerii sztuki współczesnej w Polsce”. Wspominałem już, że kuratorzy postarali się wybrać z tysięcy prace bardzo różne, pokazujące możliwie wiele kierunków poszukiwań współczesnych grafików. Jako „konserwatysta” najbardziej lubię te czarno-białe, w których rozmaite odcienie szarości przemawiają jak kolory. Jeśli w dodatku ogląda się odbitkę „klasyczną” – miedzioryt, akwafortę, drzeworyt, odbitkę właściwie niepowtarzalną, bo mistrz zostawił na niej ślad palca, mniej farby znalazło się na matrycy, coś się w trakcie odbijania wydarzyło nieprzewidzianego, ma się uczucie obcowania z dziełem wyjątkowym. Tego może brakuje, kiedy praca jest „zdigitalizowana”, kiedy prasę, czy wałek zastępuje „print”. Z drugiej jednak strony trudno nie być pod wrażeniem możliwości, jakie otwierają przed artystą nowe technologie, innowacje, to, co się kiedyś nazywało „postępem technicznym”. Najbardziej rzuca się w oczy to, że format przestał być problemem. Większość pokazanych w Rondzie Sztuki dzieł imponowała rozmiarami. Ale też doskonałością wydruku – komputer pozwala twórcom na perfekcyjną realizację swojej wizji, od doboru kontrastu do najbardziej wysublimowanej kolorystyki. Specjalnie przygotowany papier, coraz doskonalsze farby drukarskie, sprawiające na przykład, że czarna na pierwszym rzut oka powierzchnia przy bliższym przyjrzeniu się zaczyna rozbrzmiewać kolorami, to wszystko wróży, że grafika „rozwojowa jest”.

W tym miejscu pojawia się jednak wątpliwość. Artysta może sobie dłubać dłutkiem w drewnie, może bawić się twórczością w środowisku wirtualnym, mamy wolność. Liczy się „print”. Jednak mimo całej rewolucji technologicznej niewiele się w tematach podejmowanych przez twórców zmienia. Realizm ma się dobrze, abstrakcjonizm też (łącznie z geometrią, którą osobiście bardzo lubię), wyrosłe z psychoanalizy próby działania na emocje kształtem (Rorschach) lub barwą też egzystują... Wygląda więc na to, że człowiek, który wynazł wszystko – od koła do procesora, w sferze emocji, mentalności, potrzeb oraz ekspresji niewiele się zmienił od czasów jaskiniowych. Może na szczęście?

Rondo Sztuki jest na trasie, którą często przemierzam. Wernisaż Print Art zgromadził rzeczywiście tłumy. Później, kiedy stałem tam na przystanku tramwajowym, mało kto wchodził do „jednej z najpiękniejszych galerii sztuki współczesnej w Polsce”. Jednocześnie raz w roku noc muzealna, ostatnio też – teatralna przyciąga rzesze. To oczywiście pozytywny fenomen, ale trudno nie zapytać, dlaczego tak się nie dzieje codziennie. Może warto, zamiast hasła o mieście ogrodów, umieścić na szybach Ronda informację „Sztuka za darmo”?

BOGDAN WIDERA



Na 740-lecie lokacji miasta Żory

MARCIN
WIECZOREK

In haereditate, quae Sari vulgariter nominatur, decrevimus construere civitatem – łaciński zapis woli książęcej powstały ponad siedem wieków temu składa do urodzinowych rozważań.

Gdy spoglądamy na industrialną historię naszego regionu, nie możemy uciec przed stwierdzeniem, iż miejskość stała się tu dobrem wtórnym. Katowice, Zabrze, Chorzów, Siemianowice Śląskie, Świętochłowice czy Tychy to twory miejskie bliskie naszej teraźniejszości, choć próbujące odwoływać się swymi założeniami (dawny rynek katowicki) do układów urbanistycznych miast o średniowiecznej genezie. Tu jednak tylko Gliwice, Bytom, Mikołów czy Tarnowskie Góry (te dopiero w XVI wieku) to przestrzenie miast z innym wymiarem życia, czasu i relacji społecznych.

Jednak przykłady średniowiecznej egzystencji w pamięci współczesnej, nawet w czasach zakłamanego ludycznego śląskiego PRL-u, ukazują, iż trzeba budować dom świadomości na solidnych podstawach. Pradawność to rynek, jak rzymski wzorzec, plac z cieniem murów ratuszowych i strzełistością gotyckiej (choć nie zawsze zachowanej) fary. To prosty lecz starannie zaplanowany układ ulic i uliczek prowadzących po przestrzeni duszy miasta.

Wiosna XIII wieku

Czym był ów akt roku 1272? Co zmienił w życiu małej wioski, która stała się miastem. Prócz faktu, iż książę postanowił wzniesić miasto na obszarze osady zwanej Sari tak naprawdę z okresu pionierskiego nie zachowały się ślady opisujące proces powstawania miasta. Jed-

nakże dla okolicy lokacja żorska wyznaczała próg nowych czasów. Nadeszła „Wiosna XIII wieku”, ten niezwykle czas, pięć minut w historii, które zmieniało środkowoeuropejski świat. Źródła nie zachowały imion zasadzcy jak i pierwszych osadników. Napływali z szybko rozrastających się miast śląskich i nie tylko. Szukali szczęścia? Zapewne spokoju i nadziei, że i oni staną się beneficjentami wielkich przywilejów książęcych, które zrywały z dawnym światem dając miastom większą swobodę. Jak mawiano „miejskie powietrze czyni wolnym”. Owa wolność ponad wszystko wraz z nadzieją na lepsze jutro stały się siłą napędową rozwoju. Z tym wiązał się głód „pieniądza” potrzebnego do rozwoju.

Nie zapominajmy jednak, że nim do tego doszło osada szybko przemknęła przez etap wioski. Osada wiejska istniała już jakiś czas przed lokacją. Rycerz Chwalisz lub jego przodkowie uzyskali od książąt opolsko-raciborskich wieś. Według różnych badaczy wieś Żory powstała pomiędzy końcem XII a połową XIII wieku. Przyjmuje się, że najstarszy zapis o wsi dotyczy zapisu datowanego na rok 1258. Etymologia nazwy Żory zdaje się wskazywać, że ma związek z gospodarką wypaleniskową. Zatem przestrzeń osady była obszarem poddany działalności człowieka, zapewne dawnym obszarem leśnym. Proces oczyszczenia terenu i założenia osady trwał co najmniej kilka – kilkanaście lat.

Na tym terenie była to bodajże pierwsza osada, która powstała w wyniku najprawdopodobniej zorganizowanej akcji osadniczej. Czy posiadała świątynię, cementującą początki lokalnego chrześcijaństwa – pozostaje zagadką, choć I. Panic wysunął takie przypuszczenie. W 1272 roku książę Władysław I opolsko-raciborski dokonał zamiany swojej wsi Ściernie na Żory będące w rękach rycerza Chwalisza. Przełom zimy i wiosny 1272 roku to początek istnienia miasta i zakończenie funkcjonowania wioski rycerskiej. Skończyła się pewna epoka.

Lokacja Żor, jak i wielu innych miast, musiała być procesem złożonym, gdyż niebezpieczeństwo niepowodzenia istniało. Zmieniła się przestrzeń. Zrodziły się nowe symbole miejskości, a z nimi i aspiracje. Pierwsze trzy dekady budowy miasta, choć dziś nie zawsze widoczne w krajobrazie, wniosły to co najistotniejsze. Układ owalnej sieci zabudowy miejskiej z głównym placem targowym i wybiegającymi zeń ulicami w kierunku granic miasta. Symbolem tych czasów jest cegła. Ów nieodzowny element budowy zamownych miast zaaklimatyzował się w świecie dominacji drewna. Już pierwsze dzieło, dziś nadal majestatycznie górujące nad miastem, to gotycka fara miejska. Ten symbol wiary to znak rządzącego się bogactwa, a także wkraczającej nowej nie znanej tu wcześniej sztuki i technologii budownictwa.

Świątynia świętych Filipa i Jakuba niesie ze sobą wiele znaków i symboli. Kościół wzniesiony wzdłuż limesu miejskiego stanowić musiał już w swych początkach nie tylko miejsce czci Boga ale również obiekt o cechach obronnych. Był odbiciem niebieskiej harmonii i jej wpływu na ludzkie życie. Dwaj ewangeliczni święci Jakub Młodszy oraz Filip – pośrednicy i opiekunowie, silnie zostali powiązani z rzemieślniczym charakterem miasta (opiekunowie foluszników, czapników).

Nad Żorami świt pamięci dziejów pojawił się u progu tak pełnego dramatyzmu wieku XIV. Miasto niedawno powstałe już mogło się poszczycić częstą obecnością swoich przedstawicieli w życiu publicznym nie tylko miasta i okolicy ale całego księstwa raciborskiego. Można wręcz uznać ich za członków elitarnych środowisk, które miały ściśle powiązania z władzą, czyli dworem książęcym. Pierwszego wójta znanego ze źródeł pisanych poznajemy z dokumentów datowanych na lata 1303 oraz 1306. Miał na imię Fryderyk i zapewne był kolonistą. W siedem lat później pojawia się kolejny wójt o imieniu Ekbert. Obaj byli znaczącymi postaciami z kręgów wasali książąt raciborskich najpierw Przemysła a następnie jego syna Leszka. Wspomniany Fryderyk przestał sprawować swój urząd przed 1313 rokiem i jeżeli przyjmiemy, że rządził przez dłuższy czas, nie można wykluczyć, iż był pierwszym wójtem lub co najmniej drugim w dziejach miasta Żory. Obecność na dworze władców pozwala sądzić, że ich zaangażowanie to

nie tylko osobista zależność, ale także forma reprezentowania interesów miast przy władcy. Jednocześnie poprzez wójta książę wpływał na sytuację w swoim mieście. O ile obecność wynikała z ich pozycji społecznej to związanie ich z Żorami wynosiło miasto ponad sąsiednie ośrodki.

Symbole miejskości

Za symbole znaczącego miejsca wśród miast regionu mogą uchodzić tak obwarowania, jak i herb, a także wspólnoty kupców i rzemieślników. Mury to symbol wydzielenia przestrzeni wolnej ale i poddanej zasadom prawa. Chroniły przed nieznanym światem dzikiej przyrody i tym wszystkim co zewnętrzne – niemiejskie. Żorska lokacja objęła przestrzeń 12,1 ha. Teren lokacji już od schyłku XIII wieku rozpoczęto obejmować fortyfikacjami miejskimi, zrazu tymczasowymi. Zewnętrzne fortyfikacje liczyły 1200 m i przybrały kształt nieregularnej elipsy. Najstarszy odcinek powstał na północnym odcinku w układzie wendyjskim.

U początków miasta południowy odcinek mógł nie mieć fortyfikacji co najwyżej wzniesiono drewniano-ziemne zabezpieczenie. W pierwszej połowie XIV wieku wzniesiono południowy odcinek murów w układzie polskim. Z czasem fortyfikacje żorskie posiadały dwie bramy – Górną i Dolną.

Już w 1345 roku fortyfikacje przeszły chrzest bojowy. Konflikt polsko-czeski ponownie rozkręcał się, a Śląsk, jak już wiele razy bywało, stał się areną zaciętych i wyniszczających walk. Żor, jako jednego z nielicznych miejsc, z powodzeniem broniono przed oblegającymi je wojskami polskiego króla Kazimierza III Wielkiego. Przymierze nowego „obcego” księcia raciborskiego Przemysłdy – Mikołaja II opawskiego, nie przez wszystkich mile widzianego na nadodrzańskim tronie, z czeskim władcą Janem Luksemburskim w ostateczności spowodowało zacięte zmagania. Żory z tej opresji wyszły zwycięsko, ale i to obronione miasto odczuło zniszczenia okolicznych wsi i zubożenie ludności. To wydarzenie nie było jedynym udziałem spokojnych mieszkańców w wielkim świecie polityki i gospodarczych powiązań. Już w niewiele lat później miasto po raz pierwszy zmieniło właściciela, wiążąc się ponownie z rodem piastowskim a potem znów z Przemysłdami i raz jeszcze z Piastami.

W drugim stuleciu istnienia miasta wyraźnie ujawnia się jego gospodarcze oblicze. Produkcja towarowa, a i obrót pieniężny, szybko ulegały intensyfikacji. Szczególnie prężnie rozwijało się sukiennictwo. W 1361 i 1380 roku są wspomniani żorscy sukiennicy, a w pierwszej połowie XV wieku dobrze rozwijała się w mieście produkcja tkanin wełnianych. Wówczas to żorscy sukiennicy uzyskali zgodę na przeprowadzanie trzech wolnych targów. Być może już wtedy po-

wstał cech sukienniczy. Spore znaczenie miała także profesja rzeźnicza, i to od samych początków miasta. W 1316 roku funkcjonowała w Żorach bliżej nie znana liczba jatek mięsnych. Dziewięć z nich raciborski książę Leszek ofiarował opactwu cystersów w Rudach. Część z nich przypadła następnie raciborskim dominikankom, które odkupiły je od cystersów.

Rozwój miasta napędzały jarmarki. 1 maja, w dniu święta patronalnego kościoła parafialnego (św. apostołów Filipa i Jakuba), przypadał pierwszy, zaś drugi, zimowy – na czwarty dzień po święcie nawrócenia św. Pawła Apostoła (25 stycznia). Na przełomie lat 1576-1577 miasto zwróciło się do cesarsko-królewskiego majestatu o zatwierdzenie dwóch średniowiecznych jarmarków oraz zgodę na dwa kolejne. 18 marca 1577 roku Rudolf II Habsburg wyraził zgodę na dwa jarmarki wyznaczając ich terminy na 15 lipca oraz na niedzielę po święcie św. Mateusza (21 września), który miał trwać aż 8 dni do święta św. Michała Archanioła. Również i inne profesje mocno zaangażowały się w rozwój miasta. Już w czasach nowożytnych uformowały się cechy: krawców, kuśnierzy, bednarzy, stolarzy, kołodziej, szewców, piekarzy, tkaczy (płócienników), jednakże ich nowożytny rozwój nie mógł mieć miejsca bez ich funkcjonowania jeszcze w ramach średniowiecznej miejskiej społeczności.

Choć to dziś temat słabo zbadany, miasto w okresie wzmagających się konfliktów i czasów wojen w XV wieku pozyskało zamek. Wiemy o nim niewiele. Pozycja mieszczan żorskich rosła, co przekładało się na uszczuplenie pozycji feudała. Stąd też obok miasta pomyślnie rozwijał się folwark książęcy znany już w XIV wieku, jedna z największych zagadek średniowiecznych Żor. Nie można wykluczyć, że to właśnie tu wzniesiono niewielką siedzibę obronną. Również możliwe jest, że taki obiekt był wpisany w system obronny miasta. Wzmianki o zamku pojawiają się dwa razy w II połowie XV w., w momencie obfitującym w wojenne wydarzenia. Potem źródła milczą na jego temat. Być może wzniesiony dość późno w XV wieku, szybko stracił swoje znaczenie i został rozebrany. Nie można wykluczyć, że gdy książę raciborski Jan II Żelazny przekształcił zamek w Rybniku, nakazał też wzniesić zamek w Żorach (początki XV w.). Tym sposobem Żory wzmocniono w roli lokalnego ośrodka obronnego, ściśle związanego z obronnością całego księstwa, w tym przypadku jego centralnej części.

Wiek pomyślności

Lokacja miasta przeprowadzona jako działania mające rozwinąć jedną z dziedzin produkcji tkackiej przyniosła miastu w miarę solidny i stabilny rozwój, mimo że nękały je pożary i inne nieszczęścia epoki.

Nie zapomniano o problemach miejskiej biedoty i ludzi potrzebujących, dla

których ufundowano hospicjum – przytułek św. Mikołaja. Nie wiadomo dokładnie kiedy powstał, lecz istniał już w 1562 roku. Zapewne na obszarze miasta. Był to szpital dla ubogich starszych mieszkańców miasta. Przytułek posiadał własny mały kościółek pod wezwaniem św. Mikołaja. Według wzmianki źródłowej z 1750 roku w przytułku przebywało 4 biednych. Miasto posiadało medyka miejskiego oraz funkcjonowała łaźnia. Zatem podstawy nowoczesnej higieny, zgodnie z zasadami epoki funkcjonowały w społeczności Żor.

Korzystna koniunktura i ponad 300 lat niezmaconego istnienia miasta sprawdziły się na przełomie XVI i XVII wieku. Gdy odszedł z tego świata zacy Jan II zwany Dobrym miasto z okolicami stanowiło tzw. państwo żorskie, które znalazło się we władaniu szlachty śląskiej. Już po 35 latach miasto rozpoczęło administrować tym majątkiem, co oznaczało, że dysponowało kapitałem. Czasowe oddanie we władanie magistratu majątku książęcego (którym jako suweren dysponował król czeski (cesarz) – zwierzchni książę śląski) przyniosło miastu liczne korzyści i nie zamierzano oddawać władzy nad majątkiem w niepewne ręce rycerstwa, które mogło działać wbrew woli magistratu. W roku 1603 magistrat uzyskał zgodę na przejęcie majątku – dóbr kameralnych będących własnością cesarską. Miasto przejęło zwierzchnie prawa książęce względem dóbr żorskich, za co rocznie musiało uiszczać do Wrocławia 20 talarów. Dokument w Pradze podpisał cesarz rzymski, król czeski i książę śląski Rudolf II Habsburg dnia 31 grudnia 1603 roku. Kancelaria opolska sporządziła stosowny dokument kupna majątku dziedzicznego 20 marca 1604 roku. Dokument zakupu był potwierdzany w roku 1611 przez cesarza Macieja Habsburga oraz w 1740 roku przez cesarza i króla czeskiego Karola VI Habsburga. Do końca epoki habsburskiej miasto zapewniło sobie względny spokój. To była również konsekwencja udanej lokacji i przemysłanej gospodarki miasta.

Do dziś symbolem znaczenia Żor oraz ich roli w regionie pozostaje herb. Znany w tej postaci co najmniej od XVI wieku. Tarcza herbowa dzielona w słup, gdzie w polu (heraldycznym) prawym widnieje połowa orła złotego na błękitnym polu, co nawiązuje do heraldyki górnośląskiej, zaś – co ważne – w lewym polu heraldycznym widnieje na czerwonym polu miecz. Te dwa symbole można odnieść do pozycji miasta, bo czerwień oznacza barwę murów miejskich (czerwona cegła) a miecz to symbol sprawowanej władzy przez właścicieli miasta a następnie przez radę miejską. Tym sposobem owe 740 lat od momentu decyzji księcia o powstaniu miasta zapisuje się w widomych symbolach, które do dziś mówią o dawnym chwalebnym dziedzictwie tego miasta.

W dyskusji podczas XII Katowickiej Konferencji Naukowej, tym razem zorganizowanej pod tytułem *Kultura muzyczna Katowic i jej dzieje*, Michał Lubina (często współpracujący z naszym miesięcznikiem) stwierdził, że prelegenci bynajmniej nie wyczerpali tematu, bo na jedno (choćby referaty wygłaszano przez dwa dni – 6 i 7 września) spotkanie jest zbyt obszerny, pominięto więc wiele kwestii bardzo istotnych. W związku z tym zaproponował, aby kolejna konferencja była kontynuacją tegorocznej. I... los mu sprzyjał? Nad cowerześniową sesją zaciążyło jakieś fatum? „Wykrakał”? W sali Muzeum Historii Katowic, gdzie odbywała się konferencja, w napisie na ścianie zawieszono napis XIII. Jadna kreseczka za dużo. Przy-

znają rację Lubinie – problematyki nie wyczerpano. Nie zgadzam się jednak z jego postulatem zorganizowania „dalszego ciągu”. W spotkaniach nazywanych potocznie „Konferencjami katowickimi” uczestniczę nie od dziś, dlatego mogę z całą pewnością stwierdzić, że żaden z tematów podejmowanych podczas tych 12 lat nie został w pełni opisany i zbadany. Mało tego – referaty, które są wygłaszane np. przy okazji rozmowy o architekturze, mogłyby się znaleźć w programie innej *Konferencji katowickiej*, poświęconej np. powstawaniu stolicy województwa śląskiego po 1922 roku albo oddziaływaniu Le Courbusiera na tutejsze budownictwo lat trzydziestych.

Konferencje Katowickie (tak w skrócie będę nazywać naukowe spotkanie organizowane przez Polską Akademię Nauk – oddział Katowice, Urząd Miasta Katowice, Polskie Towarzystwo Historyczne – oddział Katowice, Muzeum Historii Katowic oraz Akademię Muzyczną im. Karola Szymanowskiego w Katowicach), które we wrześniu, w pobliżu dnia uzyskania przez stolicę województwa śląskiego praw miejskich odbywają się w MHKL, zaczynają się dla uczestników miłym akcentem. Każdy otrzymuje księgę zawierającą materiały z konferencji poprzedniej, przy czym profesor Antoni Barciak, który jest animatorem, organizatorem oraz – nie waham się tak tego nazwać – dobrym duchem tych sympozjów, zawsze



Od lewej: Ireneusz Dudek, Eugeniusz Knapik, Ewa Chojcka, Jadwiga Lipońska-Sajdak, Krystyna Siejna, Jerzy Wyrozumski, Joanna Wnuk-Nazarowa, Tomasz Miczka.

XII Konferencja Naukowa w Katowicach Miasto muzyki

jest ucieszony, że znowu udało się z tą publikacją złączyć. Podzielał jego radość, bo te wydawnictwa są niezwykle cenną pomocą w dokumentowaniu dziejów Katowic, dziejów dotyczących bardzo rozmaitych obszarów (np. górnictwa albo medycyny). Ze względu na bogactwo programu każdej konferencji nie da się uczestniczyć we wszystkich spotkaniach, tym cenniejsze jest zatem posiadanie „na papierze” przygotowanych przez ekspertów artykułów.

Konferencję Katowicką otwiera panel odbywający się w auli im. Bolesława Szabelskiego w Akademii Muzycznej. Tym razem ta sala okazała się zbyt mała dla tych, którzy przybyli na otwarcie. Gości (i to czasem prominentnych) trzeba było lokować na dostawianych krzeselkach, więc rektor śląskiej Akademii stwierdził, że – być może – za rok inauguracja powinna się odbyć w koncertowej *Symfonii*.

Na zdjęciu upamiętniającym panelowe spotkanie widać (pierwszy z lewej) Irka Dudka. Obok – dostojne grono, kojarzące się z muzyczną klasyką. Ale to nie przypadek, że przy tym stole zasiadł bluesman, który od lat organizuje festiwal „Rawa blues”. W Katowicach mamy NOSPR, Filharmonię, „Cameratę Silesię”, tym muzycznym „wizytówkom miasta” towarzyszą jednak zupełnie inne wydarzenia. Właśnie blues – festiwal bez piwa i narkotyków, OFF FESTIWAL przygarnięty

z Mysłowic, jazzowe granie w klubach. Irek miał się czym pochwalić, bo nie tylko wygłosił wykład o rozmaitych odmianach kochanej przez siebie muzyki, ale jeszcze mógł ogłosić, że Katowice w USA doczekały się uznania za „najlepszy na świecie” bluesowy festiwal.

Uczestnicy panelu mówili – co oczywiste – o tej muzyce, która jest im najbliższa, w kontekście zresztą ich codziennej pracy. Trudno byłoby sobie np. wyobrazić, że Joanna Wnuk-Nazarowa nie poświęci swojego wystąpienia NOSPR. Wiceprezydent Katowic Krystyna Siejna przypominała o świetnej tradycji śląskich chórów. Natomiast dyrektor Muzeum Historii Katowic Jadwiga Lipońska-Sajdak, trochę w opozycji do współuczestników panelu skoncentrowanych na współczesności, powróciła do średniowiecza, kiedy to, dzięki szkółkom parafialnym, zaczęła się na Śląsku edukacja muzyczna.

Panel odbył się w auli katowickiej Akademii Muzycznej. Prowadząca go profesor Ewa Chojcka, która jest historykiem sztuki, nie mogła więc pominąć takiej okazji, żeby we wstępnym wykładzie nie zająć się *przestrzenią dźwięków*, czyli fantastycznemu połączeniu neogotyckiego gmachu z architekturą XXI wieku. Odniesień do „sztuk wizualnych” było podczas tej Konferencji więcej. Marian Oslizło mówił o łączeniu plastyki z dźwiękiem, Irma Kozińska zajęła się wątkami muzycznymi w twórczości śląskich artystów, Barbara Szczypka-Gwiazda poświęciła swój referat odbiciu w sztukach plastycznych Śląska twórczości Stanisława Moniuszki, a Natalia Kruszyńska posługując się multimedialną prezentacją przedstawiła chopinowski cykl monumentalnego dzieła Jerzego Dudy-Gracza.

Ta Konferencja nie mogła się oczywiście obyć bez tych największych – Henryka Mikołaja Góreckiego i Wojciecha Kilara. Ale pojawili się także w trakcie obrad Jaromir Nohawica i Jerzy Millan. A gdzie Harald Koterbski? Szabelski? Zimmermann? Zdobywca Oskara z Chorzowa Waxmann? Może rzeczywiście Michał Lubina ma rację?

BOGDAN WIDERA



Ul. Francuska 12 – nowe miejsce prób i koncertów Śląskiej Orkiestry Kameralnej pod batutą jej założyciela, Jana Wincentego Hawela. Koncert inauguracyjny.



Pomysłodawcy cyklu „Filharmonia w starej Bibliotece” Grażyna Szyborska – dyrektor Filharmonii Śląskiej i prof. Jan Malicki – dyrektor Biblioteki Śląskiej.

Zdjęcia: Krzysztof Lisjak

FILHARMONIA
W STAREJ
BIBLIOTECE

Jak się mają ku sobie literatura i muzyka

Mocnym akcentem rozpoczęła się 12 września katowicka nowość – koncerty *Filharmonia w starej Bibliotece*. Wchodząca w jubileusz 90-lecia istnienia Biblioteka Śląska z bezdomną na czas remontu Filharmonią Śląską im. Henryka Miłkołaja Góreckiego przywróciły kulturze regionu piękny przykład katowickiej moderny – była księżniczką z jej eleganckim audytorium, które podjęło rolę sali koncertowej. Ul. Francuska 12 – tu kiedyś wykład wygłosił Stanisław Ignacy Witkiewicz, a towarzyszył temu koncert kameralny. Teraz miejsce stałych prób i koncertów znajdzie tu Śląska Orkiestra Kameralna. Wspólnym pomysłem filharmoników i bibliotekarzy śląskiej księżnicy jest cykl integrujący muzykę z innymi dziedzinami. Gośćmi specjalnymi tych koncertów w ko-

lejnych miesiącach będą zaproszeni przez prof. dra hab. Jana Malickiego, dyrektora Biblioteki Śląskiej, ludzie słowa pisanego, mówionego i innych rodzajów twórczości: prof. Elżbieta Gondek, biskup senior, ks. abp Damian Zimoń, architekt prof. Henryk Buszko, choreograf i reżyser Henryk Konwiński, prof. Jan Miodek i prof. Stanisław Nicieja. Muzycy orkiestry starają się przygotować repertuar, który dla publiczności będzie magnesem. Każdy koncert słowem poprowadzi Violetta Rotter-Kozera z TVP Katowice.

Zaproszenie do pierwszego koncertu przyjął Tadeusz Kijonka, a Śląska Orkiestra Kameralna pod batutą jej założyciela, Jana Wincentego Hawela z cenioną śląską skrzypaczką Beatą Warykiewicz-Siwy dopełnili spotkanie przebojowym wykona-

niem hitu klasyki – *Czterech pór roku* Antonia Vivaldiego.

Warto było tego dnia pojawić się w starym bibliotecznym budynku przy ul. Francuskiej. Chociażby po to, by usłyszeć jak Tadeusz Kijonka czyta swoje najnowsze wiersze z drugiej serii *Sonetów brynowskich*, latem opublikowanej w *Twórczości*. *Sonety brynowskie* zachwycają nienaganną formą czterowersowych utworów z dwoma czterowierszami opisowymi i dwoma trójwierszami lirycznymi czy filozoficzno-refleksyjnymi oraz ważką ich tematyką przemijania, odchodzenia, powtarzalności życia. Nie miałem pojęcia, że z takim mistrzostwem pisze się jeszcze sonety.

Kiedy czasem biorę do ręki tomik poezji, poznaję go zazwyczaj w milczeniu. Nie miałbym więc szansy usłyszeć tego, co głośnym czytaniem objawił poeta: mądrze i z wielkim kunsztem ułożone słowa, ich następowanie ze świadomością przynależnych im akcentów, urody poszczególnych sylab stają się po prostu muzyką. Nie dostrzegałem tej sztuki w librettach operowych Tadeusza Kijonki, zdominowanych nutami do nich napisanymi. W czytanych sonetach muzyka objawia się sama. Dla debiutu *Filharmonii w starej Bibliotece* lepiej zdarzyć się nie mogło. (MARS)



Każdy koncert słowem poprowadzi Violetta Rotter-Kozera z TVP Katowice, pierwszym gościem był Tadeusz Kijonka...



... który czytał swoje najnowsze wiersze z drugiej serii „Sonetów brynowskich”.

Nazwisko Ewy Podleś na afiszu Filharmonii Śląskiej wywołało oczywiście zainteresowanie rzeszy melomanów, znawców sztuki wokalne. Dysponująca wspaniałym kontraltem śpiewaczka, swój jedy-ny w tym roku koncert w Polsce miała zaśpiewać na inaugurację sezonu artystycz-nego śląskich filharmoników.

Zaczęło się *Uwerturą koncertową E-dur* op. 12 Karola Szymanowskiego – utworem tym Filharmonia Śląska złożyła hołd wy-bitnemu kompozytorowi w 75. rocznicę je-go urodzin. Była to niewątpliwie znakomi-ta zapowiedź emocji, jakich za moment miała dostarczyć artystka. I tak też się sta-ło. Nie milkły oklaski, kiedy pojawiła się na scenie i w skupieniu rozpoczęła kanta-tę *Ariadna z Naxos* Josepha Haydna. Nie-latwy to utwór dla wszystkich wykonaw-ców – tak zespołu orkiestrowego jak i dla solisty, ale dający możliwości pokazania całego spektrum możliwości głosowych wykonawcy, rozpiętość skali, barwę, a na-wet zdolności aktorskie. Głos Ewy Podleś to najwspanialszy instrument do wygrania tego wszystkiego, co zawarte zostało – tak w sensie muzycznym jak i dramaturgicz-nym w tej kantacie. Dzieło składające się z trzech arii i recytatywu opowiada o mi-łości Ariadny do Tezeusza, w którym główna bohaterka odgrywa rolę przewod-niczki, porzuconej kochanki i śmiertelnicz-ki poślubionej przez boga. Ogromny ład-unek emocjonalny zawarty w kantacie daje wykonawcy pole do popisu. Ewa Podleś znakomicie wywiązała się z tego zadania. Wiadomo bowiem, że prócz niepowtarzal-nego głosu dysponuje talentem aktor-skim, który wzmacnia ekspresję muzycz-nej przekazu. Każdej frazie, każdej zmianie nastroju, podążając na słowem na-dała odpowiedni ładunek emocjonalny, podkreślając niuanse muzyczne gestem i mimiką. Jej znakomite porozumienie z dyrygentem – Mirosławem Jackiem Błaszczykiem i orkiestrą dało w efekcie – mimo całej złożoności dzieła – utwór niezwykle efektowny, perfekcyjnie wyko-nana całość.

Nagrodą za kunszt i wirtuozerię zosta-ła Ewa Podleś nagrodzona gromkimi okla-skami, a sporą część publiczności wręcz wiwatowała z zachwytem.

Drugą część koncertu przyniosła od-mienny repertuar. Wypełniły ją utwory Gioacchino Rossiniego; uwertura do ope-ry *Cyrulik sewilski* oraz recytatyw *O, Pat-ria i aria Di tanti palpiti* z opery *Tankred*, Giuseppe Verdiego, chóralne *Gloria all'Egitto, ad Iside* z opery *Aida*, *Marsz Triumfalny* z II aktu opery *Aida* oraz chór *Cyganów Vede! Le fosche notturne spoglie – Chie del gitano* i arię *Azuceny Stride la vampa* z II ak-tu opery *Trubadur* oraz Gaetano Donizettiego *Toast Orsiniego Il se-greto per Esser felici* z opery *Lukrecja Borgia*.

I znów można pisać w samych superlatywach o wykonawstwie Ewy Podleś. Inne nastroje, inna au-ra poszczególnych utworów, a wszystko zwieńczone radosnym, bisowanym Toastem Orsiniego. Publiczność oczywiście domagała się kolejnych bisów, ale sama śpie-waczka stwierdziła, że nie spodzie-wała się tak entuzjastycznego przy-



Ewa Podleś

Jedyny w tym roku koncert Ewy Podleś w Polsce

MUZYKA

jęcia i wskazując na zmęczone gardło za-kończyła swój występ.

Niestety, w drugiej części koncertu or-kiestra nie popisała się precyzją wykona-nia, a i chór nie był w najwyższej dyspo-zycji. Czyżby sprawcą tego było rozkojarzenie spowodowane iście rodem z rockowego koncertu zachowanie niektó-rych melomanów, chociaż zespół zapew-ne jest przyzwyczajony już do takich niestandardowych zachowań, wyrażają-cych uwielbienie dla artysty. A być może był to efekt irytacji niefortunnym zdarze-niem mającym miejsce w przerwie mię-dzy pierwszą a drugą częścią koncertu, z li-stem od marszałka województwa śląskiego w roli głównej dla rozpoczynającej sezon Filharmonii, a nie dla oczekującej na es-tradzie artystki – jubilatki. Szczegóły nie warte są rozpatrywania. Wystarczy zaę-nowanie całą tą niezręczną sytuacją, w ja-kiej znaleźli się i śpiewaczka i maestro Błaszczyk.

Koncert ze śląskimi filharmonikami był więc dla Ewy Podleś nie tylko jedynym koncertem w kraju, ale także jubileusz-o-



Podczas koncertu ze śląskimi filharmonikami

Fot. Andrzej Świątek

wym, urodzinowym. A miało być tak od-świętnie i wyjątkowo. Artyści publiczność zrobili wszystko, żeby tak było. Zapewne nieprędko będzie można usłyszeć tę roz-chwytywaną w świecie śpiewaczkę.

O tej wybitnej artystce pisze tak Piotr Nędzyński: – W tym roku Ewa Podleś in-augurowała Międzynarodowy Konkurs Wokalny im. Fr. Vias w Barcelonie, wy-stępowała z London Philharmonic Orche-strą i Deutsches Symphonie Orchestra. Na nowojorskim Caramoor Festival i Ros-sini Opera Festival we włoskim Pesaro kre-owała tytułową rolę w dramacie *Cyrus w Babilonie* Rossiniego. Po występach w Pesaro Christophe Rizoud na Forumo-pera. com pisał: *Ewa Podleś tworzy histo-rię. Polska śpiewaczka jest fenomenem wo-kalnym i teatralnym*.

Jest rodowitą warszawianką. Studia wokalne odbyła w Akademii Muzycznej im. Fryderyka Chopina w Warsza-wie u prof. Aliny Bolechowskiej. Jest laureatką wielu międzynarodowych kon-kursów, m.in. Konkursu im. Piotra Czaj-kowskiego w Moskwie. Będąc obywatel-ką świata, nieprzerwanie współpracuje jako solistka z Teatrem Wielkim-Operą Na-rodową i występuje w wielu ośrodkach mu-zycznych w Polsce.

Dzięki charakterystycznej barwie gło-su o ogromnej skali i biegłości, Ewa Podleś jest powszechnie uważana za naj-bardziej autentyczny kontralt generacji (*Opéra International, Orpheus, Gramo-phone, The New York Times, The San Francisco Examiner, The Washington Post, Opera News, The Financial Ti-mes*). Grupa międzynarodowych krytyków muzycznych Classic FM Magazine zali-czyła Ewę Podleś do 10 najlepszych gło-sów mezzosopranowych pierwszych dekad-y XXI wieku, a Operaarts. com do ekskluzywnego grona 100 operowych legend ostatniego półwiecza.

Możliwości głosowe pozwalają artyst-ce na wykonywanie repertuaru od baroku do współczesności. Występuje na najbar-dziej prestiżowych scenach operowych i es-tradach koncertowych świata.

Lata 2012-13 to kolejne występy m.in. w Londynie, Berlinie, Luksemburgu i Sa-int Etienne (Madame de la Haltière w *Kop-ciuszku* J. Masseneta), Barcelonie (Erda w *Złocie Renu* R. Wagnera, później także Madame de la Haltière), Monte Carlo (Jezi-Baba w *Rusalka* A. Dvořáka), San Diego (Markiza w *Córce pułku* G. Doni-zettiego), na festiwalach Caramoor i Pesaro (rola tytułowa w *Cyro w Babilonii* G. Rossiniego), w Teatrze Wielkim Operze Narodowej, Filharmonii Narodowej, Fil-harmonii Śląskiej.

Ewa Podleś dokonała licznych nagrań płytowych, którym przyzna-no szereg znaczących nagród i wy-różnień.

Koncert inaugurujący 68. sezon artystyczny Filharmonii Śląskiej odbył się w Sali koncertowej Aka-demii Muzycznej. Filharmonicy będą powracać tu co piątek co jest bardzo dobrą wiadomością na ten sezon i kolejne, zanim za-kończy się remont macierzystej siedziby Filharmonii.

WIESŁAWA KONOPELSKA

Projekt Mozart

Projekt Mozart to przedsięwzięcie zainicjowane przed dziesięcioma laty przez absolwenta warszawskiej uczelni muzycznej Szymona Wyrzykowski. Co roku grupa młodych artystów wykonuje pod jego dyрекcją wybrany utwór religijny Mozarta w kilkunastu polskich kościołach, które ich zapraszają i goszczą „czym chata bogata”. Muzyka towarzyszy liturgii odprawianej w języku łacińskim. W tym roku trasa wiodła przez Śląsk Górny i Cieszyński, a wykonywanym utworem była *Msza koronacyjna*. Zabrzmiąla między innymi w kościele Najświętszego Serca Pana Jezusa w Cieszynie-Krasnej. Dzięki życzliwości proboszcza księdza Stanisława Filipka ten mały kościół (zupełnie nowy, nawet jeszcze niewykończony, stanowiący niemal wierną replikę ponad stuletniej budowli, którą trzeba było już wyburzyć) pomieścił kilkunastuosobową grupę złożoną z solistów (w tej roli wystąpili: Anna Leśniewska, Justyna Kopiszka, Szymon Szetela i Rafał Pawnuł) chóru i orkiestry. Oprócz *Mszy koronacyjnej* zabrzmiało jeszcze kilka innych utworów, między innymi specjalnie skomponowana na letnią trasę koncertową zespołu pieśń *O piękności niestworzona* Marka Nowakowskiego (młodego twórcy pochodzenia polskiego zamieszkałego w USA) oraz hymn *Boże, coś Polskę* w opracowaniu Andrzeja Nikodemowicza. Msza muzyczna była dla krasniańskich parafian i gości przybyłych z miasta wielkim duchowym i artystycznym przeżyciem. Artyści zostali nagrodzeni *standing ovation*, za którą muzycy odwiedzcyli się bisem.

Muzyka polska na nowo odkryta

Śląskie Towarzystwo Muzyczne kierowane przez Magdalene Lisak zainaugurowało 16 września swój kolejny cykl koncertowo-edukacyjny. Tegoroczna impreza, zrealizowana dzięki pomocy Urzędu Miasta Katowice, poświęcono „muzyce polskiej na nowo odkrytej”. Zaprojektowano prezentację utworów kompozytorów XIX- i XX-wiecznych. Wśród nich byli twórcy, którzy przed kilkunastu czy kilkunastu laty byli filarami tak zwanej polskiej szkoły kompozytorskiej – na przykład Tadeusz Baird. Zmarł w 1981 roku – i już trzeba go odkrywać... Oczywiście nie „nowo”, tylko „na nowo”, jak to subtelnie zróżnicowała w programie Magda Lisak. Pierwszy koncert wrześniowego cyklu odbył się w Sali Koncertowej Polskiego Radia w Katowicach. Wystąpili znakomici muzycy: pianistka Joanna Domańska, klawecista Roman Witaszek i waltornista Tadeusz Tomaszewski.

MIEDZY NUTAMI



Program koncertu był niezwykle ciekawy. Na początek zabrzmiało *Duo na klarnet i fortepian* op. 47 Ignacego Feliksa Dobrzyńskiego, kompozytora, którego najlepsze lata działalności przypadły na najgorszy okres w historii XIX-wiecznej Warszawy – na lata 40. i 50., kiedy w stolicy „Priwislinja” nie było nawet konserwatorium. Trzeba uczciwie przyznać, że ostatnio wiele zrobiono dla odzyskania Dobrzyńskiego: ukazało się nagranie płytowe jego opery *Flibustierowie*, a nakładem Warszawskiego Towarzystwa Muzycznego opublikowano nader ciekawe wspomnienia o kompozytorze autorstwa jego syna Bronisława. W kameralnym *Duo* okazał się Dobrzyński twórcą sprawnym i pełnym inwencji. Stylistycznie łączy się jego muzyka ze Spohrem i Weberem, są w niej przebliski stylu brillant, a nawet bezpośrednie pożyczki z Chopina.

Z muzyki wczesnoromantycznej artyści zaprezentowali jeszcze *Grand duo Es-dur* op. 4 na róg, klarnet i fortepian Franciszka Lessla, kompozytora o pokolenie starszego od Dobrzyńskiego. O tyleż „starsza” jest jego muzyka. Kojarzy się z popularną, „internacjonalną” wersją klasycyzmu, taką, jaką upowszechnił w środkowej Europie Czech Ladislav Dusík. Pomiedzy dziełami Dobrzyńskiego i Lessla zabrzmiały 2 *kaprysy na klarnet i fortepian* Tadeusza Bairda, uroczę młodzięce drobiazgi pochodzące z roku 1953, utrzymane w konwencji neoklasycznej, a jednocześnie wychodzące poza nią subtelny rysunkiem fraz i kapryśnością rytmu. Na omawianym poranku przypomniano jeszcze postać Stefana Kisielewskiego – jednak nie muzyką, lecz słowem. Paradoks ten tłumaczy się tym, że słynny Kisiel ostał się dziś głównie jako publicysta i krytyk, więcej zajmują się nim poloniści niż muzycy. Może jeszcze przyjdzie czas na jego utwory muzyczne?

Przed Konkursem im. Fitelberga

We wrześniowym programie Instytucji „Silesia” znalazł się unikatowy koncert utworów Grzegorza Fitelberga. Intencją organizatorów było nie tylko zaprezentowanie zapomnianych dzieł wielkiego dyrygenta, ale i zainteresowanie publiczności przygotowywanym przez Filharmonię Śląską na listopad kolejnym konkursem dyrygenckim jego imienia. Nie można powiedzieć, że Fitelberg jest w Polsce nieznanym jako kompozytor. Dość często grywa się jego *Trio f-moll* na skrzypce, wiolonczelę i fortepian; sztanदारowej kompozycji symfonicznej *Pieśń o sokole* można nawet słuchać w Internecie. Na koncert, który odbył się w Sali Koncertowej Polskiego Radia 27 września przygotowano jednak program unikatowy, składający się z *II Sonaty F-dur* na skrzypce i fortepian, młodzieńczych dzieł instrumentalnych (dwa romanse bez słów, *Berceuse*, *Mazurek*) oraz cyklu pieśni do słów Richarda Dehmela. Utwory na skrzypce i fortepian grali Andrzej Gębski (profesor Uniwersytetu Muzycznego Fryderyka Chopina w Warszawie, wychowanek Andrzeja Wróbla, po którym przejął pasję przywracania do repertuaru zapomnianych dzieł kompozytorów polskich) oraz Antoni Brożek – król katowickich pianistów-kameralistów. Wykonawczyniami pieśni były katowickie artystki Iwona Socha (sopran) i Joanna Steczek (fortepian). Ogromna różnica stylistyczna, jaka rysuje się między młodzieńczymi drobiazgami skrzypcowymi Fitelberga, reprezentującymi typowy dla schyłku XIX wieku poziom utworów pisanych przez wirtuozów na własny użytek, a sonatą utrzymaną w poważnym stylu późnoromantycznym uzmysławia niezwykle tempo rozwoju talentu kompozytorskiego Fitelberga, polegającego w pierwszej mierze na umiejętności przyswajania sobie aktualnych zdobyczy stylistycznych i technicznych muzyki zachodniej. *Mazurek*, utrzymany w typowej dla polskich kompozytorów konwencji „śpiewno-zadzięzystej”, eksplloatowanej od czasów Wieniawskiego i Kątskiego dzieli od sonaty o rysach prawie brahmsowskich jedynie rok (1900 – 1901). Jeszcze szybsze tempo rozwoju obserwujemy na przykładzie pieśni do słów Dehmela: pisane w tym samym czasie, co *Pieśń o sokole* (1905) są – jak ona – kompletną encyklopedią „straussizmu”. W ciągu czterech lat przebiegł zatem Fitelberg dwadzieścia lat historii muzyki, doganiając niemieckiego modernizm, co prawda jedynie jako naśladowca. Jednak kopistów wolno nam dzisiaj podziwiać tak samo jak mistrzów.

MAGDALENA DZIADEK

Pisanie jest zagadką. Nie wiem, dlaczego się pisze, ale wiem, że na nic innego bym tego nie zamienił” – zaczyna monografię twórczości słowami swojego bohatera wypowiedzianymi podczas jubileuszu siedemdziesięciolecia urodzin Barbara Zwolińska. Feliks Netz, zwany człowiekiem renesansu, jest pisarzem, który swoją twórczością mógłby hojnie obdarzyć niejednego piszącego. Píše od zawsze i nieustannie, nie mając wątpliwości, że urodził się po to, aby pisać. Związany ze Śląskiem, jest postacią szczególnie dobrze znaną w Katowicach, jako „odwieczny” redaktor miesięcznika Śląsk, współpracujący z Radiem Katowice, twórcą słuchowisk, niezliczonych artykułów, ale także powieści, recenzji. A do tego jest poetą i tłumaczem między innymi powieści węgierskich. „Ojcem” kilku pokoleń śląskich twórców, autorem wszechstronnym i silnie zaangażowanym w to, co robi i jak. Nic zatem dziwnego, że jego twórczość na tyle zafascynowała autorkę, że postanowiła poświęcić jej swoją książkę.

Barbara Zwolińska dokładnie analizuje poszczególne „działy” wypełniane przez Feliksa Netza słowami. Są to zatem powieści, kreślące wątek „małej ojczyzny”: *Sto dni odpustu* (1969), *Skok pod poprzeczką* (1977), *Biała gorączka* (1980), *Urodzony w Święto Zmarłych* (1995) i *Dysharmonia caelestis* (2004). W swoich analizach, podpartych licznymi recenzjami m. in. Mariana Kisiela, Dariusza Nowackiego, Marty Wyki czy Janusza Stycznia, Autorka pokazuje sposoby realizowania przez Netza wątku szukania własnej tożsamości jako mieszkańca Śląska, nie urodzonego na Śląsku. Bohaterowie powieści Netza są bowiem, podobnie jak sam Autor, przybyszami gdzieś z dalekich wsi czy miasteczek do tego dziwnego miasta w okresie historycznych przemian, Katowic, przez moment przemianowanych na Stalinogród, gdzie ścierają się tak różne tendencje, gdzie odległa polityka bezpośrednio wpływa na ludzi, gdzie etos górniczy staje się sposobem na utrzymanie polskiej (śląskiej) tożsamości. Są to trudne czasy nie tylko do życia, ale także do pisania, tego swoistego „dawania świadectwa”. Jak zauważa autorka: „Dla twórców z generacji Feliksa Netza, rocznika 1939, dylemat pisania i mówienia wprost nabierał szczególnego znaczenia, bowiem przyszło im żyć i tworzyć w okresach przełomów i transformacji ustrojowych, światopoglądowych oraz kulturowych.” I to właśnie z tego powodu, ich świadectwa mają tak wielkie znaczenie. Opowieści o życiu ludzi, ich sposobie odbierania codzienności, myśleniu o niej stają się cenniejsze od analiz historycznych, pisanych z pozycji naukowca przy biurku, z dala od „prawdziwego”



Potrzeba dawania świadectwa

świata. Choć są to opowieści fabularne z domieszką fikcji, świadczą więc o swoich czasach. Tak należy odbierać powieści Netza. Ale to nie tylko „świadectwo czasów”, to przede wszystkim próby poszukiwania tożsamości. Bohaterowie Netza przybywają do stolicy Śląska, by wtopić się niejako w środowisko górnicze, przyjmując śląski sposób myślenia. Choć sam Autor nie jest Ślążakiem z działa pradziada, to jednak ze Śląskiem się identyfikuje, nie wyobrażając sobie życia poza Katowicami. Temat śląskiej tożsamości przewija się w całej jego twórczości. „Czy Śląska można się nauczyć, czy można poczuć się Ślążakiem, nie będąc stąd? I czy możliwe jest uwewnętrznienie etosu górniczej pracy, gdy górnikiem się nie jest? Okazuje się, że tak. Na związek ze Śląskiem, poczucie tożsamości z nim nobilituje szacunek dla tej przestrzeni i jej wartości.”

Co więcej, wszelkie zastraszane, czy przeżyte zdarzenia układają się autorowi w fabuły, warte utrwalenia. Tak powstaje swoista „historia” śląska. Barbara Zwolińska zwraca uwagę na powracające w twórczości Feliksa Netza motywy, które koncentrują się na pytaniach dotyczących tożsamości

człowieka, jego języka, przynależności narodowej, tego, kim człowiek był, jest i byłby. Na jego tożsamość nakładają się przecież różne wpływy kulturowe, społeczne, językowe i historyczne, które mieszają się ze sobą, tworząc niejednoznaczności i deformacje. Dotyczy to między innymi języka propagandy komunistycznej, która przez długie lata tworzyła sztuczne schematy myślenia i wyrażania się za pomocą słów, posługując się hasłami, sloganami, nowomową. Dla pisarza debiutującego w latach 50. XX wieku takie przeinaczenia musiały być szczególnie bolesne. Z jednej strony próba decydowania o swojej tożsamości: polskiej, śląskiej czy niemieckiej, a z drugiej zataczająca coraz szersze kręgi ideologia komunistyczna narzucająca nowe, często oderwane od faktów widzianych na ulicach sposoby opisu rzeczywistości. Z jednej strony naciski polityczne, wymagające określonego sposobu myślenia, a z drugiej – pisarska chęć mówienia prawdy, ocalania od zapomnienia, powracania do przeszłości i rozumienia teraźniejszości. Bohaterowie powieści Netza głęboko przeżywają problemy związane z wyobcowaniem, powikłaną tożsamością, szukaniem swojej małej ojczyzny. Szczególnie wyraźnie widać to w zestawieniu z bohaterami, którzy potrafią odnaleźć się w każdej sytuacji, bezbłędnie dopasowując się do czasu i miejsca. „Przełomowym momentem wrośnięcia w Śląsk, poczucia się człowiekiem stąd i przejścia z pozycji obserwatora na miejsce mieszkańca, »tubyleca«, jest doświadczenie historii w jej tragicznym przebiegu. Przeżycie tragedii strajkujących górników, spacyfikowanych przez milicję i ZOMO, wyzwoлиło nie tylko współczucie, bunt i gniew, ale uzewnętrznioło to tragiczne doświadczenie w sposób tak głęboki i dojmujący, że jak mówi autor *Dysharmonii...*, poczuł się człowiekiem stąd.” To poszukiwanie tożsamości swojej, swojego pokolenia zdaje się przyświecać całej twórczości Feliksa Netza, a z drugiej strony jest ową trudną formą „dawania świadectwa”.

W drugim rozdziale Barbara Zwolińska zajmuje się Netzem jako „poetą, którym się bywa”: „Przy tak znaczącej wszechstronności autora trudno orzec, która z ról pisarskich (poety, prozaika, felietonisty, autora słuchowisk, krytyka i tłumacza) jest tą najważniejszą. Niewątpliwie jest jednak to, że do układania wierszy Netz przywiązuje wielką wagę, latami czelując swoje utwory i składając je w zbiorki.” Autorka omawia poszczególne utwory z tomików wierszy: *Związek zgody* (1968), *Z wilczych dołów* (1973), *Wir. Wiersze* (1985) oraz *Trzy dni nieśmiertelności* (2009). Książki te ukazywały się

na przestrzeni 40 lat naszej skomplikowanej historii. Łatwo można więc przyjąć założenie, że będą odzwierciedleniem czasów, w których powstawały. I rzeczywiście, Barbara Zwolińska zauważa, że tworzenie u Netza wiąże się z cierpieniem i groźbą zdrady pochodzącej nie tyle ze świata, co tkwiącej potencjalnie w samym poecie. A mimo to, jak zwraca uwagę autorka monografii: „składanie poezji jest koniecznością, wewnętrzna potrzeba, która musi znaleźć ujście.” Poezja okazuje się zatem swoistą powinnością, wyzwaniem osobistym, a zarazem cierpieniem, męką, zmaganiem się ze sobą, ze światem.

Trzeci rozdział pokazuje bohatera książki od jego strony felietonów radiowych, powstających dla Radia Katowice w latach 1990-1995. Publicystyka radiowa okazuje się kolejną dziedziną, w której Feliks Netz się sprawdza, pisząc cotygodniowe teksty dla radia, w których daje wyraz swojemu zmysłowi obserwacji, erudycji i umiejętności wyrażania ocen. Z jednej strony porusza tematy społeczno-polityczno-obyczajowe, a z drugiej – zajmuje się kinem, nie ograniczając się do recenzji, ale pokazując szerszy kontekst kulturowy produkcji filmowych. Autorka zwraca uwagę na różnice między felietonami wygłaszanymi na antenie, a tymi, które potem ukazywały się w druku, obnażając tym samym chwytły retoryczne autora, jak na przykład kreacja na „zdmionego” świadka rzeczywistości. Zatem i tutaj Netz starał się być kronikarzem, baczny obserwator, a przy tym próbował wpływać na swoje otoczenie wyrażając swoją dezaprobatę dla niektórych jej przejawów (szczególnie tych związanych z życiem politycznym w kraju). „Dodajmy, że choć autor felietonów deklaruje brak ambicji politycznych, to nie oznacza, że pozostaje głuchy i bierny wobec zdarzeń i działań ekipy rządzącej.” I dalej: „Wydaje się, że ten sarkastyczny, ironiczny felietonista więcej pobłażliwości przejawia w odniesieniu do komentowanych przez siebie wydarzeń kulturalnych, a jego omówienia nowych książek są rzeczowe i spokojne, pozbawione silnych emocji i kąśliwości, ale też odważne.”

Kim więc jest Feliks Netz, można by zapytać, nawiązując do tytułu książki Barbary Zwolińskiej: sobą czy kimś innym?

W czwartym rozdziale czytelnik poznaje z kolei filmowe pasje autora *Poza kadrem*. Z jednej strony jest to fascynacja kinematografią, zrodzona już we wczesnej młodości, a z drugiej „filmowy” sposób obrazowania w powieściach, sprawiający, że nadają się one wprost do przeniesienia na ekran. Kino, podobnie jak literatura, stanowi

odbicie swoich czasów. Świadczy o tym choćby repertuar kinowy: radzieckie „postępowe” produkcje w czasach realnego socjalizmu i amerykańskie superprodukcje obecnie. Obie na swój sposób płytkie i miałkie. Jak pisze autorka: „repertuar kinowy jest odzwierciedleniem przemian ustrojowych i obyczajowych, jakie nastąpiły na przestrzeni kilkudziesięciu lat. Kino staje się obrazem historii: tej prywatnej, pokazującej narodziny pałacu, i tej narodowej. Z punktu wyjścia, lat czterdziestych i pięćdziesiątych XX wieku, kiedy to serwowano produkcje radzieckie, uważając je za skuteczne narzędzie sowieckiej propagandy, doszliśmy w równie ślepej zaulek sztampowych produkcji amerykańskich, łatwo strawnej papki, pozbawionej ambicji, zwalniającej od myślenia, prostej i efektywnej, obliczonej na komercję i masowość.” Feliks Netz, zarówno jako felietonista, jak i recenzent filmowy staje się „barometrem nastrojów społecznych” i „wyrazicielem oczekiwań”, głównie dzięki temu, że potrafi krytycznie przyglądać się rzeczywistości.

Netz jest także dokumentalista, skupionym na rogu Ligonii i Królowej Jadwigi, gdzie mieści się Radio Katowice, eseistą, tłumaczem i twórcą słuchowisk radiowych. Jak podkreśla autorka opracowania: „Feliks Netz jest twórcą niepoddającym się jednoznacznym kwalifikacjom, zarówno jeśli chodzi o przynależność do poetyckich szkół i ugrupowań, jak i zaliczenie do obecnych na przełomie wieków nurtów w prozie.” Wyczuć można w książce fascynację autorki twórczością Netza, gdy pisze: „Pod tym względem pisarz jest z pewnością ewenementem, posiadaczem wielorakich talentów, spożytkowanych z niemałą sprawnością i kunsztem. Tworzenie powieści nie przeszkadza mu w byciu poetą, redagowanie recenzji i praca dziennikarska nie kłóci się z aktywnością radiową, wpisywana w ramy felietonów, słuchowisk i gawęd. A wszystko to, ta imponująca wszechstronność i erudycyjność, okraszana jest świetnymi tłumaczeniami z kilku języków.” Ciekawe jest również to, że Netz niejednokrotnie wciela się w bohaterów swoich powieści, felietonów, esejów, stając niejako osobiście ich częścią także jako autor-realny człowiek. Dzięki temu jego twórczość jawi się jako komplementarna całość, wzajemnie się uzupełniająca dzięki podejmowanym różnym gatunkom, a przy tym tworząca pewien obraz samego twórcy. „W jego twórczości wyczuwalna jest konsekwencja powracania do tych samych tematów, odsłanianych wciąż na nowo, przybliżanych i oddalanych niczym w filmowym ka-

drze, ale i skłonność do poddawania ich nowości, ważności i aktualności ogniowej próbie wytrzymałości na wymogi różnych gatunków.” Czytając jego teksty czytelnik może odnieść wrażenie, że porozumiewa się bezpośrednio z ich autorem. Stanowi to dowód głębokiej świadomości twórczej, odpowiedzialności za każde napisane słowo, a zarazem – odwagi.

Świadczyć to może o swoistym „uzależnieniu od pisania”, o którym wspomniano na początku monografii, o tym, że Feliks Netz musi być człowiekiem spełnionym, skoro robi to, co naprawdę lubi. Trudno przy tym jednoznacznie określić bohatera jako twórcę i przyporządkować go gdzieś, skoro spełnia się w tak różnych dyscyplinach. Zauważa to Barbara Zwolińska, pochylając się z fascynacją i szacunkiem nad twórczością swojego bohatera. Zresztą potwierdzają to także liczne, przywoływane przez autorkę recenzje i opracowania. Książka pełna jest pięknych i trafnych sformułowań dotyczących warsztatu pisarza, jak na przykład te zdania: „tylko poezja umożliwia wejście w sferę tajemnicy” oraz: „proza nazywa, a poezja znaczy”. Mogą one dowodzić niemal nabożnego stosunku autora do aktu pisania, który okazuje się czymś mistycznym i znaczącym. A przy tym nie jest sprawą samego twórcy i jego przeżyć, ale przede wszystkim odpowiedzialności, owego po wielokroć przywoływanego „dawania świadectwa” i poszukiwania prawdy. A przywołując tłumaczonego przez Netza węgierskiego pisarza Sándora Máraia, można tytułem podsumowania (*nomen omen*) napisać: „tylko pisanie jest ciekawe”.

Książkę Barbary Zwolińskiej czyta się znakomicie. Pochwalić należy styl autorki, który w wielu miejscach przenika się ze stylem jej bohatera, co świadczyć może o fascynacji, ale i próbie zgłębienia jego „tajemnicy”. Monografia jest tak napisana, że nie przesłania istoty sprawy, a więc twórczości Netza, do której aż chce się teraz sięgnąć, by zweryfikować postawione w książce tezy. Słabszą stroną publikacji jest tylko jej okładka, kojarząca się jednoznacznie z tematyką górniczą, jakby fakt zamieszkiwania w Katowicach określał aż w tak oczywisty sposób. Biorąc pod uwagę bogactwo i różnorodność twórczości Feliksa Netza, fragment budynku kopalni nie powinien go określać. Szczególnie, że „Netz nie rości sobie pretensji do uniwersalizacji własnych doświadczeń jako egzemplifikacji śląskiej odmiany polskości, bo też to, co proponuje w swoim opisie świata, dalekie jest od typowości.”

KATARZYNA KRZAN

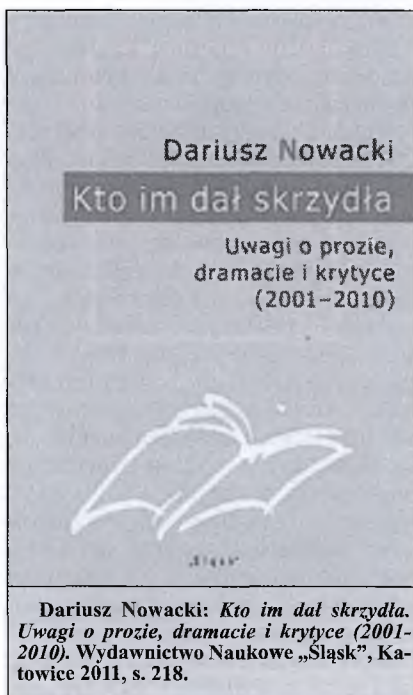
„Nieodmiennie fascynuje mnie (...) problem – jeśli wolno tak powiedzieć – zewnętrznego zasilania dzieł literackich, a więc to wszystko, co wynika z faktu, że współczesna literatura realizuje się poza zasadą autonomii, że jest w coraz większym stopniu uwikłana w gry rynkowe i medialne, »przechwytywana« przez najrozmaitsze aparaty ideologiczne, zaprzęgana do roboty lustracyjnej i wychowawczej. Od razu uspokajam – nie w całości i nie zawsze...” – pisze Dariusz Nowacki we wstępie do swojej najnowszej książki. „Dotyczy [ona] polskiej prozy, dramatu, krytyki i świadomości literackiej pierwszej dekady XXI wieku”.

Ilość publikacji z lat 2001-2010 przytłacza, a temperatura niezakończonych jeszcze medialnych sporów i kampanii promocyjnych utrudnia przyjęcie niezależnej perspektywy. Dariusza Nowackiego obiektywne spojrzenie nie interesuje, zajmując się politycznością literatury najnowszej, wybiera do swoich badań „nieokręplą” materię literacką.

Książka podzielona jest na cztery części. W pierwszej, prowadząc rozważania na temat książek, m. in. u Hanny Kowalewskiej, Mariusza Cieślaka, Piotra Kofity, Andrzeja Dziurawca, Jacka Dukaja, Janusza Głowackiego, Joanny Bator i Ingi Iwasiuk, krytyk czyta narracje o minionej epoce, dostrzegając w nich przejście od narodowo-martylogicznych dyskursów, przez nostalgizację, poetykę oskarżenia, mężczyznstwa, do odnowienia konwencji powieści kryminalnej. Puenta i wymowa całości, choć złagodzona przez ukazanie pozycji zdaniem autora ciekawych (Bator, Dukaj, Iwasiuk, Marian Pilot), jest niepokojąca.

Dariusz Nowacki pisze o powieści Zbigniewa Kruszyńskiego: „Ostatni raport traktuje – także, między innymi – o koszarnej przypadłości, jaką jest przymus pisania, o utopii, która daje fałszywe złudzenie, że można – powtórzyć – zapanować słowem nad światem, oddać go w skali jeden do jeden. Oczywiście natychmiast powstaje dylemat, czy pisarz nie wpędził swoich czytelników w konfuzję, zderzając tzw. bolesną kwestię (wydarta z rzeczywistości) z subtelnyimi zagadnieniami z zakresu filozofii pisma i epistemologii literackiej. Mam wątpliwość, czy dziś czytelnik zdeorientowany to odbiorca zdobyty. Różnie z tym w pierwszej dekadzie bywa”.

Fragment ten doskonale oddaje myśl krytyka. Pisarze pierwszej dekady „wydzierają z rzeczywistości” temat PRL-u i w większości nieudolnie mityzują, co prowadzi do lekceważenia odbiorcy. Przyczyny tego stanu rzeczy, Nowacki rozwija w kolejnych partiach swojej książki. Czytelnik obserwuje, jak „tworzy się” wzorcową opinię o autorze (m.in. Michale Witkowskim, Manuelem Gretkowskiej, Oldzie Tokarczuk), a także interpretację literatury oraz samą literaturę, produkowaną na zamówienie mediów. Renesans „literatury zaangażowanej” przebiega pod wyraźnym wpływem zapotrze-



Pierwsza dekada

bowania rynku na modny na daną chwilę temat.

Część czwarta: *Szybko, szybciej – słuszenie, słuszniej* zamyka książkę Dariusza Nowackiego. Analiza współczesnego dramatu (m. in. tzw. pokolenia porno, jak i nagrodzonej *Naszej Klasy* Słobodzianka), pozwala krytykowi na hiperboliczne przedstawienie kuriozów, do jakich dochodzi, gdy romans z sensacją i chęć przyciągnięcia widza zapanuje nad autorami. Sztuka pierwszej dekady jest – zdaniem Nowackiego – zaangażowana, głównie jednak w zdobywanie sławy, pieniędzy i poklasku.

Obrywa się tu krytykom i literaturoznawcom, przede wszystkim jednak samym pisarzom. Konstatacja: „Dzieło z jakiś powodów »słuszne«, służące – z czyjegoś punktu widzenia – »dobrej sprawie«, nie musi być już piękne; niekiedy nie musi być nawet poprawnie pod względem warsztatowym czy stylistycznym napisane”, burzy funkcjonujące przyzwyczajenia. Nawet pozycje uznane przez krytyka za warsztatowo doskonałe (jak *Pióropusz* Mariana Pilota) mają swoje wyraźne mankamenty.

Czytając *Kto im dał skrzydła*, czuje się podskórny chichot autora. Wszędzie wyczuwa się ironiczny dystans. Fragment dotyczący przygody Jacka Dukaja z „Teletankiem”, który we *Wroncu* prezentuje wstrząsające wydarzenia z dzieciństwa w PRL-u, których notabene nie przeżył; pstryczek w nos Pawła Dunina-Wąsowicza, czy ironiczne podsumowanie recen-

zji pióra Anny Burzyńskiej, skrojone są z ironii najwyższych lotów. Przytoczmy ostatni przykład: „[...] ciekawy jest przypadek Anny Burzyńskiej, entuzjastki nowego dramatu, czemu dała wyraz m. in. w artykule *Sztuka szybkiego reagowania*, żarliwej zwolenniczki chwytania »żywego doświadczenia«, która wszelako z nieufnością odnosi się do tzw. postdramatu. We własnej praktyce dramatopisarskiej, w której zresztą osiągnęła dużą biegłość, stawia na precyzję i spójną konstrukcję”.

Śmiech Nowackiego nie rani, nie znieważa, za to umila lekturę. Krytyk pisze o książkach przeciętnych, co najwyżej dobrych. Wybiera z nich najlepsze, które konfrontuje z gorszymi. Zastrzega się jednak: „[...] o książkach świetnych, nie zapomniałem. Na pewno do nich wrócę, ale już w innym trybie, no i przy innej okazji”. Ironia ożywia prowadzoną opowieść i sprawia, że książkę czyta się świetnie. Badacz odwołuje się także wielokrotnie do anegdoty. Literatura w ujęciu Nowackiego, nie jest zamknięta w bibliotece, ale wnika we wszystkie przestrzenie życia społecznego. Stąd *Kto im dał skrzydła* posiada urok książki pisanej przez autora „z wewnątrz”, uczestnika dyskusji, obserwatora reakcji opinii publicznych, a przez to kolekcjonera anegdot łączących literaturę z życiem społecznym.

Opowieść krytyka cechuje oryginalność, polegająca na przyjęciu zaangażowanej postawy. Jeśli nie ma możliwości funkcjonowania poza polityką, to nie należy udawać, że pisząc jakąkolwiek książkę można być obiektywnym i niezależnym. Dariusz Nowacki nie ukrywa kim jest: literaturoznawcą i krytykiem literackim, ale przede wszystkim uważnym i wymagającym czytelnikiem. Opisując medialne gierki, polityczne uwikłania literatury bierze świadomy udział w „grze” toczącej się o sprawowanie wpływów nad literaturą. Retoryczne pytanie *Kto im dał skrzydła?*, niesie także ze sobą propozycję w której to świadome odbiorca tekstów będzie decydował o „uskrzydleniu” danego dzieła. Propozycja Nowackiego opiera się na szacunku do literatury, „wszak istotą wypowiedzi literackiej jest takie opracowanie tematu, którego nie da się zastąpić tekstem innego rodzaju (publicystycznym, historycznym, reportażowym). Literatura ma sens tylko wtedy, gdy przynosi opowieść – by tak rzec – niewymienialnie; tak jak nie do zastąpienia są np. oświecimskie opowiadania Borowskiego, mimo istnienia tysięcy publikacji na ten temat. Jeśli ta reguła nie zostanie uszanowana pozostaje tylko słusność”.

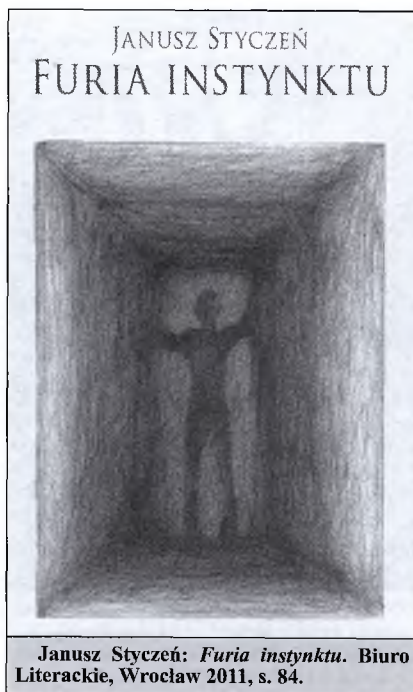
Nowocześnie pisana książka przemycąca bardzo tradycyjny program patrzenia na literaturę. Nowacki upomina się o poważne potraktowanie sztuki pisania, a także namawia czytelnika do poważnego traktowania siebie samego. Książka otwiera ważną dyskusję o pierwszej dekadzie literatury XXI wieku.

EWA BARTOS

Na okładce najnowszego tomu Janusza Stycznia wpisana w prostokąt postać ludzka pojawia się w dwóch odślonach. Z jednej strony okładki tonie w mroku, zamknięta w ciemnym tunelu, uchwycona w nieco zaświatowej aurze, w spokojnym geście pożegnania czy rezygnacji, na stronie ostatniej natomiast wyłania się w błysku światła, rozpostarta w spazmie tyleż rozkoszy co bólu, na czymś, co mogłoby być łożem miłości lub umierania. Każdorazowo zamknięta w ramy obrazu, uwięziona w samotnej klatce, pozbawiona rysów indywidualnych, na granicy istnienia i nicości jest emblematem losu uwikłanego w potęgę i przekleństwo tytułowej *Furii instynktu*.

Wyobraźnią Janusza Stycznia zawładnęła scena pierwotna, owa ciemność, która poprzedza nasze istnienie, przyczyna naszej trwogi, tęsknoty i pragnienia, ta sama, do której Pascal Quignard powraca uporczywie: „Bo poza zasięgiem naszego wzroku pozostaje scena, z której powstaaliśmy, a którą jednak nieustannie powtarzamy podczas spółkowania, kiedy ciała przenikają się wzajem”. W poetyckiej książce Stycznia obecność poprzedzającej doświadczenie i możliwości rozumu mocy napotykamy bezustannie. To instynktowna siła pożądania, której mrok kryje bolesne źródła miłosnych fascynacji, pierwotny brak niemożliwy do zaspokojenia, tajemny szyfr nieskończonej samotności i niespełnienia. Mityczna opowieść poety o ludzkim losie rozgrywa się w żelaznym uchwycie Erosa i Thanatosa. Tytuł tomu krzyczy intensywnością znaczeń. *Furia instynktu* zapowiada przygodę niespokojnej wyobraźni, wysoką temperaturę doznań i przekraczające wymiary standardu amplitudy uczuć.

Tom poetycki Janusza Stycznia zaprasza do świata, w którym dochodzi do wciąż ponawianych spotkań i oddaleń mężczyzny i kobiety w przestrzeni miłości i pożądania, czułości i przemocy, bliskości i obcości, iluzji marzenia i cielesności seksu. Wyobraźnia poety projektuje intensywne scenariusze pełne namietności i żalu utraty, opowiada o niejednoznacznej pierwotnej sile przyciągania i odpychania, która determinuje intymną historię człowieka. Ta historia powtarza się wciąż na nowo w scenach cichych i głośniejszych dramatów, w dotknięciu codzienności i niecodziennych zakrętach losu, i jest historią samotności towarzyszącej bohaterom począwszy od cierpień dzieciństwa, poprzez budzącą się seksualność, miłości spełnione i niespełnione oraz uparcie powracające doświadczenia okrucieństwa i niemniej bolesnej utraty. Na nocnej scenie wie wyobraźni, zapatrzonej w pierwotną ciemność instynktu, spotykają się zatem bohaterowie podpatrzeni w sytuacjach nieznosnie banalnych, zakochani, całujący się w kinie lub nad stolikiem w kawiarni, kobieta bezskutecznie czekająca z dzbankiem herbaty na mężczyznę oraz postacie przychodzące z ostentacyjnie krzykliwej estetyki melodramatu, z wypisaną na ciele raną zbrodni namietności. Tu ożywają przedstawienia z płócien dawnych



Ciemne źródło w filiżance kawy

mistrzów, bohaterowie wielkiej literatury absorbują uwagę na równi z bohaterami filmów i popularnych opowieści, krzyżują się szlaki historii biblijnych, mitycznych, kulturowych i popkulturowych. Pulsująca wyobraźnia Stycznia nieodmiennie tropi w nich obecność gwałtownej siły instynktu, nieomylnie przeczuwając, że pierwotna scena ludzkiej biografii projektuje z równą intensywnością przedstawienia z różnych rejestrów kultury. Kalejdoskop fantazmatycznych obrazów i dotknięcie banału rzeczywistości zgodnie odsłania splot instynktów nierozdzielnie z sobą związanych, Erosa i Thanatosa, siłę seksualnego pragnienia i chłód śmiertelnego dystansu.

W poetyckim świecie Janusza Stycznia jest miejsce na liryczną opowieść i niespokojny ruch obrazów, nasyconych erotyczną i tanatyczną symboliką. Rzeczywistość przedstawiona w wierszach daleka jest od oczywistości, rozgrywa się w wielu planach, pod zwyczajnością zdarzeń pulsuje tajemny rytm namietności i zniszczenia, ponad nią narasta mityczna przestrzeń znaczeń. Zostawiona przez kobietę w domu mężczyzny chusteczka uruchamia seans miłości i śmierci, stając się prześcieradłem rozkoszy i bielą całunu (*Seans*), małżonkowie zbierający jabłka na strychu przywołują scenę genezyjską, gdzie za sprawą owoców z drzewa wiadomości dobrego i złego przyjdzie im spojrzeć na los złączony na dobre i na złe z perspektywy utraconego raju i stwarzania świata nad filiżanką kawy (*Powiedział jej to dopiero na strychu*), a dziewczyna po miłosnej nocy zasypia niczym marmu-

rowa Psyche, doskonale piękna w chwilowej wieczności snu (*Skamieniała ukochana*). Krzyżujące się tropy obrazów i opowieści pozwalają w samotnej kobiecie trawionej tęsknotą i pożądaniem rozpoznać Mirandę z Szekspirowskiej *Burzy* nad oceanem pragnienia i marzeń, a kobiecie cerującej sweter przed telewizorem przejrzeć się w losie Penelopy. W dramatycznym obrazie *Topiel coraz większa* nawiedzająca mężczyznę we śnie kobieta, którą wyłowiono z rzeki z sukienką na głowie, przywołuje na pamięć zarówno poruszające obrazy René Magritte'a, sugestywne kadry z *Godzin* Stephena Daldry'ego, jak i mityczną figurę Eurydyki, gdyż „jeżeli ktoś już wróci z otchłani, / to w zupełnie innej postaci”. W poetyckiej książce Stycznia przenikają się historie i światy, obrazy pulsują niejednoznacznym światłem, a zwyczajność przegląda się w fantazmatycznym zwierciadle snu, mitu i różnych rejestrów sztuki.

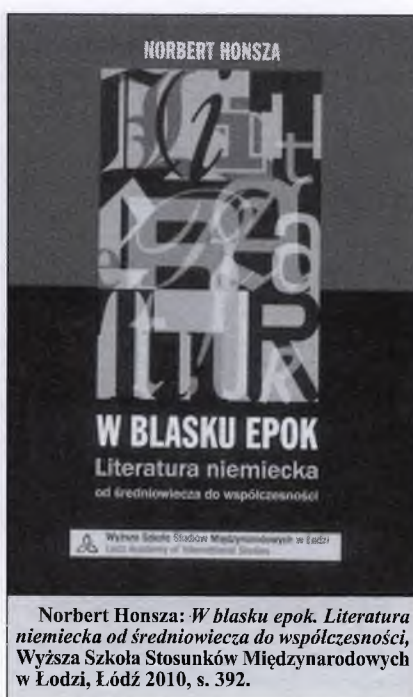
Oniryczne historie miłosne zapisane w *Furii instynktu* nie bez powodu rozpisane zostały na archetypowe role mężczyzny i kobiety. Lektura tomu przekonuje dobitnie, że pełnia istnienia wymyka się ludzkiemu doświadczeniu, gdyż każdy ma tylko jedną płeć, podczas gdy drugą, powód nieskończonej tęsknoty i pragnienia, kryje mrok tajemnicy. Mężczyzna, zanurzony w doczesności, oddany przymusowi wędrowania, mechaniczną konsekwencją działania oddała perspektywę śmiertelnego bezruchu, „idzie, bo nie ma nic innego do roboty, / bo wie, że jeśli przestanie iść, umrze”. W egzystencjalnej podróży dziewczyna, wysłanniczka Czasu, spełnia swą posługę, zmienia mu buty i pozostaje w tyle (*Mężczyzna, który idzie*). Za stereotypowym podziałem ról kryje się fascynacja tajemnicą kobiecości. Wędrowki kobiety są niepokojąco przypisane przestrzeni nocy i sekretne sprzymierzone z Czasem, o czym przekonuje zagadkowy uśmiech *Zamyślanej Penelopy*. Czy za sprawą owego tajemnego paktu kobieta w wyobraźni Stycznia jawi się najczęściej pod postacią dziewczyny?

W pięknym wierszu *Dziewczyna niosąca filiżankę kawy*, inspirowanym najpewniej obrazem Jeana-Étienne'a Liotarda *Dziewczyna z czekoladą* z 1744 roku, pełna uroku bohaterka malarskiego przedstawienia trwa ponad doczesnością odbiorców. Jej cierpliwa posługa odsłania gwałtowność zdarzeń i przemijania, lecz dopóki trwa, historia świata nie dobiegnie końca. Tajemniczej strażniczce istnienia, obojętnej wobec dramatów doczesności, powierzono jednak misję podwójną, tyleż służy ona życiu, co śmierci. Filiżanka kawy, „już wystygłej, bardzo zimnej, zamierzchłej, / zamienionej w ciemne źródło”, a zwłaszcza jej symboliczna zawartość, każą myśleć o śmiertelnej powadze i konsekwencji dziewczyny, odbywającej swą wędrowkę poza czasem. Tropem jej tajemnicy podąża frapująca, niespokojna wyobraźnia Janusza Stycznia, gwarantująca czytelnikowi prawdziwą i niebanalną przygodę lektury.

JOANNA KISIEL



Mirosława Czarnecka: *Historia literatury niemieckiej. Zarys*. Zakład Narodowy im. Ossolińskich- Wydawnictwo, Wrocław 2011, s. 376.



Norbert Honsza: *W blasku epok. Literatura niemiecka od średniowiecza do współczesności*. Wyższa Szkoła Stosunków Międzynarodowych w Łodzi, Łódź 2010, s. 392.

Współczesna percepcja dziejów literatury niemieckiej w zarysie

Od wydania pierwszej powojennej syntezy literatury niemieckiej w języku polskim minęło prawie pięćdziesiąt lat. Jej autorem był wybitny polski germanista, znawca piśmiennictwa śląskiego baroku i współczesności, autor monografii o J. W. Goethem Marian Szyrocki. Jego książka pt. *Historia literatury niemieckiej. Zarys* (1963) była przez wiele lat jedynym kompendium wiedzy o dziejach niemieckiego piśmiennictwa poczynając od epoki wczesnego średniowiecza i kończąc na początkach lat sześćdziesiątych XX w. Adresowana nie tylko do wąskiego grona germanistów, lecz do szerokiego kręgu czytelników budziła zainteresowanie przemianami w literaturze zachodnich sąsiadów i zachęcała do zgłębiania polsko-niemieckich związków kulturalnych. Od tamtego czasu zaszło wiele zmian w przestrzeni politycznej, kulturalnej i społecznej Niemiec, zmieniło się także instrumentarium badaczy. Zaczęto odkrywać zapoznane krajobrazy literackie i indywidualności pisarskie, a zwrot kulturowy w myśli literaturoznawczej poszerzył horyzonty interpretacji.

Całościowe potraktowanie literatury niemieckiej, tak bardzo odmiennej od innych literatur europejskich, budziło

wśród polskich germanistów, literaturoznawców i kulturoznawców ciągle polemiki. Spierano się nie tylko o terminologię (do 1989 roku używano pojęcia: cztery literatury krajów niemieckojęzycznych, literatura Zachodnich Niemiec, literatura NRD, literatura austriacka i literatura niemieckojęzycznej Szwajcarii; dzisiaj po upadku berlińskiego muru pozostały trzy literatury) i kwestie periodyzacji, ale i o niektóre błędne analizy przełożonych na język polski utworów Gerharta Hauptmanna, Tomasza Manna, Hermanna Hessego i in.

Syntezę M. Szyrockiego uzupełniały w tamtych czasach studia monograficzne o niemieckojęzycznej literaturze XX wieku, np. publikacje Norberta Honszy i Wilhelma Szewczyka, opracowania dziejów piśmiennictwa XVII w. (M. Szyrocki), XVIII w. (O. Dobijanka, M. Urbanowicz,) i XIX w. (Z. Żygulski, M. Szyrocki, G. Kozielek).

Opublikowane w ostatnich latach dwa zarysy dziejów literatury niemieckiej wypełniają w badaniach germanistycznych wyraźną lukę i odsłaniają przed polskim czytelnikiem nieznaną, dynamiczną przestrzeń literacką powstałą po przełomie politycznym w Niemczech.

Autorem pierwszej syntezy zatytułowanej *W blasku epok. Literatura niemiecka od średniowiecza do współczesności* (2010) jest znakomity wrocławski germanista Norbert Honsza, znawca twórczości Tomasza Manna i Güntera Grassa, wnikliwy interpretator i popularyzator literatury austriackiej i szwajcarskiej w Polsce, błyskotliwy publicysta, eseista i poeta, współredagujący m. in. dwujęzyczny kwartalnik „Zbliżenia-Annäherungen”. Przejrzystość w układzie materiału, zwięzłość wypowiedzi, przede wszystkim jednak nowoczesny sposób, w jaki badacz odczytuje dzieła niemieckich klasyków (Lessing, Goethe, Schiller, Heine) i w jaki ocenia twórczość współczesnych debiutujących w XX w. pisarzy, ujmując je w szersze kulturowe i cywilizacyjne konteksty i wskazując na elementy ponadczasowe, są zaletą jego książki. W ramie przyjętego przez większość badaczy podziału niemieckiej literatury na epoki (np. średniowiecze, renesans, barok, Junges Deutschland itd.), dokonał niewielkiego „przemeblowania” włączając np. okres „burzy i naporu” do epoki romantyzmu i rezygnując z określenia „literatura przedmarcowa” w odniesieniu do lat 1815-1848.

Zasadą, którą kieruje się, sytuując działalność literatów w określonym czasie i w geograficzno-kulturowej przestrzeni, jest próba całościowego ujęcia dziejów niemieckojęzycznej literatury. Dlatego zaznacza główne linie jej rozwoju, najważniejsze tendencje i kierunki, sygnalizując ich powiązania z filozoficzną i społeczną myślą europejską i podkreślając zarazem ich odrębność. Mimo selekcji bogatego materiału źródłowego odnotowuje dokonania artystyczne nie tylko Niemców, ale Austriaków i niemieckojęzycznych Szwajcarów. W panteonie twórców, którym poświęca więcej miejsca, znaleźli się zarówno przedstawiciele baroku, np. Jakob Böhme czy M. Opitz, jak i członkowie literaci niemieckiego oświecenia Georg Christoph Lichtenberg i G. E. Lessing, romantyzmu i weimarskiej klasyki Goethe i Schiller, epoki Młodych Niemiec H. Heine, realizmu Theodor Fontane, naturalizmu Gerhart Hauptmann, ponadto grupa symbolistów, ekspresjonistów i literatów związanych z wiedeńskim modernizmem, wybitni autorzy pierwszej połowy XX wieku Tomasz i Henryk Mannowie, F. Kafka, Alfred Döblin, Lion Feuchtwanger, H. Hesse, K. Tucholsky. Postacie dwóch niemieckich emigrantów B. Brechta i K. Manna zamykają tragiczny okres w dziejach niemieckiej literatury po dojściu Hitlera do władzy.

W książce badacz zamieszcza także fragmenty utworów, poezji, dramatów i prozy, określające cechy stylu pisarzy różnych epok.

Na ponad stu stronach tekstu badacz prezentuje najciekawsze zjawiska literatury niemieckiej po 1945 roku. Zrozumiałe, że jego uwagę przyciąga proza dwóch wybitnych autorów i laureatów literackiej Nagrody Nobla Heinricha Bölla i Güntera Grassa. Portrety obu znakomi-

tości, do których często powracał, omawiając ich twórczość w artykułach, esejach i książkach, są wyraziste, wypełnione osobistą refleksją, dotykającą także obszarów recepcji. Wrocławski germanista obudowuje krótkie analizy elementami biografii i cytata z tekstów źródłowych, dołączając do nich komentarz, w którym wartościuje i podsumowuje dokonania twórców. Tytuły podrzdziałów, np. „Dobry człowiek” z *Kolonii: Heinrich Böll, Günter Grass: pisarz uniwersalny, czy Złośliwy prowokator*, frapują, niekiedy bulwosują, zapraszając czytelnika do dyskusji o poruszanych w książce dylematach.

Obejmując spojrzeniem rozległy krajobraz niemieckiej literatury powojennej, koncentruje uwagę na najważniejszych wydarzeniach i postaciach. Swobodnie porusza się także w „aeropagu” literatury austriackiej i szwajcarskiej, wskazując na dokonujące się w nim przekształcenia, a także na spory i estetyczne debaty. Zaledwie na dwóch stronach przedstawione zostają dzieje literatury NRD, zwięźle odnotowane są także przemiany w literaturze niemieckiej po 1989 roku. Honsza wypunktowując tematy i literackie gatunki, które znalazły się w centrum zainteresowania pisarzy po zjednoczeniu Niemiec, zdaje sobie sprawę, że wiek XXI, w którym autobiograficzna powieść G. Grassa z 2006 r. pt. *Przy obie-raniu cebuli*, wywołała medialną burzę, pozostaje wciąż nierozpoznanym polem dociekań. Książki nie kończy podsumowującymi konkluzjami lecz „Dyskursem o niemiecko-żydowskim Parnasie”, będącym przypomnieniem osiągnięć artystycznych twórców żydowskiego pochodzenia.

Zarys dziejów literatury niemieckiej, a właściwie literatur niemieckich, jest książką adresowaną nie tylko do germanistów, ale do szerokiego odbiorcy zainteresowanego tekstami i towarzyszącymi im powstaniu polityczno-społeczno-kulturalnymi kontekstami. Honsza pisze językiem prostym, wyjaśniając sprawy zawiłe i trudne. Ma się wrażenie, że ukazując „blaski i cienie” minionych epok, wciela się w rolę historyka literatury, pracowicie pochylonego nad zgromadzonym materiałem badawczym, dokonującego w sposób przemyślany jego selekcji i zachowującego w ocenie dystans. Jednak tam, gdzie pisze o działalności artystycznej swoich „ulubionych” pisarzy i gdzie ujawnia własne preferencje, posługuje się stylem publicysty, niekiedy subiektywnego komentatora zdarzeń, prowokując do zabrania głosu. Książka wraz z obszerną bibliografią i indeksem nazwisk liczy 392 strony.

Inną propozycję metodologiczną przedstawia w książce *Historia literatury niemieckiej. Zarys* (2011) Mirosława Czarnecka, wrocławskiego germanistka, przedstawiciela pokolenia badaczy, „praktykujących” u Mistrza prof. Mariana Szyrockiego, autorka studiów i monografii o śląskim baroku i literaturze kobiecej. Jej publikacja jest nowoczesną

syntezą, otwartą na heterogeniczność zachodzących w dziejach literatury i kultury niemieckiej procesów i, podobnie jak u N. Honszy, na pozaliterackie konteksty.

Objęcie refleksją literaturoznawczą obszernego materiału źródłowego, zjawisk i faktów kulturowych, działalności kilkuset generacji pisarzy i prowadzonych przez nich debat artystycznych w przestrzeni określonej zmieniającymi się warunkami społecznymi i politycznymi, było przedsięwzięciem trudnym, wymagającym nie tylko konsekwencji w doborze tematów, ale i przejrzystości w układzie kompozycyjnym całości. Nawiązując do najnowszych naukowych paradygmatów, badaczka stworzyła własną segmentację materiału, rezygnując częściowo z tradycyjnego, ustanawiającego daty graniczne podziału historii literatury na epoki i wyodrębniając w piśmiennictwie XVIII i początku XIX wieku oświecenie, okres „burzy i naporu” (w syntezie Honszy jest on częścią epoki romantyzmu), „literaturę epoki klasycysto-romantycznej”, a w XIX w. literaturę „przedmarcową” (w książce N. Honszy jest omówiony tylko jej jeden nurt) i naturalizm.

Zgodnie z nakreślonym we wstępie celem badawczym, ograniczyła pole rozważań do literatury niemieckiej, a nie, jak ma to miejsce w publikacji Honszy do niemieckojęzycznej, obejmującej literaturę Austrii i Szwajcarii. Decyzja ta pozwoliła jej dogłębniej zanalizować literaturę RFN i NRD, wskazać na najważniejsze tendencje jej rozwoju w latach 1945-1998, np. na modernizm i postmodernizm, a także na przemiany dokonujące się w piśmiennictwie po zjednoczeniu Niemiec.

Koncentrując uwagę na przedstawieniu głównych nurtów niemieckiego piśmiennictwa i towarzyszących im transformacji estetycznych i gatunkowych, M. Czarnecka, sięgnęła do kategorii dyskursu postsrukturalistycznego i interkulturowego, dzięki czemu zapomniane bądź pozostające na marginesie zainteresowania historyków literatury niemieckiej fenomeny i postacie, znalazły w jej syntezie miejsce. Obok nazwisk pisarzy – Lessinga, Goethego, Schillera, Heinego, T. Manna, G. Hauptmanna i in. odnajdziemy nazwiska piszących w różnych epokach kobiet (np. zaangażowane politycznie autorki XIX w. Luise Mühlbach, Ida Hahn-Hahn, Gabriele Reuter, czy przedstawicielki literatury postfeministycznej lat osiemdziesiątych XX w., Friederike Roth, Anne Duden i in.), których utwory, skazane na niebyt w kanonie literatury narodowej, były wartościowymi i fascynującymi dokumentami czasu. Obok dzieł powstających w centrach kulturalnych poznajemy literaturę powstającą na „prowincji”, np. na Śląsku w okresie baroku, obok indywidualności pisarskich w literaturze po 1945 r., współczesną literaturę migracyjną.

Zastosowane przez autorkę kryteria „pluralizmu i heterogeniczności” w od-

czytywaniu liczących ponad tysiąc lat dziejów literatury, wskazują dzisiejszemu odbiorcy jej zapomniane rozdziały, dyskursy płci na przełomie XIX i XX w., głosy feministyczne w literaturze NRD, czy poezję nowej subiektywności.

Proponując nowy, budzący zaciekawienie i rozszerzający przestrzeń percepcji sposób pisania i mówienia o historii i o współczesności literatury niemieckiej, wrocławska germanistka stara się, zgodnie z przyjętym modelem badawczym, objąć refleksją różne zjawiska. Omawia np. działalność towarzystw i grup literackich w epoce baroku, przybliża koncepcje estetyczne Goethego, podkreślając jego kulturotwórcze działania, interesuje ją gatunkowość tekstu, zagadnienie kryzysu i tożsamości podmiotu w literaturze XX w., zmiany pokoleniowe czy dyskusje niemieckich intelektualistów wokół zjednoczenia Niemiec.

Zastosowanie symbolicznych cezur historycznych w oglądzie zgromadzonych danych, pozwala jej odnotować bogactwo form i tematów, postaw estetycznych i ideowych na scenie literackiej obu państw niemieckich i określić kierunki ich rozwoju. W nawiązaniu do konkretnych utworów pisarzy różnych generacji, także urodzonych w Niemczech obcokrajowców, przedstawia aktualne trendy w niemieckiej przestrzeni literackiej po 1989 r., podkreślając ich otwartość i interkulturowość. Przemyślenia zawarte w ostatnim rozdziale publikacji mają, jak pisze „charakter propozycji i refleksji, które dopiero za kilka lat będą mogły zostać zweryfikowane”. Słowa te sygnalizują dylematy i problemy, z jakimi musi się zmierzyć historyk literatury i kultury poszukujący nowych paradygmatów i modeli naukowych w budowaniu historycznoliterackich syntez.

Książka Mirosławy Czarneckiej, napisana dobrą polszczyzną i z dogłębną znajomością przedmiotu, uwzględnia najnowszy stan badań. Podkreślając kulturowy charakter świata literatury, proponuje w ujęciu i wartościowaniu zjawisk suwerenne rozwiązania. Posiada także, podobnie jak synteza N. Honszy, walory popularyzatorskie, zachęcając polskiego czytelnika do poznawania historii i teraźniejszości niemieckiego piśmiennictwa. Dołączona do syntezy obszerna bibliografia przedmiotu, sygnalizuje obszary zainteresowań współczesnych, polskich i niemieckich badaczy, umożliwiając zgłębianie wiedzy w zakresie wybranych tematów.

Publikacje N. Honszy i M. Czarneckiej znakomicie uzupełniają się, prezentując różne modele współczesnego odczytywania dziejów literatury niemieckiej i poszerzając obszar dotychczasowej o niej wiedzy o nowe rozpoznania. Godne są polecenia każdemu, kto chce poznać nie tylko literaturę, ale i zmieniającą się geografie kulturową naszego zachodniego sąsiada.

GRAŻYNA
BARBARA SZEWCZYK

Michał Buła: *Ulice i place Katowic*. [Red. Grzegorz Grzegorek]. Wyd. PRASA I KSIĄŻKA. Grzegorz Grzegorek, Katowice 2012, s. 248.

W czasie tegorocznych Targów Książki w Katowicach poznałem autora tej imponującej książki. To człowiek młody, tym większy mój szacunek dla jego pracy (i – chyba – pasji albo miłości do miasta), bo stworzenie takiej historii katowickich ulic i placów wymagało drobiazgowych studiów (w spisie literatury znalazły się 102 pozycje). Dzieje opisywanych miejsc doprowadzone są do dnia dzisiejszego. Więcej – wybiegają w przyszłość; opisowi ulicy 3 Maja towarzyszy wuzualizacja Galerii, którą jeszcze się buduje. W tym miejscu należy wspomnieć o świetnych zdjęciach głównie wykonanych przez Piotra Tabaczyńskiego, wydawnictwo ma bowiem charakter albumowy. Kamienie, ludzie z nimi związani, rejestr obiektów nieistniejących, miejsca „w sąsiedztwie”, ciekawostki... Żałuję, że nie wszystkie ulice się w tej publikacji zmieściły (np. Kochanowskiego, przy której się urodziłem, nie ma). Wstęp, inkrustowany autorską baśnią o mieście, napisał katowiczanie Henryk Waniek.

Jerzy Kłistała: *Koszmary z hitlerowskich polen-lagrow, więzień i koncentrationslagrow w latach 1939-1945*. Wyd. Stowarzyszenie „Wszech-nica”, Cieszyn 2012, s. 466.

Od 13 lat „pasją życia” Jerzego Kłistały stało się przypominanie o ofiarach hitlerowskich obozów. To kolejna jego książka z biogramami patriotów, którzy za swoją miłość do ojczyzny byli represjonowani, więzieni, a w wielu przypadkach płacili cenę najwyższą – oddawali życie. Prezentowane w porządku alfabetycznym życiorysy to tylko część tej publikacji. W przypadku osób, które koszmarnie przeżyły, biogramy uzupełnione zostały ich wspomnieniami lub relacjami. O tych, którzy zginęli, opowiadają świadkowie, autor przytacza też materiały zaczerpnięte z różnych opracowań naukowych. Dzięki temu książka Kłistały jest czymś więcej niż tylko leksykonem biograficznym – to także zapis tamtego czasu, przejmujący, bo często ukazany poprzez codzienne realia obozowego czy więziennego życia. O znaczeniu dzieła Kłistały świadczą liczne maile z podziękowaniami. W tym od ludzi młodych. „Robi Pan to też dla nas” – napisał jeden z nich.

Anna Dudzińska: *Przewodnik po Szlaku Zabytków Techniki Województwa Śląskiego*. [Red. Wydział Gospodarki, Promocji i Współpracy Międzynarodowej Urzędu Marszałkowskiego Województwa Śląskiego]. brak danych o wydawcy, Katowice 2012, s. 156.

Kieszonkowy format, przejrzysty układ, ciekawe zdjęcia (również archiwalne), teksty uporządkowane według przemysłowego schematu: ogólny opis obiektu, dane teleadresowe, czas zwiedzania, informacje o dostępności dla osób niepełnosprawnych, o kawiarni (czy może punkcie gastronomicznym), o parkingu, potem krótka ilustrowana historia zabytku, na koniec wykaz sąsiednich miejsc ze Szlaku. Korzystanie ułatwia też fakt, że miasta z industrialnymi atrakcjami ułożono w porządku alfabetycznym. Kapitałna pomoc dla turystów. Małe książeczka, z którą można zwiedzać cały Szlak wybierając sobie trasę dzięki otwierającej publikację mapce. Jedyny feler – moim zdaniem – to brak normalnej strony tytułowej z nazwiskiem autora, tytułem, informacją o wydawcy, miejscu i czasie wydania. Jak w tej sytuacji sporządzić rzetelny opis bibliograficzny np. do katalogu?

Siemianowski rocznik muzealny. Nr 10. 2011. Wyd. Muzeum Miejskie w Siemianowicach Śląskich, Siemianowice 2012, s. 192.

Z przyjemnością odnotowuję w tym miejscu periodyczne wydawnictwa muzeów miejskich, ponieważ to z jednej strony cenne źródło dla tych, którzy mimo wszelkich trudności starają się upowszechniać wiedzę o regionie, z drugiej zaś takie publikacje często aktywizują społeczność lokalną, która włącza się w działalność tych placówek dzieląc się np. wspomnieniami czy udostępniając fotografie. *Siemianowski rocznik...* dziesiąty już, przynosi tym razem blok materiałów poświęconych 90. rocznicy wybuchu III powstania śląskiego, ponadto teksty związane z historią miasta oraz artykuły zebrane w części zatytułowanej *Wokół problematyki piękna, artysty, dzieła sztuki*. Ponadto są opinie, recenzje i omówienia różnych faktów z życia kulturalnego. Dalej wspomnienie tych, którzy odeszli – fotograficzne Marii Fojcik i Antoniego Halora, wieloletniego współpracownika naszego miesięcznika. Rocznik zamyka kalendarium wystaw oraz imprez, jakie odbyły się w muzeum w ubiegłym roku.

To się oczywiście, czyta... bo funkcjonująca pod kąśliwym przezwiskiem Czerwonej Księżniczki, sławna okulistka prof. Ariadna Gierk-Łapińska, synowa I sekretarza PZPR, była zawsze osobą szczególnie obserwowaną i funkcjonującą w sosie pikantnych plotek. Szczególnie, gdy jako żona sławnego syna „przywódcy partii i narodu” Adama Gierka korzystała z nadzwyczajnych przywilejów, które wynikały z protekcji wszechmocnego teścia. Tylko dlatego mogło dojść do wybudowania kliniki okulistycznej przy Ceglanej wyposażonej w najświetniejszy sprzęt i unikalną aparaturę, dokąd zjeżdżała cała Polska. Faworyzowana synowa „pierwszego” nie zaprzecza, że było to możliwe dzięki nazwisku Edwarda Gierka, w tamtych latach władcy Polski. Ale prestiż medycz-

Czerwona księżniczka

ny kliniki był jednak głównie zasługą Ariadny Gierk, istotnie znakomitej okulistki, czemu nie zaprzeczali nawet jej zdecydowani przeciwnicy. Autorzy tej napisanej ze swadą, dociekliwej i na swój sposób demaskatorskiej biografii, dotarli do informacji i faktów nierzadko szokujących, aż dziw, że sławna okulistka otwierała się do tego stopnia. Chociażby ten jej nieopanowany alkoholizm, czy liczne romanse żony pierwszorzecznego przywódcy państwa i narodu.

W podtytule autorzy wybili trzy słowa: miłość, władza, medycyna. Istotnie, książka wiele wyjaśnia i dopowiada jeśli chodzi o mechanizmy władzy i jej kręgi na różnych poziomach PRL-u, osoby, układy i środowiska. Jest to więc książka także o życiu politycznym tej epoki, z wieloma bulwersującymi opisami i komentarzami, choć większość czytelników nasyci się przede wszystkim wielką pikantną plotką i to w obfitości. Prof. Ariadna Gierk-Łapińska okazała się osobą gotową do bezgranicznej szczerości – i to zasługuje na uznanie, gotowość do tak rozległej autodemaskacji.

P.

Dariusz Kortko, Judyta Watola: *Czerwona Księżniczka*, Agora S.A., Warszawa 2012, s. 256.

ANECDOTY

HENRYK BZDOK



Kiedy we wspomnianej wcześniej wycieczce studenckiej dotarliśmy do Sankt Petersburga, odczuliśmy to nawet w menu, jako zdecydowany powrót do Europy.

Nie byliśmy już tak zasobni finansowo jak w Moskwie i mniej było dni „karnawałowych”. Był za to Ermitaż z tyłoma nazwiskami z historii sztuki jakie w kraju poznawaliśmy jedynie z wykładów i reprodukcji, był przepych Pałacu Zimowego i stęchlizna rewolucji w Smolnym.

Był Newski Prospekt, z ciekawości zaliczyliśmy Muzeum Religii i Ateizmu w Kazańskim Soborze i było mniej napisów „Muzei zakryt – dzień sanitarny”. Mieliśmy także od moskiewskich przyjaciół „adres haroszewego hudoźnika” do tego podobno niedobitka rewolucji. No to próbowaliśmy go odwiedzić.

Mistrza nie zastaliśmy, dociekliwa dozorczytni po rozmowie z nami, by tego nie nazwać przesłuchaniem, podała nam nowe miejsce pobytu adresata.

I ten okazał się pusty, ale zyskaliśmy trzeci kolejny zamiar na hrabiego.

Jak mnie znaleźliście? zapytał na powitanie zaglądając nam za plecy.

Upewniwszy się że nikogo w pobliżu, zaprosił do środka.

Mieszkał skromnie, wersalka, komódka, stół, krzesła, dwa oleje, trochę książek

Po krótkiej wymianie uprzejmości, przekazaliśmy „Priviet od Moskowskich hudoźników”.

Mistrz stwierdził, że musi wyjść, żeby coś zakupić.

Wskazując na dziurawe portrety, rzekł – przodkowie, ofiary rewolucji...

Staszek powiedział, że on już nic nie ma i że bym się dołożył, bo tak wypada.

Miałem ostatnie 20 rubli (to było tak dla orientacji na 8 butelek Moskowskiej), dałem 10, bo chciałem ocalić chociaż na miniprezent dla bliskich.

Mistrz podał nam książkę – to Kandinski, wydanie przedrewolucyjne – poczytajcie, zaraz wracam. Po czym wziął tekturny czemodańczyk i znikł za drzwiami.

Kandinskiego znaleźmy, kiedy długo nie wracał wzrosło moje zwątpienie w możliwość odzyskania zainwestowanej kwoty.

Ale wrócił, w otwartej walizce był chleb, wino, vodka, masło, czarny kawior, cytryna i jeszcze jakiś alkohol, który tylko on pije. podał mi chleb – obłoż... no jak ty kawior nakładasz, od tak trzeba, grubo, solidnie. Nu, zdarowie, On przy swoim napitku, my przy naszej Moskowskiej.

Rozmowa sztywna, czuliśmy dystans do jego klasy.

Nadszedł czas rozstania; – odprowadzę, powiedział i czułem, że nie mam prawa się sprzeciwić. Gorzej, na ulicy zaczął polować na taksówkę (za moje ostatnie dziesięć rubli).

Sprzeciwiłem się i powiedziałem, że my chcemy się przejechać, by nacieszyć się białymi nocami, to go chyba przekonało, bo przestał nalegać.

Most na Newie przeskoczyliśmy w ostatniej chwili przed nocnym podniesieniem go.

A potem z pieśnią na ustach szagaliśmy zikzakami w gościnicę.



POJEDNANIE NARODÓW

FELIKS NETZ

W każdą niedzielę przychodzę do kościoła: to znaczy, nie wchodzić do środka, lecz pozostaję na dworze, przed bramą boczną, nie główną. Boczna jest zawsze uchylona i dość dobrze słyszę co tam, dajmy na to, ksiądz mówi, nie z ambony, to słowo „ambona” zostało już na dobre odesłane do słownika myśliwskiego; sprzed ołtarza. Zostaję na wolnym powietrzu, pod gołym niebem, nawet jeśli mży, czy zgoła zaczyna, zostaję, bo ledwie bym wszedł do środka, od razu wytworzyłaby się wokół mnie próżnia, albowiem, co tu kręcić, śmierdzieć. Jako bezdomny mieszkaniowiec kanałów, śmierdzieć. Nie szukam zastępczych słów, a to dlatego, że przede wszystkim nie mam zwyczaju oszukiwać siebie! Odsuwanie się ode mnie, nieuniknione, gdzieś tam by mnie ubodło. Dlatego pozostaję na dworze.

I co słyszę? Jakie słowa do mnie dochodzą? Do czego wzywa mnie, namawia mój proboszcz? Znam jego styl; to nie jego własne słowa. Nie mówi, lecz wygłasza, a właściwie czyta. Czytając, namawia mnie do pojednania z narodem rosyjskim? Nie padło z księży ust moje imię plus nazwisko; to, co mówi, ma o wiele większą skalę, potężny zakrój, ba, idzie tu o naród, przepraszam, nie ja pierwszy wywołałem to słowo! Naród polski ma się pojednać z narodem rosyjskim. Mają sobie oba wspomniane narody wybaczyć zadane z biegiem lat, w kołowym ciągu, cierpienia. Naród? Nie jestem specjalistą od narodu. Jestem specjalistą, o tyle, o ile, od samego siebie. Staje tedy przede mną zadanie niebłahe: wybaczyć i prosić o wybaczenie, w imię miłości chrześcijańskiej.

Ostrzegam: jeszcze jeden taki apel, a wystąpię z bractwa chrześcijańskiego! Oczywiście, wiem, że to nikogo nie obchodzi; mogę sobie wystąpić. Nie wystąpić. Tylko proszę uprzejmie, bez szantaży! Nie ze mną te numery, arcybiskupie Bruner! Nie mam powodu, aby się pojednać z narodem rosyjskim, ponieważ nigdy nie żyłem z nim w niezgodzie. Może chce się jednać Kościół z Cerkwią, proszę bardzo, czas w odczuciu jednej instytucji jak i drugiej, jest pojęciem względny. Tysiąc lat, to tyle, co dla mnie dwa dni. Mają więc przed sobą czasu a czasu. Naturalnie, nie z tego nie wyjdzie, wiem to dzisiaj, oni, jedni i drudzy, potrzebują tyśiąc lat, a może i dwa, żeby się o tym przekonać!

Powiem tak: jako wolontariusz z entuzjazmem uruchamiałyby zapadnię pod takimi kandydatami na wisielców, jak car ten czy tamten, Chruszczow, Beria, Breżniew, nie mówiąc już o Leninie i Stalinie; co do Putina jeszcze nie podjąłem ostatecznej decyzji. Jednak wiele wskazuje na to, że znajduje się na mojej liście. Ale co oni mają wspólnego z narodem rosyjskim? Wymienione wampiry wysysały z nas krew, ale naród rosyjski? Lud?

Od pewnego czasu, od lat kilkunastu nie słyszę, ani nie czytam, że mój naród przez pięć lat żył pod okupacją niemiecką! Nie było takowej! Owszem, mój naród żył pod okupacją hitlerowską, a do Polaków nie strzelali Niemcy, lecz naziści. Jest to odrażające kłamstwo. Z drugiej jednak strony, zastanawiam się, czy to Rosjanie wymordowali Polaków w Katyniu? Słyszę i czytam, że tę zbrodnię popełniło NKWD. Z tego by wynikało, że nie narody się zabijają, lecz ideologie, by nie rzec: filozofie! Kto tedy zabijał Polaków przez całą pierwszą dekadę, licząc od tak zwanego wyzwolenia w 1945 roku? Moja nieżyjąca już przyjaciółka, poetka, wyznała mi kiedyś z drwiącym uśmieszkiem, że dwa razy dostała w życiu po twarzy (tak powiedziała!): od gestapowca, i, ciekawostka, w tym samym budynku, od Polki w mundurze z dwiema gwiazdkami na pagonach, z tym, że Polka jeszcze cisnęła nią o mur celi. Czy to by znaczyło, że naród polski napadł na naród polski? Narody nic tu nie mają do rzeczy. Nie widzę powodu, abym ni stąd, ni zowąd, akurat 9 września 2012 roku miał się pojednać z narodem rosyjskim. Nigdy nie byłem w stanie wojny z narodem rosyjskim. Naturalnie mam swoje porachunki z pewnymi egzemplarzami Roskich. Dla przykładu, w hotelu w Irkucku ukradziono mi spodnie. Jedyńą parę, w jakiej udałem się w tamte strony. Nigdy im tego nie wybaczę.

Miejska Biblioteka Publiczna w Rudzie Śląskiej już od dawna nie kojarzy się mieszkańcom miasta wyłącznie z wypożyczaniem książek. Wymogiem i znakiem czasu stało się tworzenie miejsc, w których przenikają się działania informacyjne, edukacyjne, kulturalne, rozrywkowe i społeczne.

W 2011 roku rudzka księżnica otrzymała dwa gmachy, które w znaczący sposób poprawiły poziom usług świadczonych przez bibliotekę i ugruntowały jej pozycję jako największej i najstarszej instytucji kultury w mieście.

Pierwszym przejętym obiektem był budynek z ponad 200-letnią historią. W XVIII wieku mieścił się w nim sąd patrymonialny, a od drugiej połowy XIX wieku aż do 1924 roku był siedzibą nadleśnictwa. W swojej historii pełnił także inne funkcje związane z zarządzaniem majątkiem Donnersmarcków linii bytomsko-siemianowickiej, którzy do 1945 roku byli jego właścicielami. W okresie PRL w budynku znajdowały się początkowo mieszkania (na piętrze) oraz sklep, a od 1968 roku działał tu Młodzieżowy Klub Górniczy.

Przez ostatnie 10 lat obiekt był systematycznie dewastowany. Jednak dzięki inicjatywie lokalnej społeczności i działaniom władz municypalnych został przejęty przez miasto. Po analizie różnych koncepcji zdecydowano się przyjąć propozycję Miejskiej Biblioteki Publicznej, aby budynek zaadaptować na potrzeby biblioteki działającej w nowej formule.

W zdewastowanym obiekcie wykonano prace rewitalizacyjne: wszystkie instalacje zastąpiono nowymi, zainstalowano dźwig osobowy, odrestaurowano elewację i wymieniono pokrycie dachowe, jak również zagospodarowano otoczenie.

Do odnowionego budynku przeniesiono została Filia nr 18 MBP w Rudzie Śląskiej. Biblioteka otrzymała przestronną wypożyczalnię połączoną z czytelnią, galerię (prace w toku) i salę multimedialną. Oprócz tego halembka filia wzbogaciła się o przestrzeń kawiarnianą wykorzystywaną do różnego typu działań animacyjnych współorganizowanych z lokalną społecznością – stowarzyszeniami, szkołami, liderami środowisk kulturalnych, artystycznych i społecznych. Ponadto schronienie znalazł tu Międzynarodowy Instytut Dialogu i Tolerancji im. Jana Karłowicza. W ramach Instytutu utworzono m.in. Interaktywny Gabinet Profesora Jana Karłowicza – nowoczesną salę edukacyjną łączącą innowacyjne technologie z tradycyjną wystawą historyczną. W tymże gabinecie zaprezentowano historię życia jednej z najwybitniejszych postaci XX wieku – Jana Karłowicza, legendarnego kuriera Polskiego Państwa Podziemnego, wybitnego profesora Uniwersytetu Georgetown w Waszyngtonie. Głównym

B
Biblioteka Śląska

Z ŻYCIA
BIBLIOTEK

90
1920-2010
BIBLIOTEKA ŚLĄSKA



Nowa siedziba filii rudzkiej księżnicy w odrestaurowanym zabytkowym budynku w Rudzie Śląskiej Halembie.

Biblioteka miejschem spotkania. MBP w Rudzie Śląskiej

nym celem Instytutu jest działalność edukacyjno-kulturalna, skierowana głównie do młodego pokolenia. Jak pokazuje krótka praktyka, w tak ujętym zakresie celów działania Instytutu i Biblioteki wzajemnie się dopełniały, dając mieszkańcom ciekawą paletę propozycji kulturalno-edukacyjnych.

W zrewitalizowanym budynku poza podstawową działalnością biblioteczną organizowane są warsztaty, konferencje, występy, wystawy, spotkania autorskie, co wpłynęło na poziom integracji mieszkańców nie tylko dzielnicy, ale również miasta oraz regionu.

Drugim obiektem, który przeszedł we władanie Biblioteki, było Centrum Inicjatyw Społecznych „Stara Bykowina”. Koncepcja adaptacji kamieniczki „starej szkoły”, która jest najstarszym budynkiem municypalnym w Bykowie (obecnie dzielnica Rudy Śląskiej), została opracowana w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Rudzie Śląskiej. Po dostosowaniu wstępnych założeń koncepcja stała się podstawą realizacji przez Urząd Mia-

sta projektu „Adaptacja budynku przy ulicy 11 Listopada 15a na Centrum Inicjatyw Społecznych na terenie Miasta Ruda Śląska”, dofinansowanego ze środków Europejskiego Funduszu Rozwoju Regionalnego w ramach RPO Województwa Śląskiego na lata 2007-2013. W rezultacie powstało Centrum Inicjatyw Społecznych „Stara Bykowina” jako filia Miejskiej Biblioteki Publicznej w Rudzie Śląskiej. W CIS poza wypożyczalnią książek, czytelnią wyposażoną w stanowiska komputerowe oraz salą imprez, salą komputerową i galerią znajdują się pomieszczenia udostępniane organizacjom społecznym i stowarzyszeniom działającym dla dobra lokalnego środowiska, pomieszczenia dla grup aktywności, kół hobbystycznych, a także sale konferencyjno-szkoleniowe. Ponadto wokół budynku, uatrakcyjniając otoczenie, urządzono plac zabaw. Uzupełnieniem wymienionych działań inwestycyjnych było uczestnictwo w projekcie „Nowe życie Starej Bykowiny” – dofinansowanym ze środków EFS w ramach Programu Operacyjnego Kapitał Ludzki 2007-2013.

Nowa filia rudzkiej biblioteki stała się zatem połączeniem ośrodka informacyjno-doradczego, edukacyjno-szkoleniowego oraz kulturalno-rekreacyjnego i stanowi miejsce spotkań dla mieszkańców tej części miasta. Realizacja projektu CIS „Stara Bykowina” umożliwiła nie tylko poszerzenie oferty kulturalnej, ale także wpłynęła na zmianę postrzegania biblioteki przez mieszkańców dzielnicy oraz – co jest nie mniej ważne – pracowników księżnicy.

Nowy obiekt zarządzany przez Miejską Bibliotekę Publiczną w Rudzie Śląskiej przyczynił się do wzrostu udziału mieszkańców w kulturze i artystycznym życiu miasta, przedstawiając ciekawą propozycję sposobów spędzania wolnego czasu. Dzięki realizacji projektów, zaangażowaniu władz miasta, bibliotekarzy, pracowników MOPS, aktywnych członków stowarzyszeń działających na rzecz lokalnej społeczności (Stowarzyszenie Etyki Ekonomicznej „Pro Ethica”, Stowarzyszenie św. Filipa Nereusza, Związek Harcerstwa Polskiego) zrewitalizowany obiekt stał się rzeczywistym miejscem integracji mieszkańców.

Reasumując – pozyskanie dla realizacji celów Miejskiej Biblioteki Publicznej w Rudzie Śląskiej dwóch nowych obiektów zmieniło myślenie o bibliotece, gdyż – poza stworzeniem nowych możliwości realizacji misji zawierającej się w zdaniu „Biblioteka miejscem spotkania” – udowodniono, że biblioteka może być lokalnym liderem działań – nie tylko goszcząc u kogoś, ale także będąc gospodarzem.

**ALEKSANDRA CZYŻ
KRYSZTOF GAŁUSZKA**



Centrum Inicjatyw Społecznych „Stara Bykowina” prowadzone przez MBP w Rudzie Śląskiej.

Fot. z archiwum MBP w Rudzie Śląskiej



Profesor Adolf Dygacz na piedestale

W Galerii Artystycznej na placu Grunwaldzkim w Katowicach odsłonięte zostało kolejne popiersie zasłużonego dla regionu działacza – prof. Adolfa Dygacza, etnografa, muzykologa, a także znawcy kultury śląskiej i zagłębiowskiej. – Dziękuję wszystkim mieszkańcom, którzy docenili dorobek mojego męża i oddali na niego swój głos – mówiła Janina Dygacz. W uroczystości uczestniczył prezydent Katowic Piotr Uszok, najbliższa rodzina Profesora oraz przedstawiciel Zespołu Pieśni i Tańca „ŚLĄSK” i zespołów folklorystycznych.

Z kolei w MDK Koszutka odbyło się spotkanie z rodziną Adolfa Dygacza oraz dr Danutą Kaszubą, autorka dwóch książek o dorobku wielkiego Ślązaka.

Prof. Adolf Karol Dygacz (1914-2004) studiował na Wydziale Wychowania Muzycznego (ukończył w 1948) oraz na Wydziale Kompozycji i Teorii Muzyki (ukończył 1951) Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej w Katowicach; ukończył również prawo w Wyższej Szkole Ekonomicznej w Katowicach (1949) oraz Wydział Filozoficzno-Historyczny Uniwersytetu Jagiellońskiego (1952). W 1962 obronił pracę doktorską, w 1975 habilitacyjną (na Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu); od 1991 z tytułem profesora.

Po wojnie podjął pracę naukowo-dydaktyczną: w latach 1951-1975 na PWSM w Katowicach, 1974-1980 na Uniwersytecie Wrocławskim, od 1980 na Uniwersytecie Śląskim w Katowicach (filia w Cieszynie, kierownik Zakładu Teorii Muzyki i Folklorystyki Muzycznej). Był członkiem Komitetu Nauk Etnologicznych PAN, Komisji Etnograficznej Oddziału PAN w Krakowie oraz Komisji Historyczno-Literackiej Oddziału PAN w Katowicach.

W 1933 rozpoczął zbieranie pieśni ludowych na Górnym Śląsku. Zebrał około 16 tysięcy melodii i tekstów. Badał również folklor miejski, robotniczy, szczególnie w grupach zawodowych hutników i górników. Od 1961 współpracował z Międzynarodowym Centrum do Badań nad Pieśnią Robotniczą w Budapeszcie.

Należał do wielu organizacji kulturalnych, w latach 1970-1973 wiceprezes Związku Kompozytorów Polskich. Odznaczony m.in. Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Srebrnym Krzyżem Zasługi oraz tytułem Zasłużony Działacz Kultury; laureat wielu nagród, w tym Nagrody miasta Katowice w 1960. W 1995 otrzymał tytuł Honorowego Ślązaka Roku nadany przez Radio Katowice. Opublikował około 2 tysięcy artykułów z zakresu publicystyki muzycznej oraz około 160 prac naukowych (w tym 12 książek). (wk)





Zmodernizowany budynek Filharmonii Opolskiej im. Józefa Elsnera w Opolu



Filharmonia Opolska im. Józefa Elsnera



Barbara Kamińska – Członek Zarządu Województwa Opolskiego wręcza Waldemarowi Olszewskiemu – Dyrektorowi Naczelnemu Filharmonii Opolskiej pamiątkową nutę z podkową na szczęście



Uroczysty koncert w wykonaniu Adama Makowicza oraz Filharmoników Opolskich pod batutą Tadeusza Strugały

We wrześniu Filharmonia Opolska im. Józefa Elsnera rozpoczęła nowy sezon artystyczny w przestronnych i nowoczesnych wnętrzach zmodernizowanego, przy wsparciu funduszy unijnych, budynku. Dzięki rozbudowie Filharmonia zyskała nowe przestrzenie na działalność artystyczną, które pozwolą na spotkania z muzyką przez cały rok. W Filharmonii otwarto klub muzyczny, który proponuje odwiedzającym muzykę na żywo, w tym jazz, blues, gospel, pop aż po spektakle taneczno-teatralne.

7 września odbyło się uroczyste otwarcie zmodernizowanego budynku z udziałem MKiDN Bogdana Zdrojewskiego, podczas którego Filharmonicy Opolscy pod batutą Tadeusza Strugały zagrali utwory Antoniego Dwořaka i Samuela Barbera, a „Błękitną rapsodię” Georga Gershwi na brawurowo wykonał Adam Makowicz.

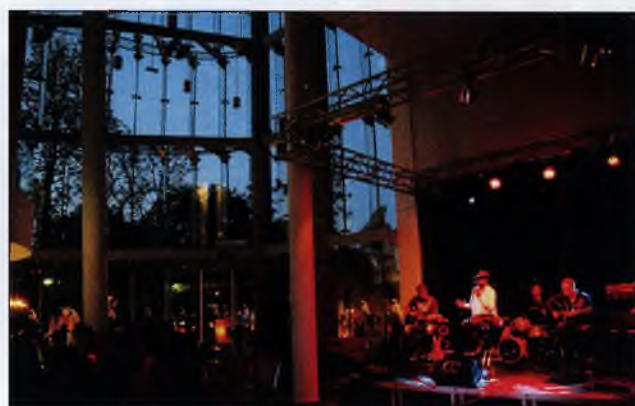
Otwarcie sezonu zainaugurowało także obchody jubileuszu funkcjonowania jedynej na Opolszczyźnie muzycznej instytucji kultury. Zaplanowane do grudnia koncerty jubileuszowe obfitują w niezwykle ciekawe wydarzenia artystyczne. Przed opolską publicznością wystąpi wielu znanych artystów, m.in. Kaja Danczowska, Leszek Możdżer, Laureaci Międzynarodowego Konkursu Pianistycznego im. Fr. Chopina w Warszawie – Neal Larrabee (USA), Ingolf Wunder (Austria), Laureatka Międzynarodowego Konkursu Skrzypcowego im. Henryka Wieniawskiego – Aleksandra Kuls.

60-lecie istnienia Filharmonii Opolskiej stało się także okazją do wyróżnienia osób związanych przez lata z instytucją, muzyków, przyjaciół oraz sponsorów. Podczas koncertu 21 września Odznakę za Zasługi dla Województwa Opolskiego otrzymała Pani Irena Paliwoda i Pan Maciej Rokosz długoletni pracownicy Filharmonii.

Foto: O. Cieślak



Józef Sebesta – Marszałek Województwa Opolskiego wręcza Odznakę Honorową Za Zasługi dla Województwa Opolskiego pani Irenie Paliwodzie – długoletniej pracownicy Filharmonii Opolskiej



Koncert „Wychowani na Dżemie” w Klubie Muzycznym, który powstał po modernizacji Filharmonii Opolskiej

Jubileusz filharmonii

Kronikarze opolskiego życia muzycznego przypominają, że stolica Rejencji Opolskiej nie posiadała zawodowej orkiestry. Dopiero po wojnie w Opolu rozpoczyna działalność Wojewódzka Orkiestra Symfoniczna. Choć początkowo bez własnej siedziby, po kilku latach znajduje gościnę w skrzydle dobudowanym do ówczesnego gmachu Teatru Ziemi Opolskiej. Wśród założycieli orkiestry byli: dziennikarz R. Hajduk, urzędnik W. Hlousek oraz nauczycielki S. Tatarczyk i A. Jaruga. Pierwszy koncert odbył się 27 VI 1952 roku pod dyktando Jerzego Młodziejowskiego. Nobilitacją dla instytucji było uzyskanie tytułu państwowej orkiestry, a zwłaszcza nadanie jej imienia Józefa Elsnera, wybitnego przedstawiciela polskiego życia muzycznego XIX wieku. Wybór ten nie był przypadkowy, bowiem patron urodził się w pobliskim Grodkowie, gdzie począwszy od 1969 r. przez długie lata funkcjonowało Muzeum jego imienia, a na rynku miasteczka odsłonięto pomnik kompozytora. Państwowa Orkiestra Symfoniczna w Opolu zdobywała coraz bardziej znaczącą pozycję wśród krajowych instytucji muzycznych, występowała z nią najwybitniejsi polscy soliści i goście zagraniczni, przemianowana w 1972 roku na Państwową Filharmonię im. J. Elsnera brała udział w znaczących festiwalach, rozpoczynając swoją artystyczną drogę od gwiazd, wiodąc opolskich filharmoników przez prestiżowe sale koncertowe w kraju i zagranicą. Imponując pod tym względem wypada ostatnia dekada, wyjazdy koncertowe do Włoch, Niemiec, Austrii, Chin i USA. Koncerty w wielkich salach koncertowych w Monachium czy w Wiedniu były zasługą dyr. Bogusława Davidowa i hojnego mecenatu ze strony władz samorządowych województwa opolskiego, które sfinansowały kapitalny remont i rozbudowę siedziby Filharmonii Opolskiej. Po zakończeniu ostatniej inwestycji (modernizacja FO, wartość 22 mln zł – fundusze unijne, budżet województwa) obecnie siedziba Filharmonii stała się najbardziej prestiżowym obiektem instytucji kultury w województwie opolskim, wyróżniając się nowoczesną formą i atrakcyjnością wśród innych filharmonii w naszym kraju, co podkreślał w swoim wystąpieniu minister kultury i dziedzictwa narodowego Bogdan Zdrojewski. Z uznaniem o nowym budynku Filharmonii mówili również znakomici artyści: dyrygent Tadeusz Strugała i Adam Makowicz, którzy wystąpili z opolską orkiestrą podczas uroczystości otwarcia nowego obiektu. Dzisiejsze oblicze artystyczne tej instytucji to Orkiestra Symfoniczna, Chór Mieszany i Chór Chłopiacy, zdolny dyrygent Bartosz Żurkowski, bogate plany artystyczne na sezon 2012/2013 z ciekawymi koncertami symfonicznymi, impresaryjnymi, kameralnymi i koncertami dla dzieci i młodzieży, a także codzienna oferta klubu muzycznego. Wypada tylko życzyć opolskiej publiczności i filharmonikom, aby te ambitne plany udało się w pełni zrealizować, a to będzie przede wszystkim zależeć od efektów pracy Waldemara Olszewskiego nowego dyrektora naczelnego Filharmonii Opolskiej.

JANUSZ WÓJCIK

OPOLE NOTATNIK KULTURALNY

Wincenty z Kielczy in memoriam

Dla upamiętnienia Wincentego (1200-1262), pierwszego polskiego kompozytora znanego z imienia i autora pierwszego hymnu królewskiego Piastów, urodzonego w Kielczy (Gmina Zawadzkie) już po raz dziewiąty odbył się Festiwal Gaude Mater Polonia – Wincenty z Kielczy in memoriam. Filharmonia Opolska, główny organizator tegorocznej edycji, powróciła do śpiewaczego nurtu festiwalu, akcentując w programie zespoły wokalne i utwory muzyki dawnej, epoki średniowiecza i renesansu. Koncerty odbywały się w historycznych miejscach m. in. kościołach i zamkach, związanych z epoką Wincentego i rodem Odrowążów: w Kielczy, Zawadzkim, Kamieniu Śląskim, Brzegu i Opolu. Wystąpiły zespoły wokalne: Triplum, Calvi Cantores, La Tempesta, chór LO w Głubczycach oraz Chór Chłopiacy i Orkiestra Symfoniczna Filharmonii Opolskiej. Festiwal objęli patronatem Marszałek Województwa Opolskiego, Biskup Diecezji Opolskiej, Wojewoda Opolski i Prezydent Opola, a współorganizatorami oprócz FO były: parafia św. Bartłomieja w Kielczy, Gmina Zawadzkie i Powiat Krapkowiński.

Brzeskie druki

Muzeum Piastów Śląskich w Brzegu z okazji V Kongresu Polonistyk Zagranicznej, który zainaugurowano na brzeskim zamku przygotowało interesującą wystawę *Druki brzeskie w języku polskim XVII – I. poł. XX w.*, która mogła zadowolić gusta najbardziej wymagających koneserów, w tym licznych gości kongresu z różnych stron świata. Początki brzeskiego drukarstwa związane są z powstaniem Gimnazjum Piastowskiego – Gymnasium Illustre (1569 r.) założonego przez mecenasa kultury i nauki – księcia Jerzego II. Pierwszy warsztat drukarski uruchomił w Brzegu w 1610 r. Caspar Sigfried, który przybył z Nysy. Sztukę drukarską w księżym mieście rozwijali kolejni właściciele oficyn m.in. Augustyn Gründler, Baltazar Klose, Krzysztof Tschorn, Jan Krzysztof Jacobi, Gotfried Tramp, a właściwie całe rodziny tych znanych drukarzy. Odnotowano blisko tysiąc dwieście druków brzeskich, drukowano tutaj dzieła poetów – m.in. Martina Opitza, Scherferusa (tłumacz fraszek Jana Kochanowskiego), największą grupę druków stanowiły wydawnictwa o charakterze religijnym m.in. słynne kancjonały, katechizm M. Lutra, pisma i kazania A. Gdaczusa, S. Dambrowskiego, modlitewniki, śpiewniki, brzeskie kalendarze. W pierwszej połowie XX wieku w Brzegu działało aż 8 drukarni,

Jednym zdaniem

■ XV Jędrzejkie Mistrzostwa Gwiazd – Art Cup 2012 (skoki, powożenie, ujeżdżenie), zorganizowane przez Ludowy Klub Jędrzejkie Lewada, odbyły się na hipodromie przed pałacem w Zakrzewie (gmina Polska Cerekiew) z udziałem grona aktorów znanych z telewizyjnego i kinowego ekranu, imprezie towarzyszyły koncerty zespołów muzycznych, spektakl „Oświadczy” Teatru Rampa i występ kabaretowy Tadeusza Drozdy.

■ II Wojewódzkie Święto Karpia Opolskiego odbyło się w Staroscinie (gmina Świerców), prezentacji i degustacji potraw regionalnych z karpia towarzyszyły zawody wędkarskie, rybackie gry i zabawy dla dzieci, konkurs kulinarny na potrawy z karpia oraz koncerty zespołów muzycznych.

■ W II Liceum Ogólnokształcącym im. M. Kopernika w Kędzierzynie-Koźlu zaprezentowano wystawę „Głos Wolnej Europy”, przygotowaną przez Senat RP z okazji 60. rocznicy powstania Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa.

■ Regionalną inaugurację tegorocznych Europejskich Dni Dziedzictwa zorganizowało Mu-

wytwórnia papieru i 3 księgarnie. Na wystawie w Muzeum Piastów Śląskich zaprezentowano druki ze zbiorów własnych oraz wypożyczone z Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej w Opolu, Muzeum Śląska Opolskiego oraz Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Wrocławiu.

Ars Polonia

Galeria Sztuki Współczesnej podczas 3. Biennale Ars Polonia na wystawie „(NIE) PORZĄDEK” zaprezentowała najnowsze prace (instalacje, wideo, site-specific) Piotra Barana, Marka Radkego, Macieja Toporowicza, Adriane Wachholz, Dagmary Wyskiej z Christianem Nüczem, polskich artystów tworzących poza granicami kraju, którzy przyjechali do Opola z Niemiec, Francji, USA i Chile. Nawiązując do tytułu wystawy, kurator Łukasz Kropiowski, podkreślał, że gdyby nie było artystów negujących zastany porządek, artystów wprowadzających chaos i nieporządek, to kultura stałaby w miejscu. Prace artystów powstały w otoczeniu i wewnątrz Galerii m.in. z wykorzystaniem site-specific tzw. sztuki miejsca.

Grafika w nyskim Muzeum

Prace wybitnych polskich grafików pokazano na wystawie „GRUPA KRAKOWSKA plus. Współczesna grafika polska ze zbiorów Muzeum w Nysie”. Prace krakowskich grafików ze zbiorów własnych instytucji zostały wystawione po raz pierwszy od lat 70., kiedy dokonano ich zakupu. Po II wojnie światowej Kraków był najważniejszym ośrodkiem polskiej grafiki, powstała wówczas „szkoła krakowska”, którą współtworzyli czołowi polscy graficy: Mianowski, Wejman, Średnicki, Kuntz, Wojtowicz, Wróblewska, Miodońska, dlatego nyska wystawa ich prac uzupełniona o prace Nyczki, Chudego i Pikuly, ukazała widzom ciekawy obraz współczesnej grafiki polskiej z lat 1955–1980. Kolekcja grafiki krakowskich artystów powstała dzięki Franciszkowi Pikule.

Certyfikaty OROT 2012

W pałacu „Lucja” w Zakrzewie (k. Gogolina), podsumowano konkurs na Najlepszy Produkt Turystyczny – Certyfikat Opolskiej Regionalnej Organizacji Turystycznej. Laureatów wyłoniono w trzech kategoriach: obszar, obiekt, wydarzenie, w pierwszej zwyciężył produkt Urzędu Miasta Olesno „Oleska róża zaklęta w drewnie z Siedmiu Źródeł pojoana”, prezentujący atrakcje gminy ze słynnym drewnianym kościołem św. Anny. W drugiej laureatem zostało Polsko-Czeskie Centrum Szkolenia Rycerstwa – Gród k. Byczyny, średniowieczny gród obronny z bogatą ofertą imprez rycerskich i usług turystycznych, prowadzony przez Spółdzielnię Socjalną „Gród” i Opolskie Bractwo Rycerskie. W trzeciej kategorii zwyciężyło „Lato kwiatów”, wizytówka zabytkowego Otmuchowa, festiwal florystyczno-kulturalny, organizowany od 40 lat przez miejscowy Urząd Miasta. Laureaci otrzymali statuetki, certyfikaty i nagrody wręczone przez prezesa OROT Stanisława Rakoczego i wicemarszałka województwa Romana Kolka.

zeum Wsi Opolskiej, zwiedzający skansen w Opolu-Bierkowicach uczestniczyli m.in. w jesiennych pracach polowych, warsztatach garnarskich, przejażdżkach wozem drabiniastym.

■ Podczas I Międzynarodowego Festiwalu Land Art na brzegu Odry w Opolu powstała plenerowa galeria kompozycji z biodegradowalnych materiałów pochodzenia roślinnego lub naturalnego, które wykonali ceramicy i rzeźbiarze.

■ Pod Pomnikiem Golgoty Wschodu na Cmentarzu Komunalnym w Opolu odbyły się uroczystości z okazji 73. rocznicy agresji Związku Radzieckiego na Polskę.

■ Wokół klasztoru franciszkanów w Opolu odbył się XIII Jarmark Franciszkański.

■ Z inicjatywy Muzeum Wsi Opolskiej i Stowarzyszenia Twórców Ludowych zorganizowano I Wojewódzki Konkurs Malowania Porcelany, którego celem było dokumentowanie i upowszechnianie szczególnie dziedziny twórczości ludowej, jaką jest malowanie na porcelanie, oparte na wzornictwie zacierpniętym z tradycyjnych kroszonek opolskich.

Wygiełzów zaprasza

Festiwal muzyczny w Wygiełzowie – Lipowcu ma liczne grono swoich wielbicieli, którzy co roku oczekują na kolejną edycję Międzynarodowego Festiwalu Muzyki Kameralnej i Organowej. Zawsze od połowy sierpnia do prawie końca września skansen w Wygiełzowie i zamek w Lipowcu rozbrzmiewają wieloma znakomitymi koncertami, których wykonawcami są uznani instrumentalniści i śpiewacy. Festiwal – organizowany w tym roku po raz 22., już dawno wpisał się na listę najciekawszych i prestiżowych imprez organizowanych przez Instytucję Promocji i Upowszechniania Muzyki „Silesia” w salach koncertowych, studiach, muzeach, teatrach, domach kultury i wielu innych, przyjaznych muzyce miejscach województwa śląskiego i małopolskiego. To wielkie przedsięwzięcie organizacyjne każdego roku przynosi wiele niespodzianek. Jak napisała w słowie wstępnym do programu festiwalu Ewa Kafel dyrektor „Silesii” – w tym roku koncerty festiwalowe zostały zaplanowane z uwzględnieniem wszystkich „muzycznych obiektów” skansenu, co stanowi dodatkową atrakcję dla ich uczestników. Zatem muzyki wysłuchać można było w kościele w Ryczowie, we Dworze w Drogini, i w plenerze.

Festiwal zainaugurowała estradowa prezentacja arii, duetów i ensembli z opery „Straszny dwór” Stanisława Moniuszki w 140-lecie śmierci kompozytora. W gronie wykonawców znaleźli się soliści: Iwona Socha, Anna Borucka, Tomasz Urbaniak, Stanisław Duda, Stanisław Kufluk, Volodymyr Pankiv, Maciej Bartczak i Łukasz Gaj.

Poza koncertem inauguracyjnym także większość pozostałych koncertów miała obsadę międzynarodową. Wystąpił węgierski cymbalista z towarzyszeniem artystów z Czech i Słowacji; wystąpiła również harfistka z Litwy. Melomani mogli wysłuchać również recitali organowych – wirtuozów tego instrumentu Joachima Grubicha i Józefa Serafina, pianistki mającej na swym koncie przebogaty dorobek artystyczny – Beaty Bilińskiej, a także kwartetu gitarowego Cracow Guitar Quartet i Zespołu Muzyki Dawnej XVII i XVIII wieku „Extempore”, który koncertował wraz z Zespołem Wokalnym „Contento core” pod dyktando Marii Piotrowskiej-Bogałackiej. Koncerty w Wygiełzowie – Lipowcu zakończył występ najpopularniejszego obecnie akordeonisty, wybitnego muzyka – Marcina Wyrostka z zespołem Coloriage.

Nie należy zapominać o tych, którzy każdy koncert opatrzą kompetentnym, pomagającym w prawidłowym odbiorze koncertów komentarzem słownym; a byli to: Leon Markiewicz, Bożena Gieburowska, Karol Bula, Ewa Kafel, Anna Woźniakowska, Lilianna Moll, Aleksandra Konieczna, Grażyna Brewińska i Regina Gowarzewska.

WIESŁAWA KONOPELSKA

KATOWICE NOTATNIK KULTURALNY

„Album rodzinny” Jana Szmatłocha na ArsGrafii

Akwaforty Jana Szmatłocha ujęte w cykl „Album rodzinny” zostały pokazane w ramach festiwalu ArsGrafia podczas 8 Triennale Grafiki Polskiej Katowice 2012 w galerii Miejskiego Domu Kultury w Mikołowie.



Foto: Zbigniew Sawicz

Te kameralne w swym rozmiarze grafiki są swoistym znakiem rozpoznawczym tego wybitnego grafika. Brakuje – na szczęście – temu artyście cechy wielu twórców dnia dzisiejszego – podążania za formatem liczonym w setkach centymetrów. Niewielkie, precyzyjne, świetnie zakomponowane, o warsztacie nawet nie wspominając, zawsze cieszą wprawne oko odbiorcy. Szmatloch udowadnia od lat, że siła obrazu tkwi w treści, w sposobie przekazu.

Jan Szmatloch jest profesorem sztuk pięknych, kierownikiem Pracowni Druku Wklęsłego w katowickiej Akademii Sztuk Pięknych. Uprawia grafikę warsztatową, rysunek. Uczestniczył w 120 wystawach środowiskowych i ogólnopolskich oraz 85 wystawach grafiki polskiej na całym świecie. Miał 40 wystaw indywidualnych. Jest laureatem licznych nagród i wyróżnień w kraju i za granicą.

Śląsk i jego Mistrzowie

Jubileuszowa wystawa fotografii Zbigniewa Sawicza z okazji 40-lecia jego pracy twórczej odbyła się w Galerii Katowice Związku Polskich Artystów Fotografików. Na wystawę złożyły się dwa najważniejsze cykle fotografii Sawicza: „Ballada śląska” i „Mistrzowie piękna”. Wystawie patronował prezydent Katowic Piotr Uszok.



Foto: Janusz Szewczyk

Podczas wernisażu wiceprezydent Katowic Krystyna Siejna udekorowała Jubilatą odznaką Zastużony dla Kultury Polskiej przyznaną przez ministra kultury i dziedzictwa narodowego Bogdana Zdrojewskiego.

„Dopełnienie konieczne. Śląskie fotografii”

W Muzeum Śląskim odbywała się wystawa prezentująca prace dziesięciu kobiet fotografów, które swym życiem, twórczością lub tylko inspiracją związane są ze Śląskiem. Ekspozycja prezentuje fotografie autorek działających od czasów powojennych do współczesnych: Zofii Rydet, Anny Chojnackiej, Róży Jura, Małgorzaty Apathy, Haliny Holas-Idziakowej, Joanny Helander, Jowity Bogny Mormul, Katarzyny Łaty-Wrony, Marii Śliwy, Beaty Mendrek-Mikulskiej. Obok tych, których dorobek wpisuje



Na zdjęciu fotografii: Maria Śliwa, Katarzyna Łata-Wrona, Beata Mendrek-Mikulska i Joanna Helander.



Fragment ekspozycji z fotografiami Joanny Helander.

Zdjęcia: Z. Sawicz

Jednym zdaniem

■ Na wykład o historii Żydów w Polsce w ramach cyklu „Sosnowieckie sacrum – judaizm” zapraszało Sosnowieckie Centrum Sztuki i Zamek Sielecki w Sosnowcu.

■ Kultura muzyczna Katowice była tematem XII Katowickiej Konferencji Naukowej zorganizowanej przez Muzeum Historii Katowic, Polską Akademię Nauk Oddział w Katowicach, Polskie Towarzystwo Historyczne oddział w Katowicach, Akademię Muzyczną im. K. Szymanowskiego w Katowicach i Miasto Katowice, z okazji 147. rocznicy uzyskania praw miejskich przez Katowice.

■ „Na uspokojenie” to tytuł plastycznej akcji miejskiej autorstwa Magdaleny Starskiej – absolwentki poznańskiej im. członkini grupy Partnerstwo.

■ Ks. dr Leszek Makówka został nowym dyrektorem Muzeum Archidiecezjalnego w Katowicach – przejął obowiązki od ks. dr. Henryka

Pyki, który po 23 latach kierowania tą placówką przeszedł na emeryturę.

■ „Miasta Köln – Katowice aktywne” – to tytuł wystawy przygotowanej z okazji 20-lecia partnerstwa Kolonii i Katowic przez Katowicki Okręg Związku Plastyków Polskich i Bibliotekę Śląską, w której uczestniczyli niemieccy i polscy artyści: Werner Grau, Tine Wille, Christine Kaul, Ateller Mieg, Georg Raab, Monika von Starek, Anne Cichos, Ingeborg Thistle, Angela Hiss, Helmut Brandt, Piotr Bąk, Mariusz Palka, Elżbieta Kuraj, Zbigniew Blukacz, Tadeusz Siara, Remigiusz Dulko, Anna Tworowska, Maria Matyla-Rozpara, Andrzej Kacperek, Jerzy Talik, Damian Pietrek.

■ 2 MTG PrintArt Kraków-Katowice 2012 trwa w Galerii ASP w Katowicach Rondo Sztuki.

■ Wystawa poświęcona twórcy generalnego planu miasta Tychy – profesorowi Kazimie-

je się w nie tylko w historię polskiej fotografii, wystawa promuje nawiązka artystek działających współcześnie.

Takie spectrum osobowości, których wyrażanie świata i siebie fotografią jest rozciągnięte w czasie sześćdziesięciu lat twórczości, daje możliwości porównań, nie tylko pokoleniowych, tworzy podstawy analizy ewolucji fotografii jako środka wypowiedzi oraz ukazuje możliwości transformacji formalnych i niezmienną siłę ekspresji tego medium.

Kuratorem wystawy była Danuta Kowalik-Dura.

Chasydzi w Lelowie



Zdjęcia: A. Ławrywianiec

Pod tym tytułem Arkadiusz Ławrywianiec prezentował jeden ze swoich najbardziej znanych cykli fotografii. Miejszem ekspozycji była galeria Exlibris Miejskiej Biblioteki Publicznej w Czeladzi. Artysta fotografuje chasydów od wielu lat – towarzyszy im podczas dorocznych zjazdów odbywających się w podczęstochowskim Lelowie, w rocznicę śmierci cadyka Dawida Biedermann.

Arkadiusz Ławrywianiec urodził się w 1967 roku w Opolu. Jest absolwentem opolskiej Wyższej Szkoły Pedagogicznej. Fotografiją zajmuje się od 1986 roku. Od 1994 roku jest fotoreporterem Dziennika Zachodniego. Od 2009 roku uczy reportażu fotograficznego w Policealnej Szkole Fotograficznej FOTOEDUKACJA. Jest członkiem Związku Polskich Artystów Fotografików. Prace wystawiał m.in. w Muzeum Śląskim, Bibliotece Śląskiej, Galerii Szyb Wilson, Galerii Rondo do Sztuki. Jest laureatem licznych nagród i wyróżnień.

Od 1998 r. dokumentuje Ogólnopolski Festiwal Sztuki Reżyserskiej „INTERPRETACJE”.

W 2011 roku był stypendystą Marszałka Województwa Śląskiego w dziedzinie kultury. W tym samym roku otrzymał również Nagrodę Prezydenta Miasta Katowice w dziedzinie Kultury.

„Utracone nadzieje” w Muzeum Górnos Śląskim

Wystawa „Utracone nadzieje” została przygotowana przez Muzeum Górnos Śląskie w Bytomiu, Instytut Pamięci Narodowej Oddział w Katowicach, fundację Brama Cukermana oraz Ghetto Fighter's House Museum z Izraela. Jej celem jest przywrócenie pamięci o losach społeczności żydowskiej po II wojnie światowej i podejmowane wówczas próby odbudowy życia oraz marzenia o stworzeniu własnego państwa w Palestynie. Ten mozolny trud niszczone był jednak przez kolejne fale antysemityzmu. Choć społeczność żydowska stanowi dzisiaj garstkę ludzi skupionych w Gminach Wyznaniowych oraz oddziałach Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego Żydów (TSKŻ) w Polsce, to jednak jest obecna w naszym życiu.

Całość tych złożonych zagadnień ilustrowana jest bogatym materiałem pochodzącym ze zbiorów archiwum Yad Vashem, United States Holocaust Memorial Museum w Waszyngtonie, Ghetto Fighter's House z Galilei Zachodniej, Żydowskiego Instytutu Historycznego, Zarządu Głównego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego Żydów w Polsce oraz oddziałów TSKŻ z Katowic, Bielska-Białej, Częstochowy, fundacji Conspiro i ze zbiorów osób prywatnych. Kuratorami wystawy są Izabella Kühnel i dr Aleksandra Namysło.

Wystawę można oglądać do 31 stycznia 2013 roku w gmachu głównym Muzeum Górnos Śląskiego w Bytomiu.



Muzyczny exlibris

Ex libris po łacinie oznacza dosłownie „z księgozbioru”. To znak własnościowy danego wydawnictwa, najczęściej ozdobny, z imieniem i nazwiskiem bądź inicjałami właściciela księgozbioru, albo nazwą instytucji. Muzeum Górnos Śląskie w Bytomiu wraz z Filharmonią Śląską im. Henryka Mikołaja Góreckiego zaprasza na wystawę „Muzyczny exlibris”, która jest pokłosiem konkursu ogłoszonego w 2003 roku przez Filharmonię Śląską, katowicką ASP oraz Bibliotekę Śląską przy okazji VII Międzynarodowego Konkursu Dyrygentów im. Grzegorza Fitelberga i 50. rocznicy śmierci jego patrona. Celem było ponowne zainteresowanie twórców exlibris

sem jako małą formą grafiki artystycznej oraz pokazanie odbiorcom wartości artystycznych, które mogą zawierać własnościowe znaki książek i wydawnictw nutowych. Na konkurs nadesłano 60 prac 29 autorów z Polski, Białorusi, Bułgarii, Hiszpanii czy Ukrainy. Prace obejmowały dwie kategorie: exlibrisy związane z muzyką i dyrygentem jako reżyserem utworu muzycznego oraz te związane z osobą Grzegorza Fitelberga. Prezentowana w Muzeum wystawa towarzyszy IX Międzynarodowemu Konkursowi Dyrygentów i zawiera ponad 40 prac, które wyróżniały się wysokimi walorami warsztatowymi i oryginalną formą.

Międzynarodowy Konkurs Dyrygentów im. Grzegorza Fitelberga jest członkiem Światowej Federacji Międzynarodowych Konkursów Muzycznych w Genewie. To jeden ze 129 najbardziej prestiżowych konkursów w Europie, obu Amerykach, Azji i Australii. W 2012 odbywa się już dziewiąta edycja konkursu, któremu zawsze towarzyszy szereg imprez. Wystawa jest czynna do 18 listopada br.



Exlibris M. Bialas In Memoriam Grzegorz Fitelberga.

Antoniemu Halorowi...

W pierwszą rocznicę śmierci Antoniego Halora (1937-2011) Muzeum Miejskie w Siemianowicach Śląskich przygotowało wystawę poświęconą temu wybitnemu, wszechstronnemu artyście – filmowcowi, malarzowi, literatowi i historykowi, połączoną z promocją książki jego autorstwa pt. „Człowiek charakteru” przybliżającej postać i dzieło Wojciecha Korfante.

Gościem specjalnym, tego wieczoru była wdowa po Antonim Halorze – Bogumiła Hrapkiewicz-Halorowa.



Bogumiła Hrapkiewicz-Halorowa podczas spotkania z uczestnikami wieczoru.

rzowi Wejchertowi z okazji stulecia urodzin została przygotowana przez Muzeum Miejskie w Ty-chach.

■ Stowarzyszenie artystyczne Plessart zapraszało do Pszczyny na wystawę fotografii Beaty Mendrek-Mikulskiej i Katarzyny Łaty-Wrony „Akt męski”.

■ Grafikę ukraińskiego artysty Romana Romany-szyna – absolwenta lwowskiej ASP pokazała galeria Foyer Teatru Śląskiego im. Stanisława Wyspiańskiego w Katowicach.

■ Na wystawie „Oblicza tej ziemi” do Muzeum w Wodzisławiu Śląskim zapraszał Marian Mielek.

■ W Sosnowieckim Centrum Sztuki Zamek Sielecki gościła retrospektywna wystawa grafika i twórcy plakatów Romana Kalarusa pt. „Kalarus i już”.

■ Wykład on-line z Nowego Yorku z cyklu: Mi-strzowie Architektury. Janusz Kapusta oraz wystawa „K-DRON autorstwa Janusza Kapusty / New York /

pomiędzy matematyką i sztuką / albo: przeoczony kształt” – polskiego rysownika, malarza i scenografa, absolwenta Akademii Sztuk Pięknych w Poznaniu a następnie Wydziału Architektury Politechniki Warszawskiej, wynalazcy jedenastościennej bryły geometrycznej, nazwanej przez siebie K-dron, od 1981 roku mieszkającego w Nowym Jorku (współpracuje m.in. z takimi pismami jak „The New York Times”, „The Wall Street Journal”, „The Washington Post”) odbyły się w Galerii Architektury Sztuki w Katowicach.

■ Ingmar Villquist – historyk sztuki, dramaturg, reżyser i założyciel Teatru Kriket w Chorzowie, absolwent historii sztuki na Uniwersytecie Wrocławskim, kurator, dyrektor artystyczny BWA w Katowicach w latach 1994-2000, wicedyrektor Narodowej Galerii Sztuki „Zachęta” w Warszawie i wykładowca akademickim był gościem „Spotkania miesiąca” w Muzeum Górnos Śląskim w Bytomiu.

■ Robert Konieczny został tegorocznym laureatem Medalu imienia Profesora Zygmunta Majerskiego – ustanowionego w kwietniu 2005 roku przez Politechnikę Śląską w Gliwicach dla uhonorowania osób, które swoją działalnością twórczą, naukową, publicystyczną, lub organizacyjną zasłużyły się dla tworzenia, bądź promocji architektury i urbanistyki regionu górnośląskiego.

■ Muzeum Górnictwa Węglowego w Zabrze oraz placówka partnerska Muzeum Historii Katowic zorganizowały wystawę „B. W. Linke. Inny Śląsk. Inna rzeczywistość”, prezentującą prace Bronisława Linka z lat 30. XX w.

■ Wystawa malarstwa Franciszka Kafki zatytułowana „Madonny polskie”, którą kilka miesięcy temu można było oglądać we Muzeum Archidiecezjalnym w Katowicach, została zaproszona do sal ekspozycyjnych Muzeum Archidiecezjalnego w Krakowie.

Foto. Arch. Muzeum Miejskie w Siemianowicach Śl.

Literacki sejsmograf...

Dzieci – a zwłaszcza młodzież – są znakomitą sejsmografem literackim ruchów tektonicznych życia społecznego. Potrafią wspaniale oddać aberracje, które są naszym udziałem. Robią to w czasach komuny i robią obecnie. Co przerażające – w tej chwili nie ma już wielkich różnic pomiędzy ich sposobami reagowania na zło dominujące w latach 80. minionego wieku i obecnie.

Do takich wniosków można dojść po zapoznaniu się z wieloletnim dorobkiem Przeglądu Dziecięcej i Młodzieżowej Twórczości Literackiej „Lipa”. Final 30. edycji odbędzie się 19 października w siedzibie SCK „Best” Spółdzielni Mieszkaniowej „Złote Łany”, która od 1983 r. jest organizatorem imprezy (od ponad dekady patronat sprawuje nad nią prezydent Bielska-Białej). Dla wielu z laureatów „Lipy” główną bronią przeciw społecznym paradoksom, niedostatom, formom nacisku lub zniewolenia są satyra i groteska. Obecnie występują one już w niemal tak poważnym zakresie jak w czasach realnego socjalizmu. Przykładem mogą być słowa bielskiego gimnazjalisty Filipa Peringera – Czy wolność wciąż istnieje? I czy ktoś się o nią łudzi? Martwe muchy w kloszu lampy bardziej wolne są od ludzi...

Generalnie jednak od początku „Lipy” młodsze dzieci wypowiadają się w lirycie. Piszą pod wpływem pozytywnych kontaktów z przyrodą, zauróczenia rzeczywistością, która je otacza. Znakiem rozpoznawczym dziecięcej poezji jest zdumienie pięknem świata. Po przekroczeniu dwunastego, a obecnie już nawet dziesiątego roku życia – dzieci jednak na ogół przestają pisać o pięknie, a zaczynają ujawniać złe, przykre, a nawet koszarne strony świata. Wygląda ciągle na to, że przestają żyć w świecie pięknym, a zaczynają w złym. Wiąże się to nie tylko z młodzieńczym negatywizmem. Wraz z rozwojem myślenia abstrakcyjnego, dzieci i młodzież dostrzegają zależności, które rządzą światem społecznym i starają się im w literacki sposób przeciwstawić, a przynajmniej – dać świadectwo – poprzez posługiwanie się owymi „zjadliwymi” formami, o których wspominałem – groteską, satyrą, ironią.

Może właśnie dlatego w tym roku w gronie laureatów „Lipy” nie ma genialnych znakomitości poetyckich, ale jest mnóstwo bardzo przywoitwych prozaików. Podobnie było w 1988 r. – kiedy po raz pierwszy pod „Lipą” zasiadł Ernest Bryll. Wówczas „wysyp dobrej prozy” był niesamowity. Wybitny poeta stwierdził, że Bielsko-Biała jest zagłębiem prozatorskim! Wtedy świetne teksty napisali Artur Pałyga, Gracjan i Patrycjusz Pająkowie, a także kolega z klasy tego ostatniego Grzegorz Markowski (obecnie znane postacie w polskim życiu publicznym, nie tylko literackim). To chyba dobry prognostyk nawet dla polskiej literatury.

W gronie nagrodzonych w tym roku znaleźli się Marta Grzegorzczak z Bielska-Białej, Zuzanna Oczko z Żywca, Julia Pawlik z Katowic i Aleksandra Uracz z Dąbrowy Górniczej (uczniowie podstawówek), Kinga Budzyn, Julia Dziubek, Marta Kapler, Karolina Kręcioch, Aleksandra Maciejowska, Agata Narusiewicz, Filip Peringer, Aleksandra Pliszek, Klaudia Sporek, Iga Maria Walaszczak, Elżbieta Zamorowska z Bielska-Białej, Piotr Klimowicz z Piekarska Śląskich, Anna Piątek z Mikołowa i Krzysztof Szewczyk ze Skoczowa (gimnazjaliści) oraz Paulina Bąk z Żywca, Justyna Klejdysz, Aleksandra Kurtyka, Małgorzata Sikora i Wiktoria Willmann z Bielska-Białej, Izabela Kozieł z Kisielowa, Dominik Łowicki z Łaz i Katarzyna Prus z Czechowic-Dziedzic (uczniowie szkół średnich).

Na stu laureatów 26 to uczniowie z województwa śląskiego. „Rodzynkiem” opolskim jest licealistka Katarzyna Chmielewska. Dla literatury śląskiej optymistyczne zatem jest to, iż młodzież z naszego województwa nadal zajmuje dominujące miejsca w „lipowym” pejzażu.

JAN PICHETA

BIELSKO NOTATNIK KULTURALNY

Szlak Tolerancji

We wrześniu rozpoczęło się uroczyste odsłanianie tzw. tablic interaktywnych, które stworzą „Szlak Tolerancji” upamiętniający 10 postaci zasłużonych dla Cieszyna i Czeskiego Cieszyna. Dzieje się to w ramach projektu Klubu Kobiet Kreatywnych i Kongresu Polaków w Republice Czeskiej pn. „Cieszyńska Szkoła Obywatelstwa po obu stronach Olzy”. Pierwszą postacią upamiętnioną w ten sposób był Józef Kiedroń. 17 września w Domu Narodowym w Cieszynie odbyła się międzynarodowa konferencja naukowa „Józef Kiedroń i jego zasługi dla narodu i państwa polskiego”. Referaty wygłosili profesorowie Aleš Zářický, Bohdan Cimała i Tadeusz Stenger, dr hab. Jarosław Kłaczek, dr Józef Szymczek i mgr Władysława Magiera. Dzień zakończył się odsłonięciem tablicy pamiątkowej na budynku Kongresu Polaków w RC przy ul. Komeńskiego w Czeskim Cieszyńsku. 19 września odsłonięto tablicę upamiętniającą dokonania Władysława Rakowskiego, 21 września – Brunona Konczakowskiego, 24 września – Karola Prochaska, a 25 września Alfreda A. Wiedermanna. Niebawem odsłonięte zostaną także tablice poświęcone Bolko Kantorowi, Janowi Kubiszowi, Adamowi Sikorze, Cezaremu Halerowi i Maxowi Rostolowi. Uroczystościom towarzyszą wykłady, promocje książek i występy artystyczne.

Znad Łaby nad Białą

Multimedialny projekt Małgorzaty Łuczyny „Kompleks” można było oglądać we wrześniu w Galerii Bielskiej BWA. Odbiorcy sztuki wędrowali wraz z artystką po przemysłowej dzielnicy Usti nad Łabą w Czechach. Podczas pokazów wyświetlano kilkanaście różnych filmów, które składały się na wieloekranową projekcję wideo. Jak twierdzi dyrektorka BWA Agata Smalcerz, można było się udać w podróż labiryntem fabryk, składów, murów, zarośli, zaniedbanych ścieżek i zrujnowanych ścian budynków. Było to pretekstem do przywołania labiryntu pamięci i emocji oraz czło-wiecznej bezradności wobec upływającego

czasu. We wrześniu zaprezentowano również wystawę pn. „Alabaster” dr hab. Krystyny Pasterczyk, która m.in. prowadzi pracownię rzeźby w katowickiej ASP. Artystka wykorzystuje m.in. kamień, drewno, goździki, różę, sól, ołów, воск i miód – starając się w swojej artystycznej wypowiedzi zachować ich właściwości.



Zdjęcie pracy Małgorzaty Łuczyny.

Śladami Bieńka

Bielsko-Biała jest przykładem miejscowości, „dzięki której” możemy stale przekonywać się, jak nietrwałe są dzieła sztuki. Ignacemu Bieńkowi cztery lata zajęła budowa mozaikowej, plastycznej kompozycji historycznej przy ul. Leszczyńskiej. Miała 76 m szerokości, 8 m wysokości i obejmowała ponad 600 m². Artysta – przy pomocy m.in. późniejszego pierwszego rektora ASP w Katowicach Michała Klisia – wykonał ją z różnorodnych elementów – kamieni, szkła, metalu, ceramiki. Monumentalne dzieło sztuki zostało zniszczone w nocy z 20 na 21 listopada 2000 r. przez firmę przygotowującą grunt pod budowę Centrum Handlowego „Gemini”. W ramach zadośćuczynienia „Gemini” pokryło koszty stworzenia w miejscu mozaiki popularnego Ignaca muralu autorstwa Leona Tarasewicza. Nowe dzieło powstało w 2009 r. Są to przenikające się wielokolorowe paski poziome, które mają symbolizować cztery pory roku. Paski na ścianie przetrwały zaledwie trzy lata, mimo iż odsłonięcie ich było niezwykle uroczyste i uświetnił je obecnością prezydenta Bielska-Białej. Wydawało się, że jest to pomnik trwalszy od spiżu. Tymczasem na muralu pojawiły się grzyby i pęknięcia. Nietrwałe dzieło sztuki nowoczesnej nie będzie jednak konserwowane. Zostanie zniszczone 1 października br., gdyż „Gemini” się rozbudowuje. Na zniszczenie od dawna przygotowany jest Leon Tarasewicz. Po przebudowie supermarketu artysta ma wykonać następny mural. Wcale jednak nie największy w Europie, jak zapowiadano na konferencji prasowej. Ciekawe, ile przetrwa? Dzieło Bieńka trwało 31 lat, pierwsze dzieło Tarasewicza tylko trzy...

Fot. Krzysztof Morcinek

Jednym zdaniem

■ Od 26 sierpnia do 1 września w Cieszynie odbył się XXI Festiwal Muzyki Wokalnej „Viva il canto”.

■ We wrześniu ukazał się trzeci tom „Szlaku Cieszyńskich Kobiet” Władysławy Magierowej wydany przez Klub Kobiet Kreatywnych oraz Kongres Polaków w RC.

■ W Galerii Baszta i Strzelnica w Zamku Sułkowskich w Bielsku-Białej od 7 września do 30 grudnia potrwa wystawa drzeworytu Jędrzeja Smykowskiego.

■ Od 7 września do 3 października w Galerii B&B w Bielsku-Białej potrwa wystawa prac fotograficznych austriackiego artysty Roberta Tuodeta.

■ 12 września w Książnicy Beskidzkiej w Bielsku-Białej odbyła się promocja książki Mirosława Bochenka „Stare miasto”.

■ W bielskim Centro Italiano do Cultura 14 września otwarto wystawę rzeźby Piero Zambuto.

■ 14 września w bielskiej Galerii Pod Aniolami artystka scen śląskich Krystyna Pryszczak zaprezentowała wieczór poezji Hildegardy Filas-Gutkowskiej „Wróć tu...”

■ 21 września na deskach TL Baniałuka odbyła się premiera „Ballad i romansów” A. Mickiewicza w inscenizacji Pawła Aignera ze scenografią Zofii de Ines.

■ 25 września w Książnicy Cieszyńskiej otwarto wystawę pn. „Głos Wolnej Europy”, której otwarciu uświetniła artystka „Piwnicy Pod Baranami” i redaktorka RWE Barbara Nawratowicz.

■ 25 września w Książnicy Beskidzkiej swoją nową książkę poetycką „Zwabiona kolorem” promowała Krystyna Krzyżanowska-Nastulczyk.

Święto Częstochowy

Po ostatniej burzy w miejskiej kulturze, 20. Dni Częstochowy (24-26 sierpnia) miały dość spokojny przebieg. Uroczystości odbywały się na placu Biegańskiego, za pięć tramwajową w dzielnicy Północ (tu pojawiły się muzyczne gwiazdy – Shamboo z gościnnie występującym Januszem Yaniną Iwańskim, Sylwia Grzeszczak z zespołem oraz Kora) a także na Rynku Wieluńskim. Była to również okazja, by Prezydent Miasta wręczył nagrody w dziedzinie kultury – w kategorii Teatr i film: Ewie Agospowicz-Kuli (aktorce Teatru im. Adama Mickiewicza), Ochrona i promocja kultury: Ewie Powroźnik (Prezesce Stowarzyszenia Plastyków im. Jerzego Dudy-Gracza), Literatura i historia: Zbysławowi Janikowskiemu (pisarzowi, który w grudniu ubiegłego roku promował książkę „Częstochowa między wojnami”), Muzyka i taniec: Jackowi Woszczyźnie (instrumentaliście), Sztuk plastycznych: Jacentemu Dędkowi (fotografikowi, współpracującemu m.in. z National Geographic). Mecenasem Kultury został Orbis S.A. Oddział Hotel Mercure – Patria.

W OPK Gaude Mater odbył się wernisaż 7. Międzynarodowego Biennale Miniatury, konkursu adresowanego do profesjonalnych malarzy, rysowników, grafików i fotografików, połączony z wręczeniem nagród. Jury w składzie: prof. Ewa Zawadzka (przewodnicząca), dr Aleksandra Krypczyk (Galeria Sztuki Polskiej XIX wieku w Sukiennicach), dr hab. Łukasz Konieczko (ASP Kraków), Wojciech Beszedra (fotograf), spośród 796 prac 281 autorów z 22 krajów (m.in. z Meksyku, Japonii, Urugwaju i Tajwanu) zakwalifikowało na wystawę 243 prace 135 autorów (w tej grupie znaleźli się częstochowianie: Monstfur, Andrzej Desperak, Agnieszka Półrola). Przyznano 4 nagrody i 10 wyróżnień. Grand Prix ufundowane przez Prezydenta Miasta wręczono po raz drugi Magdalenie Szczesniał, wychowance krakowskiej ASP, za prace wykonane techniką mieszana „Sereg” oraz „Czarna linia”. Pierwszą nagrodę otrzymała Joanna Patys za „Elementy modernistyczny 1–2–3”, drugą – Maria Koldryn za „Trawy i korzenie”, trzecią – Jarosław Grukowski za „Przełom poprzeczny przez wnętrza chmur”. Dyplom honorowy Rady Artystycznej ZPAF otrzymał Mistrz Nieśyto. Komisarzem wystawy była Justyna Warwas-Kozak, zastępując na tym stanowisku Bartosza Frączka, pomysłodawcę konkursu.

Kolejną atrakcją weekendu była prezentacja zawodników AZS Częstochowa i nowego sponsora Wkręt-met. Rozstrzygnięto również konkurs na najładniej ukwiecony balkon. Poza tym odbył się XXVII Częstochowski Rajd Pojazdów Zabytkowych, VII Jarmark Kapel Podwórkowych (m.in. z Grupą Romana, która na XV Festiwalu Łączna 2012 zdobyła wyróżnienie oraz nagrodę publiczności) oraz Jurajski Jarmark Staroci.

Podczas rodzinnego pikniku nie mogło zabraknąć wspomnień oraz wspólnego oglądania zdjęć. 25 sierpnia w OKF „Iluzja” odbyła się premiera filmu „Częstochowa 1962” zmontowanego przez Krzysztofa Kasprzaka (filmowca i dokumentalistę Częstochowy) z zachowanych filmów dokumentalnych z lat 60. – „Dwa oblicza miasta i Częstochowa jakiej nie znacie”, zrealizowanych na zamówienie ówczesnych władz miasta przez Wytwórnę Filmów Oświatowych. Narratorem został Gracjan Respondek z Radia FIAT. To ówczesna Częstochowa w pigułce, eks-trakt propagandowy miasta liczącego wtedy ponad 166 tysięcy mieszkańców. Uwieczniono pomnik ku czci Armii Radzieckiej na placu Marcelego Nowotki, Hutę Częstochowa, budowę filharmonii, osiedla Raków i Tysiąclecie, Wydział Maszyn Politechniki Częstochowskiej, klub Filutek i Studnia, plac Biegańskiego, okolice Jasnej Góry, Wałów Dwernickiego, fragment spektaklu „Krotochyle miłosne”, szlaby kin Tęcza i Hutnik, a także Bibliotekę Publiczną, w której można rozpoznać Halinę Poświatowską.

Można co najwyżej życzyć sobie, by Częstochowa wciąż się rozwijała i by nie zabrakło nominowanych do corocznych nagród kultury...

JOANNA KOTKOWSKA

CZĘSTOCHOWA NOTATNIK KULTURALNY

Soplicowo w Altanie

Częstochowa włączyła się w Narodowe Czytanie Pana Tadeusza zainicjowane przez prezydenta RP Bronisława Komorowskiego. Organizatorzy (Wydział Kultury, Promocji i Sportu Urzędu Miasta oraz Biblioteka im. dra Władysława Biegańskiego) zaprosili do głośnej lektury dwunastu ksiąg epopei narodowej przedstawicieli władz oraz instytucji kulturalnych, których patronem jest Adam Mickiewicz. Byli więc aktorzy, uczniowie V LO, przedstawiciele Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza, ale również pracownicy Muzeum, lokalnych mediów, Biblioteki oraz studenckiego teatru „nałana”. Inwokację przeczytał o 9.00 prezydent Krzysztof Matyjaszewski.

Czytanie odbywało się w altance w parku im. S. Staszica u stóp klasztoru paulinów, w pobliżu „Panny Świętej, co jasnej broni Częstochowy”. Altankę przybrano pięknymi kompozycjami kwiatowymi, białymi koronkowymi wstążkami oraz lampionami, co tworzyło nastrój sielski, a nocą wyznaczało prawdziwe „centrum polszczyzny”. W takiej scenarii wykonawcy mierzyli się z regularnym trzynastozgłoskowncem. W przerwach między czytaniem kolejnych ksiąg odtworzano muzykę oraz słuchano występów uczniów Zespołu Szkół Muzycznych. Każdy z uczestników mógł otrzymać tego dnia pamiątkową pieczęć przesłaną z kancelarii Prezydenta RP.

Niewielu słuchaczy dotrwało do końca (impreza zakończyła się po północy), ale głośne czytanie nie zastąpi przecież lekcji historii ani lekcji języka polskiego, o czym powinni pamiętać decydenci.

Wspólnota podróżników

Najpierw była Turcja i rozpoznanie w swoich zdjęciach rysunków oglądanych u stryja Antoniego Nowotarskiego, architekta i rysownika. To zachęciło Lecha Nowotarskiego, wykładowcę Politechniki Częstochowskiej, by po 30 latach wyruszyć na Wschód śladami przodka i jego szkieletownika. Do wspólnej podróży zaprosił przyjaciół – plastyków Elżbietę i Lecha Ledeckich, a spotkana w czasie podróży Zuzanna Abrysowska-Luty (także architekt) pisała wiersze. Tak powstała wielotworzywowa i dwupokoleniowa wystawa *Indie i Nepal w pięciu elementach*, którą w lipcu i sierpniu można było oglądać w Sali Poplenerowej i Antresoli MGS-u. Wliczając stryja, niejako inicjatora tej wyprawy, było ich pięcioro, co odpowiadało liczbie żywiołów i dawało nadzieję ogarnięcia świata.

Wystawa jest ciekawą konfrontacją współczesnego, wyedukowanego Europejczyka z egzotyką Wschodu. Turyści przed wyprawą znają

obowiązujący stereotyp, orientują się, czym jest kamasutra czy nirwana. Niektóre świadectwa ujawniają jednak żywiołowość spotkania... Podczas gdy stryj Nowotarski koncentrował się na zabytkowych budowach, współcześni wędrowcy próbowali dotknąć ducha Wschodu (obrazy Ledeckiego *Duch Indii*, *Żywioty Indii*, *Nirwana*) i w zdjęciach zatrzymać ulotne wrażenia. Sala Poplenerowa aż skrzy się od jasnych, nasyconych barw. Modelkami zdjęć i obrazów często są kobiety, nazwane motylami. Nowotarski natomiast świadomie powtarza prace stryja i chętnie odnajduje różnice między nimi – odbudowana kolumna, inny poziom Gangesu, co przyczyniło się do zmiany perspektywy.

Miejska A2

Nie jest to wymarzone oznaczenie autostrady, ale druga odsłona projektu ART. eria. Artysty nie tylko częstochowscy po raz kolejny postanowili skonfrontować się z odbiorcą (spróbującym albo krytycznym). Jak w zeszłym roku trasę opisywała mapka, ale również atrakcyjna była podróż odkrywczy, gdy doświadczano się niespodziewanej obecności przedmiotów i instalacji. Izabela Łęska postawiła obok ławeczki Haliny Poświatowskiej kolorowe łóżko przyozdobione kolczastymi poduszkami.

Rok temu więcej prac zdobyło wystawy sklepowe. Tym razem głównym miejscem działań artystycznych był plac Biegańskiego oraz deptak w III Alei. Tu Marta Frej i Tomasz Kosiński spoczęli w szklanych trumnach jako *Wiecznie żywi*, tu Anna Wójcik i Sławek Kuśmierz stworzyli instalację *Las*, a Marta Pszonak ustawiła swój *Samolot*. Tu wreszcie odbyły się koncerty Ace of Space, Krzyż: Kross, The Complainers & Iron Noir. Sklepową wystawę wybrali jedynie Iwona Demko oraz Bartek Jarmoliński. Większą popularnością cieszyły się murale – Monstfur, Egon Fietke, Anna Wójcik i Tomasz Rolniak, na które farby zbierano także na Facebooku.

W porównaniu z poprzednim rokiem mniej było happeningów i działań teatralnych. Uzupełnieniem spotkania była natomiast niedzielną południowa dyskusja w Centrum Promocji Młodych o kulturze z Naczelnikiem Wydziału Kultury, lokalnych oraz ogólnopolskich mediów.

Narodowe dożynki

31 sierpnia wystartowała 21. Krajowa Wystawa Rolnicza wraz z korowodem ciągników, 13. Dni Europejskiej Kultury Ludowej oraz Festiwal Produktów Tradycyjnych i Lokalnych. W tym czasie można było obejrzeć zwierzęta hodowlane, maszyny rolnicze, poproszować i kupić wyroby regionalne. Były hafty, zabawki z drewna, gliniane garnki. Imprezę koordynowała z OPK „Gaude Mater” Magdalena Winkler. Z zespołów folklorystycznych wystąpiły m. in. Zespół Pieśni i Tańca „Częstochowa”, Zespół Folklorystyczny „Grup Meditterania” z Hiszpanii, Grupa Folkowa „Mindre” z Litwy oraz Zespół Taneczny „Grandinele” z Litwy, Akademicki Zespół Pieśni i Tańca „Iskra” z Czarnogóry. W ROK-u odbył się wernisaż fotografii Roberta Garstki *Świat obok nas*.

W dożynkach (2 września) wziął udział prezydent RP Bronisław Komorowski oraz około 50 tysięcy rolników. Homilię wygłosił abp Józef Michalik.

Jednym zdaniem

■ W Wejściówce oglądać można prace Jolanty Madej z Janowa; głównym ich motywem jest Jura i kwiaty...

■ W Lełowie, miejscu spoczynku cadyka Dawida Bidermana (Lełowera), odbyło się Święto Ciulimu i Czulentu. Można było spróbować gęsię pipek, gęsię smalcu czy śliwownicy. W tym roku wystąpił Golec uOrkiestra, Chmielniki, zespół Acoustic Acrobats oraz Leopold Kozłowski.

■ W Olsztynie odbył się 5. Turniej Ryckiski o Szablę Kapra Karlińskiego. Była parada ryckerszy, pokazy sokolników, kaskaderów konnych, szturm na zamek. Współorganizatorem imprezy było Muzeum Pałac w Wilanowie. Można było więc zobaczyć także „latającą drukar-

nię królewską” z czasów Konstytucji 3 maja, sposób wybijania monet z XVII wieku czy królewską kuźnię wojenną, gdzie wykonywano potrzebne sprzęty.

■ U Jagiellończyków zagrał zespół Łzy, a dla dzieci Stokrotki i warszawscy aktorzy z *Czerwonym kapurkiem*.

■ Na początku września 2012 w Złotym Potoku odbyło się spotkanie poświęcone 200. rocznicy urodzin Żygmunta Krasińskiego.

■ W Galerii Muskalskiego Czas Podróży fotografie lasu w Kalifornii *General Sherman i jego żołnierze*, a w „Pracowni otwartej” Władysława Ratusińskiego prace Kamila Pawlika i Marcina Jędryki.

Jam sessions „pod saksofonem” Zbyszka Kalety

Czeskocieszyński klub „Dziupla”, dziś lokal Stowarzyszenia Młodzieży Polskiej w RC, zawsze stawiał na dobrą muzykę. Nie tylko na rocka lub bluesa, ale zawsze, już od 60. lat ubiegłego wieku, kiedy „Dziupla” się zrodziła, grano tu też dobry jazz. I ta tradycja powraca: od października odbywać się tam będą jam sessions. Zawsze wieczorem w pierwszy piątek każdego miesiąca. I to pod batutą, a raczej „pod saksofonem” Zbyszka Kalety.

36-letni Zbigniew Kaleta pochodzi z Bystrzycy, mieszka obecnie w Czeskim Cieszynie. Jego kwartet jazzowy to dla cieszyńskich żądna nowość. Oprócz klarnetu gra na saksofonach: altowym i tenorowym. Od kilku lat prowadzi kapelę Zbigniew Kaleta Quartet, w której grają ponadto: Jan Kyjovský – gitara, Lukáš Mužík – gitara basowa oraz Samuel Bocek – perkusja, przyjaciele-muzycy z Czeskiego Cieszyna, Ostrawy i Opawy.

– „Działamy głównie na ostrawskiej scenie jazzowej” – mówi Zbigniew Kaleta. – „Gramy jazz „elektryczny”, tzw. fusion. Naszymi wzorami są przede wszystkim: John Coltrane, Michael Brecker, Chick Corea i jego kapela Return to Forever lub amerykańscy jazzmani: Bob Mintzer, Bob Berg, Chris Potter...”

Kaleta wspomina, że jazzem zaczął się interesować już w ostrawskim konserwatorium, chodził na koncerty do ówczesnego głośnego klubu „Blanik”, tuż koło Domu Kultury Witkowie. – Niestety, w końcu ten klub zamknięto. Ale był nowy klub „Parnik”, do którego przeniosło się ostrawskie życie jazzowe. A tam już nie tylko byłem słuchaczem, ale też tam grałem. A podstawy jazzu odkrywałem u swoich wybitnych nauczycieli: Františka Mixy (reżysera dźwięku w Radiu Czeskim w Ostrawie i wicedyrektora ostrawskiego konserwatorium) oraz Jerzego Jarosika, Marka Podkowy i Jerzego Głowczewskiego (to już w Katowicach). Byli też wybitni saksofoniści: Piotr Baron, Maciej Sikata – opowiada młody jazzman.

Zbyszek Kaleta doskonale wie, że Zaolzie, a zwłaszcza Czeski Cieszyn od dawna są jedną ze stolic czeskiego i polskiego jazzu. – Grywałem nawet z założycielem czeskocieszyńskiego Jazz Q, Franciszkiem Schulhauserem, podczas jego jubileuszu. Do dziś z tą kapelą współpracuję. Bardzo mnie to ucieszyło, że mogę grać z takimi legendami nadolziańskiego jazzu – podkreśla.

Mówi, że cieszy go, że może grywać w „Dziupli”, w której jazz gościł od założenia klubu, czyli od lat 60. XX wieku. – Dlatego pomyślałem o tym, że warto tam ściągnąć jazzmanów z całego regionu, nie tylko z okolic Cieszyna, ale też z bardziej odległych terenów. No i pograć sobie razem, żeby przypomnieć utwory największych sław jazzu. I nie tylko, bo też bluesa czy rocka. Przecież jeden z największych gitarzystów naszego regionu, Sępian Gzikim, z którym też miałem okazję zagrać, to muzyk, któremu żaden styl nie jest obcy. Mam nadzieję, że chętnie przyjdzie na każdy nasz jam – dodaje Kaleta.

Pierwszy „kaletowski” jam session odbędzie się w „Dziupli” w piątek 5 października, kolejny zaś 2 listopada. – A zapraszam już wszystkich na grudniowe spotkanie, bo to będzie takie nasze jazzowe kołędowanie – zapewnia Zbigniew Kaleta.

JACEK SIKORA

ZAOLZIE NOTATNIK KULTURALNY

Europa Jagiellonica

Jeden z największych projektów wystawowych w Czechach, trwający od 20 maja, dobiegł końca w ostatnią niedzielę września. Zakończyła się międzynarodowa wystawa „Europa Jagiellonica” w Kutnej Horze, która pokazywała niespełna 300 średniowiecznych eksponatów pochodzących z Europy środkowej, wypożyczonych z wielu znanych placówek muzealnych Europy i USA.

Chodziło o eksponaty Muzeum Narodowego w Pradze, Muzeum Narodowego w Warszawie i Zamku Królewskiego w Warszawie, krakowskiego Wawelu i Gdańska, czy też niemieckiego Domu Historii Brandenburgii i Prus oraz Humanistycznego Centrum Historii i Kultury Europy Środkowej i Wschodniej z Lipska. Honorowy patronat sprawowały nad wystawą ministerstwa spraw zagranicznych Czech, Polski i Niemiec. Eksponaty wypożyczyły też słynne muzea w Londynie, Paryżu, Madrycie, Wiedniu i Budapeszcie. Partnerską instytucją projektu był m.in. Instytut Polski w Pradze.

Malarstwo, rzeźby, manuskrypty, dzieła rzemiosła artystycznego – wszystko z epoki Jagiellonów – prezentowano przede wszystkim w dawnym seminarium jezuickim w Kutnej Horze (dziś Galeria Województwa Środkowocieskiego), a towarzyszyło jej wiele innych wystaw i najróżniejszych programów i imprez w całej RC. Autorem wystawy jest Jiří Fajt, przygotował on też inną międzynarodową wystawę – „Karol IV cesarz z łaski Bożej”, którą w latach 2005-2006 w Metropolitan Museum w Nowym Jorku i na Zamku Praskim obejrzało ćwierć miliona widzów.

80-lecie schroniska na Girowej

Ponad 550 turystów spotkało się w piątek 28 września na Girowej, gdzie świętowano 80-lecie schroniska. Obchody zorganizował Klub Czeskich Turystów, który w 1932 roku – jako karwiński oddział Klubu Czechosłowackich Turystów, był inicjatorem budowy obiektu.

Kolejnych dziesięcioleci istnienia i służenia turystom schronisku życzyli nie tylko

przedstawiciele zaprzyjaźnionych organizacji turystycznych, jak Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze Oddział „Beskid Śląski” w Cieszynie czy Klub Słowackich Turystów, ale także przedstawiciele władz gminnych – wójtowie Bukowca, Hyczawy i Mostów koło Jablonkowa.

Wspominano głównego pioniera ówczesnego ruchu turystycznego Leopolda Dražila. Odsłonięcie tablicy pamiątkowej na ścianie budynku powierzono Bronisławowi Schulhauserowi z Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Sportowego „Beskid Śląski” w RC, którego rodzice zarządzali schroniskiem niemal trzydzieści lat, a on sam spędził tam wraz z bratem dzieciństwo.

Klub Czeskich Turystów zaprosił także do współorganizacji jubileuszu działaczy PTTS „Beskid Śląski”, których głównym zadaniem było pokazanie niezwykle urokliwych wychodni skalnych znajdujących się nieopodal schroniska, zwanych Diabliem Młynem, oraz zapoznanie turystów z historią i legendami tego miejsca. Czas spędzony przy schronisku umilała turystom kapela „Olza” i ognisko.

Przyjechali z Czech, Moraw i Śląska

Górnosuskie „Fedrowani z folklorym”, które odbyło się w sobotę 22 września w Domu PZKO w Suchej Górnej, jest obecnie największym przeglądem zespołów folklorystycznych w „dolańskiej” części Zaolzia. Podczas tegorocznej edycji wystąpiły zespoły z Pragi, Brna, Ostrawy oraz – oczywiście – „Suszanie” i „Chórek” MK PZKO w Suchej Górnej. Szczególnie oczekiwanym gościem był natomiast Zespół Pieśni i Tańca „Śląsk” im. Stanisława Hadyny. Przedstawił on polskie tańce narodowe, zaprosił publiczność w muzyczną „Podróż po Polsce”, nie pominął swoich najbardziej znanych śląskich utworów.

Inauguracja przeglądu miała, jak co roku, górniczą oprawę. Z górniczymi sztandarami wmaszerowała do sali Domu Robotniczego miejscowa orkiestra „Hasićanka”. Tym razem jej członkowie wymienili mundury strażackie na górnicze. Każdy z biorących udział w „Fedrowaniu” zespołów wydelegował jedną parę tancerzów, która musiała przejść przez specjalne „przeszkolenie górnicze”. Dowcipnie i z połosem prowadzili wieczór Agata Rzyman i Wojciech Kadłubiec.

Główni organizatorzy imprezy: Marian Weiser i Jan Mračna, otrzymali w trakcie wieczoru wysokie odznaczenia PZKO: Mračna srebrną, Weiser złotą odznakę.

Jednym zdaniem

■ Zespół „Suszanie” wyjechał do Toskanii we Włoszech. Folklor z Zaolzia bardzo się tam spodobał. Celem włoskiego wyjazdu był głównie udział w Międzynarodowym Festiwalu Folklorystycznym „Tirrenia”, w którym wystąpiło osiem zespołów folklorystycznych: po dwa z Grecji, Bulgarii i Czech oraz po jednym z Turcji i Włoch.

■ W studiu koncertowym Polskiego Radia im. Witolda Lutosławskiego w Warszawie, w ramach festiwalu muzycznego „Warszawska Jesień”, odbyła się uroczystość wręczenia corocznych nagród Związku Kompozytorów Polskich. Wśród trzech wyróżnionych w tym roku twórców jest pochodzący ze Śląska Cieszyńskiego Roman Berger – kompozytor, pianista, muzykolog i filozof.

■ Jubileuszową wystawę „Głos Wolnej Europy” można zobaczyć również w Cieszynie. Ekspozycja, która po raz pierwszy została zaprezentowana w siedzibie Senatu RP w Warszawie 3 maja br., czyli dokładnie w 60. rocznicę uruchomienia Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa, trafiła na Olzę dzięki inicjatywie posłanki Aleksandry Trybuś i senatora RP Tadeusza Kocupa.

■ Tablicę interaktywną poświęconą wybitnemu założycielowi i właścicielowi drukarni nad Olzą, Karolowi Prochascie, odsłonięto 24 września przy ulicy Głównej w Czeskim Cieszynie. Zna-

lazła swoje miejsce tuż pod oknami drukarni. To już czwarta tablica, która w przyszłości z podobnymi instalacjami stworzy „Śląk tolerancji”.

■ Tytuł „Perty Podbeskidzia” otrzymała w niedzielę 23 września Małgorzata Kiereś, znana etnograf z Istebnej, przewodnik beskidzki, autorka książki o górskich tradycjach i jednocześnie szefowa Muzeum Beskidzkiego w Wiśle. Stało się to podczas odbywającego się w Bielsku-Białej trzeciego Kongresu Kobiet Podbeskidzia, zorganizowanego przez Stowarzyszenie Ewa-Maja-Krystyna.

■ Od stycznia stolica naszego regionu, Ostrawa, może się pochwalić nowym ośrodkiem kultury. To Galeria „Rubrum”, nazywana też „Tajną karczmą”, w ostrawskiej dzielnicy Przywóz. Prowadzą ten ośrodek Elli i Ivan Motylowie z Hulczyna, którzy już wcześniej prowadzili podobną instytucję kulturalną – tzw. Czerwony Kościół, która mieściła się w byłym hulczyńskim kościele ewangelickim.

■ Społeczność Ligotki Kameralnej nie jest obojętna na losy 8-letniego Alexandra, którego matka zmarła 11 września w wyniku zatrucia metanolem, a dziadek wciąż leży w stanie krytycznym w Szpitalu Podlesie w Trzycu. Miejscowy zbor ewangelicki we współpracy z gminą założył rachunek o nazwie „Sasza”, na który można przekazywać dary pieniężne.

Urodzinowy koncert

Koncertem nadzwyczajnym w dniu 15 września 2012 r. w wypełnionej po brzegi sali Filharmonii Narodowej, stolica uświetliła 80. urodziny **Wojciecha Kilara**.

Orkiestra i Chór Filharmonii Narodowej pod batutą Jakuba Chrenowicza wykonała entuzjastycznie przyjęte cztery kompozycje Jubilata: *Kościelec 1909*, *Angelus* z udziałem b. solistki Opery Śląskiej w Bytomiu **Małgorzaty Kneć-Ajdukiewicz** – sopran, *II Koncert fortepianowy* w wykonaniu **Beaty Bilińskiej** – absolwentki Akademii Muzycznej im. K. Szymanowskiego w Katowicach i *Exodus*.

Po koncercie długo trwała burza oklasków a potem – jakże by inaczej – odśpiewano Jubilatowi gromko: *Sto lat*.

Ważne nagrody

Zdobywcą równorzędnej głównej nagrody 18. Ogólnopolskiego Konkursu na Wystawienie Polskiej Sztuki Współczesnej, organizowanego przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego, przy współudziale Instytutu Teatralnego w Warszawie, wręczonej w dniu 18 września br. został **Teatr Polski w Białymostku** za spektakl „Zbrodnia” wg scenariusza Michała Buszewicza (na podstawie „Zbrodni z premedytacją” Witolda Gombrowicza) wyreżyserowany przez **Ewelinę Marciniak**. Oprócz nagrody zespołowej, nagrodę otrzymała również jego reżyserka, a także **Jaśmina Polak** (jeszcze studentka PWST w Krakowie) za brawurowe zagranie roli córki – Cecylii w tym przedstawieniu.

W tym samym konkursie nagrodę za rolę Generala w wyróżnionym przedstawieniu „Generał” Teatru Imka otrzymał **Marek Kalita**. On też, razem z **Aleksandrą Popławską**, otrzymał wyróżnienie za reżyserię tego przedstawienia. Dwie nagrody zdobył Teatr Łalki i Aktora im. A. Smolki z Opola: **Robert Jarosz** za tekst przedstawienia „Wnyk” a **Bogusław Kierek** za jego reżyserię.

55. Warszawska Jesień

Także w tegorocznej edycji już 55. Międzynarodowego Festiwalu Muzyki Współczesnej Warszawska Jesień (21-29 września 2012 r.) nie brakuje kompozytorów, zespołów i wykonawców ze Śląska. W kolejności występów pierwsza pojawiła się **Aukso – Orkiestra Kameralna Miasta Tychy** pod dyktando **Marka Mosia**. Potem niezwykle ważne zadanie zaprezentowania m.in. nowej kompozycji Pawła Szymańskiego *Phylakterion* – misterium zainspirowanego tekstami wczesnego chrześcijaństwa w języku greckim przypadło w udziale **Zespołowi Śpiewaków Miasta Katowice Camerata Silesia**, z **Tomaszem Orlov** (organy) **Arkadiuszem Kucem**, **Bartłomiejem Mertą** i **Tomaszem Rawskim** (perkusja), pod dyktando **Anny Szostak**. Natomiast

Nasi w Warszawie (35)

Orkiestra Symfoniczna Filharmonii Narodowej wykonała kompozycję zmarłego w 2001 r. **Witolda Szalonka** *Musica concertante*. Tradycyjnie też wystąpiła na Warszawskiej Jesieni **Orkiestra Muzyki Nowej**, pod dyktando **Szymona Bywalca** – zespół kameralistów utworzony w 1996 roku przy Akademii Muzycznej w Katowicach specjalizujący się w wykonywaniu muzyki współczesnej. Warszawską Jesień zakończył koncert **Narodowej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia** w Katowicach, którą poprowadził bardzo popularny dyrygent **Lucas Vis**. NOSPR wykonała w programie koncertu dwa utwory kompozytorów ze śląskim rodowodem, *Loses* zabrzanki **Joanny Woźnej** oraz *The Body* bytomianina **Krzysztofa Wolka**.

Hity nowego sezonu

Nowy sezon teatralny w stolicy zapowiada się bardzo interesująco także na skutek udziału w nim artystów wywodzących się ze Śląska. Na przykład **Aleksandra Popławska** ma na małej scenie Teatru Powszechnego przygotować adaptację książki Izy Kuny *Klara*, zaś w Teatrze Nowym w koprodukcji z Teatrem Imka, ma wystąpić w głównej roli w sztuce **Hanocha Levina** *Ichś Fischer*, wyreżyserowanej przez bytomianina **Marka Kalitę**.

Również w Teatrze Imka **Arkadiusz Jakubik**, jako scenarzysta i reżyser, przymierza się do *Hanby Tupelo* kameralnej rock opery według piosenek **Nicka Cave’a**.

Rafał Maćkowiak zapowiadany jest w premierze *Nietoperza* na motywach *Zemsty nietoperza* **Johanna Straussa** w TR Warszawa, którego dyrektorem jest **Grzegorz Jarzyna**.

W zespole aktorskim Teatru Studio, którego dyrektorką artystyczną została wrocławianka **Agnieszka Glińska**, nazywana *królową warszawskich teatrów*, znajdujemy **Krzysztofa Strońskiego** i **Łukasza Simlata**. Na pracę w tym teatrze udało się namówić **Agatę Buzek**, która ma wystąpić w nowych sztukach rosyjskiego dramaturgisty **Iwana Wyrypajewa**.

Groniec i Przemyk w Stodole

Zabrzanka z urodzenia **Katarzyna Groniec** oraz bielszczanka **Renata Przemyk** zaproszone zostały na koncerty w Centralnym Klubie Studentów Poli-

techniki Warszawskiej do popularnej „Stodoły”. **Katarzyna Groniec** 22 października 2012 roku zaś **Renata Przemyk** 23 października br. i jako gość **T. LOVE** w czasie promocji płyty *Old is Gold* tego zespołu 23 listopada 2012 r.

Anna Janko o miłości

W stołecznym Traffic-Club przy Brackiej 25 miała miejsce promocja książki *Pasja według św. Hanki*, której autorką jest uznana poetka i pisarka **Anna Janko** (ur. w 1957 roku w Rybniku). Po udanym debiucie prozatorskim *Dziewczynny z zapalkami* (2007 r. za którą między innymi otrzymała w 2008 r. nagrodę im. W. Reymonta) pisarka poszła za ciosem i wydała kolejną powieść. Jest to opowieść o potężnej sile miłości, która potrafi zarazem tworzyć i niszczyć, prowadzić na szczyty egzystencjalnych przeżyć, ale też zepchnąć na dno, nawet w pobliże śmierci.

Zbigniew Cybulski wiecznie żywy

Tragicznie zmarły w 1967 roku we Wrocławiu i pochowany na cmentarzu przy ul. Sienkiewicza w Katowicach, wybitny aktor filmowy i teatralny **Zbigniew Cybulski**, ciągle ma licznych i wiernych fanów. Od 9 – 16 lipca 2012 r. w Forcie Sokolnickim w Warszawie odbył się przegląd filmów z jego udziałem, w odrestaurowanej wersji cyfrowej. W czasie przeglądu przypomniano: *Do widzenia, do jutra*, *Giuseppe w Warszawie*, *Jowitę*, *Salto*, *Pociąg*, *Niewinnych czarodziejów*, *Pociąg i diament*, oraz *Rękopis znaleziony w Saragossie*.

Eryk Lubos nagrodzony

Na zakończonym 7 lipca 2012 roku 47. Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Karlowych Varach, nagrodę za najlepszą rolę męską odebrał **Eryk Lubos**, aktor TR Warszawa, urodzony 6 września 1972 roku w Tamowskich Górach. Była to rola w filmie **Jana Jakuba Kolskiego** *Zabij bobra*, w którym zagrał rolę żołnierza, który po powrocie z Afganistanu nie jest w stanie odnaleźć się w życiu. **Eryk Lubos** aktor związany ze **Zbigniewem Jarzyną** jest często określany jako największy twardek polskiego kina akcji.

Ale się porobiło!

Ireneusz Król (l. 49) śląski biznesmen, absolwent Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Śląskiego, od 2000 r., prezes Zarządu i Dyrektor Naczelny IDEON SA. w Katowicach, i do tego już właściciel pierwszoligowego klubu piłkarskiego GKS Katowice, kupił zasłużone dla polskiej piłki nożnej „czarne koszule” czyli grającą w ekstraklasie warszawską Polonię i ma zamiar zaprowadzić w tym klubie porządek.

JAN COFAŁKA

Pierwsi pedagodzy Katowickiej Akademii Sztuk Pięknych byli wybitnymi osobowościami. Pochodzący z różnych stron Polski graficy i malarze, tacy jak m.in. Leon Dołżycki, Aleksander Rak, Rafał Pomorski, Bogusław Górecki, Stanisław Gawron, Roman Starak czy Józef Mroszczak, przyczynili się nie tylko do powstania uczelni, pomogli także wykształcić, pomimo trudnych politycznie czasów, kolejne pokolenia śląskich, wybitnych twórców.

Niezwykle ważną rolę w historii śląskiego środowiska plastycznego odegrał Leon Dołżycki, wybitny artysta, profesor i dziekan ówczesnej katowickiej filii ASP w Krakowie.

Syn Anny i Adama Dołżyckich, urodził się 20 marca 1888 r. we Lwowie. Tam też uczęszczał do seminarium nauczycielskiego, które ukończył egzaminem maturalnym w 1907 r. Po maturze podjął naukę w krakowskiej ASP. Tam studiował do 1912 r., pod okiem tak wybitnych artystów jak Ferdynand Ruszczyc, Józef Mehoffer czy Józef Unierzyski. W latach 1910–1911 odbył podróż do Wiednia, Monachium i Włoch, a następnie do Paryża, gdzie przebywał najdłużej. Miasto to wywarło na nim ogromne wrażenie, studiował tam dzieła impresjonistów i kubistów. Miały one duży wpływ na jego ówczesną twórczość. Już wtedy, w 1911 roku, otrzymał nagrodę i srebrny medal za akt. W tym samym roku został też zatrudniony jako nauczyciel w krakowskiej Państwowej Szkole Wyższej. Praca ta rozpoczęła jego działalność pedagogiczną, którą przez kilkadziesiąt kolejnych lat prowadził równoległe z własną drogą artystyczną. W 1912 r. powrócił do Lwowa. Tam również uczył rysunku. Jego debiut jako samodzielnego, młodego artysty odbył się w 1913 r., kiedy to wystawił obrazy w Salonie TZSP w Warszawie, a następnie na I Wystawie Polskiego Malarstwa w Stanisławowie. W tym okresie swojej twórczości, wierny był zasadom francuskiego postimpresjonizmu, zajmował się też grafiką. Kres spojrzeniu życia we Lwowie położyła I wojna światowa. Dołżycki wstąpił w 1914 r. do Legionów Polskich. Trudy wojny odbiły się na zdrowiu artysty, jego stan pogarszał się, co wpłynęło na decyzję przelożonych, aby zwolnić go ze służby wojskowej. W 1916 r. młody artysta powrócił więc do Lwowa i do pracy pedagogicznej. W 1919 r. wyprowadził się do Poznania. Tam został scenografem Teatru Wielkiego. Jego dekoracje zdobiły pamiętny, inaugurujący działalność poznańskiej opery po wojnie, spektakl „Halki”. Przez kolejne lata artysta przygotowywał scenografie do wielu oper, operetek i baletów. Opracował również kilka dekoracji do wystawionych na tej scenie fragmentów m.in. „Legionu” i „Wieczoru Trzech Króli”. Jego scenografie budziły wielki podziw, zachwycały pomysłowością i kompozycją całości. Lata te były też ważne dla jego twórczości malarzkiej. Od 1918 r. współtworzył on ugrupowanie Formistów, angażując się intensywnie w działania grupy, między innymi zorganizował we Lwowie pierwszą prezentację ich prac. Formiści odrzucali naturalizm, skupiali się na formalnej budowie dzieła. Wykorzystywali dokonania zachodniej awangardy i zestawiali je w swoich pracach z elementami ludowej sztuki polskiej (głównie podhalańskiej), która cechowała się kompozycyjnym rytmem i geometryzacją. Malarstwo Dołżyckiego z tego okresu charakteryzuje oszczędna kolorystyka, w której przeważają odcienie szarości, ugray i „złamane” zielenie. Jego prace miały syntetyczną, geometryzującą, ale równocześnie dynamiczną formę, obwiedzioną mocnym konturem. Wspólna dla nich wszystkich była ekspresja wyrazu.

Twórcy katowickiej ASP



Leon Dołżycki w obiektywie Anny Chojnackiej („Śląscy plastycy i ich dzieła”).

Leon Dołżycki

Przykładem jest olejny obraz artysty pt. „Rozmowa”. Znajduje się on obecnie w zbiorach Muzeum Narodowego w Krakowie i jest uważany za jedno z jego najwybitniejszych dzieł. Płótno jest dość duże, ma wymiary 99 x 73 cm. Widzimy na nim dwóch mężczyzn siedzących przy niewielkim stole, w pozach oddających skupienie i głębokie zamyślenie. W tle fragment półki z książkami i zielonej zasłony. Całe przedstawienie jest uproszczone, syntetyczne. Kolorystyka stonowana, będąca jakby jedynie dopełnieniem intensywnego, czarnego konturu, który w ekspresyjny sposób konstruuje całość. Pomimo formistycznych założeń, nie można oprzeć się wrażeniu, iż to jednak treść tej pracy – tytułowa rozmowa, a nie sama forma pracy, były dla artysty najważniejsze. To, w jak niezwykle sposób udało mu się uchwycić porozumienie, więc pomiędzy dwójką młodych mężczyzn, siedzących w ubogiej i ciasnej przestrzeni pokoju, pozostaje na długo w pamięci.

Artysta współpracował z Formistami do 1920 roku. Kilka lat później, w 1925 r. został współzałożycielem grupy „Plastyka”, skupiającej artystów wielkopolskich. Brał czynny udział w jej wystawach, które odbywały się w latach 1926–1929. W tym czasie w jego malarstwie przeważały pejzaże i tematyka sportowa. W pracach tych wciąż widoczna była wąska gama barwna oraz zwarta kompozycja. Jego obrazy można było wtedy oglądać też na wystawach takich grup jak: „Awangarda” (1930), „Jednoróg” (od 1930) czy „Nowa Generacja” (1932). W kolejnych latach otrzymał nagrody w Salonach IPS-u (1933 i 1937 r.). Uczestniczył w licznych wystawach krajowych i we wszystkich organizowanych przez powstałe w 1926 r. Towarzystwo Szerzenia Sztuki Polskiej Wśród Obcych. Jego prace wystawiano m.in. w Berlinie, Hadze, Helsinkach, Moskwie, Sztokholmie czy Wiedniu. W swoim malarstwie powracał coraz częściej

do koloryzmu. Zajmował się zagadnieniami koloru i analizą barw.

Od 1936 roku artysta zamieszkał w Warszawie, gdzie pracował jako nauczyciel w Gimnazjum im. A. Mickiewicza. Tam zastała go II wojna światowa. Dołżycki wykazał się w czasie okupacji niemieckiej wielką odwagą – prowadził tajne nauczanie oraz organizował konspiracyjne wystawy malarstwa. W 1944 r. podczas Powstania Warszawskiego większość jego ówczesnego dorobku artystycznego uległa zniszczeniu.

Zaraz po wojnie zamieszkał w Krakowie, gdzie przez rok pracował jako wykładowca tamtejszej ASP. Następnie przyjął zaproszenie Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych we Wrocławiu, gdzie objął stanowisko wykładowcy. Tam pracował aż do przejścia na emeryturę, czyli do 1949 r. W 1952 r. Leon Dołżycki przyjął posadę dziekana katowickiej filii ASP w Krakowie. Był już wtedy niekwestionowaną osobowością, z imponującym dorobkiem artystycznym i doświadczeniem pedagogicznym. Artysta poświęcił się katowickiej uczelni, zaangażował zarówno w jej rozwój jak i pracę ze studentami. Warto zauważyć również, iż Dołżycki był nie tylko grafikiem, ale i znanym malarzem, dzięki czemu uczelnia rozwijała się wszechstronnie, prowadząc, pomimo narzucanego nazwą ukierunkowania, pracowni malarzkiej (w tym jedną nadzorowaną właśnie przez niego). W 1959 r. został mianowany profesorem zwyczajnym. Sporadycznie jeszcze współpracował z teatrami, tworząc wyjątkowe sceniczne dekoracje. Przykładem może być scenografia opracowana do „Napoju miłosnego”, wystawianego przez Operę Śląską w Bytomiu. Od końca wojny artysta malował głównie pejzaże i martwe natury, w których widoczna jest synteza jego wszystkich przeświadczeń i doświadczeń artystycznych. Jak zauważa H. Kubaszewska: „Po 1954 w malarstwie Dołżyckiego nastąpił ponowny zwrot w kierunku syntezy koloru i formy, szczególnie zaś interesował artystę w tym okresie problem dynamizmu koloru”. Zniknął w jego pracach charakterystyczny dla formistycznego okresu gruby kontur. Przedmioty stawały się mniej wyraźne, ich kształt utrzymywany był jedynie dzięki kolorystycznym kontrastom. Przykładem są, m.in., takie obrazy jak „Wesołe miasteczko”, „Kolarze” czy „Lamparty”.

Artysta angażował się w rozwój śląskiego środowiska artystycznego, w latach 1960–1964 był prezesem katowickiego okręgu ZPAP. Funkcję dziekana pełnił aż do 1962 r. Jego wieloletnie zasługi dla regionu zostały nagrodzone Złotą Odznaką Zasłużonego w Rozwoju Województwa Katowickiego. Uhonorowano go również Krzyżem Kawalerskim OOP. Prawie do końca swoich dni tworzył i aktywnie uczestniczył w życiu kulturalnym. Zmarł 20 września 1965 roku w Krakowie, mając 77 lat. Zostawił po sobie wspaniały dorobek artystyczny, kolejne pokolenia niezależnych, wybitnych twórców oraz katowicką uczelnię, której pomógł przetrwać ciężkie politycznie czasy i rozwinąć skrzydła.

MICHALINA
WAWRZCZEK-KLASIK

W opracowaniu tekstu wykorzystano m.in.: *Sztuka Górnego Śląska od średniowiecza do końca XX wieku*. Red. E. Chojacka. Katowice 2004; B. Szczyпка-Gwiazda: *Nieznane oblicze sztuki polskiej. W kręgu sztuki województwa śląskiego w dobie II Rzeczypospolitej*. Katowice 1996; *Akademia Sztuk Pięknych w Katowicach. 50-lecie Wydziału Grafiki Filii w Katowicach 1947–1997*. Katowice 1997; *Trwanie i zmiana. Akademia Sztuk Pięknych w Katowicach 1947–2007*. Dorota Głazek.



Rozmowa, 1917

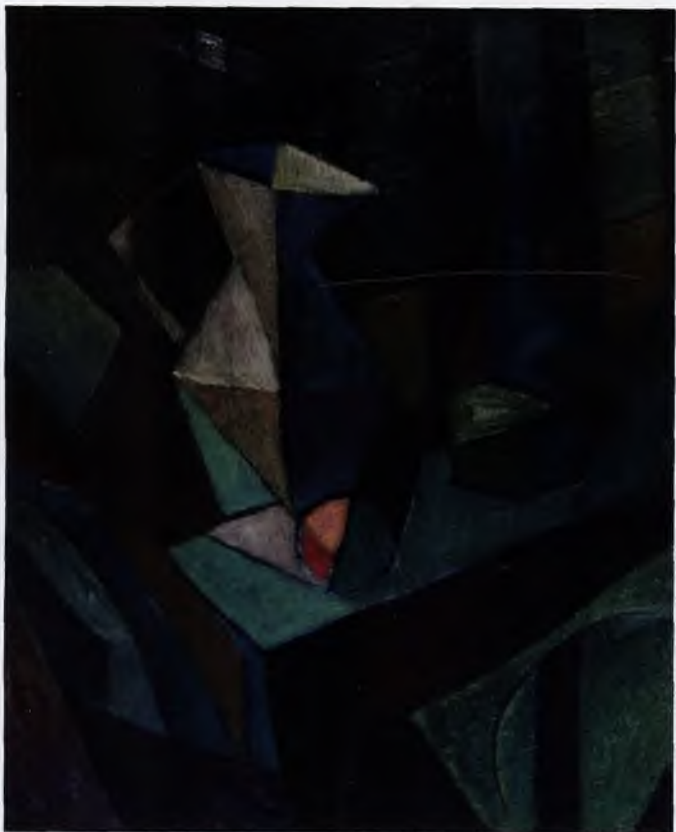


Szermierze, 1917



Dziewczynka, 1917

LEON DOŁŻYCKI



Martwa natura z dzbankiem, 1961



Martwa natura

**SILESIA BANK**

Rok założenia 1898

Śląski Bank Spółdzielczy "Silesia" w Katowicach

40-064 Katowice, ul. Kopernika 5, tel. +48 32 358 98 00, fax +48 32 358 98 11

www.silesiabank.pl

**Oddziały:**41-500 Chorzów
ul. Żeromskiego 4
tel. +48 32 241 67 72
+48 32 249 27 4441-407 Imielin
ul. Imielińska 83a
tel. +48 32 225 60 18
+48 32 225 57 03
fax +48 32 225 57 04**Filie:**40-719 Katowice-Ligota
ul. Zadole 24-26
tel. +48 32 204 63 95
+48 32 204 63 9640-423 Katowice-Nikiszowiec
pl. Wyzwolenia 4
tel. +48 32 353 40 04
+48 32 353 40 0540-645 Katowice-Piotrowice
ul. Łętowskiego 32b
tel. +48 32 202 54 6440-853 Katowice-Załęże
ul. Gliwicka 65
tel. +48 32 209 93 8743-300 Bielsko-Biała
ul. Stojalowskiego 27
tel. +48 33 829 58 49
fax +48 33 829 32 81

Śląski Bank Spółdzielczy SILESIA w Katowicach oferuje:

Dla Klientów indywidualnych:

- rachunek ROR z dostępem do Internetu bez opłat za prowadzenie
- karty płatnicze z możliwością dokonywania bezpłatnych wypłat
- w sieci ponad 5 000 bankomatów na terenie kraju
- atrakcyjnie oprocentowane lokaty
- tanie kredyty
- niskie prowizje za rachunki opłacane gotówką w kasie Banku
- przekazy pieniężne za pośrednictwem WESTERN UNION
- kantor walutowy

Dla Firm:

- tanie rachunki bieżące z dostępem do Internetu
- atrakcyjne warunki lokowania środków – możliwość negocjacji
- dogodne warunki kredytowania, szybka decyzja kredytowa
- rachunki walutowe i przekazy dewizowe
- bezprowizyjne wypłaty z rachunku i wpłaty na rachunek Firmy
- wrzutnia nocna, wpłaty gotówkowe zamknięte

